

AUTORKA BESTSELLEROWEGO *DZIENNIKA MOJEGO ZNIKNIĘCIA*

**CAMILLA**

**GREBE**

Trzymająca w napięciu historia miłości  
zdolnej przezwyciężyć ciemność

**UŚPIENIE**



**CAMILLA  
GREBE  
UŚPIENIE**

Z języka szwedzkiego przełożyła  
Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

*Dvalan*

Copyright © Camilla Grebe 2018

Published by agreement with Ahlander Agency

Copyright © 2020 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2020 for the Polish translation by Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska (under exclusive license to Wydawnictwo Sonia Draga)

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie autorki na okładce: © Viktor Fremling

Redakcja: Grzegorz Krzymianowski

Korekta: Aneta Iwan, Marta Chmarzyńska, Magdalena Bargłowska

ISBN: 978-83-66512-23-8

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórców i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

*Polska Izba Książki*

Więcej o prawie autorskim na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: [info@soniadraga.pl](mailto:info@soniadraga.pl)

[www.soniadraga.pl](http://www.soniadraga.pl)

[www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga](https://www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga)

E - wydanie 2020

# Spis treści

Manfred

## CZEŚĆ I. Ucieczka

Samuel

Pernilla

Manfred

Samuel

Manfred

Pernilla

Manfred

Samuel

Pernilla

Manfred

Samuel

Pernilla

Manfred

## CZEŚĆ II. Burza

Samuel

Pernilla

Manfred

Samuel

Pernilla

Manfred

Samuel

Pernilla

Manfred

### CZEŚĆ III. Upadek

Samuel

Pernilla

Manfred

Samuel

Pernilla

Samuel

Manfred

Pernilla

Samuel

Manfred

Samuel

Pernilla

Manfred

Pernilla

Manfred

Pernilla

Manfred

### CZEŚĆ IV. W brzuchu wieloryba

Samuel

Pernilla

Manfred

Samuel

### CZEŚĆ V. W dolinie śmiertelnego cienia

Manfred

Samuel

Manfred

Pernilla

Samuel

Manfred

Samuel

Pernilla

Manfred

Pernilla

Manfred

Rakel

## CZĘŚĆ VI. Pojednanie

Manfred

Pernilla

Manfred

Podziękowania

Przypisy

Dla Marie

*To komiczne, jak barwy rzeczywistego świata dopiero widzą się prawdziwe, kiedy je zobaczysz na filmie<sup>1</sup>.*

Anthony Burgess, *Mechaniczna pomarańcza*

# Manfred

**B**yliśmy zupełnie zwyczajną rodziną. A ten poranek nie różnił się od innych. To był jeden z tych nic nieznaczących dni, kiedy nikt nie spodziewa się niczego szczególnego, dzień, któremu nie przypisuje się specjalnej wagi w przekonaniu, że niczego nie zmieni. Po prostu jeszcze jeden dzień do przetrwania, do przeżycia. Wystarczyło zrobić wszystko po kolei, jakby to był blankiet, który trzeba wypełnić i nadać na poczcie przed piątą.

Afsaneh wstała jako pierwsza, żeby przygotować Nadji kaszkę.

Słyszałem jej kroki. Lekkie, niemal nieśmiałe, kiedy szła na palcach z przedpokoju do kuchni. Jakby przesuwała się po cienkim lodzie. Potem rozległ się szum odkręconej wody w kranie i lekki brzęk garnka stawianego na kuchence. W końcu rytmiczne uderzanie trzepaczki o metal, kiedy mieszała kaszkę z wodą.

Leżąc w łóżku – ciągle jeszcze ciepłym od ciała Afsaneh – słyszałem popłakiwanie i pokasływanie Nadji dobiegające z pokoju dzieciennego obok.

Odgłosy całkiem zwyczajnej rodziny: kobiety, mojej młodej żony, może zbyt młodej – przynajmniej niektórzy tak uważali – i naszej córeczki. Była też cisza po trójce starszych dzieci, które wyfrunęły już z domu, a także po mojej byłej żonie, która w pewien wiosenny poranek, niewiele różniący się od dzisiejszego, opuściła mieszkanie z walizką tak ciężką, że gdyby nie wściekłość, na pewno by jej nie udźwignęła.

Leżąc tak, rozleniwiony ciepłem łóżka i marzeniami sennymi minionej nocy, nie myślałem o tym wszystkim. Stało się tak dopiero później, gdy te drobne rzeczy nabrały wagi i znaczenia.

Dopiero po czasie wszelkie trywialności życia urastają do wielkich rozmiarów i prześladowają człowieka po nocach.

To był poranek jak każdy inny. Poza tym, że Nadja przeziębila się trzeci raz w ciągu trzech tygodni i zarówno ja, jak i Afsaneh byliśmy śmiertelnie zmęczeni nocnym czuwaniem i doglądaniem naszej ukochanej, ale absorbującej dwulatki.

Ale umieliśmy też żartować z tego, że kiedy Nadja ma katar, zamienia się w niemowlę. A Afsaneh powtarzała wtedy, że sam jestem sobie winny, ponieważ

zdecydowałem się znowu na dziecko i całą resztę, mimo że przekroczyłem pięćdziesiątkę.

Afsaneh uchyliła drzwi do sypialni.

Trzymała Nadję na biodrze, a gdy lekko ugięła kolana i podniosła ją nieco wyżej, aby było jej wygodniej, poły szlafroka trochę się rozchyliły, odsłaniając jedną pierś, piękną pierś, która na przekór wszystkiemu należała do mnie.

Afsaneh spytała, czy nie mógłbym wziąć zwolnienia na opiekę nad dzieckiem, na co odrzekłem, że właśnie zamierzałem niedługo pojechać na komendę.

Chodziło o stołeczną komendę policji na Kungsholmen w Sztokholmie. Moje miejsce pracy od ponad dwudziestu lat, synonim kieratu. Miejsce, gdzie prowadziłem dochodzenia w sprawie zabójstw i innych ciężkich przestępstw. Gdzie zajmowałem się najmroczniejszymi stronami rodzaju ludzkiego, odrażającymi wynaturzeniami człowieczych zachowań, którymi reszta społeczeństwa nie musiała zawracać sobie głowy.

Jak mogłem sądzić, że to takie ważne?

A niech się nawzajem pozabijają. Niech się tłuką i gwałcą. Niech handlują narkotykami, a przedmieścia niech płoną jak zimne ognie. Tylko nie wciągajcie mnie w to gówno.

Pamiętam, że Afsaneh zmarszczyła czoło, gdy jej odpowiedziałem. Przypomniała mi, że to dzień Wniebowstąpienia Pańskiego, i spytała, co tak strasznie ważnego mam do roboty. Potem cierpliwie wyjaśniła, że obiecała spotkać się z jedną ze swoich doktorantek i że mówiła mi o tym dwa razy podczas wczorajszej kolacji.

Wymiana zdań między nami trwała przez dobrą chwilę.

Sprzeczaliśmy się, jakby rzeczywiście miało to jakiegokolwiek znaczenie. Sprzeczaliśmy się w bezrefleksyjny, męczący sposób, jak prawdopodobnie dzieje się to w większości rodzin w całkiem zwykły poranek w bezpiecznej i dostatniej Szwecji.

Kiedy Afsaneh wyszła, żeby spotkać się z doktorantką, a Nadja leżała obok mnie w naszym szerokim łóżku, przyciskając zasmarkany nosek do mojego policzka, poczułem się jednak zadowolony. No bo co miałbym dziś robić na komendzie? Trupy mogą poczekać do jutra, a większość moich kolegów przecież i tak ma wolne.

Nie pamiętam dokładnie, ale wydaje mi się, że przedpołudnie spędziłem, kręcąc się po domu i trochę sprzątając. Potwornie bolały mnie kolana, więc łyknąłem dwa voltareny. Możliwe, że ukradkiem wypaliłem też ze dwa papierosy pod wentylatorem. Nadja oglądała telewizję. Musiałem podkręcić głośność, żeby zagłuszyć hałas robót drogowych na Karlavägen.

Moja najstarsza córka Alba zadzwoniła z Paryża z prośbą o pożyczkę pieniędzy. Oznajmiłem jej spokojnie, ale stanowczo, żeby zwróciła się do swojej mamy, bo ja

w tym miesiącu dałem jej już trzy tysiące ekstra. Poza tym jej rodzeństwo, Alexander i Stella, nie dostało w ogóle nic. A chyba należy być sprawiedliwym. Tak czy nie?

Sprawiedliwość – co za dziwny pomysł, gdy spojrzeć z perspektywy.

W końcu Nadji sprzykrzyła się telewizja. Płakała bez ustanku, nosiłem ją więc po mieszkaniu, na próżno próbując uspokoić. Jej małe ciało było rozpalone, dlatego dałem jej alvedon, chociaż Afsaneh tego nie pochwałała – to także jedna z rzeczy, o które czasami się kłóciliśmy. Uważała, że małe dzieci nie powinny dostawać lekarstw, z wyjątkiem sytuacji zagrażających życiu.

Być może to zasługa alvedonu, że Nadja się uspokoiła, a może kanapki, którą jej przygotowałem. Albo roboty drogowe za oknem w końcu odwróciły jej uwagę.

Podniosłem ją na parapet okna w salonie, gdzie całkiem długo stała jak zahipnotyzowana i przyglądała się koparce powoli wgryzającej się w ziemię trzy piętra niżej, a jednocześnie swoim spiczastym języczkiem zlizywała masło z kromki chleba i smarki z górnej wargi. Porozmawialiśmy też trochę o koparkach, autach, ciężarówkach i motocyklach. O wszelkiego rodzaju pojazdach mechanicznych.

Nadja lubiła wszystko, co ma silnik i robi hałas – zauważyliśmy to z Afsaneh dosyć wcześnie.

To musiało stać się wtedy, kiedy Afsaneh zadzwoniła z kawiarni.

Mimo głośnych protestów zdjąłem Nadję z parapetu na podłogę i wyszedłem do przedpokoju, żeby móc spokojnie zamienić kilka słów przez telefon – hałas maszyn budowlanych wprawiał całe mieszkanie w wibrację.

Afsaneh spytała o samopoczucie Nadji, na co odpowiedziałem, że nasza córka jest w całkiem dobrej formie, że zjadła kanapkę i że najwyraźniej chyba nic poważnego jej nie grozi, skoro je i pije.

Oczywiście nie wspominałem o alvedonie.

Kiedy się rozłączyliśmy, od razu poczułem, że coś jest nie tak. Jakby powietrze uległo zagęszczeniu i na mnie napierało – to było namacalne przeczucie zbliżającego się niebezpieczeństwa. Sekundę później zdałem sobie sprawę, że to raczej *brak* czegoś wzbudził mój niepokój.

Zalegała cisza.

Robotnicy widocznie mieli przerwę, słyszałem jedynie własny oddech.

Wszedłem do salonu, żeby zajrzeć do Nadji, ale pokój był pusty, została po niej tylko butelka leżąca na podłodze w kałuży rozlanego soku i stos zabawek, które przywlokła tam w ciągu poranka.

Możliwe, że dopiero w tym momencie obudził się we mnie lęk, ten pierwotny instynkt obecny w każdym z nas, odruch obrony naszych dzieci przed wszelkim złem.

Potem oślepił mnie promień słońca, ostry snop światła, którego nie powinno tam być z tego prostego powodu, że okna salonu znajdowały się w cieniu.

Obróciłem się w kierunku światła, przymrużyłem oczy i zajrzałem do kuchni.

Okno było otwarte, a słońce odbijało się w szybie.

Nagle wszystko stało się jasne: poprzedniego dnia Afsaneh myła okno w kuchni. Musiała zapomnieć je zabezpieczyć. Ale przecież Nadja raczej nie mogłaby wdrapać się tak wysoko. I go otworzyć. Poza tym, *dlaczego* miałaby zrobić coś takiego?

W tej samej sekundzie, gdy zadałem sobie to pytanie, znalazłem na nie odpowiedź: koparka, przekłeta koparka.

Rzuciłem się do otwartego okna.

To jedyna rzecz, jaką mogłem zrobić. Podbiegłem do niego, bo tak trzeba, to przymus. Bo nie wolno dopuścić do tego, żeby własne dziecko spadło, zginęło. To jedyna rzecz, do której nie wolno dopuścić w życiu.

Wszystko inne może ujść nam na sucho.

Na zewnątrz promienie słońca igrały w eterycznej zieleni, a na dole robotnicy drogowi stali nieruchomo i patrzyli w górę. Dwóch z nich nagle rzuciło się w kierunku naszego domu z wyciągniętymi przed siebie rękami.

Nadja wisiała na blaszanym parapecie i – co dziwne – była zupełnie cicho, podobnie jak dzieci, które mają się utopić. Tak przynajmniej słyszałem.

Zaciskała mocno małe paluszki, a ja rzuciłem się ku niej, bo w tej sytuacji nie mogłem zachować się inaczej. Człowiek rzuca się ratować swoje dziecko, wchodzi w ogień i wodę.

Robi wszystko i jeszcze trochę.

Chwyciłem ją, dosięgłem jej rączek, ale czułem, jak usmarowane masłem małe paluszki powoli wysuwają się z mojej dłoni. Wyślizgnęły się jak śliskie mydło.

Spadła.

Moje dziecko spadło na ulicę, a ja nie mogłem temu zapobiec.

Wystarczyłoby, żebym przyszedł sekundę wcześniej, żebym pokonał jeszcze jeden metr w tym momencie, gdy wydawało się, że czas się zatrzymał, a krzyk ciszy odbijał mi się echem w uszach.

W innym życiu, w równoległej rzeczywistości, być może umiałbym ją uratować.

Ale *moje* dziecko spadło.

Spadło z trzeciego piętra na ulicę, a ja nie mogłem nic zrobić, aby temu zapobiec.

Byliśmy całkiem zwyczajną rodziną.

To był poranek podobny do innych, ale potem nic już nie było takie samo.

## CZEŚĆ I

---

# Ucieczka

*„Wstań, idź do Niniwy, wielkiego miasta, i upomnij ją,  
albowiem nieprawość jej dotarła przed moje oblicze”.  
A Jonasz wstał, aby uciec do Tarsisz przed PANEM.*

Księga Jonasza 1, 2–3

# Samuel

S pieprzenie własnego życia zajęło mi dokładnie dziesięć dni.  
Wyglądam przez okno.

Ze swojego pokoju mam widok na parking, a dalej majaczą kontury szpitala Långbro – starego szpitala psychiatrycznego, który został zamieniony w okazałe apartamentowce.

Akurat dzisiaj nad budynkiem zbierają się ciemne chmury. Jasnozielone liście kontrastują z fioletowym niebem. Trawa rośnie bujnie wokół parkingu, nadal jednak jest piekielnie zimno, chociaż to już jedenasty czerwca.

Słyszę, jak matka krząta się po kuchni.

Jest chorobliwie upierdliwa. Mówiąc „upierdliwa”, mam na myśli nie tylko to, że ciągle zrędzi mi nad uchem, żebym coś zrobił – poszukał pracy, poszedł do pośredniaka, wyjął naczynia ze zmywarki i tak dalej, po prostu bez końca – ale że tak potwornie się o wszystko martwi. A ten jej lęk wżera się we mnie i rozpełza po całym ciele, jakby pod skórą łąziły mi w kółko małe mrówki.

Chyba w żaden sposób nie może do niej dotrzeć, że jestem dorosły.

Skończyłem osiemnaście lat miesiąc temu, a ona mimo to pilnuje mnie jak uprzykrzona kwoka i domaga się informacji o każdym moim kroku.

Jakbym był jakimś jej cholernym zadaniem życiowym.

To doprowadza mnie do obłądu.

Uważam, że dużo lepiej by jej zrobiło, gdyby się tak nie zachowywała. Gdyby choć trochę odpuściła. Bez przerwy gada, ile to dla mnie musiała poświęcić – dlaczego więc teraz, kiedy ma możliwość, nie zajmie się własnym życiem?

Alexandra, moja dziewczyna, albo raczej laska-z-którą-się-bzykam, mówi, że jej stara jest podobna, ale to nieprawda. Sirpa przynajmniej nigdy nie depta jej po piętach w mieście, nie wydzwania do kumpli ani nie grzebie jej w kieszeniach w poszukiwaniu trawki czy kondomów.

No właśnie, kondomy: matka chyba powinna być szczęśliwa, gdyby je znalazła? Bo czy nie tego chcą wszyscy rodzice: żeby ich dzieci się zabezpieczały? Podejrzewam, że to jeden z jej największych lęków: że poderwę kogoś i spotka mnie taki sam los jak ją.

Los samotnego rodzica.

Albo *wyjatkowego* rodzica, jak mawiają w kościelnym zborze matki, kiedy próbują być przypocholebczo przyjaźni i otwarci, żeby każdy, niezależnie od warstwy społecznej, z jakiej pochodzi, czuł się tam mile widziany.

Matka i ja mieszkamy w dwupiętrowym budynku przy ulicy Ellen Key we Fruängen, w całkiem znośnej dzielnicy południowego Sztokholmu. Jazda do Centralen zajmuje dokładnie dziewiętnaście minut, a dziewiętnaście minut z życia można przecież poświęcić bez większej straty.

Czy nie?

Dziewiętnaście minut do centrum i dziewiętnaście z powrotem to w sumie trzydzieści osiem minut w ciągu dnia. Jeśli odbywa się taką podróż codziennie, rocznie daje to trzynaście tysięcy osiemset siedemdziesiąt minut, czyli dwieście trzydzieści jeden godzin albo prawie dziesięć dni.

Dziesięć dni z życia: to w końcu wcale nie tak mało.

Jak wiadomo, w ciągu dziesięciu dni wiele może się zdarzyć.

Najważniejsze, żeby wszystko przeliczyć przed wyciągnięciem pochopnych wniosków, na przykład, że dziewiętnaście minut dziennie nie ma żadnego znaczenia.

Matma to jedyny przedmiot, z którego byłem naprawdę dobry w szkole. Może też szwedzki w młodszych klasach. Bo lubiłem czytać książki. Ale teraz dałem sobie z tym spokój. W końcu człowiek nie chce, żeby ktoś zobaczył go w metrze z książką w ręce.

Z matmą to była zupełnie wyjątkowa sprawa. Nigdy nie musiałem się wysilać, widziałem liczby w głowie i znałem odpowiedź dużo wcześniej, nim inni zdążyli wyciągnąć kalkulatory. I chociaż prawie w ogóle nie bywałem na lekcjach, nauczyciel matematyki postawił mi w drugiej klasie gimnazjum piątkę.

Podejrzewam, że chciał mnie w ten sposób zachęcić. Mimo to darowałem sobie zakuwanie. Nie widziałem sensu w chodzeniu do szkoły.

Kącikiem oka dostrzegam jakiś ruch. W klatce na podłodze młodziutki kos – który już niedługo przestanie być pisklęciem – robi skok. Grzebie dziobem między resztkami ziaren na podłodze, zastyga w połowie ruchu, przekrzywia łebek i spogląda na mnie swoimi oczkami jak guziki o żółtych obwódkach.

*Kos, Turdus merula.*

W gruncie rzeczy jest jeszcze coś, w czym jestem dobry poza matmą. To ptaki. Kiedy byłem mały, miałem kompletnego świra na ich punkcie, ale teraz też z tym skończyłem.

To zbyt obciachowe.

Chociaż gdy znalazłem kosa zamkniętego w kontenerze, nie mogłem się powstrzymać i go uratowałem.

Spoglądam znowu na ptaka. Widzę jego błyszczący czarny garnitur z piór i jasnożółty dziób, którym dłubie w podłodze.

Karmię go ziarnami i kawałeczkami słoniny. Nauczyłem go nawet jeść z ręki, jest jak tresowane zwierzę domowe.

Biorę komórkę między kciuk a palec wskazujący. Sprawdzam Snapchata.

Liam wrzucił filmik z wybuchającą puszką piwa. Wygląda to tak, jakby ktoś do niej strzelił, może z wiatrówki Liama. Alexandra przysłała mi swoją fotkę w łóżku. Chociaż ma kołdrę podciągniętą pod sam nos, widzę, że się uśmiecha. Dookoła niej pulsują małe ognie czerwone serduszka, które wkomponowała w zdjęcie.

Otwieram WhatsAppa: na razie nic od Igora.

Prawdę mówiąc, wolałbym, żeby już nigdy więcej się do mnie nie odezwał. Ale niestety spieprzyłem sprawę i teraz muszę za to płacić.

Dziesięć dni.

Dokładnie tyle czasu minęło, odkąd uwiążłem w lepkiej sieci Igora. Tyle samo, ile zajmuje jazda tam i z powrotem do miasta każdego dnia przez rok.

Ale jeśli mam być całkiem szczery, to zaczęło się dużo wcześniej. Matka mówi, że zupełnie brak mi rozsądku i że nie potrafię skoncentrować się na dłużej, niż zajmuje wypicie szklanki mleka. Nigdy nie powiedziała tego wprost, wyraźnie jednak widać, że według niej mam to po ojcu. A ponieważ nigdy go nie poznałem, trudno mi temu zaprzeczyć.

Ona natomiast oczywiście nie ma takich problemów.

Przynajmniej jeśli chodzi o znęcanie się nade mną. Nigdy nie traci koncentracji, nigdy się nie poddaje.

Jest jak pieprzony pies tropiący.

Psycholog szkolny wysłał mnie do poradni psychiatrycznej dla dzieci i młodzieży, a stamtąd zostałem skierowany do specjalisty. Była nim psycholożka o spoconych dłoniach, z wielkimi ozdobami ze srebra i tak brązowymi zębami, jakby żarła gówno.

Nigdy jej nie lubiłem.

Zwłaszcza kiedy zaczęła głądzić o ograniczonych funkcjach neuropsychologicznych. Powiedziała, że jeśli nawet nie kwalifikuję się do diagnozy, mimo wszystko mam problem z koncentracją i kontrolą bodźców. Dokładnie w tym momencie przestałem jej słuchać. Matka też, ponieważ nie chciała przyjąć do wiadomości, że mam jeszcze jakiś inny feler poza brakiem rozsądku.

Kilka miesięcy później przeczytałem w jakiejś plotkarskiej gazecie o pewnym celebrycie, który powiedział, że cholernie się cieszy, że wreszcie go zdiagnozowano, bo to wiele wyjaśnia. Zupełnie jakby zależało mu na tym, żeby być porąbanym, jakby

orzeczenie psychiatryczne to była skórzana kurtka albo jakiś ładny tatuaż, którym można się pochwalić.

Jak to się właściwie stało, że wylądowałem w takim szajsie?

Ja i Liam często bawiliśmy się w śródmieściu w złodziei. Początkowo było całkiem nieźle. Podprowadzaliśmy drobiazgi, takie jak perfumy czy ciuchy. Ale niedługo później doszliśmy do wniosku, że gdybyśmy przestawili się na elektronikę – nieduże twarde dyski, słuchawki i przenośne głośniki – moglibyśmy te rzeczy sprzedawać dalej. Liam kupił od Jannego z siłowni plecak wyłożony w środku kilkoma warstwami folii aluminiowej – i potem wystarczyło tylko uważać na kamery monitoringu, zgarnąć jakieś gówno z półki, wrzucić do plecaka, wyjść ze sklepu, wskoczyć do metra i dziewiętnaście minut później ewakuować się na Fruängen.

To było aż za proste.

Okazaliśmy się w tym cholernie dobrzy, ani razu nie wpadliśmy i schowek w piwnicy matki Liama całkiem szybko się zapełnił. Tyle że opchnięcie tych wszystkich rzeczy w internecie na Blocket wymagało strasznie dużo roboty. Poza tym moja matka ciągle się dziwiła, skąd mam tyle komórek i dlaczego zawsze kiedy odbieram telefon, znikam w swoim pokoju.

Zaczęliśmy więc sprzedawać nasze łupy Czeczenowi o imieniu Aslan, dosyć przerażającemu typowi z tatuażami na facjacie, który nigdy się nie uśmiechał.

Aslan nie płacił za dobrze, dostawaliśmy zaledwie jedną czwartą tego, co zarobiliśmy na Blocket, ale kupował wszystko na pniu i nigdy nie zadawał pytań.

Za pieniądze od niego sprawialiśmy sobie picie, sneakersy, trawkę i czasami parę gramów koki. Raz wybraliśmy się na Stureplan i w restauracji obzarliśmy się owocami morza jak jacyś najwięksi burżuje, ale najczęściej jaraliśmy sobie w spokoju i ciszy, oglądając jakiś fajny film.

W dzień przesiadywaliśmy u mnie, a w nocy u Liama, ponieważ jego matka pracowała na nocnej zmianie w szpitalu w Huddinge.

Naprawdę nikomu nie robiliśmy krzywdy.

Sklepy były przecież ubezpieczone, więc i tak wychodziły na swoje. A my nigdy nie okradaliśmy osób prywatnych, tylko podprowadzaliśmy towary z wielkich, bogatych firm, takich jak Media Markt czy Elgiganten, które i tak bez przerwy oszukują zwykłych ludzi i wyciągają od nich kasę.

Trawkę i koks kupowaliśmy od gościa o imieniu Malte, facet zwykle przesiadywał w hali bilardowej. Był wysoki, chorobliwie chudy, trzęsły mu się ręce i jak na dilera wyglądał wyjątkowo sympatycznie.

To chyba Liam spytał go któregoś razu, czy nie moglibyśmy zapłacić mu elektroniką. Malte tylko zacisnął kościste dłonie, wyszczerzył się tak, że aż błysnęły

mu złote zęby, i oznajmił, że on nie zajmuje się takim biznesem. Ale, dodał, jeśli chcemy pojechać sobie gratis, to ewentualnie możemy mu pomóc w paru sprawach.

I tak się stało. Zaczęliśmy trochę dla niego pracować.

Dosyć szybko się zorientowaliśmy, że Malte jest całkiem ważnym ogniwem w maszynierii zaopatrującej sztokholmczyków w trawkę i koks. Poza tym był dość blisko bossa, Igora. Tak blisko, że Liam nazywał go czasami ciotą Igora.

Mieliśmy z tego niezłą bekę.

Nasze robótki dla Maltego to nie były żadne duże zlecenia, nic strasznie niezgodnego z prawem ani nic w tym rodzaju.

Odbieraliśmy i dostarczaliśmy zamówienia w różne miejsca albo pilnowaliśmy telefonu, jeśli klienci dzwonili na Whatsapp. Komunikacja przez aplikację była szyfrowana, ale Malte i jego banda wymyślili porąbane kody na poszczególne towary. Jeśli ktoś zadzwonił i zamówił „pizzę”, wtedy musiałem spytać, jaką wybiera. Na przykład „capricciosa” oznaczała trawkę, a „hawajska” – kokę. Więc jeśli ktoś życzył sobie pięć „hawajskich”, to znaczy, że chciał pięć gramów koksu.

Cena za jeden gram pierwszorzędnego towaru wynosiła osiem stów, czyli nie były to szczególnie tanie pizze. Za to klient w ciągu pół godziny miał zamówienie dostarczone do domu, świadczyliśmy więc usługi na wysokim poziomie.

Nasza specjalność to *strictly old school*: koks, speed, trawka i tak dalej. Żadnych farmaceutyków i temu podobnego gówna. Heroiną, rzecz jasna, nie handlowaliśmy – to był rynek opanowany przez Gambijczyków w okolicy Kungsträdgården.

Malte opowiadał czasem, jak ten biznes wyglądał wcześniej – jak kolesie stali i dilowali po prostu na ulicy, jakby sprzedawali lody. A psy związały ich bez żadnych oporów.

Parskałem wtedy głośno śmiechem.

Trudno dziś pojąć, jak dawało się funkcjonować w czasach bez internetu i wszystkich aplikacji.

Ja czułem się w tym jak ryba w wodzie, ale Liam się denerwował i chciał się wycofać. W końcu wymógł na mnie obietnicę, że przestaniemy pracować dla Maltego, na co się zgodziłem głównie po to, żeby go uszczęśliwić.

Po kilku miesiącach mieliśmy w bród nie tylko trawki, ale także pieniędzy. Szybko sobie obliczyłem, że nigdy nie uda mi się zarobić tyle hajsu w normalnej pracy.

Liam kupił używane bmw od gościa z Bredäng i pierwszy raz od długiego czasu wydawał się naprawdę zadowolony. Ja nie odważyłem się sprawić sobie nic wyjątkowo drogiego, bo matka i tak wciąż zasypywała mnie pytaniami, skąd mam nowe ciuchy, nowe buty i tak dalej.

Zupełnie jakby czuła pismo nosem.

Któregoś dnia wezwał mnie do siebie boss Maltego, Igor – zwalisty Rusek z napakowanymi mięśniami i ogoloną czaszką.

Igor był legendą z trzech powodów.

Po pierwsze, rządził dużą częścią rynku narkotykowego w Sztokholmie. Po drugie, Liam twierdził, że trzech koleś, którzy oszukali go w biznesie, załatwił w ten sposób, że związał im razem ręce i nogi, a potem utopił jak kociaki.

Po trzecie, rzekomo pisał wiersze i wydał już kilka tomików.

Jeśli mam być szczery, trochę mnie połechtało, kiedy Igor mi powiedział, że świetnie się spisałem, i spytał, czy nie chciałbym pomagać przy innych, trochę większych biznesach. Miałbym dostać za to porządne pieniądze, a jeżeli nadal będę się wykazywał, w firmie jest dużo więcej możliwości rozwoju.

Tak, tak, on naprawdę powiedział „w firmie”. Jakby był właścicielem prawdziwej spółki akcyjnej.

Rozwodził się dużo o tym, że klient jest najważniejszy, mówił, jakie to istotne, żeby nigdy go nie oszukiwać i by zawsze świadczyć jak najlepsze usługi.

Brzmiał niemal tak, jakby chodził na jeden z kursów organizowanych przez pośrednictwo pracy na temat prowadzenia biznesu, podatków, wyrównania za nadgodziny i podobnych głupot.

Od razu się zgodziłem. Dopiero kiedy od niego wyszedłem, zacząłem mieć wątpliwości.

Za późno.

Tego samego dnia wieczorem Igor zaprosił mnie na piątkowe firmowe piwo. Nie wiem, czy to był tylko żart, ale on faktycznie powiedział: *after work*.

Piliśmy piwo i graliśmy w bilard. To znaczy wszyscy oprócz Igora, który najwyraźniej nigdy nie pił choćby kropli alkoholu. Siedział w kącie sali i jakby wszystkich nas obserwował.

Liana ze mną nie było.

Potem się przyznał, że dostał od Igora taką samą ofertę, ale odmówił. Powiedział, że kompletnie zwariowałem i że w końcu narobię sobie kłopotów, jeśli się nie nauczę najpierw myśleć, a dopiero potem działać.

Poza tym przecież mu obiecałem, że nie będę już pracować dla Igora ani dla jego chłoptasia. I jak zwykle go wykiwałem, i tak dalej, i tak dalej. Bla, bla, bla.

To było dokładnie dziesięć dni temu.

Tydzień później musiałem jeździć razem z Maltem po mieście i ściągać długi od klientów, którzy kupowali na kreskę. I właśnie wtedy się przekonałem, że firma nie jest zbyt przyjaźnie nastawiona do klientów korzystających z kredytu, a Malte wcale nie jest tak sympatycznym dilerem, jak mnie i Liamowi się wydawało.

Przebiegało to mniej więcej w ten sposób: pukaliśmy do drzwi klienta, a gdy on czy ona je otworzyli, Malte wyjaśniał, że przyszliśmy po pieniądze, które tamci są dłużni. Niekiedy rzeczywiście je dostawaliśmy i wtedy grzecznie dziękowaliśmy, życząc miłego wieczoru i odchodząc jak najpotulniejsi mormoni.

Często klienci mówili, że nie mają pieniędzy, ale że wkrótce zapłacą. Jeśli była to nasza pierwsza wizyta, odpowiadaliśmy, że wrócimy za tydzień, dodając, że „dla obu stron będzie najlepiej”, aby wtedy dług został uregulowany, po czym Malte swoimi drżącymi palcami robił notkę w komórkowej aplikacji, gdzie zapisywał wszystkie należności.

Jeśli jednak były to nasze drugie albo trzecie odwiedziny, klient dostawał łomot.

Co się działo przy czwartej wizycie, tego nie wiem. Przypuszczam, że za tę działkę odpowiadał już nie Malte, tylko jakiś bandzior. Prawdopodobnie ten sam, który pomógł Igorowi utopić tamtych trzech. O ile ta historia jest w ogóle prawdziwa, bo Liam zawsze lubił fantazjować.

Ja miałem dopilnować, żeby klient zachowywał się cicho i stał prosto, podczas gdy Malte bił go i kopał jak jakiś nawiedzony psychol. Chociaż kobietom najczęściej tylko groził nożem: przyciskał srebrzyste ząbkowane ostrze do cienkiej skóry pod okiem, kaleczył ją trochę, na tyle, żeby pociekła krew, i mówił, że blizny mogą być brzydkie, a jednocześnie macał im cycki.

Tylko raz Malte odstąpił od wyzywania się na dłużniku, i to mimo naszej drugiej wizyty. To była młoda laska o długich rudych włosach, miała na imię Sabina. Kiedy nam otworzyła, od razu się zorientowałem, że zna się z Maltem i że on ma na nią ochotę. Gadali ze sobą tak długo, że miałem w końcu dość i spytałem, czy mogę skorzystać z toalety.

Mogłem.

Kiedy z niej wyszedłem, zobaczyłem, jak Malte wręcza Sabinie cienki plik tysiackoronowych banknotów, a nie odwrotnie.

Tak po prostu.

Dziewczyna wyglądała na uszczęśliwioną i obiecała, że niedługo spłaci wszystko.

Akurat gdy to powiedziała, Malte mnie zauważył. Chwycił mnie za kołnierz, przycisnął do ściany i syknął mi prosto do ucha:

– Ani słowa, kapujesz? Bo wtedy nie żyję. I ty też.

Tylko skinąłem głową.

Co on sobie myślał? Że zakabluję Igorowi? Że jestem jednym z jego chłoptasiów?

Ale ta ruda laska była, jak wspomniałem, jedynym wyjątkiem. Wszystkim innym się nie upiekło.

Wielu krzyczało. Niektórzy płakali.

Wielcy faceci z bicepsami goryla i wytatuowanymi czaszkami wyli jak dzieci i żebrali o litość. Jakiś gość wyrzygał mi się na nowe sneakersy od Gucciego, po tym jak Malte przyłożył mu prawym sierpowym prosto w żołądek.

To było obrzydliwe.

Jedna rzecz to podprowadzanie elektroniki z Media Marktu czy przyjmowanie zamówień na pizzę, czyli tak naprawdę na koks, a inna to robienie ludziom krzywdy. Nie dawałem rady. Wiem, że mam na swoim koncie sporo niefajnych rzeczy, ale – halo – nie jestem jakimś *monstrum*.

Już po kilku pierwszych wieczorach zrozumiałem, że firma Igora to nie dla mnie.

Ale jak wykręcić się od takiej roboty?

W końcu zebrałem się na odwagę i powiedziałem Igorowi, jak jest: że nie daję rady obijać ludziom pysków.

Skinął głową z poważną miną i uśmiechnął się krzywo. Odchylił się na krześle, aż zatrzeszczała jego kurtka z grubej skóry. Potem oznajmił, że to nie jest praca dla każdego i że znajdzie się coś, w czym mogę się przydać, skoro jestem takim dupkiem, zbyt delikatnym, żeby pracować w czarnych rękawiczkach.

Mówiąc ostatnie słowa, wyszczerzył się szeroko, a ja poczułem, że mimo woli zaczerwieniłem się ze wstydu.

Po chwili Igor znowu spowaźniał i powiedział, że wierzy w różnorodność i że każdy jest w czymś dobry. Oraz że dla zbudowania silnej organizacji trzeba korzystać z różnorodnych kompetencji.

Potem sięgnął po jakiś pakiecik wielkości kostki masła zawinięty w brązowy papier i mi go rzucił.

– Bądź w strefie przemysłowej w poniedziałek wieczorem. Spotkamy się o dziewiątej przed dawnym warsztatem samochodowym. Ani minuty później. Przedtem wyłącz komórkę i weź ze sobą tę paczuszkę. To ważne, rozumiesz? Twoja robota będzie polegać na staniu na straży, kiedy ja spotkam się z klientem. Cholernie dużym klientem. Dystrybutorem.

Przerwał i przyjrzał mi się przez chwilę, a potem kontynuował:

– W tej paczuszce są próbki towaru, więc chyba nie muszę ci wyjaśniać, że nie wolno ci jej zgubić?

Skinąłem głową i opuściłem biuro Igora za halą bilardową pełen mieszanych uczuć: wstydu i ulgi. Ale chyba najsilniejsza była jednak ulga: nie będę musiał już nikogo tłuc, a wszystko jest lepsze od tego.

Ale dzisiaj jest niedziela i ulgę, którą odczuwałem w zadymionej kanciapie Igora, stopniowo wyparł narastający dyskomfort.

Trzymam paczkę w dłoni i patrzę przez okno. Chmury nad starym wariatkowem się zagęściły i na parking zaczął padać deszcz. Asphalt zrobił się czarny i błyszczący jak lód na świeżo zamrożonym i bardzo głębokim jeziorze.

Pakiet nie jest ciężki, przypuszczam, że waży około stu gramów. W ciągu swojej krótkiej, ale intensywnej kariery w firmie osiągnąłem mistrzostwo w szacowaniu wagi małych torebek i paczuszek.

Jestem w tym niemal równie dobry jak w liczeniu w pamięci.

Sto gramów. Prawdopodobnie koki. Osiem stów za gram. Czyli cena za towar sprzedany na ulicy to osiemdziesiąt tysięcy koron.

Ktoś puka. Odruchowo odkładam paczuszkę na stół i obracam się w stronę drzwi.

Do środka wchodzi matka.

Wygląda na zmęczoną.

Długie kasztanowe włosy są przeplecione siwymi pasemkami i opadają niedbale na ramiona. Dżinsowa koszula niemal pęka na biuście, a pod szyją błyszczy złoty krzyżyk. Starannie wyprasowane spodnie piaskowego koloru są tak znoszone, że zaczynają się już na dole strzępić. W jednej ręce matka trzyma worek na śmieci.

– Co robisz? – pyta, błędząc wzrokiem po pokoju i zakładając za ucho kosmyk włosów. – Coś specjalnego? Czy tylko siedzisz i... To znaczy, to nic złego. Jeśli nic nie robisz. W gruncie rzeczy.

Zawsze mówi za dużo. Zupełnie jakby słowa wylatywały jej prosto z ust z pominięciem mózgu. Jak ptaki, które właśnie uciekały z klatki.

– Nic – odpowiadam, mając nadzieję, że zaraz sobie pójdzie, bo nie dam rady użerać się z nią akurat teraz.

– Dzwoniłeś dziś do Ingemara? Wydaje mi się, że byłoby dobrze, gdybyś to zrobił. To znaczy, zadzwonił do niego.

Ingemar to jeden z najstarszych braci z jej kościelnego zboru. Facet po sześćdziesiątce, z kręconymi siwymi włosami i o grubych, czerwonych wargach. Bez przerwy się uśmiecha, nawet kiedy pastor mówi o piekle i sądzie ostatecznym. Ingemar jest właścicielem niedużej sieci ulicznych fast foodów, gdzie zawsze potrzeba ludzi do pracy. Tak przynajmniej mówi matka.

Tylko po co miałbym grilować kiełbaski za – powiedzmy – dziewięćdziesiąt koron na godzinę, jeśli u Igora zarabiam co najmniej dziesięć razy tyle?

– Nie. Nie zdążyłem.

Mama upuszcza worek na śmieci, który upada na podłogę z głośnym pacnięciem.

– Daj spokój, przecież *obiecałeś*. Co takiego ważnego miałeś do roboty?

Nie odpowiadam, no bo co mam jej powiedzieć? Że przez cały dzień grałem na komputerze?

Robi kilka kroków w moją stronę i krzyżuje ręce na piersiach. Wokół worka rośnie na podłodze coraz większa wilgotna plama.

– Tak nie może być, Samuelu. Kiedyś wreszcie musisz zacząć odpowiadać za własne życie. Nie możesz jedynie siedzieć w domu i... i...

Nagle głos jej się załamuje i słowa, o dziwo, przestają płynąć. Widzę, że wiedzie spojrzeniem po klatce kosa, a potem niemal niezauważalnie kręci głową.

I zamiera.

– Co to takiego?

Bierze ze stołu paczuszkę Igora.

– Oddaj mi to – mówię i wstaję. W tej samej sekundzie dociera do mnie, że zdradziłem się swoją zbyt szybką i gwałtowną reakcją.

Matka potrząsa zawiniątkiem, jakby chciała usłyszeć, co w nim jest.

– Kurwa. Oddawaj!

Wyciągam rękę po brązowe opakowanie.

– Nie przeklinaj w moim domu – cedzi przez zęby. A po chwili pyta: – Co to *jest*?

Odsuwa się ode mnie kilka kroków, ale jej spojrzenie mówi wszystko. Nie ma w nim niepokoju czy złości, tylko rozczarowanie.

Jak zawsze.

– Nic – mówię.

– Czyli nic się nie stanie, jeśli to zabiorę. Skoro to nic ważnego. W takim razie mogę sobie spokojnie wziąć, jeśli to nie ma żadnego znaczenia. Tak czy nie?

Matka obmacuje pakiecik, ogląda go ze wszystkich stron, jakby to była jakaś bomba. Drżącymi palcami odkleja taśmę i rozrywa papier. Na podłogę wysuwa się ze dwadzieścia maleńkich przejrzystych foliowych torebek z białą zawartością i ląduje pod jej nogami jak jesienne liście wokół dużego drzewa.

– Co u...?

– To nie jest to, co myślisz. To jest...

Nie wpadam jednak na żaden pomysł, co mogłoby być w małych torebkach strunowych, jeśli nie działki towaru.

Matka kołysze się tam i z powrotem z otwartymi ustami. Oczy błyszczą jej od łez.

– Miarka się przebrała, Samuelu. Nie chcę cię tu widzieć. Mówię serio.

Jest spokojna, chociaż wygląda tak, jakby zobaczyła ducha w biały dzień.

– Ja...

– Won! – wrzeszczy nagle i przykuca. Zbiera z podłogi torebki, potem podchodzi do worka na śmieci i wciska je między puste kartony po mleku, muszle krewetek i ogryzki jabłek. Później podnosi worek i znika z nim w przedpokoju.

Patrząc na wilgotną plamę na podłodze i słysząc, jak otwierają się drzwi na klatkę schodową. Po chwili do moich uszu dociera znajomy głuchy odgłos zatraskiwanego zsypu na śmieci.

Kroki zbliżają się znowu i drzwi wejściowe się zamykają.

– Won! – krzyczy jeszcze raz z przedpokoju.

Zbieram swoje rzeczy, wciskam je do plecaka, wkładam bluzę z kapturem i wychodzę z pokoju.

– Wynoś się z mojego domu – warczy mama. – I weź to sobie.

Zdejmuję z ręki bransoletkę z kolorowych szklanych paciorków, którą zrobiłem specjalnie dla niej w pierwszej klasie, i ciska ją na podłogę. A potem, pociągając nosem, wychodzi.

Podnoszę bransoletkę – matka nosiła ją, odkąd pamiętam. Obracam koraliki między palcami.

Są jeszcze ciepłe.

Klucz od wejścia pasuje także do komory zsypowej w piwnicy. Po chwili zmagania z zamkiem ciężkie drzwi ustępują ze skrzypnięciem. Uderza mnie dławiący smród na wpół zgniłych resztek jedzenia, starych pieluch i kwaśnego wina.

Z zewnątrz dochodzi odgłos odjeżdżającej ciężarówki.

Po omacku szukam na betonowej ścianie włącznika, znajduję go, przekręcam i w ułamku sekundy pomieszczenie oblewa zimne światło.

Śmieci zniknęły.

Nowe, puste worki wiszą porządnie na swoich miejscach. Kołyszą się i szeleszczą w przeciągu.

Serce podchodzi mi do gardła. Rzucam się do drzwi i wybiegam na deszcz, aby jeszcze zdążyć zobaczyć, jak wielka śmieciarka oddala się z towarem za osiemdziesiąt kafli.

To nie była moja wina.

Zawsze miałem problem z kontrolą bodźców. Nawet ta psycholog z brązowymi zębami tak mówiła, a ona się na tym raczej zna.

Nigdy nie chciałem nikomu zaszkodzić, nawet jeśli moja matka zdaje się wierzyć, że świadomie próbuję spieprzyć jej życie.

Kiedy kradliśmy różne rzeczy, to tylko z bogatych firm ubezpieczonych po zęby, a trawkę i koks sprzedawaliśmy jedynie dorosłym, ludziom, którzy sami decydowali się płacić za to, żeby się ujarąć.

Tam, gdzie jest popyt, jest też i zbyt.

Nie robiliśmy nic innego, tylko po prostu zaspokajaliśmy popyt w sposób szybki, efektywny i piekielnie *service minded*.

A ściąganie należności z Maltem?

Przyznaję, akurat z tego nie jestem dumny i gdybym mógł cofnąć zegar, odmówiłbym, kiedy Igor mi to zaproponował. Ale czasu się już nie cofnie. On zmierza w jednym kierunku. Ten cholerny zegar wciąż tyka i tyka.

Dziewiętnaście i trzydzieści sześć.

Dokładnie za dobę, godzinę i dwadzieścia cztery minuty muszę stawić się w strefie przemysłowej.

Pamiętam słowa Igora: „W tej paczuszce są próbki towaru, więc chyba nie muszę ci wyjaśniać, że nie wolno ci jej zgubić?”.

Jeśli pojawię się tam bez niej, Igor oszaleje. Ale jeżeli nie pojedę, wolę nawet sobie nie wyobrażać, co się wtedy wydarzy. Domyślam się, że naślą na mnie bandziora, tego samego, który odpowiada za czwartą wizytę.

Przykucam. I siedzę tak na błyszczącym asfalcie, odwrócony plecami do frontu domu.

Bransoletka ze szklanych paciorków lśni w świetle ulicznych latarni. Na czterech koralikach są wygrawerowane litery.

Mrugam nerwowo i odczytuję doskonale znane mi słowo.

MAMA.

# Pernilla

**D**eszcz bębni o szyby. Słyszę rumor hydraulicznego podnośnika śmieciarki zabierającej śmieci z wielorodzinnej posesji. Sekundę później moje myśli zagłusza ryk silnika odjeżdżającej ciężarówki.

Czy popełniłam błąd, wyrzucając Samuela?

To nie pierwszy raz – w ciągu ostatnich trzech miesięcy dwukrotnie kazałam mu się wynieść z domu. Ale za każdym razem szybko się pogodziliśmy.

Może za szybko. Moi przyjaciele ze zboru mówią, że jestem zbyt miękka. Że powinnam była zdobyć się na to, by wytyczyć granicę i jej nie przekraczać. Według nich nie należało przyjmować Samuela z powrotem, skoro już go wyrzuciłam.

Próbowałam im wytłumaczyć, że problem tkwi w tym, że nie wiem, jak najlepiej mu pomóc. Czy mam być wyrozumiała? Stawiać warunki? Podkreślać i wykorzystywać wprawdzie rzadkie, ale jednak regularnie zdarzające się sytuacje, kiedy rzeczywiście wykazuje inicjatywę, zachowuje się dojrzałe i odpowiedzialnie, i wtedy go motywować?

Ale gdzieś głęboko rośnie nieuchronny dług, niczym guz staje się coraz większy po każdym wyskoku Samuela. Po każdym roku, który mija dla niego bez Jezusa w sercu.

To wszystko moja wina.

Składam dłonie i zamykam oczy. Odmawiam krótką modlitwę.

„Dobry Boże. Spraw, aby Samuel zrozumiał, że nad nim czuwasz. Weź go pod swoje opiekuńcze skrzydła i wskaż mu właściwą drogę. Poprowadź też mnie, abym umiała mu pomóc. I wybacz mi. Wybacz mi wszystko. W imię Jezusa. Amen”.

Przyklękam na podłodze i kładę dłonie na chłodnym linoleum. Wiodę wzrokiem po pokoju.

Plan lekcji Samuela wciąż wisi na lodówce, chociaż minęły już miesiące, odkąd rzucił szkołę. Wydrukowałam go w powiększeniu i przykleiłam w tym miejscu, żeby nie zapomniał o żadnych zajęciach. Wtorki i czwartki podkreśliłam na różowo. „Pamiętaj o stroju sportowym!” – napisałam powyżej. Poniedziałki zaznaczone są na zielono. „Uwaga! Pierwsza lekcja o 8.05!” Na kuchennej szafce stoją buteleczki z tranem w kapsułkach. Jedna z kobiet z mojej grupy biblijnej twierdzi, że dzięki niemu można się pozbyć nawet najpoważniejszych problemów z koncentracją.

Dzięki niemu i modlitwie, oczywiście.

Ale Samuel nie chciał ich łykać. Mówił, że cuchną zgniłą rybą, i miał w tym trochę racji.

To wszystko moja wina, przemyka mi znowu przez głowę. Dopadła mnie własna przeszłość, mój grzech wyszedł na światło dzienne. Jeszcze raz.

Do dziewiątego roku życia miałam fantastyczne dzieciństwo.

Dorastałam w głęboko wierzącej rodzinie. Ojciec, Bernt, był pastorem, a matka, Ingrid, zajmowała się domem. Oboje chcieli mieć liczne potomstwo, ale urodziłam się tylko ja i dlatego przez długi czas próbowałam im to zrekompensować, będąc wzorową córką.

Co najmniej dwa razy lepszą niż wszystkie inne córki.

Mieszkaliśmy w Huddinge, na południe od Sztokholmu, w małym drewnianym domku o żółtych ścianach nad jeziorem Trehörningen.

Byliśmy zwyczajną rodziną, mieliśmy volvo, dwa golden retrievery – prawdopodobnie w zastępstwie rodzeństwa, którego nigdy się nie doczekałam, duży ogród pełen drzew i krzewów owocowych. Od najmłodszych lat aktywnie udzielałam się w zborze i zawsze miałam najlepsze stopnie w szkole.

Ale jeśli nawet moi rodzice byli ze mnie dumni, nigdy mi tego nie powiedzieli.

Prawdopodobnie uważali, że po prostu robię to, czego ode mnie oczekiwano.

Ojciec dużo pracował – jego stanowisko przewidywało między innymi to, że będzie ciągle dostępny dla członków zboru, i czasami można było odnieść wrażenie, że pełnił dla nich funkcję zarówno duszpasterza, jak i banku oraz policjanta.

W naszym domu zawsze panował duży ruch – odwiedzali nas przyjaciele i wierni potrzebujący pomocy czy wskazania im właściwej drogi, w naszej spartańsko urządzonej kuchni dzieliliśmy się z nimi chlebem, a psy siedziały obok i żebrały.

W tamtym czasie wszystko uważałam za oczywiste – bezpieczeństwo materialne, swoją kochającą się rodzinę, a także wiarę, której dzisiaj tak wielu brakuje. Możliwość bycia częścią tego szczęścia była błogosławieństwem, ale i grzechem, nie pojmowałam bowiem, jakiej dostąpiłam łaski, i nie potrafiłam uświadomić sobie dobroci Pana.

Kiedy miałam dziewięć lat, pewnego dnia wróciłam wcześniej ze szkoły i zastałam matkę nagą na kanapie z jednym z sąsiadów, ojcem mojego kolegi ze szkoły.

Pamiętam do dziś, że promienie słońca padały na ich spocone ciała, ciasno splecione na musztardowej sofie Manchester. Pamiętam, że długie i ciemne włosy mamy spływały na tors Jönsa, a jego dłoń spoczywała ciężko na jej zaróżowionym pośladku.

To był ostatni raz, kiedy widziałam matkę.

Następnego ranka zniknęła.

Była ładna, może zbyt ładna, na własne nieszczęście. Poza tym nie chciała być posłuszna ojcu.

Twarz anioła, serce węża. Krnąbrna uwodzicielka – tak mawiał o niej potem ojciec i na jednym oddechu przypominał z upodobaniem List do Efezjan, siódmy list Pawła napisany w niewoli w Rzymie: „Żony niechaj będą poddane swym mężom jak Panu, bo mąż jest głową żony, jak i Chrystus – Głową Kościoła”.

Ale ojciec nie był tyranem, chociaż mogłoby się tak wydawać. Kochał matkę – nawet wtedy, gdy zostawiła nas w mrocznej pustce.

Mimo że porzuciła Jezusa i żyła w grzechu aż do śmierci.

Choć samo zniknięcie matki było traumą, wydawało się niczym w porównaniu z ciszą, jaka trwała przez najbliższe trzy lata po jej odejściu. Ani jednego telefonu, ani jednego listu. W każde urodziny miałam nadzieję, że się odezwie. Modliłam się żarliwie, aby się pojawiła.

Nigdy jednak tak się nie stało, a w moje trzynaste urodziny zginęła w wypadku samochodowym zaledwie kilka kilometrów od naszego domu.

Podnoszę się, biorę komórkę i idę do łazienki. Długo opłukuję twarz zimną wodą, a potem przyglądam się swojemu odbiciu w lustrze. Zniszczone kasztanowe włosy, głębokie bruzdy zgorzknienia w kącikach ust, brzuch i tyłek wylewają się z ciasnych spodni. Zaczerwienione oczy, pod nimi rozmazany tusz.

Mimo to widzę – po oczach i kościach policzkowych – że jestem córką swojej matki.

Ale odziedziczyłam po niej więcej niż tylko rysy twarzy. Odziedziczyłam też skłonność do niemoralnego prowadzenia się, która zagnieździła się w piersi matki. Może przeniosła ją na mnie z mlekiem, jako niewidzialną, ale zabójczą truciznę, zamaskowaną w pożywieniu i miłości.

W każdym razie coś w tym stylu powiedział mi ojciec, kiedy jako osiemnastolatka poznałam Isaaca Zimmermanna.

Isaac stanowił całkowite zaprzeczenie dobrego chrześcijanina. Po pierwsze, nie był w ogóle chrześcijaninem, tylko żydem. Już samo to oznaczało katastrofę i wielki wstyd. Po drugie, był Amerykaninem i „odjechanym muzykiem”, pięć lat starszym ode mnie.

Ojciec nie zgodził się wpuścić go do naszego małego złotego domu.

Ale byłam młoda i głupia i na przekór ojcu nadal spotykałam się z Isaakiem. Uważałam go za nieodparcie pociągającego – z jego chudym ciałem, obszarpanymi ciuchami i długimi kręconymi włosami.

Wyglądał prawie jak Jezus.

Wpadłam. Wpadłam w miłe objęcia zepsucia. I całkiem mi się spodobało, bo nie znałam nic lepszego.

Sądziłam, że miłość do Isaaca i trawiąca mnie żądza wypełnią pustkę po matce. Że zagoją otwarte rany, które wciąż zżerały mi duszę.

A zmieniło się jedynie to, że zaszłam w ciążę.

Isaac chciał, żebym ją usunęła, ale dla mnie coś takiego nie wchodziło w rachubę. Oczywiście znaczącą rolę odegrało tu moje wychowanie, cała ta gadanina o nienaruszalności życia, najważniejsze jednak ze wszystkiego było moje dogłębne przekonanie, że kocham tego małego człowieczka, który we mnie rośnie. Że straciwszy już matkę, nie zamierzam stracić jeszcze dziecka. I że nie mogę zdecydować się na coś, co spotkało mnie ze strony własnej matki.

Ostatnia rzecz, jakiej bym chciała, to być jak ona.

Twarz anioła, serce węża.

Isaac się wściekł, wyjechał na tournée do Värmlandu i przez wiele tygodni nie dawał znaku życia.

Potem nadszedł list, w którym wyjaśniał, że nie jest jeszcze gotów założyć rodzinę i że jeśli mimo wszystko zamierzam urodzić, to będę musiała wychowywać dziecko sama.

I tak się stało.

Po niemal pół roku, podczas którego nie miałam żadnego kontaktu z ojcem, wróciłam do małego żółtego domku.

Osiemnastolatka w zaawansowanej ciąży.

Jeśli tata wstydził się za mnie, to przynajmniej tego nie okazywał. A zbór przyjął mnie z otwartymi ramionami. Owszem, zgrzeszyłam, ale byłam gotowa przyjąć pokutę, ocalić swą nieśmiertelną duszę, zanim mogłoby być za późno.

Tylko jeden raz ojciec powiedział to wprost: niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Był wietrzny jesienny wieczór, kiedy się pokłóciliśmy, nie pamiętam już o co, pamiętam tylko, że podniósł głos i oznajmił, że jestem dokładnie taka sama jak matka.

Że mam w sobie diabła.

A teraz przeniosłam zło na Samuela.

Robiłam wszystko, co w mojej mocy, aby nie skończył źle. Mocowałam się z życiem, aby nas utrzymać. Przez wszystkie te lata, odkąd przyszedł na świat, ani razu nie pozwoliłam sobie na wyjazd na urlop i nie weszłam w żaden nowy związek – nie dlatego, żebym nie chciała, tylko po prostu Samuel był od pierwszego dnia bardzo wymagającym dzieckiem. Dzieckiem, które wysysało ze mnie energię jak jakaś zachłanna czarna dziura w kosmosie.

Robiłam wszystko.

I się modliłam.

Ale Bóg widocznie postanowił, że moja próba jeszcze się nie skończyła, więc muszę się z tym pogodzić.

Nie wiem tylko, czy dam radę.

Mówi się, że Pan nie zsyła na nas więcej, niż jesteśmy w stanie znieść, czasami jednak mam wątpliwości.

Wycieram twarz ręcznikiem. Robi się czarny od tuszu, więc rzucam go na podłogę. Biorę do ręki komórkę i piszę krótkiego esemesa. Proszę Samuela, aby wrócił do domu. Mówię mu, że go kocham i że przykro mi z powodu mojego wybuchu.

Potem siadam na sedesie.

Z pokoju Samuela dobiega jakieś skrobanie. To pewnie kos rozbija się po klatce.

Potrafi być odpowiedzialny, kiedy chce, myślę sobie. Gdy chodzi o kogoś albo o coś, co lubi, umie się przejąć.

Na przykład kosem.

Kasuję esemesa i ciskam komórkę na podłogę.

Odbija się kilka razy po łazienkowym dywaniku i zatrzymuje przy kabinie prysznicowej.

Nie, myślę.

Tym razem będzie inaczej.

Tym razem musi dostać lekcję.

# Manfred

Afsaneh i ja siedzimy po przeciwnych stronach łóżka. Między nami leży Nadja, otoczona aparaturą podtrzymującą ją przy życiu. Elektroniczne urządzenia szumią i popiskują. Ramię naszej córki jest ukryte w wielkim gipsowym opatrunku, a z małego otworu w szyi biegną przewody podłączone do maszyny, która za nią oddycha.

Dookoła stoją monitory mierzące puls, temperaturę, poziom tlenu i ciśnienie w mózgu. Tyle tu elektroniki, że można odnieść wrażenie, że jest się na pokładzie statku kosmicznego.

Na korytarzu słychać czyjeś szybkie kroki – ktoś pewnie spieszy do innego chorego dziecka.

Przy niedużym białym stoliku za wezłowiem łóżka siedzi wpatrzona w komputer Angelica, lekarka dyżurna na oddziale intensywnej opieki medycznej.

Jest nieoceniona. Tutaj, na oddziale intensywnej terapii dziecięcej, dokąd nas przeniesiono po tygodniu na neurochirurgii, wszyscy są nieocenieni. Zajmują się nie tylko dzieckiem, ale także nami, bliskimi. Przynoszą nam jedzenie, kawę. Wyjaśniają to, co wydaje się niewyjaśnialne. Trzymają za rękę i ocierają łzy.

Nie pojmuję, jak oni to wytrzymują.

Nadja została wprowadzona w stan farmakologicznej śpiączki.

Po upadku z okna doznała ciężkiego urazu głowy i lekarze ją uspili, aby jej mózg miał czas się zregenerować. Nikt jednak nie wie, czy w ogóle się obudzi, a jeśli tak, w jakim będzie stanie.

Minęły już trzy tygodnie.

Myślałem, że w miarę upływu czasu będzie lżej, że łatwiej będzie radzić sobie z niepewnością, ale jest odwrotnie. Z każdym mijającym dniem coraz trudniej jest trwać w tej otchłani.

Puszczam wilgotną i ciepłą rączkę Nadji i opieram się na krześle. Spoglądam na Afsaneh, która siedzi naprzeciwko skulona, z głową opartą na dłoniach.

Jest coś symbolicznego, niemal kasandrycznego w sposobie, w jaki jesteśmy rozlokowani – każde po innej stronie Nadji. Ja nie mogę dosięgnąć Afsaneh, a ona nie może dosięgnąć mnie, gdyby rzeczywiście chciała, ponieważ dzieli nas Nadja.

Dzieli nas jej wypadek.

Tak samo jest w domu.

Afsaneh i ja prawie ze sobą nie rozmawiamy, a ona w ogóle mnie już nie dotyka.

Czy ja ją dotykam?

Nie wiem. Nie pamiętam.

Tylu rzeczy nie pamiętam.

Dni przepływają jak odległe statki po morzu, nie jestem zdolny nawet się nad nimi zastanowić. Bywa, że wstaję rano, potem siedzę godzinami na kanapie w salonie, żeby nagle odkryć, że już zaczyna zmierzchać.

Czas przestał istnieć. Wszystko jest tylko rozwlekłym, bolesnym oczekiwaniem na dzień, w którym Nadja albo się obudzi, albo opuści nas na dobre.

Afsaneh prostuje się i jedną ręką rozmasowuje sobie kark.

– Idę po kawę – mówi, nie pytając, czy coś chcę.

Nie odpowiadam, tylko patrzę za okno, gdzie słońce świeci z błękitnego nieba, a wiatr igra w zielonych koronach drzew.

Angelica spogląda na mnie ze swojego miejsca zza komputera.

– Pójdę na chwilę do kuchni. Ma pan na coś ochotę?

– Dziękuję. Niczego nie potrzebuję.

Przestałem odczuwać głód. Ja, który zawsze kochałem jeść i jestem gruby od dwunastego roku życia, w ciągu ostatnich tygodni schudłem dziesięć kilogramów.

Najskuteczniejsza dieta odchudzająca: mieć ciężko chore dziecko.

Wystarczy tylko nie uważać przez chwilę, dostatecznie długo, by twoje dziecko zdążyło wypaść z okna, wybiec na ulicę prosto pod samochód albo runąć do wody z mostu.

Życie jest powolne. Życie to zmęczony stary osioł.

Za to śmierć jest szybka jak błyskawica. Śmierć potrzebuje zaledwie jednej sekundy, jednego metra, jednego oddechu. Śmierć jest jak kobra, atakuje bez ostrzeżenia. Wyprzedza własny cień, dokładnie jak Lucky Luke.

Dzwoni komórka. Patrzę na nią zdezorientowany i dopiero po chwili odbieram.

– Manfred? Tu Malin.

Mija sekunda, zanim dociera do mnie, że to moja koleżanka Malin Brundin.

Malin, pracująca na co dzień w Katrineholmie, należała do zespołu śledczych badających zabójstwo w Ormbergu – jedno z najgłośniejszych od niepamiętnych czasów morderstw w Szwecji.

Gdy w dochodzeniu nastąpił nagły zwrot, życie Malin zmieniło się na zawsze. Okazało się, że jeden z jej krewnych przez długie lata więził w piwnicy pewną kobietę, a na dodatek ona sama jest dzieckiem tej kobiety. Innymi słowy, osoba, która ją

wychowywała i którą Malin przez całe życie nazywała mamą, nie jest jej biologiczną matką.

Jak można przeżyć coś takiego?

Dziwię się, że nie rzuciła roboty i nie przeniosła się do Sztokholmu czy do innego dużego miasta, gdzie łatwiej by jej było ukryć się przed mediami i ludźmi spragnionymi sensacją.

Latem Malin podjęła za moją radą zastępstwo za kogoś w Sztokholmie. Kierowałem się mglistym wyobrażeniem, że wyrwanie się z Ormbergu jej posłuży. Że jakimś sposobem zagoi straszliwą ranę, którą z pewnością wciąż w sobie nosi.

– Cześć – mówię.

– Co u ciebie? – pyta.

Jak odpowiada się na takie pytanie?

Ludzie bez przerwy pytają, jak się czuję, ale przestałem im odpowiadać, bo nie mam już siły wyjaśniać. Nie tylko dlatego, że to bolesne, ale również dlatego, że zajmuje za dużo czasu. Poza tym sam do końca nie wiem, jak ze mną teraz jest, ponieważ przestałem cokolwiek czuć.

– Bez zmian – mówię po chwili wahania.

– Dzwonię, żeby się dowiedzieć, czy się do nas wybierasz, bo chcielibyśmy już zacząć.

Niech to szlag.

Nagle sobie przypominam.

Dzisiaj miałem wrócić do pracy. Zwolnienie lekarskie dobiegło końca i życie – przynajmniej życie zawodowe – zaczyna się od nowa.

– Cholera, przepraszam – rzucam. – Musiały mi się pomylić dni. Jestem w szpitalu u Nadji i kompletnie zapomniałem...

– Nie przejmuj się – Malin uspokaja mnie szybko. Chyba spodziewała się takiej odpowiedzi. – Możesz przyjść jutro, jeśli bardziej ci pasuje.

– Nie, nie, wpadnę dzisiaj.

Następuje pauza.

– Posłuchaj – odzywa się Malin – mamy nowy przypadek. W południowej części szkieł woda wyrzuciła na jedną z wysepek ciało mężczyzny. Za godzinę wybieramy się do zakładu medycyny sądowej w Solnie. Spotkajmy się więc może tam.

Milknie na moment, a potem dodaje:

– Skoro i tak już jesteś blisko, w szpitalu Karolinska.

Słońce praży gorący asfalt, po wczorajszej ulewie nie ma już nawet śladu.

Malin stoi przed wejściem do budynku z czerwonej cegły i manipuluje przy komórce. Upuszczam niedopałek najdyskretniej, jak to możliwe, i podchodzę do niej.

Długie brązowe włosy, szczupła, ale wysportowana sylwetka. Ciemne oczy pod mocno zaznaczonymi brwiami i nieco surowy grymas wokół ust – cała Malin, taka jak zawsze. Chociaż policzki wydają się trochę pełniejsze, biodra wyraźnie się zaokrągliły, a T-shirt mocno opina wydatny brzuch.

Malin i Andreas będą mieli dziecko.

Oboje uczestniczyli w śledztwie w Ormbergu i nieustannie skakali sobie do gardeł. Kłócili się o wszystko, począwszy od imigrantów po zasiłki socjalne, nie potrafili nawet dojść do porozumienia, z którego zajazdu przywieźć lunch dla ekipy.

A teraz wspólnie sprowadzą na świat nowego małego człowieczka.

Delikatnie mówiąc, nikt się tego nie spodziewał.

– Wciąż palisz po kryjomu? – pyta Malin, unosząc jedną brew i wskazując głową na niedopałek na ziemi.

Nie odpowiadam, tylko klepię ją po ramieniu.

Kilka metrów na prawo od niej stoi Gunnar Wijk, nazywany Dodziełem.

Zerkam na niego.

Ma siwą szczeciniastą brodę i tak nabrzmiałe powieki, że chyba muszą przesłaniać mu widok za cienkimi okularami w metalowych oprawkach. Brzuch wydyma się podejrzenie pod koszulą o krótkich rękawach, spodnie z jakiegoś syntetycznego materiału są trochę za krótkie i odsłaniają gołe, lekko spuchnięte kostki wystające ponad zniszczonymi brązowymi sandałami.

Dodzieł to żywa legenda. Pochodzi z prawdziwej policyjnej rodziny, która zapłaciła wysoką cenę za obecność w policyjnej wspólnotce. Najbardziej jednak znany jest z tego, że przez długie lata był największym casanową sztokholmskiej policji. Ogierem, który według jednogłośnych informacji potrafił uwieść wszystko, co się rusza. A gdy stawał wobec decyzji, kiedy ma zdławić ostatni opór, rzucał swój osławiony komentarz: „No to do dzieła”.

Oczywiście nie upłynęło dużo czasu i modus operandi Gunnara stał się znany, a wkrótce potem policyjni dowcipnisie przechrzcili go na No-to-do-dzieła. Z upływem lat przydomek skurczył się do krótszej i bardziej chwytliwej postaci Do-dzieła, a z czasem zamienił się w Dodzieł.

Witam się z nim. Nie pracowaliśmy ze sobą do tej pory, ale oczywiście się znamy, choć głównie z widzenia.

Wydaje się rzeczywiście niezłym policjantem, chociaż ostatnio zrobił się podobno trochę kłótlivy. Ci, którzy mają z nim bliższy kontakt, twierdzą, że zwykle staje się nie do wytrzymania, jeśli akurat z nikim nie romansuje.

– Co mamy? – pytam.

– Mężczyzna, dwadzieścia kilka lat – mówi Dodzieł i przesuwa dłonią po brodzie. – Znaleziony wczoraj przez wędkarza amatora.

– A dlaczego akurat my tutaj jesteśmy?

Pytanie jest istotne. Podejrzane wypadki śmierci zwykle nie są przedmiotem dochodzenia NOA – Narodowych Jednostek Operacyjnych.

– Przypuszczamy, że ten przypadek może mieć związek z jednym z bieżących śledztw – odpowiada Malin. – Poza tym policja sztokholmska ma braki kadrowe. Poprosili nas o wsparcie.

– Czy wiadomo, kim była ofiara?

– Nie do końca – mówi Malin, osłaniając sobie oczy przed słońcem.

Potem przenosi na mnie spojrzenie.

Muszę wyglądać okropnie. Nieogolony, nieumyty i nieprzygotowany. To całkiem niepodobne do dawnego Manfreda.

Dawny Manfred nigdy nie pojawiał się w pracy w takim stanie.

Zawsze nosił koszulę i marynarkę z kamizelką. W kieszonce miał jedwabną poszetkę i pachniał z daleka jak cały dział perfumierski.

Dawny Manfred chodził w wyczyszczonych do połysku włoskich butach z cielęcej skóry, a na ręce miał niezbyt rzucającego się w oczy rolexa z początku lat pięćdziesiątych.

Ale dawnego Manfreda już nie ma.

– Idziemy? – odzywa się Malin i kieruje się w stronę wejścia.

Patolog sądowa Samira Khan obejmuje mnie ze współczuciem, gdy spotykamy się w recepcji. Ma tak drobne i szczupłe ciało, że mogłoby należeć do dziecka. Długi, lśniący warkocz spoczywa ciężko między jej łopatkami.

– Ale schudłeś – mówi, chwytając mnie za przedramię. Po chwili dodaje niższym głosem: – Jak ona się czuje?

– Lekarze utrzymują ją w śpiączce.

Samira kiwa głową i wygładza zielony fartuch.

– Żeby mózg mógł się w spokoju regenerować – stwierdza rzeczowo. – Posłuchaj, dzieci w tym wieku mają cudowną zdolność powrotu do zdrowia. A ich mózg może kompensować utracone funkcje w nieprawdopodobny sposób.

Potakuję niemo. Już to wcześniej słyszałem.

Idziemy przez korytarze w stronę sal obdukcyjnych.

– Wiecie już, kim jest ofiara? – pyta Samira, podnosząc wzrok na Malin.

– Przypuszczamy, że to może być niejaki Johannes Ahonen – mówi Dodzieł i wkłada sobie pod wargę prymkę snusu. – Ale to wniosek oparty jedynie na tym, że wymieniona osoba ma taki sam tatuaż jak denat.

– Musimy poczekać na ekspertyzę odontologa i wyniki analizy DNA. Dopiero one umożliwią jednoznaczną identyfikację – wtrąca Samira, następnie otwiera nam drzwi.

Uderza mnie charakterystyczny, dławiący zapach śmierci, widzę, że Malin tuż przed wejściem lekko wykrzywia twarz. Z kolei Dodzieł zachowuje obojętną minę i wchodzi do pomieszczenia z rękami wciśniętymi w kieszenie spodni.

– Może rzucimy okiem – sugeruje Samira, po czym zakłada okulary oraz plastikowy fartuch i wskazuje ręką na jeden ze stołów do sekcji zwłok.

Na błyszczącym aluminiowym blacie leży ciało mężczyzny. Jest nabrzmiałe i sine. W wielu miejscach oderwana skóra przypomina cienką zielonoszarą folię luźno udrapowaną na rozpostartej białawej materii.

Widok martwych ciał zazwyczaj nie robi na mnie większego wrażenia, ale gdy zbliżałem się do stołu, poczułem – być może wskutek zakłóconej równowagi emocjonalnej – że coś się ze mną dzieje. Zupełnie jakby jakaś lodowata dłoń grzebała mi w klatce piersiowej, próbując chwycić serce. Przemyka mi przez głowę, że być może pewnego dnia na taki sam stół trafi Nadja. A sekundę później – że ten martwy mężczyzna też jest przecież czyimś dzieckiem.

Mrugam nerwowo.

– Sekcję zwłok przeprowadzimy po południu – informuje Samira, wciągając rękawiczki. – Ale pomyślałam sobie, że może powinniście go przedtem obejrzeć.

Następnie kontynuuje:

– Jak może wiecie, ciało znaleziono starannie zawinięte w koc, który z kolei był opasany żelaznym łańcuchem. W wyniku rozkładu tkanek w brzuchu i klatce piersiowej powstają gazy, między innymi metan i dwutlenek węgla. To powoduje, że topielcy często wypływają na powierzchnię. W tym przypadku ciało najwyraźniej zostało wrzucone do wody z premedytacją, a ktoś próbował uniemożliwić wynurzenie się zwłok. Co oczywiście nie oznacza automatycznie, że człowiek ten został pozbawiony życia. Przed przeprowadzeniem obdukcji nie jestem w stanie nic powiedzieć o przyczynie śmierci, mogę jednak stwierdzić, że ciało zostało poddane brutalnej przemocy, o czym świadczą złamania i urazy nóg, miednicy i kręgosłupa.

– I ktoś odrąbał mu jedną dłoń – zauważa Malin, wskazując głową na denata, któremu rzeczywiście brakuje lewej dłoni.

– Niekoniecznie – odpowiada Samira. – Dłonie i stopy mają tendencję do odpadania od zwłok długo leżących w wodzie. Może to nastąpić samoczynnie, być spowodowane przez jakieś zwierzę albo być skutkiem mechanicznego uszkodzenia, na przykład przez śrubę łodzi.

Dodzieł kiwa głową, pomrukuje i ściąga bujne brwi.

– A co to jest to białe świństwo? – pyta Malin.

Samira bierze między dwa palce grudkę woskowej substancji pokrywającej niektóre części ciała. Potem mocno ściska palce.

– Adipocere, tłuszczowosk. Tworzy się w wyniku hydrolizy tłuszczu, gdy ciało znajduje się długo w zimnej wodzie.

– Niech to szlag – mamrocze Malin i odsuwa się nieco, ale milknie pod spojrzeniem Dodzieła.

– Kiedy on umarł? – pyta, notując coś w swoim notesie.

– Będziemy to jeszcze dokładnie ustalać – odpowiada Samira. – Na tempo rozkładu ciała w wodzie ma wpływ wiele czynników: temperatura, zawartość soli i tlenu, by wymienić choćby kilka. Ale wstępnie można przyjąć, że śmierć nastąpiła od jednego do dwóch miesięcy temu. Żeby wykształcił się tłuszczowosk, potrzeba kilku tygodni.

– A ten szczegół, na podstawie którego zakładamy, że to niejaki Johannes...? – pytam.

– Ahonen – uzupełnia Dodzieł.

Samira unosi przedramię denata. Na skórze widać ciemniejsze miejsce.

– Spójrzcie tutaj – mówi.

Dodzieł pochyla się do przodu. Malin robi to samo, widzę jednak, że ucieka wzrokiem w kierunku drzwi, a jej twarz robi się coraz bledsza.

– To tatuaż? – pytam.

– Tak – potwierdza Samira.

– Prawie nie da się rozpoznać, co to jest – zauważa Malin.

– Co wy? Nie macie oczu czy co? – prychna Dodzieł, nadal pochylony nad ciałem. – To ptak.

Samira potakuje.

– To orzeł. Prawdopodobnie bielik, ale może też orzeł królewski. Są dosyć podobne. Johannes Ahonen podobno ma taki właśnie tatuaż.

Podchodzi do biurka, ściąga rękawiczki i wrzuca je do żółtego pojemnika opatrzonego napisem „Odpadki niebezpieczne”. Potem zaczyna szperać w segregatorze pełnym papierów.

– Mam – mówi i wraca z plikiem zdjęć, które mi podaje.

Na pierwszym z nich widoczny jest tatuaż przedstawiający orła z charakterystycznym zagiętym dziobem i rozłożonymi skrzydłami odchylonymi do tyłu, jakby ptak właśnie miał wylądować albo chwycić w szpony jakąś ofiarę. Drugie ukazuje ciało zawinięte w kraciasty koc opasany wzdłuż i wszerz grubym, zardzewiałym łańcuchem. Ze stalowych ogniw zwisają tu i ówdzie wodorosty.

– Ten tatuaż to powiększone zdjęcie z Facebooka Ahonena – wyjaśnia Samira.

– W dzisiejszych czasach tatuaże są jak dupy – mamrocze Dodzieł i wysuwa dolną szczękę do przodu, przez co bardziej uwydatnia się jego broda. – Każdy sukinsyn ma jakiś. Pewnie znalazłoby się jeszcze wielu z takim ptaszkiem na ręce.

– Niewątpliwie – zgadza się Samira. – Dlatego to jest zadanie dla was. Możecie wziąć sobie te zdjęcia, wydrukowałam je specjalnie dla was.

– Co wiadomo o tym Ahonenie? – pytam.

– Pochodzi z Haninge – odpowiada Malin. – Ma dwadzieścia lat. Matka zgłosiła jego zaginięcie w marcu. Karany za nielegalne posiadanie broni, narkotyków i kradzieże. A my jesteśmy tutaj dlatego, że pojawił się w śledztwie dotyczącym Igora Iwanowa, trzydziestodziewięcioletniego obywatela szwedzkiego urodzonego w Kijowie na Ukrainie i zamieszkałego w Älvsjö. Prawdopodobnie to on kontroluje znaczną część handlu narkotykami w południowej części Sztokholmu. Jest jak legenda. Nigdy nie udało się go za nic posadzić, chociaż plotka głosi, że ten człowiek kieruje swoją organizacją żelazną ręką i pozbawił życia paru facetów, którzy nabrali go na duże pieniądze. Ale to może być tylko takie gadanie.

Gwiżdżę cicho.

– Igor Iwanow – mówię. – Trzeba będzie mu się przyjrzeć.

W tej samej chwili Malin zasłania sobie dłonią usta, odwraca się i szybkim krokiem wychodzi.

– Oj – bąka Samira, po czym rzuca spojrzenie w moją stronę i spieszy za nią.

Dodzieł też spogląda na mnie i palcem wskazującym poprawia okulary na nosie.

– Szczerze mówiąc, byłem ciekaw, kiedy to nastąpi – mówi ze źle skrywanym triumfem w głosie. – Kogo oni nam, u diabła, przysyłają teraz na śledczych? Baby w ciąży, które lada moment mają rodzić, nie powinny mieć wstępu do prosektorium.

# Samuel

**L**as stoi pogrążony w mroku, ale letnie niebo jest wciąż jasne. Nad wąską ścieżką unosi się zapach wilgotnej ziemi i roślinności.

W głowie mi huczy i wszystko mnie boli. Przespałem się w nocnym autobusie, ale niezbyt długo. Bo większość czasu główkowałem, w jaki sposób, do cholery, odzyskać paczkę Igora. Suka, która siedziała za kierownicą, wyrzuciła mnie przy Hökarängen.

Nie mam odwagi nawet pomyśleć, co od niego usłyszę, kiedy mu powiem, że próbki towaru odjechały w śmieciarce.

Aby zająć się czymś innym, wyciągam z kieszeni komórkę.

Żadnej wiadomości od matki.

Ukłucie w sercu.

Ona nigdy nie była ze mnie zadowolona.

Niezależnie od tego, co zrobiłem. Kiedy dostawałem piątkę z matmy, nawet się nie cieszyła, tylko mnie ochrzaniała, że mam dwóje prawie ze wszystkich innych przedmiotów. A któregoś razu, kiedy podarowałem jej apaszkę Hermesa, wpadła w histerię i zaczęła wrzeszczeć, że nie zamierza przyjmować żadnych kradzionych rzeczy i że kradzież to grzech śmiertelny, chociaż nigdy nie podprowadziłem nawet bransoletki, tylko ją kupiłem.

Wzdycham i wracam do komórki. Piszę esemesa do Jeanette, przyjaciółki Alexandry. Niesamowicie gorąca z niej laska.

Ma długie jasne włosy i nieduże jędrne piersi. Wydatne usta i opaloną skórę, która wygląda na aksamitną. I rzeczywiście jest aksamitna, to już wiem.

Między Jeanette a mną jest jakaś chemia. Ale na razie nie umiem ocenić, jak silna.

W gruncie rzeczy powinienem dać sobie z nią spokój – w końcu to kumpela Alexandry. Ale z drugiej strony, nigdy nie obiecywałem jej wierności po grób. Wręcz przeciwnie – powiedziałem, że nie jestem gotów być razem na dobre. Że jeszcze nie jestem w tym miejscu. Jakby miłość to była stacja metra, do której na razie nie dojechałem.

Co Alexandra przyjęła bez problemu i odpowiedziała, że ona też nie chce się wiązać.

No więc się spotykamy, chodzimy ze sobą do łóżka i czasami jest nawet całkiem fajnie. Prawie jak w jakimś filmie porno albo jakbyśmy naprawdę byli w sobie

zakochani.

Przyspieszam kroku i słyszę kliknięcie telefonu.

To Jeanette.

„Żadnych esemesów” – czytam na wyświetlaczu. Gdy zamierzam jej odpisać i spytać, dlaczego odgrywa taką ważną, gdzieś za mną wśród drzew słysząc nagle trzask gałęzi.

Przystaję, odwracam się i wpatruję w ciemność, ale nie dostrzegam niczego poza pokrytymi białymi plamami pniami brzoź i zarysem zarośli w głębi.

To musiało być jakieś zwierzę.

Chociaż mieszkamy zaledwie dziewiętnaście minut od centrum, w lesie nie brakuje dzikich zwierząt. Nie wspominając o właścicielach psów chodzących tutaj na spacer.

Ruszam dalej.

Las się przerzedza i po chwili wyłaniają się przede mną niskie, klockowate budynki z betonu i skorodowanej blachy. Przeciskam się przez dziurę w ogrodzeniu i kieruję w stronę starego warsztatu samochodowego na skraju strefy przemysłowej.

Przy wejściu majaczą w ciemności dwie sylwetki: szeroka i wielka oraz wysoka i chuda.

Igor i Malte.

Kiedy przecinam wylany asfaltem plac przed warsztatem, czuję ucisk w żołądku.

Igor kiwa głową na powitanie, a Malte szczyrzy się tak, że jego złote zęby pobłyskują w słabym świetle.

– Cześć – zaczynam. – No więc... coś się stało. Ta paczuszka...

Więcej mi się nie udaje, ponieważ Igor podnosi rękę, jakby chciał wepchnąć mi słowa z powrotem w usta, a potem odchodzi w stronę starego kontenera upstrzonego namalowanymi kutasami.

– Cześć – mówi i się uśmiecha, ale nie do mnie.

Odwracam się i zauważam jeszcze dwóch kołesi zbliżających się do nas.

Jeden jest niski i pulchny, wygląda na Latynosa, nosi cyklistówkę i dżinsy. Drugi ma białe włosy, jest blady jak albinos, ubrany w bluzę z kapturem i dżinsy. Trzyma na ramieniu torbę z napisem „Just do it”.

Przysuwam się do Maltego i próbuję zwrócić jego uwagę, ale daje mi znak, że bym był cicho.

– Paczuszka – syczę przez zęby. – Próbki. Przepadły.

Malte zamiera i powoli odwraca się do mnie. Dostrzegam w jego oczach strach.

– Co, kurwa? – szepcze.

– Matka mi je zabrała.

– Serio?

Zerkam na Igora i dwóch gości, z którymi rozmawia. On żywo gestykuje, a oni śmieją się do rozpuku, jakby właśnie powiedział coś przekomicznego. Kilka sekund później wszyscy trzej ruszają w naszą stronę.

Czuję pot pod pachami i na czole, mimo że wieczór jest całkiem chłodny. Próbuję wyobrazić sobie Maltego jako chłoptasia Igora, żeby zdusić strach, ale to nie działa.

– Kurwa, ty frajerze – cedzi Malte przez zęby, a potem spluwa.

Gdy Igor podchodzi, słyszę trzeszczenie jego skórzanej kurtki. Światło latarni odbija się w ogolonej do gołej skóry czaszce.

– Samuel – mówi. – Weź torbę.

Albinos rzuca mi torbę. Łapię ją. Nie wiem, co w niej jest, ale podejrzewam, że nie towar, ponieważ Igor wspominał, że mamy spotkać się z kupcem, dystrybutorem.

To mogą być pieniądze. Co prawda Malte powiedział kiedyś, że gdy w grę wchodzi duże sumy, Igor ma zwyczaj posługiwać się w interesach bitcoinami.

Rusek patrzy na mnie. Jego oczy przypominają czarne metalowe kulki do gry, a wyraz twarzy jest niezgłębiony.

– Próbkę – poleca krótko.

– Próbowałem wyjaśnić – jękam. – Przepadły. Matka mi je zabrała.

Na sekundę zalega cisza. Igor sprawia wrażenie, jakby nie rozumiał, co powiedziałem, jakbym mówił w jakimś obcym języku.

– Co ty pierdolisz? – odzywa się wreszcie.

– Potem wyrzuciła je do śmieci, a śmieciarka odjechała, zanim zdążyłem je wyjąć, i... Ale pomyślałem, że mimo wszystko powinienem przyjść. No i rzecz jasna wszystko spłacę.

Spostrzegam, że brzmię dokładnie jak matka, dlatego postanawiam się zamknąć.

Bo wszystko jest lepsze niż to.

Ale ten wredny głos, który czasami papie w mojej głowie, ożywa.

Jesteś skończony, ty pieprzony frajerze.

Igor robi parę kroków w moją stronę, zaciska szczęki, jakby przegryzał coś twardego i może trochę gorzkiego.

– Nie ma próbek, nie ma zaliczki – oświadcza Latynos i obojętnie wzrusza ramionami.

I akurat w tym momencie z komórki w mojej kieszeni dochodzi odgłos esemesa.

Igor mierzy mnie wzrokiem i zaciska wielkie dłonie w pięści.

– Nie mówiłem ci, że masz wyłączyć telefon, ty pieprzony niedorozwinięty kretynie?

Zaciskam powieki i mocno obejmując sportową torbę, czekam na spodziewany cios. Ale zamiast niego nagle słyszę za plecami głośny wrzask:

– Policja! Ręce do góry! Na ziemię!

Otwieram oczy i widzę, że Igor i Malte kucają, jakby zamierzali wykonać polecenie glin, a tamci dwaj nieznajomi kolesie pędzą w stronę lasu.

Nie wiem dlaczego – nie ma w tym żadnej przemyślanej taktyki ani nic z tych rzeczy – puszczam się w przeciwnym kierunku, wzdłuż ścieżki rowerowej, do starej szkółki leśnej. Biegnę najszybciej, jak potrafię, wciąż z torbą w rękach i przepełniony wstydem, który pali jak wrzątek na skórze.

Jak mogłem być tak potwornie głupi?

Bo jesteś pieprzonym niedorozwiniętym kretynem.

Igor prosił mnie o dwie rzeczy: żebym przyniósł paczuszkę i wyłączył komórkę.

Zawaliłem i jedno, i drugie.

Naprawdę jestem beznadziejny. Wszyscy, którzy tak o mnie mówili – a takich jest sporo – najwyraźniej mieli rację.

Strzały odbijają się echem w ciemności. Zwiększam tempo. Nogi mi drętwieją, a serce wali jak młotem. Fala mdłości wzbiera bez ostrzeżenia, muszę się zatrzymać. Opieram się o latarnię i rzygam na asfalt. Dyszę ciężko z wyczerpania i po chwili oglądam się za siebie.

Las za mną jest cichy i pusty.

Nigdzie nie widać nikogo – ani policji, ani psów. Ale przede wszystkim Igora czy Maltego.

Czy to możliwe? Udało mi się zwiąć?

Dociera do mnie, że powinienem ruszyć się ze zdradliwego stożka światła pod latarnią. Wchodzę kilka kroków w las. Kłuje mnie w piersi, a w ustach czuję gorzki smak wymiocin.

Nagle w ciemności zaznacza się znajomy kształt – wielki głaz, pod którym ja i Liam mieliśmy zwyczaj zostawiać tajne wiadomości i chować pornograficzne obrazki albo smakołyki, kiedy byliśmy mali.

Podchodzę do niego. Kładę torbę na wilgotnym granicie i odsuwam zamek błyskawiczny. Mrugam kilkakrotnie, aby oczy oswoiły się z mrokiem.

W środku leżą w nieładzie pakiety stukoronowych banknotów. Nie sposób powiedzieć, ile może tam być pieniędzy, ale na pewno z kilkaset tysięcy. Albo więcej. Widzę co najmniej dwadzieścia pięć grubych paczek.

Biorę do ręki jedną i próbuję szybko ocenić na oko.

Ile banknotów może w niej być? Sto?

Jeśli w każdej paczce jest sto banknotów, a paczek jest dwadzieścia pięć, to znaczy, że w torbie jest w sumie dwieście pięćdziesiąt tysięcy.

Czuję ssanie w żołądku.

Co będzie, jeśli złapie mnie policja, a ja będę miał tę torbę?

Prawdopodobnie będę miał przesrane.

Zastanawiam się chwilę. Potem ostrożnie zasuwam zamek i przykucam. Zaczynam odgarniać patyki, liście i ziemię, aby dotrzeć do pustej jamy pod głazem. Wpycham do niej torbę, zasłaniam z powrotem otwór i puszczam się biegiem w kierunku parkingu.

Obok starego, zardzewiałego volva stoi lśniący nowy czarny motor Igora – ten sam, który mogłem sobie kilka razy pożyczyć. Mama nienawidziła, kiedy nim jeździłem.

Patrzę na namalowany na lakierze płomień pełzający po zbiorniku na paliwo i główkuję.

Igora zabrała policja. Więc chyba nic się nie stanie, jeśli wypożyczę sobie ten jednoślad? Może to nawet całkiem niegłupie rozwiązanie – bo przynajmniej nie zarekwirują go gliny. Czyli w pewnym sensie pomogę Igorowi.

A jeśli jest coś, na czym dobrze się znam, to odpalenie na kabelki samochodów i motocykli.

Alexandra otwiera drzwi dopiero po kilku dzwonek. Nadal jednak nie zdejmuje łańcucha. Mierzy mnie podejrzliwym spojrzeniem przez niewielką szczelinę.

– Wynoś się stąd – syczy.

Nie ogarniam.

– Odbiło ci? – pytam.

Alexandra próbuje zamknąć drzwi, ale jej nie pozwalam. Dopiero w tej chwili zauważam, że ma załzawione oczy i czarne smugi tuszu na policzkach, jakby płakała. Włosy sterczą w nieładzie, ubrana jest w brudny T-shirt i spodnie od dresu.

– Co się stało? – próbuję jeszcze.

– Musiałeś przystawiać się do Jeanette? Zależało ci na tym, żeby mnie poniżyć?

Mówi ciekawym głosem. Puszczając klamkę i stoi nieruchomo w środku, jakby się wahała.

Szarpię kilkakrotnie za drzwi, ale łańcuch trzyma mocno.

– Kurde, baby, to nic nie znaczyło. Jeanette nie jest... To przecież ty jesteś najważniejsza.

– Jasne – rzuca sarkastycznie, ale w jej głosie słychać dławiony płacz.

– Wpuść mnie. Ściga mnie ten pieprzony pojeb Igor.

Nie wspominam o policji, bo Alexandra nie cierpi, kiedy robię coś nielegalnego. Wciąż powtarza, że wolalaby już, żebym pracował jako wykidajło i prawie nic nie zarabiał, niż był dilerem.

Wydaje mi się, że to kłamstwo.

Bez pieniędzy byłbym nikim. Ani Alexandra, ani Jeanette nie zwróciłyby na mnie uwagi.

W gruncie rzeczy jestem nikim. Nic nie umiem. I niczego nie mam.

Taka jest gorzka prawda i trzeba się z nią zmierzyć.

Właśnie tak. Jesteś nikim. Nikim.

– Wiesz co – mówi cicho, ale ze spokojem – jestem zmęczona rozwiązywaniem twoich problemów. Dorośnij. I nie mieszaj mnie do szemranych interesów Igora.

Zamyka drzwi, lecz niemal w tej samej chwili uchyla je z powrotem.

– I przestań, do cholery, mówić do mnie baby – cedzi przez zęby, pryskając śliną.

Potem drzwi zatrzasują się z hukiem, a ja stoję sam na klatce schodowej.

# Manfred

Afsaneh śpi mocno, chociaż budzik dzwonił już dwa razy. Jej długie ciemne włosy spływają z poduszki, słychać lekkie pochrapywanie. Na nocnej szafce stoi fiolka z proszkami nasennymi, które dostała od lekarza domowego, a także szklanka do połowy napełniona wodą. Obok fiolki leży połówka tabletki. Nie było jej tam, gdy kładłem się do łóżka wieczorem.

Widocznie musiała obudzić się w nocy i wtedy połknęła dodatkowe pół proszka.

Z daleka dochodzi dźwięk dzwonu z kościoła Jadwigi Eleonory. Bije siedem razy. Poza tym jest cicho i spokojnie.

Ta cisza jest bardzo dziwna.

Przez tyle lat żyłem w otoczeniu odgłosów dzieci. Najpierw była to wrzawa i sprzeczki starszych latorośli. Potem, kiedy się wyprowadziły i urodziła się Nadja – płacz, programy dziecięce i zabawki porzucane po całym mieszkaniu.

A teraz słychać jedynie oddech Afsaneh i skrzypienie zamykanej furtki na dziedzińcu, któremu towarzyszy odgłos lekkich kroków po kostce brukowej.

W tej natarczywej obecności niemiłej ciszy jest coś znajomego. Dobrze wiem, co to jest.

Aron.

To identyczna cisza jak po Aronie.

Dorastałem na Östermalmie. To, że zostanę policjantem, nigdy nie przeszło nikomu przez myśl nawet w najśmielszych wyobrażeniach. Bo coś takiego nie przystoi komuś, kto wywodzi się ze środowiska nauczycieli akademickich.

Ja i Aron mieliśmy kształcić się dalej, to było oczywiste.

Rzecz jasna, mogliśmy sami wybrać, co chcemy studiować, pod warunkiem że zdecydujemy się na prawo, medycynę lub ewentualnie ekonomię. Sztuka i literatura też mogłyby wchodzić w rachubę, o ile któryś z nas wykazywałby skłonność w tym kierunku.

Aron był moim bratem.

Byliśmy bliźniakami jednojajowymi, niemal nie do rozróżnienia, nawet dla naszych rodziców i kolegów.

Kiedy skończyliśmy dwanaście lat, coś się stało. Aron przestał jeść. Mama i tata odwiedzili z nim wielu lekarzy, a wszyscy oni twierdzili, że przyczyna nie leży w żadnej dolegliwości fizycznej, lecz że problem ma prawdopodobnie podłoże psychologiczne.

Mijały tygodnie, a stan Arona się nie poprawiał. Wręcz przeciwnie – chudł w oczach, podczas gdy ja stawałem się coraz grubszy i grubszy.

Przypuszczam, że jadłem za dwóch.

W końcu Aron był tak chudy, że żebra sterczały mu przez napiętą skórę jak żerdzie namiotu, a kolana przypominały narośle na cienkich nogach. Był tak słaby, że mógł jedynie leżeć na kanapie ze Svenskt Tenn w naszym wielkim salonie, oglądać telewizję i popijać lemoniadę przez słomkę.

Pewnego wieczoru tata uznał, że wystarczy: niewiele myśląc, wziął Arona na ręce, zaniósł do samochodu i zawiózł do szpitala.

Brat już nigdy nie wrócił do domu.

To, co lekarze uważali za dolegliwość psychosomatyczną, okazało się złośliwym guzem tarczycy, który zaatakował mu przełyk.

Nowotwór rozrastał się szybko i po dwóch miesiącach Aron zmarł.

I właśnie wtedy cisza zawładnęła naszym mieszkaniem – identyczna jak ta, która teraz zapanowała w domu Afsaneh i moim.

To cisza wyrastająca z pustki po kimś, kto zawsze był – bolesne, otępiające poczucie smutku i tęsknoty. A wiele lat później, kiedy moja była żona Beatrice zabrała dzieci i ode mnie odeszła, ogarnęły mnie taka sama cisza i pustka.

Typowa historia – Beatrice miała pretensje, że wciąż tylko pracuję i nie dbam o rodzinę. Ale to nie była cała prawda. Nie powiedziała bowiem, że poznała adwokata, który nazywał się Hasse. Mężczyznę obracającego się w odpowiednich kręgach i mającego letnie domy w Torekov i Verbier. Mężczyznę, który mógł jej dać życie, o jakim zawsze marzyła, bo ona nigdy nie chciała być żoną jakiegoś tam policjanta.

Nie mogę powiedzieć, żebym żałował naszego rozbitego małżeństwa, cierpiałem jednak z tego powodu, że widywałem dzieci jedynie co drugi tydzień.

Obiecałem Afsaneh, że praca nigdy nie będzie dla mnie ważniejsza od Nadji. Że tym razem będzie inaczej.

Obracam się na bok, plecami do niej. Na podłodze za moją szafką nocną leży kilka czerwonych i niebieskich klocków Lego, są jak strzępki wspomnień innego życia.

Mam nadzieję, że nie straciłem szansy, by być obecnym i kochającym ojcem. Mam nadzieję, że nie jest za późno.

W biurze zastaję przed komputerem Malin i Dodzieła razem z jakimś nieznanym mi kolegą. Ma około czterdziestu lat, jest chudy i żylasty jak maratończyk. Sądząc po

wyglądzie, może pochodzić z Europy Południowej albo z Bliskiego Wschodu.

Na ekranie leci kiepski jakościowo filmik z parkingu.

Domyślam się, że to nagranie z kamery monitoringu. Nagle w powietrze wylatuje jeden z samochodów, a po kilku sekundach kolejny.

– Jeszcze raz – mówi Dodzieł i nieznajomy puszcza filmik od początku.

Dodzieł przeciąga dłonią po szpeceniastej brodzie i wysuwa do przodu dolną szczękę, przez co przypomina starego, przebiegłego szczupaka czyhającego w sitowiu.

– Zatrzymaj – mówi, wskazując na ekran. – Tutaj! Widzisz? Dym jest biały, a to znaczy, że ładunek wybuchowy został zrobiony z prochu strzelniczego. Stawiałbym na rodzaj improwizowanego ładunku domowej roboty, na przykład rurobombę albo bombę szybkowarową. Inne samochody zostały uszkodzone?

– Kompletnie zniszczone – potwierdza śniady mężczyzna. – Znaleźliśmy odłamki sto pięćdziesiąt metrów dalej...

– Odłamki? – Dodzieł pochyła się do przodu, wpatruje się w ekran i kontynuuje: – Według mnie to bomba szybkowarowa. Doszło do dwóch eksplozji. Ładunki musiały być sterowane zdalnie albo mieć zapalnik zegarowy. Zwykłą bombę potrafi zmajstrować każdy debil, ale coś takiego to już wyższa szkoła jazdy. Pogadajcie z antyterrorystami, oni znają się na tym najlepiej.

Mężczyzna dziękuje Dodziełowi, po czym rusza w kierunku schodów z pendrive'em w ręce.

– Cześć – zwraca się do mnie z uśmiechem Malin. – Wiedziałeś, że Dodzieł pracował wcześniej w wydziale techniki kryminalistycznej?

Kręcę przecząco głową.

– Bomba szybkowarowa? – pytam. – Naprawdę czegoś takiego się używa?

– Tak – potwierdza Dodzieł z obojętną miną.

Potem wskazuje na ekran komputera, gdzie nad wysadzonym samochodem unosi się dym.

– Trochę się tym interesuję – mówi i pociera nos. – To znaczy analizą nagrań i zdjęć. Ale ładunki wybuchowe to też ciekawa rzecz.

Mam ochotę powiedzieć, że zawsze myślałem, że jego główne zainteresowanie to kobiety, lecz milczę.

– Zbieramy się? – pyta Malin.

– Chyba tak – mówię.

Mama Johannes Ahonena mieszka na ostatnim piętrze wieżowca w centrum Jordbro, niedaleko od stacji.

Wchodzimy do bloku i ściągamy windę. Jest zniszczona, a na zielonych ścianach wyryte są imiona, przekleństwa i obsceniczne rysunki. Lustro pokrywające jedną

z nich jest zmatowiałe, jakby ktoś przez lata polerował je wełną stalową.

Wizyty u rodziny denatów to najgorszy z obowiązków zawodowych policjanta. Są jednak nieuchronne i jednocześnie ważne – nie tylko dlatego, że pomagają prowadzić śledztwo i wyjaśnić popełnione przestępstwo, ale także z tego powodu, żeby bliscy ofiary dowiedzieli się, co się stało z ich krewnym.

Tyle że w tym przypadku nawet nie wiemy na sto procent, czy ciało znalezione w morzu to rzeczywiście Johannes Ahonen.

Być może ów Ahonen gdzieś teraz sobie siedzi i popija piwo. Albo jest w łóżku z dziewczyną w mieszkaniu niedaleko stąd. I to wcale nie żaden Ahonen leży martwy i napuchnięty w lodówce zakładu medycyny sądowej w Solnie, pokryty tłuszczowoskiem.

Mimo to jesteśmy tutaj, żeby porozmawiać z jego matką, nie mamy bowiem czasu, by czekać na wyniki analizy DNA, które w najlepszym wypadku będą gotowe za dwa tygodnie.

Winda zatrzymuje się z lekkim kołysaniem. Drzwi się rozsuwają, odsłaniając klatkę schodową o pogryzmołonych ścianach i ciemnobrązowych drzwiach do szeregu mieszkań.

– To tutaj – mówi Dodzieł, zatrzymując się przy ostatnich w prawym rogu.

Malin i ja podchodzimy do niego w momencie, gdy naciska już dzwonek.

Wściekły sygnał słyhać wyraźnie na korytarzu, a po kilku sekundach z wewnątrz dochodzi odgłos kroków. Potem drzwi się otwierają i ukazuje się w nich niska kobieta w wieku około czterdziestu pięciu lat. Rozjaśnione blond włosy ma zebrane w węzeł i jest ubrana w czarne legginsy i kwiecistą bluzkę.

– Tuula Ahonen? – pyta Malin, pokazując jednocześnie policyjną legitymację.

Kobieta kiwa głową. Jej oczy się rozszerzają.

– Malin Brundin. To ja do pani dzwoniłam. Możemy wejść?

Pani Ahonen znowu kiwa głową i bez słowa robi kilka kroków do tyłu.

Mieszkanie jest małe, ale schludne i przytulne. Kanapa w maciupieńkim saloniku jest zarzucona mnóstwem kolorowych poduszek, a na ścianach wiszą oprawione w ramy plakaty przedstawiające tropikalne plaże i zachody słońca.

Gospodyni wskazuje ręką na sofę.

– Usiądźcie, proszę. Tu jest trochę więcej miejsca niż w kuchni. Napijcie się kawy?

Mówi z lekkim akcentem, ale niemal niewyczuwalnym. Gdyby nie jej brzmiące z fińska nazwisko, pewnie w ogóle bym go nie zauważył.

– Dziękujemy – mówię. – Nie zabierzemy pani wiele czasu.

Malin i Tuula przysiadają na pufach nakrytych owczymi skórami, ja i Dodzieł zajmujemy miejsca na kanapie. Strasznie rwie mnie w kolanach, więc na sekundę

wstaję, aby pozbyć się bólu.

Kobieta patrzy na mnie rozpalonym wzrokiem.

– Znaleźliście go?

– Jeszcze nie wiemy – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

Tuula wzrusza ramionami, po czym sięga po paczkę marlboro, wyciąga jednego papierosa i go przypala.

– Rozmawiałam już z wieloma waszymi kolegami – mówi cicho, a potem wciąga dym i patrzy za okno.

Za jasnozielonymi wierzchołkami drzew na tle niebieskiego nieba rysują się sylwetki wysokich bloków.

– Wiemy o tym – odzywa się Malin. – I przepraszamy panią.

Dodzieł wyjmuje notes z długopisem i odchrząkuje głośno.

– Czyli Johannes zniknął w marcu? – pyta.

Kobieta znowu lekko wzrusza ramionami, przesuwa dłonią po mocno rozjaśnionych włosach i robi minę, którą trudno odczytać. Można odnieść wrażenie, że się uśmiecha, jest to jednak uśmiech z odcieniem smutku i ironii.

– Tak... – Urywa na chwilę, a potem kontynuuje: – Gdybym wtedy to wiedziała. Johannes często zniknął na kilka dni z rzędu, czasami nawet na kilka tygodni, i nie opowiadał mi, gdzie się podziewał. Mieszkał trochę tutaj, trochę u swojej dziewczyny, niełatwo było za nim nadążyć. Zgłosiłam jego zaginięcie pod koniec marca, ale nie widziałam go od początku marca. Tak więc...

Nie kończy zdania i strzepuje popiół do małej srebrnej popielniczki. Potem przygląda się w milczeniu swoim starannie pomalowanym paznokciom.

– I od tamtej pory nikt o nim nie słyszał? Ani pani, ani jego dziewczyna? – pyta Dodzieł.

Kobieta kręci głową tak mocno, że aż chwieje się jej węzeł na głowie.

– Nie. Biedna Bianca. Za miesiąc urodzi. Kto wie, może dziecko nigdy nie zobaczy ojca.

W tym momencie przypominam sobie wzmiankę w papierach, że partnerka Johanna jest w ciąży.

– Johannes miał wyrok za nielegalne posiadanie broni, narkotyków i kradzieże – wtrąca Dodzieł. – Jako siedemnastolatek siedział pół roku w zamkniętym zakładzie poprawczym.

– Od tamtej pory minęły już trzy lata – przerywa Tuula i gasi papierosa w popielniczce. – Nie rozumiem, po co to bez przerwy wyciągacie. On się zmienił.

Po chwili, całkiem niespodziewanie, zaczyna głośno płakać.

Dodzieł pochyła się ku niej i lekko dotyka jej ramienia.

– Proszę pani – mówi z powagą.

Jej ramię drży, jakby chciała się przed nim obronić. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Tuula patrzy mu w oczy, wyraźnie się uspokaja, a policzki jej czerwienieją. Przez sekundę zalega całkowita cisza, w której nie sposób nie wyczuć energii płynącej między nią a naszym kolegą. Nie zauważyć ich spojrzeń utkwionych w sobie nawzajem, dotyku trwającego zbyt długo.

Czyli to prawda, przemyka mi przez głowę. Te wszystkie historie o Gunnarze, komisarzu zwanym Dodziełem.

Ulotna chwila w końcu mija. Kobieta opuszcza wzrok na podłogę.

– Po prostu się boję, że nie traktujecie jego zniknięcia poważnie. – Tuula Ahonen łka. – Że nie będziecie zawracać sobie nim głowy tylko dlatego, że wciąż jest dla was kryminalistą.

– Podchodzimy do sprawy zniknięcia Johannesesa z jak największą powagą – zapewnia Dodzieł. – Właśnie dlatego tu jesteśmy. Ale musimy wiedzieć więcej o jego obecnym życiu. Czy ma jakichś wrogów. Czy istniał jakiś powód, żeby...

Zdaje się szukać odpowiedniego słowa.

– Żeby był... załamany – kończy.

Tuula kiwa w skupieniu głową i sięga po białą serwetkę leżącą przy popielniczce. Potem głośno czyści sobie nos i zgniata chustkę w kulkę. Kiedy znowu się odzywa, jej głos jest chropowaty, jakby była przeziębiona.

– Nie był załamany. Całkiem dobrze się trzymał. Owszem, nie miał pracy, ale przecież nie on jeden. Na pewno nie robił nic nielegalnego. Wiedziałabym o tym.

Malin spotyka moje spojrzenie i prawie niezauważalnie unosi brwi.

Często mamy do czynienia z rodzicami, którzy nie potrafią i nie chcą przypisać swoim dzieciom niczego złego.

– A nie słyszała pani, żeby ktoś mu groził? – pytam.

– Żeby ktoś mu groził? No chyba że ja! – odpowiada i śmieje się oschle.

Potem rozwija zmiętą chustkę i znowu czyści sobie nos.

Dodzieł mruga do mnie dyskretnie, na co ja lekko kiwam głową.

– W minioną sobotę na wysepce w południowych szkiechach znaleziono ciało młodego mężczyzny – zaczyna.

– Boże drogi, nie! – wykrzykuje Tuula i przyciska dłonie do piersi.

Malin unosi rękę.

– Na razie nie wiemy, kto to jest – mówi powoli, akcentując każde słowo. – Ale ten mężczyzna miał tatuaż. Zrobiliśmy jego zdjęcie. Czy możemy je pani pokazać?

Kobieta nie odpowiada, tylko kołysze się tam i z powrotem na pufie.

Malin spogląda na mnie bezradnie, a gdy po raz drugi nieznacznie kiwam głową, wyjmuję z torby zdjęcie i po chwili wahania dodaje:

– Proszę pamiętać, że to tylko tatuaż. Jeśli nawet go pani rozpozna, nie znaczy to, że mamy do czynienia z ciałem Johanna. Wiele osób może mieć podobne tatuaże.

Następnie kładzie fotografię na szklanym stoliku i przesuwa ją w kierunku kobiety.

Tuula zamiera. Potem wyciąga rękę i gładzi dłonią wizerunek orła na zdjęciu.

– Nie – szepcze. – Nie.

# Pernilla

**W**torek.

Minęły już niemal dwie doby, od kiedy wyrzuciłam go z domu, i jestem nieżywa z niepokoju. Dzisiaj prawie w ogóle nie spałam. Bez przerwy przewracałam się z boku na bok, modliłam się i nieustannie sprawdzałam komórkę, czy nie przyszła wiadomość od Samuela.

Przed wyjściem z domu nakarmiłam kosa. Miałam wrażenie, że spojrzął na mnie z wyrzutem.

Zastanawiałam się, czy nie wysłać esemesa, ale zrezygnowałam.

Ma osiemnaście lat.

Samuel jest prawie dorosły, mimo że jego zachowanie pozostawia sporo do życzenia. Jeśli nie nauczy się teraz, to kiedy?

Potężna kobieta w dresie staje przy kasie z wózkiem wyładowanym po brzegi półproduktami.

Uśmiecham się automatycznie, ona też odpowiada mi uśmiechem.

– Piękną mamy dziś pogodę – mówi.

– Jednak i w tym roku przyszło lato – odpowiadam. – Chociaż można było mieć wątpliwości. W każdym razie ja je miałam. Wiosna nie była szczególnie udana. Na szczęście teraz w końcu jest ciepło i...

Milknę, gdy uświadamiam sobie, że plotę bez sensu. Czuję, że się czerwienię. Ale wysoka kobieta naprzeciw mnie tylko się uśmiecha.

Zaczynam po kolei wbijać towary na kasę i nagle zatrzymuję się w pół ruchu.

– Jeśli pani nie wie: właśnie mamy tydzień promocji na sery i dwa cheddary kosztują tylko dziewięćdziesiąt dziewięć koron – informuję. – Może weźmie pani jeszcze jeden?

– O, dziękuję, oczywiście – odpowiada klientka i rusza w kierunku regału z serami.

Lubię swoją nową pracę.

Pracuję w markecie ICA dopiero trzy tygodnie, ale już czuję różnicę w porównaniu z niecałym etatem w stołówce szkolnej gimnazjum w Huddinge. Tu mam do czynienia z dorosłymi, zwykle miłymi ludźmi, którzy nie ciskają jedzeniem w ściany, nie wrzeszczą ani nie wyzłośliwiają się na gówniany obiad.

Poza tym mogłam też pójść na kurs i zyskałam możliwość awansu. Wszystko to, czego przez tyle lat do tej pory nie mogłam zrobić, nagle stało się realne, teraz, kiedy Samuel jest może nie całkiem dojrzały, ale przynajmniej starszy i trochę spokojniejszy.

Prawie dorosły.

Gdzie się podziały te wszystkie lata?

Ktoś kładzie mi dłoń na ramieniu.

To Stina Svensson, kierowniczka sklepu. Sześćdziesięciolatka o ogniste rudy włosach i spalonej w solarium skórze usianej plamami.

– Widzę, że pięknie sobie radzisz, Pernillo – mówi do mnie. – Jesteś uprzejma dla klientów. To bardzo ważne.

– Dziękuję – odpowiadam z uśmiechem i znowu czuję, że się rumienię.

Nagle ktoś chrząka tuż obok, odwracam się zatem, ale zamiast potężnej kobiety z drugim opakowaniem sera, której się spodziewałam, przy kasie stoi dwóch policjantów w mundurach.

– Pernilla Stenberg? – pyta starszy z nich, około pięćdziesiątki, z zarysowującym się piwnym brzuchem i falującymi siwymi włosami.

– Tak.

– Jesteśmy z policji – wyjaśnia, jakbym nie miała oczu. – Chcielibyśmy porozmawiać o pani synu Samuelu. Czy poświęci nam pani kilka minut?

Serce robi mi salto w klatce piersiowej.

– Ale chyba nic się nie stało? – szepczę, czując, jak Stina lekko ściska mnie za łokieć.

Policjanci wymieniają między sobą spojrzenia.

– Nie uległ żadnemu wypadkowi ani nic podobnego – wtrąca szybko młodszy i głaszcze się po swojej koziej bródce. – Czy możemy porozmawiać na osobności?

Stoimy w magazynie, otoczeni wysokimi stosami brązowych skrzynek. Jest tu ciasno i czuć wilgotnym kartonem i zgniłymi owocami.

– Wczoraj wieczorem pani syn był widziany z grupą niebezpiecznych przestępców w strefie przemysłowej na południe od Fruängen – mówi ten starszy i patrzy mi w oczy. – Mamy powody podejrzewać, że ci ludzie sprzedają narkotyki, a syn jest zamieszany w tę działalność.

– Tylko nie to – szepczę, pochylając się do przodu. Nabieram głęboko powietrza i opieram dłonie na kolanach, aby się nie przewrócić. Kręci mi się w głowie i szumi w uszach.

To, co usłyszałam od policjantów, nie jest dla mnie wielkim szokiem. Być może jestem starej daty, ale nie jestem głupia. Od razu wiedziałam, co było w tamtych

małych torebeczkach, poza tym od dawna mi się wydawało, że Samuel ma za dużo pieniędzy. Rzecz jasna, pytałam go, skąd je brał, na co on zawsze tłumaczył się różnymi dodatkowymi fuchami. A ubrania kupował w outlecie.

Policjant poklepał mnie niezdarnie po ramieniu.

– Proszę pani, Samuel jest młody. Jest jeszcze czas, aby interweniować, wyprowadzić go na właściwą drogę. Tylko musimy go złapać. Nie wie pani, gdzie on jest?

Prostuję się i patrzę mu w twarz. Potem opieram się plecami o stertę kartonów, które niepokojąco chwieją się pod moim ciężarem.

Kręcę przecząco głową.

– Nie. W ostatnią niedzielę wyrzuciłam go z domu. Bo coś znalazłam. Coś, co...

Przez moment zastanawiam się, czy nie skłamać, ale to grzech. Jeśli Samuel zrobił coś nielegalnego, powinien ponieść karę i odpokutować winę.

– Nie wiem – kontynuuję. – To był taki biały proszek, popakowany w bardzo małe foliowe torebki. Myślałam, że to może jakiś narkotyk, i dlatego kazałam mu się wynieść z domu. Od tamtej pory nie dał znaku życia.

Chociaż staram się nad sobą panować, łzy same napływają mi do oczu i ciekną ciurkiem po policzkach, psując staranny makijaż, nad którym napracowałam się dziś rano przed lustrem w łazience.

Policjant nie zważa na moje łzy, ale gdy zwraca się do mnie, jego ton jest bardzo łagodny.

– Co pani zrobiła z tymi torebkami?

– Wyrzuciłam. Do śmieci.

Na chwilę zalega cisza, policjanci spoglądają na siebie nawzajem. Pewnie myślą, że jestem stuknięta. Mają mnie za stukniętą, zawiedzioną matkę, której nie udało się to, co najważniejsze: wychować własnego syna na przyzwoitego obywatela.

– Okej – odzywa się starszy. – W porządku. W śmietniku nic im się nie stało. Kiedy to było?

– W ostatnią niedzielę, około ósmej wieczorem. Tak mi się wydaje. Nie patrzyłam na zegarek, ale pamiętam, że niedługo potem usłyszałam śmieciarkę i nawet trochę się zdziwiłam, że przyjechała tak późno. Na dodatek w niedzielę. Teraz, latem, coś nie gra z tym wywozem śmieci. Pewnie jest jakiś problem z kluczami do domów. Najwyraźniej...

Starszy z policjantów lekko chrząka – raczej niewiele go obchodzi system wywozu śmieci we Fruängen.

– Czy domyśla się pani, dokąd syn mógł pójść? Może zatrzymał się u kogoś z rodziny?

– Ojciec Samuela nie żyje – mówię krótko. – A jego dziadek leży w szpitalu. Innych krewnych nie mamy.

Przy słowach o dziadku czuję ukłucie w okolicy serca.

Ma raka i jest w hospicjum. Próbowałam namówić Samuela, aby wybrał się ze mną do niego, tłumaczyłam mu, że dziadkowi Berntowi nie zostało już wiele życia, ale nie dał się przekonać.

Nie wiem, czy się boi, czy po prostu nic go to nie obchodzi.

– To może u jakiegoś kolegi?

Kręcę głową.

– Nie. Chociaż kto wie. Ma jednego przyjaciela. Nazywa się Liam. Liam Lindgren. Mieszka przy tej samej ulicy co my, chyba pod numerem ósmym. Obaj znają się od podstawówki. Już od pierwszej klasy trzymali się razem. Ale nie sądzę, żeby Samuel nocował u Liama. Oni mieszkają w strasznej ciasnocie. I jeszcze mają psy. Dwa albo trzy. W każdym razie na pewno więcej niż jednego. Co ja gadam, przecież wiem, że zostały im dwa. Bo największy zdechł na wiosnę. Chorował na żołądek. Wiadomo, psy mają bardzo wrażliwe żołądki.

Milknę.

Kolejny raz upominam samą siebie, że mówię zdecydowanie za dużo i na dodatek zupełnie nie na temat, o rzeczach, które nie interesują policji. Bo co ich mogą obchodzić psy Liama.

Starszy policjant wyjmuję wizytówkę i wkłada mi ją do ręki.

– Proszę zadzwonić, jeśli syn się odezwie. Chętnie mu pomożemy, ale musimy z nim porozmawiać.

Kiwam głową i grzbietem dłoni ocieram łzy. Następnie poprawiam bluzkę i otwieram drzwi do sklepu.

Policjanci kierują się do wyjścia, a ja zostaję przy drzwiach magazynu.

Stina i wysoka kobieta stoją przy kasie i patrzą w moją stronę.

# Manfred

Z laptopa dobiega sygnał nadesłanej wiadomości. Malin pochyla się nad nim i kilkakrotnie uderza w klawiaturę, a potem pochyla się jeszcze niżej.

Spędziliśmy niemal dwie godziny, studiując wszelkie dostępne informacje o Johannesie Ahonenie. Malin wykorzystała wszystkie standardowe kanały – skontaktowała się z jego operatorem komórkowym, bankiem i przeczesała różne media społecznościowe, aby dowiedzieć się o nim czegoś więcej i ustalić, jakich ma przyjaciół i krewnych.

– To mejl od Samiry – mówi, ścigając brwi.

Po kilku sekundach dodaje:

– To on. Denat to Johannes Ahonen.

– Od początku mówiłem – wtrąca Dodzieł. – Pokaż!

Przysuwa do siebie laptop Malin i czyta wiadomość, gładząc się po szczeciniastej brodzie.

– A niech to jasny szlag – mamrocze Malin, ja zaś na brzmienie tych słów przenoszę się na chwilę z powrotem do naszego prowizorycznego biura w starym, nieczynnym sklepie spożywczym w Ormbergu. Przypominam sobie szczypiący w policzki mróz i ogromny iglasty las porastający strome wzniesienia wokół miejscowości.

A niech to jasny szlag.

To było standardowe powiedzonko Andreasa. Chyba nic dziwnego, że Malin je podchwyciła, skoro teraz są razem.

– Biedna Tuula Ahonen – wtrąca Malin. – Biedna kobieta.

Powraca obraz matki Johannesesa, która w mieszkaniu w Jordbro siedzi zapłakana na pufie nakrytej owczą skórą i bezradnie kołysze się tam i z powrotem.

Ja też wolałbym, żeby ofiarą był ktoś inny.

Zawsze tak jest.

Ale przecież ten Ktoś Inny także ma rodziców i przyjaciół. To niczego nie zmienia.

Siedzimy w małej salce konferencyjnej z oknami wychodzącymi na park. Słońce wisi już nisko i park spowity jest cieniem. Właściciele psów spacerują alejkami, widać też kilkusobowe towarzystwo, które urządziło sobie piknik na dużym czerwonym kocu rozłożonym na trawie.

Bez słowa wymieniam spojrzenie z Malin, podczas gdy Dodzieł niezwruszenie studiuje do końca mejl od naszej patolog. Raz po raz pomrukuje pod nosem i kiwa głową, jakby zgadzał się z tym, co czyta.

– Zidentyfikowany na podstawie dokumentacji stomatologicznej – referuje nam. – Analiza DNA będzie gotowa w tygodniu. Sekcja zwłok została już przeprowadzona, raport będzie jutro, ale lekarka pisze, że nie była w stanie ustalić przyczyny zgonu.

Malin wzdycha ciężko.

– Przecież zwłoki były całkiem zmasakrowane – wtrąca, krzyżując szczupłe ramiona nad wydatnym brzuchem.

Dodzieł pomrukuje znowu.

– Zgadza się, niemal każda kość miała kilka złamań, ale one wszystkie powstały post mortem, po śmierci. Pisze... pisze, że nie znalazła żadnych krwotoków w sąsiednich tkankach, co oznacza, że ofiara musiała już nie żyć, gdy została poddana brutalnej przemocy, w wyniku której doszło do złamania wszystkich kości. Nasza pani doktor wyraźnie lubi mówić zagadkami.

– Co według niej się stało? – pyta Malin.

Dodzieł parska śmiechem, jakby usłyszał coś naprawdę zabawnego.

– Jeśli myślisz, że napisała nam to w mejlu, to się grubo mylisz. Dzisiaj nie sposób wyciągnąć jakichkolwiek informacji od wielmożnych państwa z zakładu medycyny sądowej. Oni wszyscy tak bardzo boją się wychylić, że może lepiej by było, gdybyśmy sami przeprowadzali sekcje zwłok tutaj, na biurku.

Malin spogląda na mnie i dyskretnie unosi brew.

– Czytam wam słowo w słowo – mówi dalej Dodzieł. – Tu jest napisane, że ciało zostało poddane wysokoenergetycznej przemocy post mortem. Wysokoenergetyczna przemoc? Co to, u diabła, jest? Czy nikt już nie umie się wyrażać jak człowiek?

– Może chodzić o wypadek samochodowy czy rozbicie łodzi albo o upadek ze znacznej wysokości – wtrąca Malin.

Widzę po jej minie, że chyba za późno zdała sobie sprawę ze swojej niezręczności. Dodzieł, który od razu ją wychwycił, utkwiał wzrok w stole i chrząknął cicho.

– Sorry – bąka Malin.

Nie odzywam się, ale w gruncie rzeczy jest mi żal ich obojga. Zarówno Malin, jak i Dodzieł są potwornie ostrożni i bardzo uważają, żeby nie powiedzieć czegoś, co kojarzyłoby się z Nadją.

Jakby to, do cholery, robiło jakąkolwiek różnicę.

Jakbym i tak nie myślał o niej przez cały czas.

– Co teraz? – pyta Malin.

– Musimy poczekać na ostateczny raport z obdukcji, wyniki analizy DNA i ekspertyzę kryminalistyczną – mówi Dodzieł i wzdycha. – Technicy wciąż jeszcze pracują. Strasznie się guzdrzą. Zaraz, zaraz, poczekajcie! Znaleźli kawałki skóry pod paznokciami Ahonena. Może ofiara podrapała ewentualnego sprawcę.

– Bingo – szepcze Malin i uśmiecha się szeroko, jakby sprawa została już wyjaśniona. Czasami technicy kryminalni badający DNA rzeczywiście okazują się istnymi cudotwórcami. Bywa, że trafiają w dziesiątkę i po ich ustaleniach wystarczy zajrzeć do rejestru przestępców, a potem jechać na miejsce i zwinąć podejrzanego równie łatwo, jak się dzwoni i zamawia pizzę.

– Ale nie mają pewności, czy uda im się wyodrębnić przydatny profil DNA – uzupełnia Dodzieł. – Bo ciało leżało długo w wodzie. Więc nie cieszymy się za wcześnie, droga pani.

– Wspomniałeś wcześniej, że Johannes Ahonen miał jakiś związek z Igorem Iwanowem. Czy to coś poważnego, czemu powinniśmy przyjrzeć się bliżej? – pytam.

Dodzieł potakuje.

– Oczywiście. Tylko że to powiązanie jest strasznie słabe. Kiedy Ahonen został złapany trzy lata temu, znaleziono przy nim dużą ilość kokainy. Dokładnie dwieście gramów. Czyli towar przeznaczony na sprzedaż. Nasi eksperci nie mieli wątpliwości, że kupił go od niejakiego Maltego Lindéna, mimo że nie dysponowali żadną konkretną informacją, która by na to wskazywała. A Malte Lindén pracuje dla Igora Iwanowa, faceta kontrolującego prawie cały handel dragami w południowym Sztokholmie, dlatego każdy, kto kupuje czy sprzedaje prochy, w taki czy inny sposób jest z nim powiązany. Ergo nie możemy pójść z tym do prokuratora, boby nas wyśmiał. A wtedy zostaniemy z ręką w nocniku i nie ruszymy ani o krok do przodu.

Dodzieł zdejmuje okulary, wzdycha i zaczyna czyścić szkła kawałkiem koszuli.

– A ten Igor Iwanow i Malte Lindén? – pyta Malin. – Gdzie ich znaleźć? Moglibyśmy z nimi przynajmniej pomówić?

Dodzieł uśmiecha się krzywo i zakłada okulary z powrotem na nos.

– Jasne – odpowiada. – Możemy z nimi porozmawiać. Ale oni na pewno nic nam nie powiedzą. Tego możesz być pewna.

Następnie wstaje, poprawia sobie przekreśloną koszulę i człapie przez korytarz w kierunku kuchni.

– Jak to, u diabła, możliwe, że on ma takie powodzenie u kobiet? – Malin wzdycha. – W gruncie rzeczy straszny z niego dupek.

– Chyba i tak nie mieścisz się w jego targecie – mówię, zerkając na jej duży brzuch. Moja uwaga wywołuje cierpki uśmiech na jej twarzy.

Zapada cisza.

– Jak wam się układa? Tobie i Andreasowi? – pytam.

– Dobrze – odpowiada. – Niesamowicie dobrze. Choć oczywiście straszny z niego wieśniak.

– Tak jak ty?

Malin śmieje się szczerze.

– No tak. Chociaż myślałam, że uda mi się od tego uwolnić. Uciec daleko od Ormbergu. Przynajmniej taki był plan.

– Czasami życie ma dla nas inne plany – zauważam.

Malin patrzy na mnie długo, ale nic nie mówi.

– A co u twojej mamy? – pytam najdelikatniej, jak potrafię.

Jej twarz pochmurnieje, a wzrok przenosi się na sterczący brzuch.

– Nie mamy ze sobą kontaktu – bąka.

– Może powinnaś się do niej odezwać. Nigdy nie wiadomo, jak długo wolno nam będzie cieszyć się tymi, których kochamy.

Malin kładzie dłoń na brzuchu, głaszcze go lekko i nic nie mówi.

Po powrocie do domu zastaję Afsaneh w salonie. Siedzi na podłodze z zestawem lego Nadji między nogami i grzbie bezładnie w kolorowych plastikowych klockach. Ma na sobie spodnie i jedną z moich starych koszul. Zwisające w kosmykach włosy zasłaniają jej twarz. W ogóle nie reaguje, kiedy wchodzę i zapalam lampę pod sufitem.

Odstawiam teczkę na podłogę i podchodzę do niej. Przykucam i kładę dłonie na jej ramionach.

– Kochanie.

Nie odpowiada.

– Wstań – mówię. – Pójdziemy do kuchni i zrobimy sobie herbaty.

– Nie przyszedłeś dzisiaj do szpitala – odzywa się i łączy żółty klocek z niebieskim.

Przysiadam obok niej na podłodze i otaczam ją ramieniem. Wciągam głęboko powietrze.

– Musiałem być na spotkaniu. Potrzebowali mnie.

Afsaneh rozdziela klocki z powrotem.

– Nadja cię potrzebowała.

Nie nadążam za nią.

Nieprzytomne dziecko nie potrzebuje obojga rodziców przy łóżku dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nawet gdybym bardzo chciał, aby nasza obecność coś zmieniła, aby pomogła jej odzyskać zdrowie, to obawiam się, że to niemożliwe.

Ale oczywiście nie mogę powiedzieć tego Afsaneh.

Przeżywamy nasze nieszczęście w zupełnie inny sposób.

Smutek Afsaneh jest wszechogarniający i wręcz fizyczny, jak siła natury, a jej potrzeba cielesnej bliskości z Nadją wydaje się nienasycona. Mówi o niej nieprzerwanie. I na pewno znalazła sobie w sieci jakieś forum dla rodziców chorych dzieci.

Może ma nadzieję, że ich ból złagodzi jej ból.

Ja sam zaś czuję się bardziej wyłączony. Chłodny. Jakbym był martwy, chociaż mam całkowitą pewność, że nie jestem.

Czasami śni mi się wypadek Nadji.

Są to dwa rodzaje snów.

W pierwszym biegnę i biegnę przez kuchnię, aby zdążyć ją złapać, zanim wypadnie. Ale podłoga w dziwny sposób zamienia się w niezmierzone pole. I im dłużej biegnę, okno tym bardziej się oddala, aż w końcu staje się maleńkim, ledwie dostrzegalnym punktem na horyzoncie.

W drugim śnie jestem zwinny i szybki, jakbym nie miał ponad pięćdziesięciu lat, nie ważył sto dwadzieścia kilogramów i nie rwało mnie potwornie w kolanach.

Pokonuję krótki odcinek między salonem a kuchennym oknem jednym susem, jak gepard. Chwytam Nadję za nadgarstek i wciągam ją przez otwarte okno do środka.

Wbrew pozorom ten drugi sen jest bardziej ponury i nieopisanie boli, kiedy otwieram oczy.

Zabrakło mi dosłownie jednej sekundy, jednego metra.

Pieprzonego metra. Przecież Pan Bóg mógł mi go podarować.

Ale niestety moje dziecko spadło na asfalt.

Nie bez wysiłku wstaję z podłogi. Rwie mnie w kolanie, ale nie zwracam uwagi na ból. Potem delikatnie podnoszę Afsaneh.

– Bardzo mi przykro, że dziś nie zdążyłem – mówię, ujmując jej twarz w dłonie, i całuję ją w oba policzki.

Są wilgotne i słone.

Kiwa głową i oplata mnie rękami. Przytula się mocno.

Nie wiem, jak długo tak stoimy. W końcu Afsaneh mówi:

– Będzie dobrze. Musi być dobrze.

Potem odprowadzam ją do łóżka. Daję jej proszek na sen, przynoszę szklanek wody i pilnuję, żeby go połknęła, jakby była dzieckiem.

Całuję ją też w czoło, jak zawsze, kiedy jest smutna z jakiegoś powodu. Uśmiecha się z zamkniętymi powiekami, powoli zapadając już w miłosierne odrętwienie po zażyciu tabletki.

Sam podchodzę do krzesła stojącego przy oknie. Rozpinam koszulę i przewieszam ją przez oparcie. Zdejmuję też spodnie i kładę na siedzeniu.

Moje ubranie jest pogniecione i wygląda na bezkształtne – właśnie takie stało się moje życie.

Otwieram garderobę i wiodę wzrokiem po wiszących w niej rzeczach.

Garnitury od mojej ulubionej firmy krawieckiej Norton & Sons z Savile Row w Londynie wiszą w równym rzędzie, jakby tylko czekały, abym po któryś sięgnął i wyjął znowu na światło słońca.

Firma uszyła niezliczoną ilość garniturów, koszul, a także mniej oficjalnych ubiorów dla cesarzy, królów i prezydentów. Sam lord Carnarvon nosił strój od Norton & Sons, gdy w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim roku otwierał grób Tutenchamona w Dolinie Królów. Historia milczy, czy miał też na sobie garderobę tej marki, kiedy rok później zmarł w apartamentach w Kairze po ukąszeniu przez komara. Ale potrafię go sobie wyobrazić, jak leży na łożu śmierci, z twarzą zlaną potem, lecz mimo to nienagannie ubrany w Harris Tweed i jak zawsze ze starannie przyciętymi wąsami.

Wiem, że to komiczne, ale uwielbiam to – tradycję, mity, rzemiosło. To, co wiąże się z jakością, biegłością zawodową przekazywaną z ojca na syna przez wiele pokoleń. Ze sztuką tworzenia ubrań, które można nosić przez całe życie. Z tym wszystkim, co stanowi przeciwieństwo konsumpcyjnej histerii naszych czasów i mentalności podporządkowanej zasadzie „użyj i wyrzuć”.

Przesuwam dłonią po rękawie marynarki.

Wełniane nitki delikatnie kłują pod opuszkami palców.

Akurat ten materiał pochodzi z tkalni na Hebrydach Zewnętrznych. Rodzinna firma prowadzona jest od czterech pokoleń, a wzór produkowanego dziś materiału jest oczywiście identyczny jak wtedy, gdy zaczynała działalność – dostosowywanie tkanin do panującej mody byłoby niesmaczne.

Już samo to sprawia, że warto pokonać drogę do Londynu, aby zamówić tam garnitur.

Zamykam garderobę.

Drzwi zamykają się za moim starym życiem jak wieko trumny. Zostały mi tylko pogniecione spodnie, równie pomięta koszula wisząca na krześle i poczucie, że moje życie zaczyna wymykać mi się z rąk.

# Samuel

**G**ałężie drzew tworzą nade mną poplątany wzór – jakby setki palców splotły się razem, aby mnie chronić.

Czuję się tak, jakbym leżał w szałasie. W magicznym szałasie, podobnym do tego, jaki Liam i ja zbudowaliśmy w parku przy szpitalu Långbro, kiedy byliśmy mali.

Siadam.

Bolą mnie plecy, a ciało zdrętwiało mi z zimna. Tył bluzy i džinsów mam wilgotne od mokrej trawy.

Słońce stoi już wysoko, nie słyhać choćby najmniejszych podmuchów wiatru. Przede mną rozciągają się skały, a za nimi – morze, niebieskie i lśniące jak lustro. W oddali widać żaglówkę, która wydaje się stać w miejscu, a na kamieniu w wodzie nieopodal siedzi kilka mew.

Larus canus.

Czyli mewa siwa. Dawno temu nie wolno było ich zabijać, ponieważ wierzono, że rybacy, którzy utonęli, wracają do życia pod postacią mew.

Są też inne ptaki. Wczoraj widziałem pięć kaczek edredonowych, za którymi płynęło dziesięć małych. Widziałem też nurogęsi, różne mewy i łabędzia niemego. Tak mi się przynajmniej wydaje, że to był łabędź niemy, bo kiedy frunął, słyszałem świst skrzydeł, a łabędzie krzykliwie latają bezgłośnie.

To dziadek nauczył mnie tego wszystkiego. Tego i całej masy innych rzeczy o przyrodzie. Potem miałem wręcz obsesję na punkcie ptaków. Chłonałem o nich, co tylko się dało, i marzyłem, żeby mieć jakiegoś własnego, ale mama powiedziała, że ptaki paskudzą i cuchną.

A teraz, kiedy rzeczywiście mam swojego ptaka, zależy mi tylko na tym, żeby go wypuścić.

Ptaki nie powinny siedzieć w klatce.

Trzęsę się.

Jest mi zimno i burczy mi w brzuchu. Żołądek domaga się czegoś innego niż guma do żucia, którą wciągnąłem w nocy przed zaśnięciem.

Po tym, jak Alexandra odmówiła mi schronienia, poszedłem do Liama, ale w domu była jego matka. I wyglądała na potwornie wkurwioną, kiedy mi otworzyła. Nawet dwa

małe, zniewieściałe pieski wydawały się wpienione. Powiedziała, że Liama nie ma i że bym przyszedł za dnia, jak normalny człowiek.

Położyłem się więc w ich piwnicy. Nie spytałem matki Liama o pozwolenie, bo niby dlaczego? Przecież miałem klucz i nikomu nie przeszkadzałem.

Kiedy się obudziłem, wysłałem mu esemesa – przedstawiłem swoją sytuację i spytałem, czy mogę przechować się u niego przez kilka dni.

Napisał, że to niemożliwe. Bo właśnie była u nich policja i o mnie wypytywała, a jego matka wpadła w szał. Zagroziła mu, że zablokuje internet i w ogóle wyrzuci Liama z domu.

Zwróciłem mu uwagę, że jeśli go wyrzuci, to wyłączenie internetu nie będzie już miało żadnego znaczenia, na co mi odpowiedział, że sam jestem sobie winny, bo pracowałem dla psychopaty Igora, chociaż obiecałem, że dam sobie z nim spokój.

Innymi słowy sytuacja była nieźle porąbana: leżałem na podłodze w piwnicy i esemesowałem z Liamem, który znajdował się kilka pięter nade mną w tym samym domu, nie mając pojęcia, że jestem tam, gdzie jestem. Poza tym policja zjawiała się chyba wtedy, kiedy akurat spałem.

Ale z tego, co napisał mi Liam, wysnułem też jeszcze jeden wniosek.

Gliny musiały mnie rozpoznać w strefie przemysłowej – bo przecież inaczej by mnie nie szukały. A to znaczyło, że wiedzą, że pracuję dla Igora.

Gdy to do mnie dotarło, zacząłem jeszcze bardziej dygotać. Psy na pewno mają moją teczkę, ze zdjęciem i informacjami.

Dokładnie jak w CSI.

I wtedy wyniosłem się z miasta. Wsiadłem na motocykl Igora, który zaparkowałem w garażu pod domem Liama, i ogarnięty paniką jechałem przed siebie tak daleko, jak tylko się dało, dopóki nie skończyła się droga i nie otworzyło się morze.

Próbuję przeanalizować swoją sytuację, spojrzeć na nią chłodno, jakby to było zadanie matematyczne, a nie moje własne życie, które się spieprzyło.

Ściga mnie policja.

Igor chce mnie prawdopodobnie ukatrupić.

Matka wypędziła mnie z domu.

Alexandra, ogólnie rzecz biorąc, to głupia gęś, która uważa mnie za dupka, ponieważ trochę flirtowałem z Jeanette. Liam robi w gacie tylko dlatego, że były u niego psy i zadały mu parę pytań.

Poza tym nie mam pieniędzy.

Podnoszę z ziemi niedopałek, usuwam z niego kilka przyklejonych wilgotnych źdźbeł trawy i wkładam go do ust. Potem wyjmuję zapalniczkę, pocieram małe

metalowe kółko i dwa razy zaciągam się głęboko, po czym gaszę papierosa w mokrej od rosy trawie.

Jestem w totalnej dupie.

Mogę się teraz tylko gdzieś zamelinować, ale nie mam żadnej takiej mety, a przecież nie da się wiecznie spać pod gołym niebem i żyć słońcem i morskim powietrzem jak jakiś pieprzony dmuchawiec.

Dotykam palcami koralików bransoletki. Obracam je tak, aby na zewnątrz były widoczne litery.

MAMA.

Widzę przed sobą obraz matki. Szarobrązowe włosy i niespokojne piwne oczy. Nieodłączny złoty krzyżyk na szyi. Nieustanne trajkotanie o tym, że powinienem zapanować nad swoim życiem i że wszystko się ułoży, jeśli tylko otworzę serce przed Jezusem.

Przepraszam, a gdzie był Jezus w poprzedni poniedziałek?

Tak się tylko zastanawiam.

Wiem, że powinienem do niej zadzwonić, ale nie mam odwagi. Bo to raczej pierwsza rzecz, którą sprawdzi policja – czy się z nią skontaktowałem? Wszyscy opóźnieni w rozwoju kretyńni pędzą prosto do mamuśki, żeby się wypłakać po napadzie albo rabunku czy nieudanym dilu narkotykowym.

Podnoszę się z ziemi, otrzepuję spodnie, podchodzę do krzaka, odpinam rozporek i sikam.

Nawet wacek mi marznie. Jest mały, pomarszczony, jakby chciał schować się sam w sobie, jak wystraszone zwierzątko.

Może mógłbym się włamać do któregoś z opuszczonych letnich domków?

Opuszczonych? O tej porze roku? Mało prawdopodobne.

Zaciągam rozporek i spoglądam na stojący w głębi zarośli motor Igora. Chrom i czarny lakier błyszczą w promieniach słońca, które przedzierają się przez gałęzie. Lekko pobłyskują wijące się po baku języki ognia.

Jedną ręką zapinam spodnie, a drugą włączam komórkę. Sprawdzam snapchata.

Liam jest w domu. Alexandra u Jeanette. Czuję ściskanie w żołądku, kiedy wyobrażam sobie, jak siedzą i mnie obsmarowują. Jak Alexandra się wypłakuje, a Jeanette ją pociesza.

„Proszę cię. Daj spokój. Przecież nigdy z nim nie spałam. Chcę, żebyś o tym wiedziała. Poza tym to frajer”.

Wchodzę na Instagrama Jeanette.

Wrzuciła swoje zdjęcie w samym bikini zrobione przed lustrem w przedpokoju. Pręży się i wypina biust do przodu. Wydyma usta, a jedną ręką przeciąga przez długie

włosy.

Normalnie już by mi stanął, ale nie dzisiaj.

Trzystu dziewięćdziesięciu idiotów lubi to zdjęcie.

Jeanette ma prawie dwa tysiące obserwatorów na Instagramie i każdego dnia zamieszcza co najmniej pięć fotek. Najczęściej w wydekoltowanych swetrach lub ze swoim młodym psiakiem na kolanach. A najchętniej z wciśniętym między piersi, jak hamburger między połówkami bułki.

To dlatego ma takie powodzenie.

Czytam swoją pocztę. Jeden z kumpli Liama przysłał mejl z linkiem do Twitcha, gdzie jakiś koleś obiecał streaming własnego samobójstwa. Ale kiedy klikam w link, nic się nie otwiera. Próbuję jeszcze raz i wtedy słyszę odgłos samochodu zbliżającego się szosą.

Chowam się w zaroślach, żeby nikt mnie nie zobaczył, i czekam, aż auto przejedzie. Tymczasem pojazd się zatrzymuje i parkuje jakieś dwadzieścia metrów ode mnie.

Zatrząskują się jedne drzwi, potem drugie.

Słyszę głosy. Głosy, które brzmią dziwnie znajomo.

– Gdzie? – pada pytanie.

– Nie mam, kurde, pojęcia – ktoś odpowiada. – Ale to powinno być gdzieś tutaj.

Przez gęstą zasłonę liści widzę dwóch zbliżających się mężczyzn. Jeden jest niski, trochę otyły i ubrany w opuszczone do połowy bioder džinsy. Wygląda znajomo, jak daleki krewny, którego widuje się w każde Boże Narodzenie, ale nigdy poza tym.

Drugi jest wysoki i pochylony do przodu. Rzadkie jasnobrązowe włosy opadają mu kosmykami na kościstą twarz, a T-shirt wisi jak worek na jego chudym torsie.

Serce mi się zatrzymuje i padam martwy na ziemię.

A przynajmniej tak mi się wydaje, bo ten drugi gość to Malte, chłoptaş Igora.

– Sprawdź jeszcze raz! – rzuca Malte, zatrzymuje się i zapala papierosa.

– Okej – odpowiada ten drugi i wyjmuję coś z kieszeni marynarki.

Dlaczego Malte nie jest za kratkami? I co ważniejsze: jak, do kurwy nędzy, mnie tu znaleźli?

Dziesiątki myśli kłębią mi się w głowie i sekundę później już wiem.

Komórka.

To przez tę jebaną komórkę. Przecież dostałem ją od Igora, a do tego jeszcze sam naściągałem sobie na nią całą masę shitu.

Kto wie, co ten psychol Igor w niej załadował? Szpiegowanie własnych ludzi byłoby całkiem w jego stylu.

Drżącymi palcami wyjmuję telefon, żeby go wyłączyć, ale wyslizguje mi się z rąk i upada na ziemię.

Klnę w głębi ducha, przykucam i zaczynam szukać go omacku wśród suchych liści. Pali mnie jak ogień, kiedy gałęzie drapią mi policzek i kaleczą skórę. Zapach wilgotnej gleby i zieleni łaskocze mnie w nozdrza.

Wreszcie czuję pod opuszkami palców nagrany słońcem metal. Chwytam aparat i przyciskam guzik z boku, aby go wyłączyć.

Mija cała wieczność, zanim wyświetlacz robi się czarny.

Siedzę nieruchomo. Podglądam Maltego i tego drugiego gościa. Stoją w trawie na poboczu i rozmawiają cicho.

Niemal nie oddycham, tak potwornie się boję. Bo jeśli mnie tu odkryją, dadzą mi taki wycisk, że się nie pozbieram.

Albo zrobią coś gorszego.

Przypominam sobie koleśki, o których opowiadał Liam. Tych, którzy okantowali Igora i związani razem taśmą zostali utopieni jak kociaki.

– Nie ma... może później... pieprzony sygnał... głodny...

Słowa szybują przez chłodne powietrze jak powolne jaskółki, docierają do mnie w strzępach, jak kawałki czegoś, co się połamało i teraz powinno zostać połączone w jakąś sensowną całość.

Nogi mi zdrętwiały, więc ostrożnie się podnoszę. Ale swetrem zaczepiam o gałąź, która łamie się z ostrym trzaskiem.

– Co to, kurwa, było? – rzuca Malte.

– To brzmiało jak...

Malte rozgląda się dookoła.

– E tam – mówi ten gruby. – Spadamy stąd. Muszę coś zjeść.

Malte mu nie odpowiada, tylko się prostuje i zdecydowanym krokiem zaczyna iść w moją stronę.

Stoję jak posąg i chociaż ze wszystkich sił staram się kontrolować oddech, dyszę, jakbym właśnie przebiegł sto metrów.

Malte jest po drugiej stronie zarośli, najwyżej cztery metry ode mnie.

Ma twarz zwróconą dokładnie w kierunku mojej kryjówki i przez sekundę jestem przekonany, że mnie zobaczył. Ale zaraz potem opuszcza ręce na wysokość krocza i rozpina roperek. Kilka sekund później strumień uryny dosięga ziemi.

Serce zaczyna mi bić normalnym rytmem. Przestaję sapać, rozluźniam ramiona.

Malte zapina roperek i obraca się do mnie plecami. Zapach jego sików sprawia, że przewraca mi się w żołądku.

Ale serce jest spokojne.

Ono wie.

Tym razem mi się udało.

Po odjeździe Maltego i jego tłustego kumpla siedzę w zaroślach jeszcze co najmniej godzinę. Wreszcie postanawiam, że bezpieczniej będzie pojechać gdzieś indziej niż zostać w tym samym miejscu.

Wyciągam motocykl z kryjówki i pruję pod wiatr kilkadziesiąt kilometrów nabrzeżem na południe. Wokół mnie roztacza się szwedzkie lato. Zieleń jest tak intensywna, że wygląda niemal sztucznie, jakbym znajdował się w jakiejś grze, a nie w naturalnej scenerii. Wokół unosi się zapach trawy, nawozu i morza.

Nie wiem, dokąd jadę, po prostu uciekam jak najdalej.

Strach gna mnie do przodu zakurzoną drogą, mijam ogródki i czerwone domki pełne wypoczywających na wakacjach sztokholmczyków, a także gospodarstwa z prawdziwymi rolnikami, którzy jeżdżą traktorem i hodują bydło.

Droga się zwęża. Na poboczu stoi tablica informacyjna: Stuvskär 2. Zaledwie kilka minut później wjeżdżam do małego, sennego portu.

Miejsce jest piękne jak z widokówki.

Morze połyskuje między stromymi granitowymi skałami. Pomalowane na czerwono drewniane domki stoją ściśnięte w okolicy przystani dla parostatków. W jednym z nich mieści się gospoda, w drugim wiejski sklep.

Droga kończy się na wysokości czerwonych domków. W miejscu do zawracania jest też przystanek autobusowy, a po lewej znajduje się duży parking, prawie kompletnie zastawiony samochodami. Przy pomoście jest też stacja benzynowa, która według informacji sprzedaje również akcesoria żeglarskie. Tablica wskazuje drogę do przystani dla małych łodzi, która najwyraźniej znajduje się trochę dalej.

Naprzeciwko dwóch czerwonych budynków stoi stary kamienny dom. Do drzwi przymocowany jest staroświecki szyld.

„Biuro portu” – głosi napis.

A poniżej ktoś przypiął kartkę z odręczną notatką: „Muzeum lokalne & Biblioteka”.

Chwilę później siedzę w tak zwanej bibliotece; nie wydaje się większa od naszego mieszkania, a prowadzi ją organizacja non-profit. W każdym razie taka informacja widnieje przy wejściu.

Kiedy tam wszedłem, baba siedząca za biurkiem spojrzała na mnie podejrzliwie, jakbym był jakimś najgorszym włóczęgą, ale nic nie powiedziała. Skinęła tylko głową w moim kierunku i palcem wskazującym poprawiła sobie okulary na nosie.

Zwędzone w sklepie kanapki wypełniły mi żołądek i nareszcie jest mi ciepło. Syty i rozgrzany zapadam się wygodnie w fotelu przed starym komputerem o grubym monitorze. Takim, którego człowiekowi nie udałoby się dzisiaj pozbyć nawet za darmo.

Pod ścianami stoją regały wypełnione literaturą o szkiecach i starymi mapami morskimi.

Tu nie ma czego zwinąć – co oczywiście sprawdziłem, ledwie tu wszedłem.

Wstukuję do wyszukiwarki imię Igora, ale nic mi nie wyskakuje. Nie ma w tym nic dziwnego, ponieważ a) nie znam jego nazwiska i b) nie istnieje rzecz jasna żaden powód, aby policja wyjawiała dane zatrzymanych. Po chwili znajduję jednak notatkę na lokalnych stronach miejscowej gazety. Czytam w niej, że „policja otworzyła ogień podczas zatrzymania grupy podejrzanych w poniedziałkowy wieczór w strefie przemysłowej pod Fruängen”.

Jest jeszcze wzmianka, że rozpoczęto wewnętrzne dochodzenie, co jest normalną „praktyką”.

Nie wiem, co to oznacza, ale daję sobie spokój i zamiast tego wklepuję „Stuvskär” i „pokój do wynajęcia”.

Komputer długo się namyśla, wreszcie pojawia się pusta strona.

Próbuję więc „Stuvskär” i „poszukuję pracy”, głównie z ciekawości, bo przecież nie jestem w ogóle zainteresowany żadną robotą. Ani w Stuvskär, ani nigdzie indziej.

Komputer buczy, jakbym zadał mu jakieś utopijne pytanie. Jakbym chciał wiedzieć, jak duży jest wszechświat albo jaki w ogóle sens ma to gówniane życie.

Ale nagle coś się pokazuje.

Klikam w link i czytam ogłoszenie. Raz i jeszcze raz, próbując jednocześnie ułożyć plan.

Jakaś rodzina z okolic Stuvskär szuka asystenta dla swojego ciężko upośledzonego kilkunastoletniego syna. Nie chodzi o tradycyjne obowiązki asystenta, ponieważ najważniejsze zabiegi pielęgnacyjne rodzice wykonują sami, ale raczej o socjalizację. Główne zadanie polegałoby na dotrzymywaniu chłopcu towarzystwa. Potrzebny jest ktoś, kto czytałby mu na głos, puszczał muzykę i przy okazji trochę pomagał w prowadzeniu domu.

Zamykam oczy i się zastanawiam.

Rzecz jasna nie mam specjalnej ochoty być niańką dla jakiegoś dziwoląga ze Stuvskär, ale wizja ciepłego łóżka i bieżącej wody jest kusząca. Może dzięki temu udałoby mi się na jakiś czas przycząić, zapewnić sobie dach nad głową i zarobić trochę pieniędzy, dopóki nie posprzątam tego gówna, w które wdepnąłem?

# Pernilla

Jadę metrem na Fridhemsplan, żeby pójść do szpitala.

Zadzwoiła do mnie pielęgniarka z informacją, że ojcu się pogorszyło i chce mnie zobaczyć. Oczywiście trochę się zaniepokoiłam, ale nie wpadłam w popłoch – bo kiedy ojciec miewa złe dni, wzywają mnie całkiem często.

Za oknem migają jasnozielone korony drzew i przekwitłe bzy. W innych okolicznościach pewnie cieszyłabym się z zieleni i ciepła, które wreszcie nastąpiło, ale sytuacja jest, jaka jest. Mój ojciec umiera, a Samuel nie odezwał się ani razu.

Od trzech dni.

Zniknął trzy dni temu i od tamtej pory nie dał znaku życia, zmuszając mnie do niemal nadludzkiej samodyscypliny, abym nie próbowała się z nim skontaktować. Nigdy dotąd nie trwało to tak długo.

Mrużę oczy i czując, jak wpadające przez szybę słońce grzeje mi twarz, przypominam sobie majowy dzień sprzed osiemnastu lat, kiedy urodził się Samuel.

Tata przez cały czas był w szpitalu i niespokojnie chodził pod salą jak zdenerwowany przyszyły ojciec. Zresztą jedna z położnych rzeczywiście wzięła go za mojego męża. Śmiał się potem z tego do rozpuku, ja natomiast poczułam się strasznie nieswojo.

Nie pamiętam wiele z samego rozwiązania, poza tym, że ból był niewyobrażalny. Ale gdy tylko położono mi nagie małe ciało na piersi, ból wyparło poczucie szczęścia i wiedziałam od razu, że nadam swojemu synowi imię Samuel.

Może wybrałam je dlatego, że w szkółce biblijnej czytaliśmy akurat wtedy rozdział z Pierwszej Księgi Samuela, w którym Bóg kilkakrotnie nawołuje Samuela, a on nie rozumie. Chyba w duchu myślałam, że został wybrany, aby usłyszeć głos Boga. Poza tym uważałam, że to przesłanie jest ogromnie ważne w naszych czasach, gdy głos Boga tak łatwo tonie w szumie informacji płynących z telewizji, radia i reklam.

Kiedy powiedziałam ojcu, jakie wybrałam imię, ucieszył się, ale jednocześnie na jego czole pojawiła się głęboka zmarszczka. Może pomyślał, że zrobiłam tak ze względu na Isaaca, żyda, za którym przecież nie przepadał.

Gdy metro zatrzymuje się na stacji, przesiadam się do zielonej linii, aby dojechać na Fridhemsplan i do ojca.

Samuel od samego początku był absorbującym dzieckiem. Płakał bez ustanku i nocami czuwałam przy nim z ojcem na zmianę, żebym mogła przespać się chociaż kilka godzin.

Nie zastanawiałam się wtedy nad tym szczególnie, ponieważ uważałam, że to normalne u takich małych dzieci. Ostatecznie miałam dopiero osiemnaście lat i nie wiedziałam o niemowlakach absolutnie nic. Teraz, po czasie, zadaję sobie czasami pytanie, czy kłopoty Samuela nie zaczęły się już wtedy. Czy nie odziedziczył wszystkiego po mnie. Jest niecierpliwy, nie potrafi się przystosować i ściąga problemy tak samo, jak światło świecy przyciąga w ciemności owady.

Dokładnie jak jego matka.

Mimo to kochałam go bezwarunkowo, a on kochał mnie. Chociaż nie tworzyliśmy typowej rodziny, prawdziwej rodziny, było nam razem dobrze – Samuelowi, ojcu i mnie.

Problemy pojawiły się w przedszkolu. Samuel gryzie kolegów. Samuel nie chce leżeć cicho podczas leżakowania. Samuel zrzuca jedzenie na podłogę. I Samuel kopnął panią w nogę.

Małe dzieci, małe zmartwienia.

Z czasem stały się większe: wagarowanie, drobne kradzieże, niezliczone rozmowy z zaniepokojonymi nauczycielami i zbulwersowanymi rodzicami.

Czy nie mogłabym trochę utemperować syna?

Bo oczywiście to musiała być moja wina, ponieważ każdy normalny rodzic potrafiłby zrobić porządek z własnym synem chuliganem. Co trudnego jest w wychowaniu dziecka?

A jednocześnie Samuel potrafił być nieopisanie miły, czarujący i towarzyski. Miał wielkie serce i mnóstwo przyjaciół.

Mimo to problemy nie ustawały. I w miarę upływu lat zaczęłam nabierać coraz większego przekonania, że może rzeczywiście chodzi o jakiś błąd genetyczny. Że przejęłam po swojej matce wszystkie jej najgorsze cechy, a po mnie odziedziczył je Samuel.

Pamiętam słowa ojca.

„Twarz anioła, serce węża”.

Przymykam powieki i wsłuchuję się w szum pociągu przedzierającego się przez tunele pod miastem. W podziemiach jest trochę chłodniej i marznę w cienkiej letniej bluzce.

Bóg ma plan dla nas wszystkich, misję.

Trzeba tylko zrozumieć, na czym ona polega, i uważnie słuchać, kiedy nas zawoła, tak jak przyzywał Samuela w świątyni w Szilo.

Może moją misją jest udzielenie pomocy Samuelowi?

Ojciec kiepsko wygląda.

Jest chyba jeszcze chudszy, niż kiedy widziałam go ostatnio, ma żółtą skórę i żółte białka oczu. Włosy, zawsze takie gęste, już dawno mu wypadły, a grzbiet dłoni w miejscu, gdzie wpięta jest kroplówka, pokrywa duży czerwono-czarny siniak.

Przytulam go ostrożnie, a potem przysuwam sobie krzesło i siadam blisko łóżka.

Ojciec nie boi się śmierci i to jest wielkie pocieszenie.

Ale ja się boję.

Nie wiem, jak sobie bez niego poradzę. Jest moją jedyną rodziną, poza zborem. Ale to do niego idę, kiedy potrzebuję rady, kiedy jest mi źle albo chcę pożyczyć trochę pieniędzy.

Przy każdej ciężkiej próbie życiowej.

Po chwili ogarnia mnie wstyd. Jak mogę – zdrowa i w pełni sił – siedzieć tu przy nim i użalać się nad sobą?

– Cześć, moja dziewczynko – mówi do mnie.

– Cześć – odpowiadam i delikatnie biorę go za rękę. – Jak się czujesz?

– Nie tak źle, jak wyglądałam – bąka. – Mogłabyś podnieść mi trochę łóżko pod głową?

Wstaję i kilkakrotnie naciskam stopą pedał pod wezglowiem.

Twarz ojca wykrzywia grymas bólu. Język przesuwają się po suchych i popękanych wargach, a na zapadniętych skroniach pojawiają się kropelki potu.

– Dzięki – mówi. – Jak się miewasz?

– W porządku – odpowiadam wymijająco.

– Może podjechałabyś do mnie i sprawdziła pocztę? – odzywa się i kończy zdanie mokrym kaszlem.

– Jasne.

Waham się przez chwilę i nerwowo skubię koc leżący na jego nogach. W końcu decyduję się być szczerą i powiedzieć mu o Samuelu.

– Wyrzuciłam go – oznajmiam. – Znowu. Nie pierwszy raz. Wyrzucałam go już wcześniej. Przecież wiesz.

Kiwa głową.

– On musi się nauczyć, Pernillo – szepcze.

– To było trzy dni temu. Od tamtej pory się nie odezwał. To takie strasznie trudne. Nie wiem, jak...

Nie kończę zdania i tłumię szloch.

– Musisz go zostawić, żeby mógł wrócić.

Na moment zapada cisza, w której słychać tylko ciężki oddech ojca.

– Czy można porzucić swoje dziecko? – pytam. – Czy wolno porzucić swoje dziecko? Kim bym była, gdybym zrobiła coś takiego? Czym bym była?

– Musisz. Obiecuj mi, że nie będziesz próbowała go odnaleźć.

– Ale... Wtedy nie będę wcale lepsza od mojej matki.

Ojciec zaczyna charczeć, a po kilkunastu sekundach charczenie przechodzi w rżący kaszel, który brzmi tak, jakby jego płuca wypełniała masa małych kamieni.

Atak mija. Ojciec wzdycha i opuszcza powieki.

– Lepiej pomódl się za niego – mamrocze. – To jedyne, co możesz teraz zrobić.

# Manfred

**B**ianca Diaz mieszka w schludnym mieszkaniu, podobnym do mieszkania Tuuli Ahonen, tylko mniejszym i skromniej urządzone, położonym na parterze w czteropiętrowym budynku w samym centrum Jordbro.

Prosi mnie i Dodzieła, abyśmy usiedli przy stole w kuchni, przy którym stoją tylko dwa krzesła, po czym wychodzi do pokoju.

Przez drzwi do przedpokoju widzę pod ścianą wózek dziecięcy owinięty w folię.

Dodzieł zauważa moje spojrzenie, ale jego oczy za okularami nie zdradzają żadnych emocji.

– Pomóc pani? – wołam do Bianki.

Po chwili wraca z małym taborettem w ręce.

– Nie – odpowiada z uśmiechem. – Jestem w ciąży, a nie inwalidką.

Dodzieł podnosi się z krzesła.

– Proszę usiąść tutaj – proponuje, a sam siada na taborecie.

Bianca się uśmiecha, wzrusza ramionami i posłusznie zajmuje miejsce na krześle.

Robię to samo, próbując zignorować rwący ból w kolanie.

Bianca Diaz ma dwadzieścia lat, dokładnie tyle samo co Johannes, ale wydaje się dużo młodsza. Farbowane na miodowy brąz długie włosy mają rozjaśnione końcówki. Jest szczupła, tylko jej wielki brzuch wygląda tak, jakby lada sekunda mogła urodzić, chociaż wiem, że do porodu został jeszcze miesiąc.

Trochę przypomina mi Afsaneh, kiedy czekaliśmy na Nadję. Czuję ukłucie w okolicy serca.

– Jest mi naprawdę przykro z powodu Johannesesa – zaczynam.

Bianca kiwa głową.

– Tak, to strasznie smutne.

Jej głos jest dziwnie chłodny. Nie ma w nim żadnych emocji, brzmi tak, jakby stwierdziła, że popsuta się pralka albo skończyło się mleko.

– Jak się pani trzyma? – pytam.

Nasze spojrzenia się spotykają.

– Trzymam się – mówi. – Zawsze musiałam dawać sobie radę. Pewnie. To okropne, że on nie żyje. Koszmarne. Ale na nim nigdy nie można było polegać. Od początku był

taki. Ja pracowałam na dwie zmiany i przez cały czas, kiedy mieszkaliśmy razem, zakuwałam do egzaminu na analityczkę medyczną. A co robił Johannes? Pomagał mi? Zarabiał pieniądze? Nie. Już kiedy zaszłam w ciążę, wiedziałam, że będę musiała wychowywać dziecko sama. Jemu zależało tylko na tym, żeby wyjechać do Brazylii, bo tam mieszka jakiś jego kumpel.

Spogląda na swój duży brzuch i kładzie na nim dłoń. Głaszcze mocno napiętą dzianinę bluzy.

– Nie planowaliście wychowywania dziecka razem? – pyta Dodzieł.

Bianca kręci przecząco głową.

– Johannes absolutnie nie chciał mieć dzieci – mówi, przenosząc spojrzenie za okno, za którym rośnie duży krzew o różowych kwiatach. Ściąga usta w wąską kreskę i po raz pierwszy dostrzegam w jej twarzy cień bólu.

– W takim razie jak zareagował, kiedy mu pani powiedziała o ciąży? – zadaje kolejne pytanie Dodzieł.

– Był zły – odpowiada Bianca, wciąż ze wzrokiem utkwionym za oknem. – Potwornie zły.

Następuje krótka pauza.

Jasne oczy Dodzieła spoglądają na mnie.

– Więc w sumie chyba dobrze, że tak się ułożyło – bąka Bianca. – To znaczy, nie mam na myśli tego, że umarł, tylko że ja sama będę zajmować się dzieckiem. On jedynie wprowadzałby zamieszanie. Zawsze tak było.

– Czy słyszała pani, żeby ktoś mu groził? – pyta Dodzieł i jednocześnie zapisuje coś w notesie.

Bianca unosi brwi.

– Groził? Nie sądzę, żeby miał jakichś zapięklonych wrogów. Ale pożyczył od kogoś koszmarnie dużo pieniędzy i się tym stresował, bo nie był w stanie ich oddać.

– Wie pani, od kogo je pożyczył? – wtrącam. – Albo o jaką kwotę chodziło?

– Nie mam pojęcia. Bardzo się starałam nie mieć nic wspólnego z jego tak zwanymi interesami.

Pochyliam się do przodu i patrzę jej prosto w oczy. Ani o milimetr nie ucieka wzrokiem. Ma poważną twarz, nie widać w niej choćby cienia sentymentu.

– Jego matka powiedziała nam, że w ostatnim czasie się ustatkował – mówię cicho.

– Nie dilował i w ogóle odciął się od kryminalnego towarzystwa. Poza tym...

– Przepraszam – przerywa mi Bianca, podnosząc rękę. – Tuula jest tak potwornie naiwna, że robi z niego prawie świętego. Zgoda, ja też nie widziałam, żeby handlował dragami. Faktycznie nie widziałam. Inaczej od razu bym go wyrzuciła za drzwi. Ale do

niewiniątek to on nie należał. – Wywraca oczami i robi w powietrzu znak cudzysłowu.  
– O nie. Wszystko można by o nim powiedzieć, ale nie to, że był niewiniątkiem.

Po wyjściu na ulicę Dodzieł wzdycha głęboko i przeciąga dłonią po brodzie. W jego spojrzeniu pojawia się cień smutku.

– Można tylko współczuć ludziom – stwierdza. – Bo miłość zawsze łączy się z nieszczęściem. A mimo to nie można przed nią uciec.

Poprawia sobie zbyt krótkie spodnie, a potem człapie przygarbiony do samochodu.

Kiedy pojawia się w szpitalu, Afsaneh przytula się do mnie mocno.

Ponieważ pracuję niemal przez cały dzień, postanowiłem pojechać na lunch właśnie tam. Głównie ze względu na nią. Bo nie sądzę, żeby Nadji zrobiło to jakąś różnicę.

Korzystając z wolnej chwili, po drodze zadzwoniłem do starszych dzieci. Alba nie odebrała, ale udało mi się krótko porozmawiać z Alexandrem, a później ze Stellą. Powiedziałem im, jak się czuje ich mała siostrzyczka, i zadałem tradycyjne pytania.

Oczywiście oni też się denerwują. Denerwują się i są przygnębieni, bo mimo dużej różnicy wieku pokochali swoją przyrodnią siostrę od pierwszej sekundy.

– Jak to dobrze, że przyjechałeś – Afsaneh szepcze mi do ucha.

Robi krok do tyłu i uśmiecha się do mnie. Stoi wyprostowana, jej oczy lśnią, a skóra też jakby nabrała świeżego blasku.

– Coś się stało? – pytam.

Afsaneh energicznie kiwa głową i bierze mnie za rękę.

– Będą wybudzać Nadję. Lekarz mi powiedział. Jutro zaczną redukować środki nasenne.

– Naprawdę?

Zniżam głos do szeptu.

Afsaneh przyciąga mnie do siebie i znowu obejmuje.

– Odzyskamy ją. Nasza Nadja do nas wróci.

Jej chude ciało drży w moich ramionach, a ja nie mam odwagi powiedzieć na głos tego, co myślę. Tego, co lekarze próbowali nam przez cały czas uświadomić.

Co się okaże, kiedy otworzy się pojemnik z kotem Schrödingera?

No cóż, niebawem stanie się jasne dla wszystkich, że kot jest albo na wskroś żywy, albo na wskroś martwy. Albowiem dziwny stan pośredni – w którym ów cholerny kot jest jednocześnie i martwy, i żywy – jest wyłącznie konstruktem akademickim.

I podobnie rzecz się ma z naszym dzieckiem.

Dopiero kiedy zostaną odstawione silne lekarstwa, kiedy zostaną odłączone przewody i aparaty, będziemy wiedzieli, czy odzyskaliśmy Nadję, czy też odeszła na zawsze.

Oczywiście najlepiej by było, gdyby się obudziła.

Ale nawet to, z czym mamy do czynienia teraz, jest lepsze niż utracenie jej całkowicie – wolę mieć dziecko popodłączane przewodami do różnych urządzeń na OIOM-ie niż w ogóle nie mieć dziecka. Równanie jest strasznie proste, a zarazem niewyobrażalnie okrutne.

Lecz da się je obliczyć, nawet śmierć da się obliczyć.

Przez jakiś czas siedzimy na krzesłach przy łóżku Nadji.

Tym razem po jednej stronie, i to tak blisko siebie, że czuję ciepło ciała Afsaneh.

Nadja sprawia wrażenie, jakby spała, mimo całej aparatury i wszystkich przewodów. Ma pogodną buzię i na wpół otwarte usta. Na gipsowym opatrunku na ręce ktoś czerwonym flamastrem narysował ptaszka i serduszko.

Wzdycham głęboko.

Zawsze nie znosiłem szpitali.

Oczywiście zaczęło się od choroby Arona. Zanim umarł, spędził niemal dwa miesiące na onkologii dziecięcej.

Odwiedzałem go każdego dnia.

Przez pierwsze tygodnie dobrze reagował na terapię. Nabrał sił i zdarzało nam się wymykać na wycieczki po oddziale, a czasami nawet dalej. Któregoś razu zapuściliśmy się aż do podziemi. Biegaliśmy po nich w kółko – ja pierwszy, a za mną Aron z przyczepioną kroplówką.

Ale potem stał się tak bardzo słaby, że głównie leżał i spał. Nie miał siły nawet rozmawiać.

W końcu zasnął na dobre.

Tak to przebiegło – jego odejście nie było ani szczególnie dramatyczne, ani niezwykle. Aron na wiele dni stracił przytomność i wreszcie serce się poddało.

W jednej sekundzie żył, w następnej już go nie było.

Od tamtej pory nie toleruję szpitali. Ma to chyba związek z zapachem, chociaż z drugiej strony bez problemu chodzę do zakładu medycyny sądowej i jestem obecny przy obdukcjach, gdzie – powiedzmy to sobie szczerze – po prostu cuchnie. Ale tej charakterystycznej szpitalnej woni, będącej osobliwą mieszaniną odoru środków czystości, uryny i rozgotowanych ziemniaków, po prostu nie trawię.

Za każdym razem mam wrażenie, jakby coś się we mnie blokowało i jakbym znowu miał dwanaście lat.

W kieszeni marynarki wibruje mi komórka. Sięgam po nią.

Dzwoni Malin.

– Muszę odebrać, kochanie – zwracam się do Afsaneh.

– Jasne – odpowiada spokojnie ku memu zaskoczeniu.

Nie wydaje się nawet zirytowana.

Wychodzę na korytarz i przyłożywszy telefon do ucha, szukam w kieszeni papierosów.

– Cześć – mówi Malin. – Wszystko okej?

– Tak. Wpadłem na chwilę do szpitala.

– Posłuchaj, mamy coś nowego. Znalaziono kolejne ciało. Zawinięte w prześcieradło i okręcone łańcuchem. Możemy spotkać się o drugiej?

# Samuel

**K**obieta, która spotyka się ze mną w porcie, przypomina mi matkę. Ale ma ciemniejsze włosy, jest trochę niższa i bardziej przygarbiona. Oprócz tego ma bledszą skórę, która w ostrym słońcu wygląda na dziwnie przejrzystą. Wokół oczu zaznacza się delikatna siateczka cienkich zmarszczek. Jest ubrana w T-shirt i dżinsy, a kiedy podaje mi rękę, uśmiecha się ciepło.

– Rakel – mówi, lekko przekrzywiając głowę. Długie włosy opadają jej na jedno ramię.

– Samuel – przedstawiam się i myślę, że byłaby całkiem atrakcyjna, gdyby nie była taka stara.

Przygotowałem sobie wcześniej, co mam powiedzieć, ale kiedy tylko dotykam jej dłoni, słowa ulatują, a w ustach robi mi się sucho, jakbym miał w nich pełno piasku.

– Bardzo się cieszę, że mogliśmy spotkać się już dzisiaj – odzywa się. – Może przejdziemy się kawałek?

Ruszamy żwirową alejką prowadzącą do samego portu. Na pomoście jakiś mężczyzna siedzi na motorowerze i pali papierosa. Domyślam się, że czeka na prom kursujący do Stuvskär. Na przyczepce z tyłu przykucnęła mała dziewczynka i liże na wpół rozpuszczone lody, które kapią jej na bluzę.

Jest ciepło w słońcu, niebo jest niebieskie i bezchmurne, ale kiedy tylko wchodzimy w cień wielkich drzew przy sklepie spożywczym, powietrze robi się chłodne i wilgotne jak powiew zimnego oddechu.

– Ile masz lat, Samuelu? – pyta Rakel, raczej bez żadnych podejrzeń. Wręcz przeciwnie, wydaje się zaciekawiona, ale w pozytywnym sensie. Nie tak jak matka, która zawsze z góry zakłada, że ukrywam coś strasznego. Jakbym na przykład po kryjomu konstruował bombę albo oglądał najobrzydliwszą pornografię, ledwie ona odwróci się plecami.

Odpowiadam, że osiemnaście, niedawno „zrobiłem sobie przerwę” od szkoły i szukam pracy. Potem rozmawiamy przez chwilę o tym, czym zajmowałem się wcześniej. No dobra, w tym miejscu trochę ściemniam, mówię, że pracowałem trochę w Media Markcie, co ostatecznie prawie się zgadza, i że trenowałem dziecięcą drużynę futbolową, co nie ma nic a nic wspólnego z prawdą.

Po paru minutach docieramy do niewielkiego cypla.

Rakel wskazuje na jedną z gładkich skał, która wcina się w morze jak gigantyczny język.

– Chodź! – mówi, po czym robi krok przez rów i rusza przez wysoką trawę, nie czekając na mnie.

Dołączam do niej i oboje siadamy jakieś dwa metry od brzegu.

Skała jest szorstka i nagrzana słońcem. Od czasu do czasu wiatr wzbija nieduże słone krople znad tafli wody i ciska nam je pod stopy. W którymś momencie pojawia się większa fala i musimy cofnąć się ze dwa metry, żeby nie dać się zmoczyć.

Puste puszki po piwie leżą wciśnięte w szczelinę, stary niedopałek toczy się po ziemi niesiony lekkim powiewem letniego wiatru. Na spienionej wodzie w dole unosi się morszczyń.

– Wspaniale tu, prawda? – mówi Rakel, na co potakuję i spoglądam w dal.

Może i wspaniale, ale byłoby dużo, dużo wspanialej, gdybym miał coś do jedzenia. Jestem kompletnie spłukany. Już dwa razy ukradłem w miejscowym sklepie kanapki. Istnieją jednak pewne granice i nie mogę liczyć na to, że za każdym razem mi się upiecze.

Poza tym do wyboru są w nim tylko jakieś dziwne sandwiche z awokado, hummusem i tofu.

– To jedna z wielkich zalet mieszkania tutaj – kontynuuje Rakel. – Bliskość natury. Morze.

Przymyka powieki i zwraca twarz do słońca.

– No więc, dlaczego jesteś zainteresowany tą pracą? – pyta. – W końcu niewiele się tu dzieje. Dla takiego młodego chłopaka jak ty może być tutaj dosyć nudno.

Jej pytanie trochę mnie zaskakuje.

– Lubię, kiedy jest spokojnie – odpowiadam ostrożnie.

– To dobrze – stwierdza.

Potem milknie, a mnie nagle uderza myśl: może ona oczekuje, że też ją o coś spytam, że wykażę choć trochę zainteresowania tą tak zwaną pracą.

– Co dokładnie jest pani synowi? – pytam więc i podnoszę z ziemi mały płaski kamyk, następnie rzucam go przed siebie.

Odbija się kilka razy od powierzchni wody i po chwili znika w niebieskiej głębi.

– Niecałe dwa lata temu Jonas miał wypadek i doznał urazu mózgu. Przez wiele miesięcy leżał w szpitalu, aż w końcu ja i Olle, mój partner, postanowiliśmy zabrać go do domu. I wtedy zaczął się cyrk.

Rakel znowu milknie i zaciska usta.

– Cyrk?

Kiwa głową.

– W ciągu trzech miesięcy Jonas miał chyba dziesięciu osobistych asystentów. Nie sprawdzili się. Ponieważ wydział zdrowia nie był specjalnie skory do współpracy, ostatecznie zdecydowaliśmy się zajmować nim sami.

– Pani i ojciec Jonasa?

– Olle nie jest jego ojcem, ale pomaga mi, na ile może. Sprzedaliśmy mieszkanie i kupiliśmy dom tutaj. Zrezygnowałam z posady w aptece i zaczęłam pracować zdalnie jako kierowniczką projektu dla firmy farmaceutycznej. Olle jest pisarzem, więc jest dosyć elastyczny. Ale potrzebujemy odciążenia. A nie możemy zostawić Jonasa samego. Jest przykuty do łóżka i cierpi na epilepsję. Nie wiadomo do końca, na ile jest świadomy, miewa jednak przebłyski i lepsze momenty. Nie możemy ryzykować, że na przykład spadnie z łóżka czy dostanie ataku podczas naszej nieobecności.

Rakel musiała chyba dostrzec moje spojrzenie, bo nieoczekiwanie lekko dotyka mojego ramienia.

– Nie przejmuj się. Nie wymagamy doświadczenia medycznego. Głównie chodzi o dotrzymanie mu towarzystwa. Czytanie na głos. Puszczanie muzyki. I o niewielką pomoc w domu. Godziny pracy od dziesiątej do czwartej, pięć dni w tygodniu. Chociaż Olle akurat wyjechał, więc może być trochę dłużej. Pensja to piętnaście tysięcy na miesiąc plus mieszkanie i jedzenie.

Mieszkanie. Jedzenie.

Sama wizja miękkiego łóżka i normalnych domowych posiłków sprawia, że propozycja brzmi atrakcyjnie, mimo że pensja jest naprawdę gówniana.

Piętnaście tysięcy. Tyle zarabiałem zwykle na tydzień.

Sześć godzin dziennie pięć razy w tygodniu to trzydzieści godzin tygodniowo. Jeśli miesiąc ma średnio cztery i pół tygodnia, to daje w sumie sto trzydzieści pięć godzin pracy. Czyli stawka za godzinę wynosi sto jedenaście koron.

Sto jedenaście koron. Serio?

Choć z drugiej strony, dochodzę do wniosku, że nie jest tak źle. Jeśli jest to zarobek na czarno – co podejrzewam, ale w żadnym razie nie ośmielam się spytać – to i tak opłaca się to lepiej niż robota w McDonaldzie.

– Gdybyś się zdecydował, po miesiącu moglibyśmy się zastanowić nad podwyżką – dodaje Rakel, jakby czuła, o czym myślę. – O ile się sprawdzisz.

Spogląda na mnie.

O ile się sprawdzisz.

Mówi poważnie? Siedzi obok mnie i proponuje mi robotę?

Ale w następnej sekundzie uzupełnia:

– Mógłbyś przysłać swoje referencje?

Nie przychodzi mi do głowy żadna odpowiedź.

– Na przykład od twojego szefa z Media Marktu? – sugeruje.

Siedzę na skale jeszcze długo po odejściu Rakel. Patrzę na morze i obserwuję słońce chowające się w chmurach, które kłębią się na horyzoncie. Robi się chłodniej, wyjmuję więc z torby bluzę z kapturem, strzepuję z niej parę źdźbeł trawy i martwego chrząszcza, a potem wciągam ją przez głowę.

Skąd mam wziąć referencje? I czy w ogóle chcę tę pracę?

Myślę o Rakel, o jej białej skórze i długich ciemnych włosach. Myślę też o jedzeniu i o spaniu w świeżo pościelonym łóżku z czystym prześcieradłem i prawdziwą poduszką pod głową zamiast kępy wilgotnej trawy.

To kuszące.

Ale po chwili pojawia się inny obraz: siedzę na taborecie i karmię jakiegoś zaślinionego kolesia w pampersie dla dorosłych, z rękami powykrecanymi jak poskręcana gałąź.

Nie.

To się nigdy nie uda.

Poza tym: sto jedenaście koron za godzinę? To chyba jakiś żart.

Normalnie obraza człowieka. Pieprzona obelga.

Wyjmuję komórkę.

Połowa mnie chce ją włączyć i zadzwonić do matki, ale jeśli odnajdzie mnie Malte? Chociaż wyłączyłem wszystkie opcje lokalizacyjne, nie czuję się bezpieczny.

Waham się, ściskam metalowy aparat między kciukiem a palcem wskazującym.

Jeśli uruchomię ją na krótko, na minutę – czy naprawdę mnie wtedy namierzą?

W końcu włączam telefon i sprawdzam esemesy.

Odkąd zniknąłem, nikt się do mnie nie odzywał – ani mama, ani Alexandra, ani Liam.

Od razu czuję się zdołowany.

Czyli tyle dla nich znaczę. Taki jestem dla nich ważny.

Nagle słyszę tamten głos, tamten okropny głos.

Jesteś nikim. Nie rozumiesz, że oni się cieszą, że się ciebie pozbyli?

Sprawdzam Instagrama.

Jeanette wrzuciła zdjęcie w bikini. Zasłania sobie ręką usta. Palec wskazujący i środkowy tworzą literę V, przez którą wystaje język.

Trzysta osiemdziesiąt lajków.

Słyszę kliknięcie. Sprawdzam wyświetlacz.

To od Rakel: „Dziękuję za dzisiejsze miłe spotkanie. Jeśli nadal jesteś zainteresowany, masz tę pracę! Daj znać, gdy się zdecydujesz!”.

Akurat gdy czytam wiadomość od niej, rozlega się kolejne kliknięcie. Włoski jezą mi się na karku, kiedy widzę, że to od Igora.

„Jesteś już, kurwa, martwy” – czytam.

Tylko tyle.

Upuszczam telefon, jakby mnie parzył. Aparat upada z hałasem na skałę i powoli ześlizguje się po gładkim kamieniu w kierunku wody.

Robię susa, rzucając się na niego i łapię dosłownie w ostatniej sekundzie.

Niech to szlag.

Myślałem, że Igor siedzi w ciupie. Jego też gliny wypuściły?

Rozglądam się dookoła, jakby krył się gdzieś w cieniu za drzewami, ale wszędzie jest spokojnie.

Żwirowa ścieżka jest pusta. Mleczne smugi mgły oplatają pnie sosen, wiją się między paprociami i pełzną po kamieniach. Wiatr osłabł i fale w zwolnionym tempie rytmicznie liżą skały. Powietrze jest wilgotne i surowe jak powiew z piwnicy dziadka.

Może powinienem odezwać się do Igora i powiedzieć mu, że zakopałem pieniądze i zabrałem motocykl, żeby go ochronić, ale nie mam na to odwagi.

Zwłaszcza że nie można wykluczyć, że to wcale nie on wysłał tego esemesa.

Tylko gliny, żeby mnie podejść i wpędzić w pułapkę.

Od dzikiej gonitwy myśli w głowie czuję się tak, jakbym siedział na wirującej karuzeli i nie mógł z niej zejść.

Potrzebuję więcej czasu.

Muszę się dowiedzieć, co się stało z Igorem. I muszę się zastanowić, jak wykaraskać się z tego gówna.

Już nic ci nie pomoże, ty frajerze.

Siadam z powrotem na skale i patrzę na komórkę. Drżąc z zimna, waham się jeszcze chwilę. Potem otwieram wiadomość od Rakel i piszę, że biorę tę pracę.

# Pernilla

Siedzimy w kręgu na podłodze w sali spotkań. Na szafce pod oknem palą się świece, a ściany są pokryte kredowymi rysunkami scen z Pierwszej Księgi Mojżeszowej – wielobarwnymi i pełnymi fantazji wyobrażeniami ucieczki z Egiptu, snów Faraona oraz Józefa poddającego próbom swoich dziesięciu braci.

Naprzeciw mnie siedzi pastor Karl-Johan, a dookoła dzieci, wszystkie w wieku od dziewięciu do trzynastu lat.

Bardzo cieszy mnie praca z nimi.

Dzieci są o wiele bardziej otwarte na Boże przesłanie, niewinnie ciekawe i chłonne. A Karl-Johan ma do nich bardzo dobre podejście. Zresztą ja chyba też – żadnemu z nich nigdy nie przyszłoby do głowy, aby podważać mój autorytet w sposób, w jaki zawsze robił to Samuel.

Zerkam na Karla-Johana. Siwa broda i przysadzista sylwetka sprawiają, że wygląda jak prawdziwy bajarz. Poza tym dużo starszej, niż wskazywałoby na to jego czterdzieści pięć lat.

Ledwie to pomyślałam, robi mi się wstyd – przecież nie zajmujemy się tutaj żadnymi bajkami, tylko słowem Bożym zapisanym w Piśmie Świętym.

Poza tym nie jestem tu po to, żeby patrzeć na ciało pastora.

– No – odzywa się Karl-Johan i wiedzie wzrokiem po dzieciach – dlaczego żona Hioba powiedziała do niego: „Złorzecz Bogu i umieraj”?

Peter błyskawicznie podnosi rękę, w jego ślady idą Lily i Julia.

Karl-Johan wskazuje na Julię, bladą i potulną dziewczynkę z tak bardzo wystającymi zębami, że biedaczka prawie nie może zamknąć buzi. Jest nieśmiała, a pastor stara się w ten sposób zachęcić ją do większej aktywności w grupie.

– Bo... bo... Bóg sprowadził na niego chorobę i ukradł mu osły i wielbłądy, i zabił jego ojca. I dziesięcioro dzieci – dodaje po krótkiej pauzie.

Wśród dzieci rozlega się chichot.

– No dobrze – mówi powoli Karl-Johan. – Masz rację, Julio, tylko że to wszystko zrobił nie Bóg, ale szatan.

– To miałam na myśli – odpowiada błyskawicznie dziewczynka z płonącymi policzkami.

Pastor kiwa głową zachęcająco.

– I jak wtedy postąpił Hiob? – pyta. – Czy przeklął Boga?

Julia energicznie kręci głową.

– Nie. Nie przeklął. Nawet kiedy przyszło do niego trzech fałszywych przyjaciół i mówiło mu, że ma strasznie podłe życie. To ucieszyło Boga i dlatego uzdrowił Hioba, dał mu też nowe osły i wielbłądy. I dziesięcioro nowych dzieci.

Karl-Johan wygląda na zadowolonego.

Chichot zamiera, a dzieci znowu robią znudzone miny. Rozmawiamy o Hiobie już prawie od godziny i to jest chyba maksymalna granica ich koncentracji.

– Tak jest – potwierdza pastor. – Czego możemy się nauczyć z tej historii?

– Że ten, kto jest wierny Panu Bogu, dostanie... dostanie... – jąka się Julia.

– Wielbłądy? – podpowiada James, grupowy błazen, otyły chłopiec o ognistych włosach i oczach, które nieustannie się śmieją.

Znowu rozlega się chichot.

Karl-Johan też się uśmiecha, w sposób, na jaki by sobie nie pozwolił, gdyby ktoś próbował zażartować w grupie dorosłych.

– Jeśli jesteśmy wierni Bogu, wtedy On nam błogosławi i otrzymujemy za to życie wieczne – wyjaśnia z przejęciem.

Dzieci cichną i patrzą na niego, szeroko otwierając oczy.

– Myślę, że na tym dzisiaj skończymy – mówi i znowu się uśmiecha. – Przed wyjściem Pernilla rozda wam jeszcze informacje dotyczące wycieczki w przyszłym tygodniu.

Na jego znak wstaję z podłogi, poprawiam sukienkę i sięgam po plik kartek leżących na szafce.

– Spotykamy się przed zbozem o szóstej – zaczynam. – Przygotowałam wam listę rzeczy, które powinniście spakować. Przeczytajcie ją uważnie, żebyście niczego nie zapomnieli. Tam, dokąd się wybieramy, nie ma żadnych sklepów. To znaczy w lesie, bo to cel naszej wycieczki.

Znowu chichot.

Rozdając kartki wszystkim po kolei, mówię dalej:

– Z prognoz wynika, że ma być słonecznie i ciepło, ale nigdy nie wiadomo, dlatego pamiętajcie o strojach przeciwdeszczowych. I nie spóźnijcie się. Autobus odjeżdża o wpół do siódmej.

Gdy dzieci zbierają książki i kartki i podnoszą się z podłogi, salę wypełnia cichy pomruk.

– Weźcie wygodne ubrania – kontynuuję. – I wygodne buty. Będziemy długo maszerować, a tym razem nie chciałabym naklejać nikomu plastrów na otarte pięty.

Żadne nie odpowiada, dzieci ruszyły już do wyjścia.

– I żadnych telefonów komórkowych! – wołam za nimi.

Karl-Johan uśmiecha się do mnie.

– Usiądź jeszcze na chwilę – prosi i dużą dłonią klepie w dywan obok siebie.

Ostatnie dziecko opuszcza salę i drzwi zamykają się ze stłumionym trzaskiem. Płomienie świec drżą w przeciągu.

Podchodzę do pastora i siadam w pewnej odległości od niego.

– Wspaniałe są, prawda? – mówię.

Potakuje ruchem głowy i znowu się uśmiecha. Potem ściąga brwi i lekko przekrzywia głowę.

– Co z Berntem? – pyta.

Myślę o ojcu, który leży w hospicjum i czeka, żeby Pan zabrał go do siebie. Myślę o jego nienaturalnie wychudzonym ciele oraz o skórze i białkach oczu, które zrobiły się żółte jak żonkile.

– Nie najlepiej – odpowiadam zgodnie z prawdą.

Karl-Johan wygląda na zasmuconego.

– Będziemy modlić się za niego – mówi, akcentując każde słowo. Po chwili dodaje:

– Czy coś jeszcze cię gnębi, Pernillo? Wydajesz się trochę osowiała.

Energicznie kręcę głową.

– Nie, nic poza tym mnie nie gnębi. Mam nową pracę i naprawdę ją lubię. Czyli wszystko w porządku. U mnie. W nowej pracy. I tak w ogóle. Też.

Wbija we mnie wzrok. I jakby umiał czytać w moich myślach, zadaje kolejne pytanie:

– Znowu coś z Samuelem?

Potakuję. Zamykam oczy i czuję łyzy palące pod powiekami. Przypominam sobie kosa siedzącego samotnie w klatce w domu i patrzącego na mnie z wyrzutem. I chociaż nie miałam takiego zamiaru, opowiadam pastorowi wszystko o tamtych dziwnych foliowych torebkach, o tym, jak wyrzuciłam Samuela, a potem odwiedziła mnie policja.

Jak zwykle historia jest dużo dłuższa i bardziej skomplikowana, niż myślałam, ale Karl-Johan słucha cierpliwie.

Jest dobrym słuchaczem.

Dużo lepszym, niż ja kiedykolwiek mogłabym być, bo ja głównie wciąż tylko paplę, jakbym próbowała zagadać ludzi na śmierć.

– Och, Pernillo – mówi Karl-Johan, ciężko wzdychając, kiedy kończę swoją opowieść. – Niestety, nie mogę powiedzieć, że mnie to zaskakuje, ale jestem przekonany, że wszystko się ułoży, jak tylko Samuel otworzy serce dla Boga.

Kiwam głową i ocieram łzę. Przypominam sobie wszystkie sytuacje, kiedy siedziałam tu ze swoim synem i się wstydziałam.

Muszę przyznać, że członkowie zboru wykazywali wobec niego dużo cierpliwości.

W dzieciństwie bił się z innymi dziećmi i podkradał ciastka. Potem było tylko gorzej. Coraz gorzej. Pewnego razu spalił w ogrodzie modlitewniki.

Nie chciał źle.

Był jedynie roztrzepany i lubił płątać figle.

Z modlitewników zbudował wieżę, która zamieniła się w dom. A dom trzeba było przecież oświetlić świeczką.

Innymi słowy, to po prostu wypadek przy pracy, że modlitewniki spłonęły. Nikt jednak tego nie rozumiał. Wręcz przeciwnie, jego wybryk odebrano jako pogański.

W szkole było identycznie. Nauczycielka wysłała go do lekarza szkolnego, który skierował go do psycholożki.

Ta stwierdziła, że Samuel ma ewidentne problemy z kontrolowaniem emocji i koncentracją. Uważała, że prawdopodobnie z tego wyrośnie.

Ja natomiast poszłam prosto do pastora.

Wspólnie modliliśmy się za Samuela. Modliliśmy się i modlili, ale najwyraźniej Pan Bóg uznał, że czas naszej próby musi jeszcze trwać, ponieważ mój syn wcale nie zmienił się na lepsze.

Przeciwnie.

Przymykam oczy i dławię płacz.

– Najważniejsze, żebyś nie przyjęła go z powrotem do domu – mówi pastor. – Jest dorosły. Musi nauczyć się popełniać błędy na własny rachunek. Jeśli za każdym razem, kiedy zrobi głupstwo, będziesz po nim sprzątać, nigdy niczego się nie nauczy. Oczekaj. Okaż więcej ufności. Kiedy Samuel będzie gotowy, wróci. A wtedy my otworzymy się na niego. Bóg otworzy się na niego – dodaje z naciskiem.

Kiwam głową, ale nie jestem w stanie wykrztusić nawet słowa. Przyjmuję jednak, że pastor ma rację. Pewnie miał do czynienia z czymś takim niejednym raz. Poza tym często mi pomagał. Kiedy Samuel ukradł datki z tacy, zgodził się nie zgłaszać tego policji, a gdy ledwie wiąźaliśmy koniec z końcem, pożyczał mi pieniądze. Funkcji opiekunki dzieci i młodzieży też nigdy nie mogłabym pełnić bez jego życzliwej rekomendacji.

– Obiecujesz mi, że tym razem nie skontaktujesz się z Samuelem? – pyta. – Czy możesz mi to przyrzec, Pernillo?

– Tak – odpowiadam szeptem i lekko się uśmiecham, ponieważ przemawia do mnie jak ojciec.

Wygląda na zadowolonego. Po chwili wiedzie po mnie wzrokiem, od czubka głowy po palce stóp. Jakbym była używanym samochodem, który zamierza kupić.

– Spotykasz się z kimś? – pyta i nieco przekrzywia głowę.

Nie rozumiem.

– To znaczy?

Karl-Johan śmieje się cicho.

– Mam na myśli jakiegoś mężczyznę. Chyba od dawna jesteś sama, a przecież jesteś jeszcze młoda.

Robi pauzę. Jego spojrzenie zatrzymuje się mniej więcej na wysokości mojego biustu.

– I ładna – dodaje. – Nie powinnaś być sama. Nie taka jest wola Boga.

Czuję się zaskoczona i zażenowana, ponieważ gdybym go nie znała, pomyślałabym, że się do mnie umizguje.

A przecież to całkiem niemożliwe.

Karl-Johan jest mężem Marii, od kiedy pamiętam. Są idealnym małżeństwem pod każdym względem i cieszą się szacunkiem całego zboru.

Nie, nie, myślę. Musiało mi się wydawać.

– Tak pastor uważa? – szepczę.

Karl-Johan potakuje i się uśmiecha, po czym wyciąga rękę i głaszcze mnie po policzku.

Przechodzi mnie dreszcz, ale znowu nie jestem w stanie wykrztusić ani słowa. Ja, która nigdy nie potrafię milczeć, po prostu zaniemówiłam.

– Na wycieczce będziemy mieli mnóstwo czasu, żeby pogadać – zauważa, następnie wkłada do ust jedną z miętówek, które ciągle ssie, i pochyla się do przodu.

– Jasne – mówię i cofam się nieco, aby uniknąć jego dotyku. Czuję coraz większy dyskomfort.

– Pomódlmy się za Samuela – proponuje i wstaje. Wygląda stare chinosa i daje mi znak ręką, abym poszła za nim.

Podnoszę się i ruszam w kierunku dużego drewnianego krzyża na ścianie. Patrę na chude ciało Jezusa starannie wykute w ciemnym drewnie.

Karl-Johan cofa się o krok i staje za mną, kładąc mi dłonie na ramionach.

– Czy wierzysz mi, kiedy mówię, że wszystko będzie dobrze? – pyta i lekko rozmasowuje mi ramiona.

– Tak – odpowiadam szeptem.

Przesuwa dłonie wzdłuż moich rąk, przybliżyła się nieco i obejmuje mnie od tyłu, po czym kładzie swoje wielkie pięści na moich zaciśniętych dłoniach.

Ta nagła bliskość jest dla mnie przykra, instynktownie mam ochotę uciec, wybiec na zewnątrz i zostawić go samego z Jezusem na krzyżu.

Lecz to niemożliwe, bo ostatecznie to nasz pastor i jako taki jest w naszym zborze następny po Panu Bogu.

Nie można o tym zapominać.

– Boże – zaczyna modlitwę – dziękujemy ci za Samuela, który jest wielkim darem. Ale w dzisiejszych czasach nie jest łatwo być młodym, gdy kusi i zwodzi tylu fałszywych bogów.

Robi pauzę i przysuwa się do mnie tak blisko, że przyciska swoje ręce do mojego biustu.

Robi mi się niedobrze, nie mam odwagi zaczerpnąć oddechu.

– Uchronź Samuela przed wszelkimi problemami – kontynuuje. – Rozpal światło w jego sercu i wskaż mu właściwą drogę. Wspomóż go, aby odnalazł harmonię i podążył za Chrystusem.

Jego brzuch przylega do moich pleców. Czuję wyraźnie zapach potu zmieszany z wonią miętówki.

– W imię Jezusa...

Przesuwa jedną nogę i przyciska krocze do mojego pośladka – ma erekcję.

Uwalniam się z jego objęć i potykając się, cofam pod ścianę. Opieram się o krzyż, żeby się nie przewrócić.

– Przestań! – krzyczę. – Przestań...

Nie przychodzi mi do głowy, co mam powiedzieć, bo kiedy naprawdę potrzebuję słów, one mnie zawodzą. Zamiast być w pogotowiu, by mnie obronić, chowają się gdzieś z tyłu głowy, zablokowane szacunkiem wobec pastora, Kościoła, Boga i jego majestatu.

Pastor z szelmowskim uśmieszkiem na twarzy wygląda jak psotny chłopiec. Ale jego oczy są zamglone i śledzą mnie, kiedy zacynam iść w kierunku drzwi.

– Co mam przestać? – pyta niewinnie.

– Ty... ty... – jąkam się – ty się do mnie dobierałeś.

Moje słowa odnoszą skutek odwrotny do oczekiwanego.

Zamiast wycofać się i przeprosić, tylko kręci głową. Już się nie uśmiecha, a jego twarz nagle tężeje.

– Ależ Pernillo – mówi tonem, który brzmi jak oskarżenie – ja nigdy bym...

– Przecież czułam. Czułam. Ciebie. Twojego... Kiedy...

– Słucham? – rzuca i unosi brwi. – Co twoim zdaniem czułaś?

Twarz mi pała, nie jestem w stanie wymówić tego słowa, nie w domu Bożym.

– Posłuchaj, Pernillo, wiem, że jesteś wytrącona z równowagi – kontynuuje pastor ciepłym tonem. – W takim stanie łatwo o fałszywą interpretację sytuacji. Zwłaszcza jeśli żyje się tak długo samotnie jak ty. Na twoim miejscu pragnienie bliskości jest całkiem naturalne. Nie ma w nim nic dziwnego. Przeciwnie, to bardzo ludzki odruch i absolutnie nie ma się czego wstydzic.

Twarz mi płonie ze wstydu.

– Oskarżę cię – oznajmiam.

– O co? – pyta, rozkładając ręce. – Przecież zawsze zależało mi na tym, żeby pomóc tobie i Samuelowi, w każdy możliwy sposób. Dobrze wiesz.

Ma rację.

Co bym powiedziała? Że mi się wydaje, że czułam jego wzwód na swoich pośladkach? Wszyscy by mnie wyśmiali i uznali, że jestem wyposzczoną babą, która po kryjomu fantazjuje o pastorze. Chora z miłości i niewdzięczna, bo przecież wszyscy wiedzą, ile dla nas zrobił.

– Moja droga – odzywa się – nie pozwólmy, aby to nieporozumienie nas poróżniło. Nasza praca z dziećmi jest bardzo ważna. Chyba podoba ci się zadanie, które zbór ci powierzył?

Gdy uzmysławiam sobie ogrom jego przebiegłości, cofam się o kilka kroków. Bo jego słowa oznaczają właściwie tyle, że muszę przestać się buntować, jeśli chcę dalej odpowiadać za pracę z dziećmi i młodzieżą.

Odwracam się i opuszczam salę. Z całych sił usiłuję iść spokojnie, jakbym nadal miała pełną kontrolę nad ciałem, ale jeszcze przed wyjściem zaczynam biec.

Narasta we mnie poczucie klęski.

Mam wrażenie, jakby odebrał mi wszystko, co było dla mnie ważne – wiarę w niego, wiarę w zbór, a może nawet w Boga. Nie wspominając, rzecz jasna, o mojej własnej godności. Chociaż ona jest chyba najmniej istotna w tej sytuacji.

Kiedy wychodzę na słońce, spoglądam na swoją przekrzywioną sukienkę. Poprawiam ją na biodrach.

Może to wszystko moja wina? Może ubrałam się zbyt wyzywająco i w ten sposób go zachęciłam.

Twarz anioła, serce węża.

Może jestem taka sama jak matka.

# Manfred

Jesteśmy na Ornö, w południowej części sztokholmskich szkierów. Panuje duchota, powietrze przesycone jest wilgocią, a skały rozmywają się w ciemności, mimo że niebieskawe czerwcowe niebo nadal pozostaje jasne. Czuć intensywny zapach morza i wodorostów, który miesza się jednak z dławiącym i słodkawym odorem śmierci.

Na skałach około pięćdziesięciu metrów przed nami rozstawione są silne reflektory i walizeczki techników kryminalnych. Dwaj mężczyźni w białych kombinezonach pochylają się na klęczkach nad czymś na ziemi.

Podchodzi do nas policjantka w mundurze i przedstawia się jako Mirjam. Wyjaśnia, że bardzo szybko ustalono, iż owo „coś” znalezione kilka godzin wcześniej przez niemieckiego turystę to zwłoki.

– Unosiły się w wodzie tuż obok skał. Wyłowiliśmy je – dopowiada.

Kilka metrów dalej jeden z jej kolegów rozmawia przez telefon.

– Oglądała je nasza patolog – uzupełnia. – Niestety, ciało uległo już takiemu rozkładowi, że niewiele widać. Chciała, żeby cała... pozostałość... trafiła w stanie nienaruszonym do zakładu medycyny sądowej. Na razie powiedziała, że jest to prawdopodobnie mężczyzna i że nie żyje już od jakiegoś czasu. Dlatego nie musiała przeprowadzać od razu na miejscu dokładnego badania.

Spoglądam na taflę wody rozciągającą się przed nami jak bezkresny czarny jedwab.

– Co jest tam dalej? – pytam.

Mirjam wskazuje głową w kierunku horyzontu.

– Trochę szkierów i kilka mniejszych wysepek. A potem już tylko otwarte morze. Na wschodzie leży Estonia, a na północnym wschodzie Finlandia. Na zachód stąd... – Urywa i odwracając się w stronę stałego lądu, kontynuuje: – Poza Ornö jest jeszcze Aspö i kilka innych wysp. Najbliższa miejscowość to Dalarö na północnym zachodzie. Chyba stamtąd przyплыnęliście?

Potwierdzam skinieniem głowy.

Technicy robią zdjęcia z użyciem lampy błyskowej i oślepiają mnie na sekundę. Widzę jedynie ciemność. Znad wody niesie się odgłos oddalającej się motorówki.

W odległości około pięćdziesięciu metrów stoi grupka poszeptujących między sobą ludzi. To pewnie ciekawscy mieszkańcy wyspy.

– Rozmawiałaś z nimi? – pytam Mirjam, wskazując na nich.

Kręci przecząco głową.

– Zrób to – mówię. – I spisz ich nazwiska i dane kontaktowe.

– Okej – odpowiada policjantka z pewnym wahaniem w głosie. Następnie odwraca się i rusza w stronę zgromadzonych.

– Obejrzymy? – rzuca Malin, wskazując na zwłoki nad wodą.

– Chyba powinniśmy.

Schodzimy niżej po lekko nachylonej kamiennej płycie, witamy się z technikami i przykucamy przy pakunku.

W jaskrawym świetle reflektorów pod wilgotnym białym materiałem wyraźnie odznacza się zarys ciała. Widzę kontur jednego ramienia i jednego biodra. Gruby, zardzewiały łańcuch, podobny do tego, jakiego użyto do zatopienia Johanna Ahonena, jest okręcony kilka razy dookoła materiału. Tu i ówdzie na ogniwach osiadły wodorosty i glina. Spod płótna wystaje dłoń.

Pochyliam się, aby przyjrzeć się jej bliżej.

Skóra jest pomarszczona i odstaje na nadgarstku, wywołując wrażenie, jakby dłoń była w cienkiej plastikowej rękawiczce.

W ciągu minionych lat widziałem wystarczająco dużo topielców, by wiedzieć, że to normalne. Bywa, że po kilku dniach w wodzie skóra na dłoniach i stopach odchodzi wręcz całkowicie – jak skarpety czy właśnie rękawiczki.

Mirjam dołącza do nas i staje obok, kierując spojrzenie na wodę. Wygląda na to, że nie chce patrzeć na ciało, co doskonale rozumiem. Trzeba wieloletniej praktyki, by umieć zapanować nad naturalnym odruchem odwracania wzroku od śmierci.

– Kto znalazł ciało? – pytam ją.

– Niejaki Heinz Schwarz – bąka. – Pięćdziesiąt dziewięć lat, zamieszkały w Hanowerze, na wakacjach ze swoim włoskim partnerem Silviem. Był sam na spacerze i zauważył coś unoszącego się w wodzie przy skałach. Zszedł niżej, żeby zobaczyć, co to jest. Kiedy się przekonał, że to zwłoki, zawiadomił służby ratunkowe.

– Od jak dawna ten Heinz jest tutaj?

– Zdaje się, że przyjechał do Szwecji wczoraj. Miał spędzić tydzień na szkierach. Ale teraz chce już wrócić do domu. Przeżył spory szok.

Jeden dzień w Szwecji. Heinz i jego włoski przyjaciel raczej nie mają nic wspólnego z tym zdarzeniem, rozważam.

– Spisałam jego zeznanie – dodaje Mirjam.

– To dobrze – mówię, po czym zwracam się do Malin: – Co o tym myślisz?

– Że istnieje związek – odpowiada, zakładając długi kosmyk ciemnych włosów za ucho. – Ten, kto zatopił Ahonena, tutaj zrobił to samo.

Kiedy wracam do domu, Afsaneh jeszcze nie śpi.

Wita mnie w przedpokoju serdecznym uściskiem. Jest po kąpielii i ma mokre włosy, z których kapie mi na przedramię.

– Biedaku – mruczy. – Przeciągnęło się.

– No, niestety.

Nagle się odsuwa i ściąga brwi.

– Paliłeś?

– Nie – kłamię.

– Hm – bąka podejrzliwie. – Napijesz się herbaty i zjesz kanapkę?

– Chętnie – odpowiadam i całuję ją w czoło.

Przechodzimy do kuchni.

– Wiesz co – mówi i zatrzymuje się pośrodku. – W następnym tygodniu zamierzam iść na kilka spotkań.

– Spotkań? Dołączyłaś do jakiejś grupy AA?

Afsaneh uśmiecha się z politowaniem.

– Bardzo śmieszne. Chodzi o spotkania zawodowe.

Nieruchomieję, ponieważ czuję, że zanosi się na coś poważnego.

Od wypadku Nadji Afsaneh jest na zwolnieniu lekarskim.

– Świetnie – mówię.

– W sprawie Projektu – wyjaśnia. – Jestem go bardzo ciekawa.

Projekt to interdyscyplinarny program badawczy, którego celem jest analiza, w jaki sposób nowe technologie, głównie internet i media społecznościowe, wpływają na ludzi. Poza Afsaneh i jej kolegą Martinem, psychologami, do zespołu badawczego należą też lekarze, neurobiolodzy i eksperci IT.

Po obronie doktoratu i objęciu posady na Uniwersytecie Sztokholmskim Afsaneh skupiła się głównie na badaniu interakcji między człowiekiem a maszyną – ze szczególnym uwzględnieniem środków transportu, takich jak samochody, łodzie i samoloty. Ale wraz z przyłączeniem się do Projektu jej obszar zainteresowań będzie musiał się poszerzyć także o inne dyscypliny.

– Nie przeczę, że ma to też związek z tym, że sama ostatnio bardzo dużo czasu spędzam w internecie – dodaje Afsaneh i uśmiecha się niepewnie. – I przekonuję się na własnej skórze, jak sieć łączy ludzi.

– Co ma dobre i złe strony – wtrącam.

Afsaneh wzrusza ramionami.

– Możliwe. Ale można też znaleźć w niej mnóstwo miłości i mnóstwo zrozumienia. Spotkać tylu ludzi, którzy dzielą te same doświadczenia i ten sam ból.

– I całą masę idiotów.

Afsaneh unosi jedną z perfekcyjnie wypielęgnowanych ciemnych brwi, jakby chciała zaznaczyć, że odnotowała moje zastrzeżenia, ale puszcza je mimo uszu. Następnie uśmiecha się szeroko – wygląda na to, że dzisiaj nawet moje wrogie nastawienie do nowoczesnych technologii nie jest zdolne wyprowadzić jej z równowagi.

– Zjesz coś?

– Może.

Zapala świeczkę i włącza wodę na herbatę. Ja nakrywam do stołu.

Dopiero gdy stawia na stole dzbanek z herbatą i tacę z kanapkami, zauważam swój błąd.

Przygotowałem trzy nakrycia.

Na miejscu Nadji postawiłem talerzyk i szklanę. Musiałem zrobić to całkowicie odruchowo.

Truchleję, kiedy widzę, jak Afsaneh błądzi spojrzeniem.

– Przepraszam – bąkam. – Nie wiem, co mi przyszło do głowy. Jestem cholernie zmęczony. Wybacz!

Ale jej reakcja jest zupełnie inna, niż się obawiałem.

Zamiast zamknąć się w sobie i wybuchnąć płaczem, podchodzi do mnie, przytula się i śmiejąc się, szepcze mi do ucha:

– Ty wariacie. Zostaw. Później to sprzątnę. Poza tym ona już niedługo wróci. I znowu będziemy we troje.

Jej słowa sprawiają, że ściska mnie w piersi.

Owszem, lekarze zaczną stopniowo redukować dawki leków, ale wybudzenie Nadji potrwa wiele dni.

O ile ona w ogóle się obudzi.

Nie mam odwagi myśleć, co będzie, jeśli tak się nie stanie. Gdzie znajdzie ujście na nowo odnaleziona energia i radość Afsaneh. Jakie czeka nas życie, jeśli Nadja odejdzie na dobre.

Ale moje wątpliwości pozostają niezauważone.

– Jesteś szalony – mówi i całuje mnie żarliwie. Pierwszy raz od tamtego zdarzenia.

Kiedy nasze dziecko spadło na twardy asfalt.

## CZĘŚĆ II

---

# Burza

*Ale PAN zesłał na morze gwałtowny wiatr, i powstała wielka burza na morzu, tak że okrętowi groziło rozbicie. Przerazili się więc żeglarze i każdy wołał do swego bóstwa (...).*

Księga Jonasza 1, 4–5

# Samuel

Rakel spotyka się ze mną koło portu.

Parkuje czarne volvo, podchodzi do mnie i się wita, a jednocześnie zerka na mój prawie pusty plecak. Chyba wiem, co sobie myśli. Czy ktoś, kto podejmuje pracę w zupełnie nowym miejscu, nie powinien mieć trochę więcej rzeczy?

Prostuję plecy i za wszelką cenę staram się nie wyglądać jak ktoś, kto ucieka przed walniętym rosyjskim królem narkotykowym i spał wiele nocy w jakichś pieprzonych chaszczach.

Dzisiaj ma włosy upięte w kok. Kilka ciemnych kosmyków wysunęło się spod spinek i opada jej na kark. Poza tym wygląda dokładnie tak samo jak wczoraj. Bez makijażu, ubrana w zwykłą białą męską koszulę i wytarte dżinsy.

– No dobrze – mówi i rzuca okiem na motocykl Igora. – Możesz jechać za mną. To niedaleko, tylko kilka kilometrów. Ale nie rozpędzaj się. Droga jest kiepska.

Kiwam głową i siadam na motor.

Rakel wskakuje do auta, uruchamia silnik i rusza w kierunku głównej szosy. Po kilkuset metrach skręca w prawo w polną drogę, tak wąską, że chyba w ogóle bym jej nie zauważył, gdybym nie jechał za nią.

Mijamy sosnowy las, a potem mały most. Między skałami lśni spokojna tafla wody. Nie marszczy jej nawet delikatny letni wiatr. Oślepia mnie słońce i mimo woli mrużę oczy w momencie, gdy Rakel coś wymija. Sekundę później w nawierzchni ukazują się dwie wielkie dziury i w ostatniej chwili udaje mi się odbić w bok.

Miała rację, droga jest gówniana.

Zwalniam, żeby zwiększyć odległość od volva.

Trasa wije się przez las i pagórki. Czuć intensywny zapach igliwia i ziemi. Tu i ówdzie od skał oderwały się kamienie i stoczyły się na drogę. Muszę jechać zygzakiem między nimi i dziurami, których jest chyba coraz więcej.

Wreszcie dostrzegam bramę, a za nią podjazd prowadzący chyba do domu.

Rakel zatrzymuje się obok pomalowanego na biało drewnianego płotu. Ustawia samochód na trawie przy drodze i wysiada. Następnie macha do mnie.

Zostawiam motocykl dwa metry za volvem i podchodzę do niej.

– Mieszkacie na wyspie? – pytam.

Kobieta potwierdza skinieniem głowy.

– Dzięki mostkowi się tego nie czuje. Wcześniej docierało się tu łodzią ze Stuvskär.

Gdy lekko się uśmiecha, delikatne zmarszczki wokół oczu znowu stają się widoczne.

Jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, za grupą chudych sosen, widzę jej dom – białą willę z zielonymi okiennicami i ramami okien.

Nie widać żadnych innych zabudowań.

– Dużo ludzi tu mieszka? – pytam, rozglądając się wkoło.

Słychać jedynie śpiew ptaków i daleki odgłos motorówki.

– Nie, na stałe tylko dwie rodziny. Poza tym jest kilka domków letniskowych.

Przy ostatnim zdaniu Rakel trochę kręci nosem. Wygląda na to, że nie przepada za letnikami. Jak gdyby czytała w moich myślach, szybko dodaje:

– Nie, nie, nie mam nic przeciwko nim. Właściwie wiele im zawdzięczamy, bo gdyby nie oni, nie mielibyśmy połączenia promowego, knajpy w porcie czy sklepu spożywczego. Byłeś już w nim?

– Tak – mówię, przypominając sobie kanapki, które ukradłem.

Na myśl o jedzeniu czuję, jak kurczy mi się żołądek. Z głodu nie mogłem w nocy zasnąć, a potem przyśniło mi się, że jestem w McDonalddie.

– To bardzo wygodne, że można tam podjechać i kupić brakujące rzeczy. Chociaż asortyment jest dosyć szczegółny. Granaty, homary, japońska wołowina to nie są artykuły, których potrzebuje rodzina z dziećmi za pięć dwunasta we wtorek. Ale pewnie na takich artykułach zależy letnikom. Bo im nie brakuje pieniędzy i mają specjalne wymagania.

Rakel rusza w stronę domu, a ja z nią. Jej cienka koszula powiewa pod wpływem ruchu i pod światło widać dokładnie zarys jednej piersi.

– Wcześniej wyglądało tu inaczej – dodaje. – Stuvskär było osadą rybacką. W sieci łowiono dorsze i śledzie, w klatki łapano węgorze. Każda rodzina miała własną wędzarnię opalaną jałowcem i drewnem olchowym. Ludzie nie gardzili wtedy żadnymi rybami, jedli i płocie, i leszcze, a dziś wyrzuca się je z powrotem do morza.

Przechodzimy przez furtkę do ogrodu. Są w nim kwitnące drzewa owocowe, a na rabacie w kształcie elipsy przed wejściem rosną krzewy róż. Narożnik domu zasłaniają bzy o jasnozielonych sercowatych liściach z przekwitłymi suchymi kiściami kwiatów. Zapach soczyście zielonej trawy aż kłuje w nosie, a pasy pozostawione przez kosiarkę są tak wyraźne, że Rakel musiała chyba skosić trawnik tuż przed wyjazdem po mnie.

Sam dom jest stary, ale malowniczy, jakby ktoś przewiózł go tutaj gigantyczną ciężarówką prosto z Bullerbyn. Do drzwi wejściowych prowadzą schodki, niemal w całości zakryte specjalną rampą dla wózka inwalidzkiego. Na ganku stoją doniczki z różowymi kwiatami, które znam.

Nie wiem, jak się nazywają, ale identyczne są u mamy w kuchni.

Na wspomnienie o niej czuję ból i stwierdzam, że naprawdę mi jej brakuje, chociaż jest cholernie upierdliwa i nie daje mi spokoju.

Ale nie tym razem.

Tym razem w ogóle się nie odezwała.

Pewnie jest szczęśliwa, że w końcu się ciebie pozbyła i uwolniła od wszystkich twoich cholernych problemów.

Ignoruję ten wredny głos i spoglądam na dom.

W oknach na parterze są ozdobne żelazne kraty. W środku wiszą koronkowe firanki.

Rakel wskazuje na rampę.

– Czasami wyprowadzamy Jonasa na dwór. Najczęściej na taras po drugiej stronie domu, stamtąd jest widok na wodę. Ta platforma leży na stałe. Na wypadek... – Przerywa, a po chwili dodaje cichym i łamiącym się głosem: – ...na wypadek, gdyby mu się poprawiło.

Podchodzi po schodkach do drzwi, wyjmuje ciężki pęk kluczy i przekręca jeden z nich w zamku.

– Witaj! – mówi. – Może najpierw oprowadzę cię po domu.

Przedpokój wygląda jak przeniesiony ze starych filmów – ściany są wyłożone niebieskimi panelami z kwiecistą bordiurą na wysokości piersi. Po prawej przymocowane są wieszaki na okrycia. Pod jedną ścianą stoi wąski szary stolik, a na nim wazon z czerwonymi różami, pochodzącymi chyba z ogrodu.

Zdejmuję sneakersy i stawiam je obok pary dużych męskich butów. Potem idę za Rakel do kuchni. Jest duża i pomalowana w delikatnym żółtym odcieniu. Znajduje się w niej zarówno tradycyjna kuchenka na drewno, jak i nowoczesna płyta grzejna z czarnego szkła.

Na płycie stoją duży emaliowany garnek i rondel. Pachnie mięsem i ziołami.

Kręci mi się w głowie.

– Zrobiłam gulasz – informuje Rakel. – Pomyślałam, że pewnie będziesz głodny. Możesz potem zjeść, jeśli masz ochotę. I bierz sobie z lodówki i ze spiżarni, co tylko chcesz.

Z kuchni przechodzimy do dużego, pomalowanego na biało pokoju z białymi kanapami i fotelami. Pod ścianami stoją regały pełne książek i bibelotów. Obok zdjęcia w ramkach widzę dużą niebieską paterę na nóżce. Wygląda identycznie jak szklany talerz do ciasta mamy.

Podchodzę bliżej.

Na paterze leży zegarek i futerał na telefon komórkowy w liście marihuany.

Może zanim Jonas doznał urazu mózgu, był całkiem równym gościem?

Rakel patrzy na mnie badawczo.

– Mama ma dokładnie taką samą – mówię, wskazując na niebieskie naczynie, na co ona kiwa głową i pozostawia to bez komentarza.

Przechodzę dalej.

Ogromne, podzielone szprosami okna i podwójne drzwi wypełniają całą ścianę. Za nimi rozpościera się morze, bezkresne i połyskujące błękitem w przedpołudniowym słońcu.

Z daleka widzę kilka skalistych wysepek i latarnię.

– Wow – wymyka mi się mimo woli, na co Rakel tylko się uśmiecha jak kiepska kopia Mony Lizy i podchodzi do jednego z okien.

Idę za nią i dopiero wtedy odkrywam, że podwójne drzwi prowadzą na taras. Rakel otwiera je i przestępuje próg.

Taras jest duży, ma na oko co najmniej trzydzieści metrów kwadratowych i otacza go niska, pomalowana na biało balustrada. Na drewnianej podłodze stoją leżaki i zestaw wypoczynkowy.

Podchodzimy do barierki. Zapiera mi dech w piersi.

Tuż przede mną strome ściany skalne opadają ku morzu. W ich szczelinach rosną wrzosi, chwasty i krzaczki jagód. Drewniane schody prowadzą wzdłuż urwiska do pomostu w dole, co najmniej dwadzieścia metrów pod nami. Obok pomostu majaczy za zaroślami szopa na łodzie.

– Jak widzisz, nie możemy sprowadzić Jonasa nad wodę – mówi Rakel z nutą smutku w głosie. – Choć w gruncie rzeczy nie ma to większego znaczenia, ponieważ on i tak nie umiałby tego docenić. Ale ty możesz schodzić na dół, kiedy tylko zechcesz. Ja często kąpię się rano w morzu. Nie jest to na pewno ciepła kąpiel, ale za to... – wybucha śmiechem i dopiero po chwili kończy zdanie: – ...bardzo orzeźwiająca.

– Rozumiem.

– Idziemy dalej? – zwraca się do mnie i wchodzi z powrotem do salonu. Ruszam za nią.

– To jest sypialnia moja i Ollego – wyjaśnia, wskazując kolejne drzwi. – Przylega do pokoju Jonasa. Jest tu też łazienka, ale chyba lepiej, żebyś korzystał z innej, na górze. Pokażę ci jeszcze twój pokój, a potem zajrzemy do Jonasa.

Idziemy po spiralnych schodach łączących salon z piętrem. Wchodzimy do pomieszczenia pełnego kanap i regałów biegnących wzdłuż wszystkich ścian. Wygląda niemal jak biblioteka.

Podobnie jak w salonie duże i podzielone szprosami okna wychodzą na morze.

– To pokój dzienny – wyjaśnia Rakel. – A tam jest pracownia Ollego – dodaje, wskazując na drzwi. – Jaskinia, w której pisze. Kiedy w niej nie pracuje, jest

zamknięta.

Odwraca się do drugiej ściany. Jest w niej para kolejnych drzwi obudowanych półkami z książkami.

– Tam jest twoja sypialnia i łazienka – oznajmia i otwiera drzwi po prawej.

Pokój jest duży, utrzymany w niebieskoszarym kolorze. Mama nazwałaby go gołęmbim. Na podwójnym łóżku leży białe prześcieradło i duże, miękkie poduszki – jak w luksusowym hotelu. Pościelenie wygląda tak kusząco, że najchętniej od razu bym się na nie rzucił, lecz oczywiście tego nie robię. Ściągam jedynie z ramion plecak i stawiam go przy łóżku, po czym idę za gospodynią do łazienki, która jest mała i nie najnowsza, ale bardzo czysta. Ściany pokrywają musztardowe kafelki. Popękane lustro wisi nad staromodną umywalką, a za zasłoną w kropki mieści się prysznic.

– To co? – mówi przeciągle Rakel. – Może teraz odwiedzimy Jonasa?

Na specjalnym łóżku leży chłopak w moim wieku o krótkich brązowych włosach. Jest blady i chudy. Ma ostre rysy, wystające kości policzkowe i duży nos. Małe nabrzmiałe usta wyglądają jak robak, którego ktoś położył mu pośrodku twarzy, z nosa zaś wystaje cienki przewód przyklejony do policzka kawałkiem brązowego plastra.

Obok łóżka stoi dziwny metalowy stelaż z czymś w rodzaju niebieskiej huśtawki zawieszanej na czarnych pasach. Nie wiem, co to dokładnie jest, ale domyślam się, że to urządzenie służące do podnoszenia Jonasa z łóżka. Znowu zerkam na niego.

Gdybym nie wiedział, że jest chory, uznałbym, że po prostu śpi, ponieważ w ogóle nie wygląda tak, jak sobie wyobrażałem – nie ma powykrecanych rąk, nie ślini się i nie dygocze, nie wydaje też żadnych nieartykułowanych dźwięków.

Wydaje się tylko nieobecny.

Kompletnie nieświadomy, jak zombie.

Rozglądam się po pokoju.

Na ścianach wiszą rysunki samochodów, Jonas zombie musiał je wykonać, kiedy był młodszy, bo wyglądają dziecinnie i ludzie siedzący w autach przypominają ludziki z kresek. Tu i ówdzie widać plakaty filmowe. Na haczyku blisko okna zawieszona jest para związanych butów futbolowych i mała flaga drużyny piłkarskiej Hammarby.

Czuję się nieswojo.

Rakel podchodzi do łóżka i siada na taborecie. Daje mi znak, abym usiadł w niedużym, staroświeckim fotelu stojącym po drugiej stronie.

– Wstawiłam go specjalnie dla ciebie – mówi. – Żeby było ci wygodnie. Bo będziesz spędzał tutaj całkiem sporo czasu.

Zapadam się w wysiedzianym fotelu i kładę dłonie na kolanach. Ogarnia mnie lęk. Atmosfera tego pokoju, widok chłopaka unieruchomionego chorobą i wyglądającego

prawie jak lalka przepętniają mnie paniką.

W co ja się wpakowałem? Czy na serio mam tkwić tutaj sześć godzin dziennie za sto jedenaście koron za godzinę?

Jak mogłem być tak durny?

Rakel czule głaszcze syna po głowie.

– Przyszedł Samuel – szepcze. – Będzie dotrzymywał ci towarzystwa, kiedy ja będę pracować.

Chłopak nie reaguje.

– Będzie ci czytał książki – mówi dalej. – I puszczał muzykę. Spodoba ci się, prawda?

Jonas nawet nie drgnie, leży jak kłoda, z martwą twarzą i zamkniętymi oczami. Zupełnie nic nie wskazuje na to, że cokolwiek słyszy albo rozumie, co ona do niego mówi.

Rakel pochyła się nad nim i całuje go w policzek. Dotyka plastikowego wężyka wystającego mu z nosa.

– Jonas jest karmiony przez sondę – wyjaśnia. – Ale akurat tym nie musisz się zajmować. To moja sprawa.

Potem bierze z nocnej szafki tubkę kremu do rąk, wyciska go sobie trochę na rękę i zaczyna nacierać nim dłoń syna.

Nad szafką wisi kalendarz, w którym ktoś – prawdopodobnie ona – przekreślił krzyżykiem wszystkie daty w czerwcu aż do dzisiejszego dnia.

– Ma strasznie suche dłonie – odzywa się. – Smaruję mu je kilka razy dziennie. A jeśli pamiętam, nakładam też cerat.

Zerkam na nocną szafkę. W niedużym wazonie stoi samotna czerwona róża, a obok leżą szczotka do włosów i pomadka do ust.

Rakel podnosi drugą dłoń Jonasa i też wciera w nią krem. Powoli i dokładnie, aż po opuszki palców.

– No? – zwraca się do niego. – Przyjemniej, prawda?

Jonas postękuje, na co Rakel się uśmiecha.

– On wie, że tutaj jesteś – mówi do mnie, wolno kiwając głową.

Żołądek zaciska mi się coraz mocniej, nie tylko z głodu, ale i z przerażenia. Wiodeę wzrokiem po pokoju, przez plakaty i rysunki po tylną ścianę z półkami pełnymi pudełek z lekarstwami, plastikowych torebek, jednorazowych rękawiczek i rolek papierowych ręczników.

Na małym stoliku obok widzę kilka fotografii Rakel i chłopca. Na jednej z nich uśmiechają się prosto do kamery, w tle widać jakąś plażę. Na innej stoją na trasie narciarskiej. Przy stoliku znajduje się głośnik, a obok leży książka.

– Wystarczy, że będziesz tylko dotrzymywał Jonasowi towarzystwa – mówi Rakel, patrząc mi w oczy. – Zwykle jest spokojny, ale czasami robi się nerwowy albo łapią go skurcze. Wtedy masz mnie od razu zawołać. Rozumiesz?

Kiwam głową i staram się nie zerkać w jej dekolt, z którego wystaje jedna pierś.

Przełykam głośnie.

– To nic strasznego – dodaje z uśmiechem.

Leżę na wielkim łóżku z puszystymi poduszkami. Jest tak wygodne, jak przypuszczałem. Brzuch mam pełen gulaszu z ziemniakami, moja skóra paruje po długim i gorącym prysznicu, ale potrafię myśleć jedynie o tym, że muszę jak najszybciej stąd spieprzać.

Jak najdalej od Rakel i Jonasa zombie, jak najdalej od skał i sosen, a także od sklepiku, w którym turystom sprzedaje się homara i hummus.

Spoglądam na komórkę na nocnej szafce; jest srebrzysta i cicha jak martwa ryba.

To cholernie irytujące, że nie można z niej skorzystać.

Kiedy człowiek tak leży w łóżku, całkiem odcięty od świata, to jest zupełnie tak, jakby ten świat w ogóle nie istniał.

Świat istnieje w środku, pod tą metalową obudową. To tam jest życie.

Liam, Alexandra i Jeanette. I rzecz jasna także Igor – nie sposób od tego uciec. I matka.

A wszystko inne – dom, w którym jestem, zachodzące słońce odbijające się w morzu, Rakel, Jonas – wydaje się jakby nierzeczywiste.

Próbuję ułożyć jakiś plan.

Mogę zostać jeden dzień albo dwa. Może w domu jest coś wartościowego, co mógłbym podprowadzić, zanim prysnę, i co mógłbym sprzedać w internecie, żeby mieć za co żyć przez jakiś czas.

Pokonuje mnie zmęczenie i wreszcie zamykam oczy.

Widzę twarz mamy. Uśmiecha się do mnie, a złoty krzyżyk na jej szyi lśni, jakby oświetlała go mocna lampa.

– Musisz dopuścić Jezusa do swojego serca, Samuelu – szepcze, pochyla się nade mną i całuje mnie w usta, trochę za długo, by to było miłe.

Kiedy się prostuje, ma twarz nie swoją, tylko Rakel.

# Pernilla

**T**rawa wokół żółtego drewnianego domku sięga prawie do kolan, a jabłonie stoją obsypane kwiatami.

Zamykam za sobą zardzewiałą furtkę i idę ścieżką do wejścia, wyjmując jednocześnie z kieszeni pęk kluczy.

Jest ciepło, naprawdę ciepło, otacza mnie śpiew ptaków i brzęczenie trzmieli.

Otwieram i wchodzę do dobrze mi znanego przedpokoju.

Czuć w nim trochę stęchlizną i jakby grzybem, ale poza tym wszystko jest po staremu. Buty ojca stoją na półce w dwóch równych rzędach, a ubrania wiszą na identycznych wieszakach pod półką na czapki.

Kładę plik listów i gazet na komódce pod lustrem. Przerzucam pocztę, żeby sprawdzić, czy jest coś pilnego, i wsuwam kilka rachunków do torebki.

Nie znam danych bankowych ojca, ale mam nadzieję, że są w jego zielonym biurku. Jeśli ich nie znajdę, będę musiała sama opłacić jego rachunki, mimo że nie mam już prawie nic na koncie.

Ojciec nie lubi, kiedy płatności nie są regulowane na czas.

Zrzucam z nóg buty i wchodzę do kuchni.

Wszystko wygląda jak zawsze.

Przez okno widzę, jak woda iskrzy się w słońcu. Wysoki krzew różany, który już dawno powinien być przycięty, zasłania niemal całą prawą część szyby.

Podchodzę do lodówki; otwieram ją, przygotowana na to, że zastanę w niej resztki jedzenia, ale okazuje się, że jest pusta i wyłączona. Uderza mnie słaby zapach środka czyszczącego, a kiedy przesuwam palcem po szklanej półce, jest tak czysta, że niemal skrzypi pod moim dotykiem.

Ojciec zdążył opróżnić lodówkę i ją umyć.

Rozglądam się dookoła.

Piekarnik jest otwarty, a wyjęte z niego blachy stoją na kraciastej ścierece rozłożonej na blacie szafki. Obok widzę napoczętą paczkę wełny stalowej.

Cały ojciec – najwyraźniej zrobił porządku, żebym nie miała tego na głowie.

Kiedy uzmysławiam sobie, ile się napracował, aby mi ulżyć, od razu ogarnia mnie smutek i jednocześnie dopadają mnie wyrzuty sumienia, co dodatkowo pogarsza mój

i tak kiepski nastrój. Przypominam sobie Samuela i oddech pastora na karku, kiedy się do mnie przyciskał.

Przechodzę do sypialni.

Od słońca wpadającego przez okno jest w niej ciepło, a nawet duszno. W stożku światła przecinającym pokój unoszą się mikroskopijne drobiny kurzu, na pozór nieważkie zdają się szybować coraz wyżej i wyżej.

Podwójne łóżko jest starannie zaścielone, a duża narzuta, którą uszyła mama, kiedy byłam mała, leży złożona w nogach. Na nocnej szafce widzę Biblię, tłumaczenie z tysiąc dziewięćset siedemnastego roku, jego ulubione, chociaż kiedy wygłasza kazania, korzysta z nowych przekładów. Dookoła niej stoją różnej wielkości fiołki z lekarstwami.

Podchodzę do zielonej komody pod oknem. Przykucam i wysuwam górną szufladę.

Jest pusta.

Następna także, ale w najniższej znajduję dużą brązową kopertę.

„Pernilla” – napisał na niej tata drżącą ręką.

Biorę kopertę i zamykam szufladę, a potem siadam na łóżku, niezdecydowana, co zrobić. Jest najwyraźniej przeznaczona dla mnie, ale nie mam pojęcia, co to takiego. Nie wiadomo, czy ojciec chciałby, żebym zaglądała do niej właśnie teraz. Z drugiej strony, może są tam jego dane bankowe i jakieś inne praktyczne informacje, które mi się przydadzą.

W końcu zwycięża ciekawość i jednym palcem rozrywam starannie zaklejoną kopertę.

W środku jest pięć listów, wszystkie otwarte i adresowane do mnie. Patrzą na stemple pocztowe. Najstarszy został nadany kilka dni przed moimi dziesiątymi urodzinami.

Wyjmuję pognieciony papier listowy z żółtymi kwiatkami w prawym rogu i rozkładam go.

Najdroższa Pernillo,

mam nadzieję, że dobrze się miewasz i wszystko u Was w porządku! Jak pisałam Ci wcześniej, strasznie, strasznie za tobą tęsknię i bardzo chciałabym Cię zobaczyć. Może spytaj tatę, kiedy mogłybyśmy się spotkać?

Zaraz skończysz dziesięć lat – to wielki dzień. Gorąco pragnęłabym obchodzić go z Tobą, ale wiem, że jesteś pod dobrą opieką taty i członków naszego zboru.

Tak dużo chciałabym Ci wyjaśnić, chyba jednak lepiej, jeśli zrobię to, kiedy się zobaczymy. Żeby niektóre rzeczy zrozumieć, potrzeba czasu, a to jest właśnie jedna z takich rzeczy.

Musisz wiedzieć, że ogromnie Cię kocham i brakuje mi Ciebie każdego dnia, ale Twój tata i ja po prostu nie mogliśmy żyć razem.

To nie ma nic wspólnego z Tobą, mój mały żuczku!

Życzę Ci pięknych urodzin i mam nadzieję, że niedługo się spotkamy. Pocztą wysłałam Ci też prezent.

Gdybyś chciała do mnie napisać, adres jest na odwrocie koperty.

Całuję Cię i przytulam

Mama

Żołądek mi się zaciska, jakby ktoś przyłożył mi w niego pięścią. Zginam się wpół i chwytam brzegu łóżka, żeby nie upaść.

Co to jest?

Przecież matka nie chciała mieć ze mną żadnego kontaktu, porzuciła mnie. A nieliczni odlegli krewni z jej strony zachowali się tak samo.

Wysyłała do mnie listy?

Dlaczego ojciec nigdy mi o tym nie powiedział? Postanowił, że dostanę je po jego śmierci?

List, znajomy charakter pisma i promienie słońca oblewające stary dywanik ciepłym światłem budzą wspomnienia, które już dawno ulotniły się z mojej pamięci.

Zapach mamy: mieszanina kuchennych woni, potu i perfum. Długie włosy, prawie zawsze wysoko upięte, i aż zbyt ładna, niemal lalkowata twarz.

I ten zwrot: „mały żuczku”.

Kiedy mój wzrok jeszcze raz zatrzymuje się na tych dwóch słowach, wręcz słyszę jej głos, jakby stała tuż obok i szeptała mi do ucha.

„Mały żuczku, mój kochany mały żuczku”.

Do oczu napływają mi łzy i wcale nie próbuję ich powstrzymać. Płyną mi po policzkach i dalej, po szyi.

Rozrywam pozostałe koperty i czytam po kolei resztę listów.

Trzy następne są bardzo podobne do pierwszego. Matka życzy mi wesołych świąt Bożego Narodzenia, składa życzenia z okazji urodzin i imienin, pisze, że mnie kocha i chce się ze mną zobaczyć. Ale w ostatnim liście, napisanym kilka tygodni przed jej śmiercią, wyczuwam narastającą desperację i napastliwość. Pyta mnie, dlaczego się nie odzywam, chociaż ona napisała do mnie tyle razy, wysyłała prezenty i tak bardzo zależy jej na spotkaniu ze mną. Zastanawia się, czy się na nią przypadkiem nie gniewam, i sugeruje, że być może ma z tym coś wspólnego ojciec.

Przy ostatnich zdaniach sztywnieję, ponieważ nie mogę uwierzyć własnym oczom. Czytam ten fragment kilka razy, żeby się upewnić, że się nie mylę.

Pernillo, mój kochany mały żuczku, jesteś już na tyle duża, że powinnaś poradzić sobie z prawdą. Twój ojciec był apodyktycznym mężem i manipulatorem. Jego słowa sprawiały większy ból niż jego uderzenia i w końcu nie widziałam innego wyjścia niż opuszczenie domu. Kazał mi obiecać, że nie będę Cię szukać, a ja głupia się na to zgodziłam. Potrzebowałam pieniędzy, które mi dawał. Ale teraz nie zamierzam już go dłużej słuchać. Przyjadę na Twoje trzynaste urodziny!

Opadam bezwładnie na miękkie łóżko z listem w dłoni.

Czy to możliwe? Ojciec zapłacił jej, żeby trzymała się z daleka, czy też jest to jeszcze jedno z jej kłamstw? Bo że była zdolna do wszelkich kłamstw, wiedział każdy w okolicy – kto zdradza męża z sąsiadem, czyni kłamstwo swoim sprzymierzeńcem.

Twarz anioła, serce węża.

Potem kompletnie obojętnie. Spoglądam na list i próbuję pojąć to, co w nim jest.

„Przyjadę na twoje trzynaste urodziny!”

Ale właśnie wtedy umarła, w moje trzynaste urodziny. I nagle dociera do mnie, dlaczego była w pobliżu naszego domu.

Jechała spotkać się ze mną.

Chowam głowę w patchworkową narzutę i płaczę tak, jak nie płakałam od czasów dzieciństwa. Wszystkie zamknięte w mojej piersi uczucia naraz się uwalniają, zamieniają w rwącą rzekę i wylewają z oczu i nosa, wsiąkają w starą narzutę mamy.

Znowu mam dziewięć lat, a mama leży naga na kanapie z sąsiadem.

Mam trzynaście lat i matka zabija się w samochodzie zaledwie kilka kilometrów stąd.

Mam osiemnaście lat, jestem sama i w zaawansowanej ciąży.

Mam trzydzieści sześć lat, mój ojciec jest umierający, syn zniknął, a ja zostałam oszukana przez wszystkich, którym ufałam.

Nagle tak bardzo brak mi Samuela, że aż czuję ból w piersi. To doznanie jest tak dojmujące i tak namacalne, że zaczynam jęczeć. Nabieram przekonania, że popełniam błąd, nie odzywając się do niego. Przecież mamy jedynie siebie i tylko to ma jakiegokolwiek znaczenie.

Wyjmuję komórkę i próbuję się do niego dodzwonić, od razu jednak odzywa się poczta, jakby miał wyłączony telefon.

W drodze powrotnej do domu kilkakrotnie usiłuję się z nim połączyć. Na stacji metra Västertorp piszę mu esemesa, że go kocham i chcę, żeby się odezwał.

Wysyłam go z dziwnym poczuciem satysfakcji, że sprzeniewierzyłam się wszelkim życzliwym radom członków zboru, że nie dotrzymałam słowa danego pastorowi i ojcu.

Kiedy pociąg zatrzymuje się we Fruängen, niebo na horyzoncie zaczyna przybierać głębszy odcień błękitu.

Zerkam na zegarek i przyspieszam kroku. Już późno, a dzisiejszego wieczoru mam zamówioną kolejkę w pralni.

Powietrze jest chłodne, pachnie kurzem pokrywającym ulice i kwitnącymi bzami.

Słyszę kliknięcie telefonu, serce podskakuje mi w piersi.

Wyjmuję komórkę z kieszeni – to nie Samuel, tylko Stina, kierowniczka sklepu, która pyta, czy nie mogłabym wziąć jutro wcześniejszej zmiany.

Zgadzam się, a potem idę do domu, ciągle pełna tęsknoty za synem, świadoma tego, że bardzo go potrzebuję. Mam wrażenie, że cała ta historia z matką i ojcem coś we mnie uruchomiła, kazała mi przewartościować to, co naprawdę w życiu ważne.

Naciskam wyłącznik światła na klatce schodowej, ale nie zapala się żadna lampa. Naciskam jeszcze raz i znowu, w końcu dochodzę do wniosku, że pewnie coś musiało się popsuć, ruszam więc po schodach po ciemku i jednocześnie szukam kluczy w torebce.

Może to przez brzęk pęku kluczy nie słyszę zbliżających się z góry kroków. A może przez myśli o Samuelu.

Potem wszystko dzieje się szybko.

Ktoś chwyta mnie mocno za rękę.

Dostrzegam zarys gigantycznego mężczyzny z ogoloną czaszką i mimo woli krzyczę.

Ucisza mnie i boleśnie zaciska palce na moim ramieniu.

– Jesteś matką Samuela? – syczy przez zęby.

Ma silny obcy akcent. Jakby pochodził gdzieś ze wschodniej Europy, na przykład z Polski czy Litwy.

– Tak – potwierdzam z sercem w gardle. – Jestem matką Samuela.

Jego uchwyt trochę łagodnieje.

– Gdzie on jest?

– Nie wiem – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Wyrzuciłam go z domu. To znaczy nie dosłownie, ale powiedziałam mu, że ma sobie pójść. To znaczy, pokłóciliśmy się i... Samuel nie zachowywał się jak trzeba i... Uważałam, że najlepiej będzie, jak trochę od siebie odpoczniemy.

Mężczyzna puszcza moje ramię i uderza dłonią o ścianę z taką furią, że aż podskakuję.

– Gdzie? – wrzeszczy. – Gdzie on jest?

– Nie wiem – szepczę. – Próbowałam do niego pisać i dzwonić, ale ma wyłączony telefon. Teraz strasznie żałuję, że go wyrzuciłam, to znaczy, gdybym nie mówiła, że...

Przerywa mi znowu.

– On ma coś mojego.

Milczę, bo nie wiem, co miałabym na to powiedzieć, ale oczywiście od razu przychodzą mi na myśl tamte małe torebki z białym proszkiem, które wyrzuciłam do śmieci.

Nieznajomy ponownie chwyta mnie za rękę, tym razem jednak nie tak brutalnie. Jakby tylko chciał się upewnić, że go słucham, a nie napędzić mi strachu.

– Pozdrów go ode mnie i przekaż, że tu byłam – mówi. Potem puszcza mnie i rusza w dół po schodach.

– Dobrze – potakuję. Po chwili dodaję: – A od kogo mam pozdrowić?

Żałuję tych słów, ledwie opuściły moje usta. Co mi przyszło do głowy, żeby zadać mu takie pytanie? Jakby był całkiem zwykłą osobą, która zapukała do naszych drzwi i chciała spotkać się z Samuelem, a nie „groźnym kryminalistą”, jak określił to policjant, który przyszedł do mnie do pracy.

– On już będzie wiedział – rzuca, nie zatrzymując się ani nie odwracając.

Kroki milkną na schodach, a ja zostaję sama w ciemności.

# Manfred

**M**alin kładzie mi rękę na ramieniu. Podnoszę na nią wzrok.  
– Zaczynamy? Chyba chciałeś jeszcze zajrzeć do szpitala?

Potakuję i wkładam do ust ostatni kęs drożdżówki.

Chociaż jest sobota, pracujemy również dzisiaj – śledztwo w sprawie zabójstwa trwa nieprzerwanie. Ale to także dzień D, w którym lekarze mają zacząć wybudzać Nadję.

Lecz to nie ze względu na nią wybieram się do szpitala, tylko dla Afsaneh.

Podnoszę się i wyglądam ręką swoją różową koszulę. Jest solidnie pognieciona.

Może to dobry znak.

Obok Malin staje Dodzieł. Spogląda na mnie i zatrzymuje wzrok na żółtej jedwabnej poszetce wystającej z kieszeni mojej marynarki.

– Do tego stopnia – mówi krótko, jakby właśnie uzyskał potwierdzenie jakiegoś podejrzenia.

Malin uśmiecha się i mruga do mnie.

– Usiądźmy w małej salce konferencyjnej – proponuje i rusza energicznym krokiem przez korytarz.

Patrząc na nią od tyłu, trudno się domyślić, że jest w ciąży, ponieważ jej ruchy są zwinne i elastyczne jak u tancerki.

Idziemy za nią, wchodzimy do salki i siadamy dookoła białego stołu.

Relacjonuję, że rozmawiałem z Manuelem dos Santosem, prokuratorem prowadzącym dochodzenie wstępne. Sprawa otrzymała najwyższy priorytet i szefostwo policji obiecało wsparcie.

– Dos Santos chce, żebyśmy na razie nie podawali mediom żadnych informacji, w razie gdyby próbowały z nas coś wyciągnąć – dodaję na koniec. – Malin, co masz?

– Jak wiecie, ekspertyza DNA potwierdziła, że ofiara to Johannes Ahonen.

– Przecież już to mówiłem – odburkuje Dodzieł.

Malin nabiera powietrza, mruga kilka razy i kontynuuje:

– Sprawdziłam billingi Ahonena i transakcje kartą dokonane tuż przed zniknięciem. Ostatnia rozmowa zarejestrowana na jego koncie to połączenie wychodzące trzeciego marca. Trwała dziesięć minut i piętnaście sekund.

– Wiadomo, do kogo dzwonił? – pytam.

Malin potwierdza skinieniem głowy.

– Do Bianki, swojej dziewczyny. Jestem w trakcie ustalania wszystkich numerów, pod jakie dzwonił w ostatnim tygodniu. Ale już w tej chwili mogę powiedzieć, że najwięcej połączeń było do jego matki Tuuli, potem do Bianki i do kolegów, z którymi już się skontaktowaliśmy. Na wykazie jest też kilka numerów prepaidowych. Niełatwo będzie ustalić ich właścicieli.

– A co z kartą kredytową? – pytam.

– Ostatni raz została użyta tego samego dnia, trzeciego marca, na stacji benzynowej w Jordbro. Rachunek wynosił...

Malin przerywa i przesuwając palcem po kartce, szukając kwoty.

– Czterdzieści trzy korony.

– Hot dog? – sugeruję.

– Snus – wtrąca Dodzieł i podnosi pudełko ze snusem.

– Zgadza się – potwierdza Malin. – Sprawdziłam. W lutym i na początku marca nie było żadnych nietypowych zakupów ani dużych wypłat z konta. Wszystko wygląda całkiem normalnie. Przynajmniej na pozór.

Rozprostowuję plecy i jedną ręką rozmasowuję sobie kark.

– A co z jego znajomymi?

Malin poprawia się na krześle. Jej brzuch niemal ociera się o stół.

– Rozmawiałam z trzema najbliższymi kolegami i z kuzynem. Wszyscy potwierdzili to, co powiedziała jego dziewczyna, czyli nikt nie słyszał, żeby Ahonenowi ktokolwiek groził. Tylko jedna z tych osób słyszała, że pożyczał pieniądze, ale niestety nie wie od kogo. Podobno Ahonen był strasznie zestresowany, że nie miał z czego ich oddać. Próbował znaleźć kogoś, u kogo mógłby zaciągnąć pożyczkę, żeby spłacić pierwotny dług.

– Wiadomo, o jaką kwotę chodziło? – pytam.

– O kilkaset tysięcy – odpowiada Malin.

– Ludzie tracili życie za dużo mniejsze sumy – zauważa sucho Dodzieł, zerkając na białą tablicę, na której przyczepione jest zdjęcie Ahonena jako siedemnastolatka.

Wygląda na nim na śmiertelnie wystraszonego, jakby już wtedy wiedział, jaki los go czeka.

Obok tego zdjęcia wiszą jeszcze inne, z widocznym na nich spuchniętym ciałem zawiniętym w koc obwiązany łańcuchem. Jest także mapa odcinka wybrzeża, na której czerwonym krzyżykiem zaznaczono miejsce znalezienia zwłok.

– Były jakieś większe wpłaty na jego konto? – ustalę dalej.

– Masz na myśli te pożyczone pieniądze? – mówi Malin. – Sprawdziłam cały rok wstecz, ale nie znalazłam żadnych większych przelewów. Może dostał gotówkę?

– Możliwe – zgadzam się. – Czy ktoś, z kim rozmawiałaś, ma jakąś teorię, co mogło mu się stać?

Malin kręci głową.

– Właściwie tylko jeden z kolegów, ten sam, który wiedział o pożyczce, próbował snuć jakieś teorie. Sugerował, że Ahonena mógł zabić człowieka, który dał mu pieniądze. Ale czy rzeczywiście doszło do zabójstwa, dowiemy się od patolog.

– Nasza poczciwa pani patolog – prycha Dodzieł. – Założę się, że jest zbyt delikatna, żeby spekulować na temat przyczyny śmierci.

Malin kontynuuje, nie zwracając na niego uwagi:

– Wspomniał też, że jakaś banda somalijskich podrostków uwzięła się na Ahonena, nie sądzi jednak, aby ci piętnastolatki mogli posunąć się do czegoś takiego. Poprosiłam nasz wydział do spraw nieletnich, żeby na wszelki wypadek ich sprawdzili.

– Okej. A co z kawałkami skóry pod paznokciami ofiary? Są już wyniki ekspertyzy?

Malin wzdycha.

– Nie ma. Powinniśmy trzymać kciuki, żeby udało im się uzyskać jakiś sensowny profil DNA. Rozmawiałam z koordynatorką z Centralnego Biura Kryminalistycznego i ona nie jest pozbawiona nadziei. Powiedziała, że nawet jeśli ciało długo przebywało w wodzie, to zanim w wyniku powstałych w nim gazów wypłynęło na powierzchnię i zostało zaniezione na ląd, najpierw leżało głęboko, gdzie woda jest zimna i uboga w tlen. A to zwiększa szansę na ustalenie profilu genetycznego.

Analizuję w myślach słowa Malin i niechętnie zatrzymuję wzrok na cynamonowych bułeczkach leżących na tacy na stole.

Wciąż czuję w żołądku poprzednią drożdżówkę, postanawiam więc zapanować nad łakomstwem, ponieważ choć apetyt wrócił mi równie szybko, jak w Afsaneh wstąpiła na powrót chęć życia, nie mam najmniejszej ochoty ponownie przytyć o dziesięć kilogramów, które straciłem w ciągu ostatniego miesiąca.

– A co z drugą ofiarą? – pytam.

Malin zwraca ku mnie twarz.

– Nadal niezidentyfikowana – odpowiada. – Rozmawiałam z patolog. Według niej to mężczyzna między szesnastym a osiemnastym rokiem życia. Leżał w wodzie przypuszczalnie około dwóch tygodni. Ciało znaleziono czternastego czerwca, czyli wrzucono je do morza mniej więcej na przełomie maja i czerwca. Przyczyna śmierci na razie nieznana, ale obrażenia są podobne do stwierdzonych u Ahonena. Głównie chodzi o zmiżdżenia i złamania po lewej stronie ciała.

– Czyli ciosy zadano prawą ręką? – sugeruje Dodzieł.

– Dokładnie – potwierdza Malin, zbierając długie ciemne włosy w luźny węzeł na karku. – A ponieważ zadano je już po śmierci denata, możemy założyć, że oba przypadki są ze sobą powiązane. Technicy potwierdzili też, że użyte w nich łańcuchy są identyczne. Biały materiał, w który zawinięty był ten chłopak, to zwykłe prześcieradło z Ikei. Takie samo można znaleźć w tysiącach szwedzkich domów.

– Czy porównałaś opis ofiary z listami osób zaginionych? – pytam.

– Jestem w trakcie. Na razie są dwa, może trzy potencjalne przypadki wchodzące w rachubę. Wrócę do tego po południu.

Malin zagląda do notatek, aby się upewnić, czy o czymś nie zapomniała.

– Aha, jeszcze jedno – mówi. – Ofiara numer dwa miała gwóźdź w prawej pięcie.

– Gwóźdź? – dziwi się Dodzieł i pochyła do przodu. – Jakiego rodzaju?

– Zwykły, dosyć długi gwóźdź – wyjaśnia Malin. – Dwa i ćwierć cala albo pięćdziesiąt sześć milimetrów.

– To znaczy, że on nadepnął na gwóźdź? – dopytuje Dodzieł, patrząc na nią z nagłym życzliwym zainteresowaniem.

– Nie sędzę – odpowiada Malin. – Gwóźdź tkwił głęboko w kości pięty. Albo ktoś mu go wstrzelił specjalnym pistoletem, albo do wbicia użyto młotka.

Przerywa na chwilę, a potem dodaje:

– Tyle że akurat tego nie zrobiono po śmierci. Ktoś wsadził gwóźdź w piętę, kiedy denat jeszcze żył.

– Ja piernicę – rzuca Dodzieł, wykrzywiając twarz.

Docieram do szpitala równocześnie z Afsaneh.

Widzę z daleka, jak zbliża się do głównego wejścia. Jest ubrana w czerwoną letnią sukienkę, a wiatr rozwiewa jej długie lśniące włosy opadające na ramiona.

Kiedy przytulam ją na powitanie, czuję słaby zapach dymu papierosowego i woń jej ukochanych perfum, które na poprzednią Gwiazdkę kupiłem dla niej w moim ulubionym domu towarowym, w Le Bon Marché w Paryżu.

– Cześć – mówi i całuje mnie w usta.

– Witaj – odpowiadam, obejmując ją długo i mocno.

Potem Afsaneh bierze mnie za rękę i razem idziemy na oddział intensywnej terapii dziecięcej. Dużo lżejszym krokiem niż dotychczas.

To prawda, nie tolerowałem szpitali od tamtej strasznej zimy, kiedy umarł Aron. Ale gdy twoje dziecko wypada przez okno i trafia na OIOM, nie masz wyboru – musisz jechać do szpitala. To nieuchronne.

A jeśli pracujesz w policji i masz do czynienia z ofiarami przestępstw oraz ich bliskimi, też musisz w nim bywać.

Tak więc spędzałem w szpitalach znacznie więcej czasu niż przeciętny Szwed, co raczej powinno było mi pomóc w przezwycięzeniu fobii.

Ale nie pomogło.

Gdy tylko przestąpię wahadłowe drzwi, puls mi przyspiesza i czuję ucisk w piersi. Z trudem łapię powietrze i zalewa mnie fala wspomnień.

Ale dzisiaj nie są związane z Aronem.

Śmiech Afsaneh i słońce świecące przez duże okna w korytarzu zatrzymują go odpowiednio daleko.

W pokoju Nadji wszystko wygląda jak do tej pory, mimo że zaczęło się dziać coś bardzo ważnego, coś, co może na zawsze zmienić nasze życie.

Nie wiemy tylko, w jakim kierunku.

Przyglądam się córeczce, która leży nieruchomo na łóżku. Wydaje się tak rozpaczliwie malutka i zagubiona wśród tych wszystkich przewodów, rurek i monitorów. Na jej palcu wskazującym tkwi jak zwykle nieduży zacisk do mierzenia poziomu tlenu. Na pozostałych paluszkach wciąż widać resztki różowego lakieru do paznokci.

Otwierają się drzwi i do środka wchodzi lekarka.

To znowu Angelica – zdążyliśmy już poznać imiona wszystkich medyków z oddziału intensywnej terapii.

Najpierw wymieniamy kilka grzecznościowych zdań na temat pogody i wiatru, po czym Angelica prosi nas, abyśmy usiedli.

– Zaczęliśmy ograniczać środki nasenne – mówi. – Ale to proces wymagający czasu.

Afsaneh kiwa głową z przejęciem, ja zaś się zastanawiam, czy rzeczywiście jest świadoma tego, jakiego kalibru zwrot nas czeka. Czy istotnie dociera do niej, że Nadja może się wcale nie obudzić. Że w gruncie rzeczy istnieje ryzyko, iż nasza cudowna, przekorna córeczka zostanie roślinką.

– Może minąć wiele dni, zanim się dowiemy, czy się wybudzi – kontynuuje lekarka.

– A dopiero po tygodniach albo i miesiącach będziemy mieć pewność, do jakiego stanu zdrowia powróci. Teraz mogę z przekonaniem powiedzieć tylko jedno: Nadja nie wybudzi się dzisiaj. To potrwa długo.

– Wiemy – odpowiada Afsaneh z uśmiechem. – Jesteśmy na to przygotowani. – Milknie na chwilę i spojrzawszy na mnie, dodaje: – Czas to jedyne, co mamy.

# Samuel

**K**iedy się budzę, słońce jest już całkiem wysoko, a z parteru dochodzi pobrząkiwanie naczyń.

Rozglądam się dookoła i początkowo nie rozumiem, gdzie jestem. Po chwili sobie przypominam. Pomalowany na biało dom z zielonymi okiennicami. I Jonas zombie. Woskowa skóra, rurka wystająca z nosa jak długi robak i dziwna konstrukcja z niebieską uprzężą.

Ja naprawdę tutaj jestem.

To kompletnie porąbane.

Ale moje ciało jest zadowolone. W nocy nie obudziły mnie ani razu głód czy zimno. Ciało czuje się doskonale w wygodnym łóżku i nie ma żadnych obiekcji co do tego, że będę niańczył jakiegoś dziwoląga za sto jedenaście koron za godzinę.

Wyciągam rękę po komórkę, która ładuje się na szafce. Włączam ją bez zastanowienia, bo to czynność tak naturalna jak sikanie czy picie.

Jest wpół do dziewiątej.

Matka przysłała esemesa.

Pisze, że mnie kocha i chce, żeby wrócił.

Zamykam oczy i czuję ciepło rozlewające się w piersi. Dotykam bransoletki ze szklanych paciorków.

Przez moment zastanawiam się, czy nie odpowiedzieć jej od razu, ale zamiast tego wchodzę na Instagrama. Alexandra wrzuciła fotki z jakiejś imprezy. Trzyma w ręce kieliszek z winem i wydyma usta. Nienaturalnie długie rzęsy wyglądają jak nogi wielkiego pająka odwróconego do góry. W jej spojrzeniu dostrzegam coś mglistego i wyzywającego.

Pięćdziesiąt siedem lajków.

Jeanette z kolei pokazała zdjęcie, na którym siedzi okrakiem na krześle. Ma krótką sukienkę, podciągniętą wysoko na umięśnionych udach. Widać spod niej koronkowe majtki. W pokrytych błyszczącym ustach odbija się światło lampy błyskowej.

Dwieście jedenaście lajków.

Pieprzona cipa.

Opamiętuję się wreszcie i wyłączam telefon. W żadnym wypadku nie powinien być włączony.

Mimo woli widzę przed sobą ogoloną na łyso czaszkę Igora i dziobatą, chudą głowę Maltego.

Powoli wstaję i wychodzę do pokoju dziennego, idę do łazienki, odlewam się, a potem biorę długi prysznic. W końcu z ręcznikiem wokół bioder wracam do siebie, żeby się ubrać, ale po drodze zatrzymuję się przed dużym oknem.

Widok jest zachwycający.

Tak, to najlepsze określenie. Co prawda „zachwycający” to jedno ze słów, których z upodobaniem używa się w kościele matki, a ja z zasady ich nie lubię.

Bo to jest słowo Boże, a On nie chce mieć z tobą nic wspólnego.

Nic jednak na to nie poradzę, że widok rzeczywiście jest zachwycający.

Morze lśni w słońcu, a latarnia rysuje się delikatnie na tle jasnoniebieskiego porannego nieba. Ponad taflą wody unosi się cienka warstwa mgły, częściowo przesłaniając horyzont.

Zauważam ją, gdy zamierzam wrócić do swojego pokoju.

Rakel w znacznie za dużym niebieskim szlafroku zbiega po kręconych drewnianych schodach. Ma rozpuszczone włosy.

Porusza się lekko, wygląda, jak gdyby tańczyła.

Znalazłszy się na brzegu, idzie na sam skraj pomostu, wyjmując telefon z kieszeni i podnosi go wysoko, jakby robiła zdjęcia – najpierw morza, a potem siebie. Następnie wkłada komórkę z powrotem do kieszeni, zrzuca szlafrok i jednym ruchem zanurza się w wodzie.

Dopiero po paru sekundach dociera do mnie, że jest naga.

Rozglądam się dookoła.

Całkiem odruchowo, bo przecież nie przypuszczam, aby w pobliżu mógł być ktoś, kto przyłapałby mnie na tym, że podpatruję Rakel.

Kiedy zerkam znowu na morze, nic się na nim nie dzieje. Nie widać nawet jednej zmarszczki na powierzchni wody, jakby nikt w ogóle do niej nie wchodził. Ale wciąż leżący na pomoście szlafrok dowodzi, że to nie było przywidzenie.

Gdzie ona się podziała? Może trafiła na kamień albo coś w tym rodzaju? Czy powinienem zejść na dół i jej poszukać?

Ledwie zadałem sobie te pytania, głowa Rakel wynurza się co najmniej dwadzieścia metrów od pomostu. Wykonując spokojne, płynne ruchy, rusza kraulem w kierunku brzegu. Po dopłynięciu do pomostu wciąga się na niego i siada na skraju, trzymając nogi w wodzie.

Wiem, że powinienem się odwrócić, pójść do swojego pokoju i się ubrać, zamiast sterczeć w oknie i gapić się na nią jak zwykły zboczeniec, ale nie jestem w stanie. Jej smukłe ciało i sposób, w jaki leniwie pluszcze stopami, działają na mnie hipnotyzująco.

Niedługo potem wstaje, wciąż plecami do mnie, przechyla się na bok i wykręca długie włosy. Kapiąca z nich woda tworzy na pomoście błyszczącą kałużę.

Później się odwraca. I wtedy to widzę.

Jest piękna.

Jest przeraźliwie piękna.

Piersi ma pełne, biodra trochę krągłejsze niż Alexandry, a między nogami dostrzegam dużą kępę czarnych włosów – coś takiego widywałem tylko na starych obrazach.

Przełykam głośno i czuję, jak mi staje, a jednocześnie zalewa mnie wstyd.

Przecież jest, do cholery, w wieku mojej matki.

Nie mogę tu sterczeć i podniecać się na widok czterdziestolatki, której poczwarnym synem mam się zajmować.

Za sto jedenaście pieprzonych koron za godzinę.

To jest beyond fucking porąbane.

Po śniadaniu Rakel zaprowadza mnie do swojego zombie, każe mi usiąść w fotelu, a sama głaszcze go po włosach i wyjaśnia mu, że z nim zostanę.

Podobnie jak poprzedniego dnia Jonas leży nieruchomo i raczej gówno rozumie. O tym, że żyje, świadczy jedynie regularnie unosząca się i opadająca klatka piersiowa oraz lekko drgające palce jednej ręki.

Rakel podchodzi do stołu, bierze książkę leżącą przy głośniku, podaje mi ją i mówi:

– Czytaj!

Sama siada na krześle i sięga po krem do rąk zostawiony przy wazonie z jedną różą. Kilkakrotnie naciska tubkę, zanim cokolwiek się z niej wydostaje. W końcu zaczyna wcierać krem w prawą dłoń Jonasa.

– Czytaj! – powtarza.

Początkowo myślałem, że się przesłyszałem – czy ona naprawdę ma zamiar tu siedzieć i słuchać, jak czytam?

Wygląda na rozbawioną, kiedy spotyka moje spojrzenie.

– Żartowałam – mówi i śmieje się głośno. – Mnie nie musisz czytać. Tylko posmaruję ręce Jonasowi i zaraz pójdę pracować. Dziś miał ciężką noc. O piątej nad ranem zrobiłam mu uspokajający zastrzyk, więc teraz nie powinien stwarzać problemów.

– Okej – odpowiadam i przyglądam się, jak natłuszcza kremem jego drugą rękę.

Jest ubrana w cienki biały podkoszulek i w te same wytarte dżinsy co wczoraj. Włosy, wciąż mokre, są ściągnięte w ciasny węzeł na karku. Nie ma mikijaju i sprawia wrażenie zadowolonej, gdy ostrożnie układa dłoń Jonasa na pościeli.

Kolejny raz uderza mnie jej niesamowite podobieństwo do matki.

– No dobrze – mówi. – Zaczynaj czytać od zaznaczonego miejsca.

– Oczywiście – odpowiadam i spoglądam na okładkę.

Książka nosi tytuł Słońce też wschodzi i napisał ją jakiś Hemingway.

Nigdy nie słyszałem ani o tej powieści, ani o tym pisarzu, ale otwieram ją posłusznie i zaczynam czytać – powoli i bardzo cicho.

– „Nie lubisz Paryża? Nie. To dlaczego nie pojedziesz gdzie indziej? Nie ma żadnego gdzie indziej”.

Początkowo mi nie idzie, jąkam się i potykam, ale potem się rozkręcam. Robię przerwę, zaglądam do wcześniejszych i późniejszych rozdziałów, żeby zorientować się w treści.

W książce jest mowa o Amerykaninie w Paryżu, który przesiaduje głównie w nocnych klubach i barach w towarzystwie innych bogatych niepracujących cudzoziemców.

Kiedy czytam o nich, nasuwa mi się skojarzenie ze mną i Liamem. Obaj mamy sporo wspólnego z postaciami z powieści, z tym wyjątkiem, że my musimy kraść, żeby móc sobie pozwolić na obijanie się.

Amerykanin kocha się w rozwiedzionej babce, ale wie, że nigdy nie będą razem, ponieważ został ranny na wojnie i jest impotentem. I mniej więcej w tym momencie mam już dość tej opowieści. Dobra, zgadzam się, że paskudnie jest nie mieć fiuta, ale czytanie całej książki na ten temat to lekkie przegięcie. Nie dam rady.

Poza tym ta babka, w której on się kocha, wydaje się nieźle porąbana.

Ja skreśliłem ją na samym wstępie.

Odkładam książkę i spoglądam na Jonasa.

Nie drgnie mu nawet powieka.

Wstaję z fotela, podchodzę bliżej i pochylam się nad jego uchem.

– Halo!

Zero reakcji.

– Hej, hej, jest tam kto? – próbuję trochę głośniej.

Ale Jonas zombie po prostu leży jak kłoda i jest w nim tyle życia co w zafoliowanej rybie w zamrażarce w ICA.

Wzbiera we mnie obrzydzenie jak na widok pełzającego kosmatego pająka.

Źle się czuję w tym pokoju. Nie podobają mi się rysunki wiszące na ścianie, ponieważ za bardzo przypominają mi moje własne, które mama trzyma w specjalnej

teczce w domu we Fruängen. A flaga klubu Hammarby i piłkarskie buty kojarzą mi się z czasem, kiedy w podstawówce sam trenowałem w Älvsjö AIK.

Znowu spoglądam na Jonasa.

Kiedyś był taki sam jak ja, przemyka mi przez głowę. Gdybym miał pecha i wpadł pod autobus, być może to ja leżałbym na jego miejscu i musiał słuchać jakiegoś kretyna czytającego mi na głos oraz znosić to, że w całe moje pieprzone ciało wciera się krem do rąk.

Zerkam na zegarek: dochodzi jedenasta.

Prostuję się i przemykam do łazienki łączącej pokoje Jonasa i Rakel. Jest duża i biała, a wąż przy ręcznym prysznicu jest niesamowicie długi. Może specjalnie po to, aby ułatwić mycie Jonasa, kiedy wisi w tej swojej dziwacznej niebieskiej uprząży.

Rakel chyba siedzi i pisze, bo zza drzwi jej sypialni słyszę stukot klawiatury komputera.

Czasami na krótko zapada cisza, jakby się nad czymś zastanawiała, ale po chwili znów zaczyna uderzać w klawisze.

Myślę.

Jeśli będę zachowywać się cicho, może uda mi się rozejrzeć po domu i znaleźć coś wartościowego, co dałoby się potem upłynnić.

Ostrożnie zamykam za sobą drzwi do łazienki i idę do pokoju Jonasa.

– Zaraz wrócę – bąkam, nie patrząc w jego stronę.

Nie mam pojęcia, po co w ogóle to mówię, przecież i tak nic do niego nie dociera. Mimo wszystko wydaje mi się, że tak trzeba.

W końcu to jednak człowiek, a nie ryba.

W kuchni panuje idealny porządek: żadnych okruchów po śniadaniu, brudne naczynia są już wstawione do zmywarki.

Obok chlebaka leży plik papierów.

Przeoglądam je.

Na samym wierzchu widzę blankiet z Kasy Ubezpieczeń. Na górze kartki widnieje napis „Wniosek o zasiłek dla asystenta osobistego”. Spinaczem przypięta jest do niej broszurka zatytułowana Ustawa o pomocy i usługach dla osób niepełnosprawnych – skrót dla bliskich i opiekunów.

Odkładam papiery na stertę i zaczynam przeszukiwać szafki i szuflady. Nie ma w nich nic ciekawego poza zużytą porcelaną i starymi sztuccami różnego pochodzenia.

– Szukasz czegoś?

Odwracam się raptownie.

W drzwiach stoi Rakel i uśmiecha się ciepło. W ręce trzyma portfel.

– Tak... Chciałbym napić się wody.

– Gazowana jest w lodówce – informuje, po czym wkłada drewniaki. – Wskoczę zrobić zakupy. Okej?

Kiwam głową bez słowa.

Po jej wyjściu stoję jeszcze dłuższą chwilę w kuchni, a potem ruszam do jej sypialni.

Podwójne łóżko jest starannie zaścielone, a na jednej z nocnych szafek leży stos książek. Naprzeciwko stoi dwudrzwiowa szafa z ciemnego drewna.

Otwieram jedną część drzwi.

Na wieszakach wiszą bluzki, sukienki i spodnie. Pod nimi stoją stłoczone pary butów. W drugiej połowie mieszczą się męskie koszule i męskie spodnie oraz kilka wełnianych swetrów. To pewnie ubrania jej partnera.

Przechodzę do łazienki.

Nad umywalką wisi biała szafka. Chwytam za złotą gałkę i drzwiczki otwierają się ze skrzypnięciem.

W środku są dwie półki. Górną zapełniają damskie kremy, kilka flakonów perfum, dezodorant i pudełko tamponów. Na dolnej leży elektryczna maszynka do golenia i słoiczek z woskiem do włosów.

Zamykam ostrożnie szafkę i rozglądam się dalej.

Pod jedną ze ścian stoi metalowa szafa, która wygląda prawie jak biurowa szafa na dokumenty.

Sprawdzam drzwi.

Zamknięte.

Po omacku przesuwam dłonią wzdłuż górnej krawędzi. Bingo – natrafiam na mały kluczyk.

Klucz gładko wchodzi do zamka. Pasuje.

Puls mi przyspiesza.

Nikt nie zamyka szafy na klucz, jeśli nie ma w niej nic ważnego. Nikt nie zamyka szafy na klucz, jeśli jest w niej tylko zapas papieru toaletowego czy kremu do rąk.

Po otwarciu drzwi ukazują się półki pełne różnych lekarstw. Tabletek, igieł do strzykawek, kaniuli.

W pierwszym odruchu czuję się zawiedziony, ale potem dokładniej przyglądam się opakowaniom. Niektóre z nazw są mi jakby znajome: Dexmedetomidin, Klonidin, Midazolam, Sobril, Iktorevil, Stesolid i Fentanyl, 50 mikrogramów/ml, roztwór do wstrzykiwań.

Zaraz, zaraz.

Fentanyl.

Chociaż Igor i Malte handlują tylko oldskulowym towarem, mam jednak pewne rozeznanie w farmaceutykach. Ostatecznie one też są twardą walutą na ulicy i coraz bardziej konkurują z dragami. A fentanyl ma wręcz wartość złota. Malte opowiadał, że ćpuny kroją plaster przeciwbólowy z fentanylem na malutkie kawałki i je połykają.

Przesuwam palcem po opakowaniach.

Na każdej z trzech półek stoi po czternaście buteleczek fentanylu, czyli w sumie jest ich czterdzieści dwie. Wystarczy, i to z nawiązką, żeby tygodniami spidować całą szkolną klasę.

Po chwili wahania biorę trzy fiołki i wpycham sobie do kieszeni.

Ciekawe, czy ona zauważy ich brak?

Patrząc na równiutkie rzędy szklanych buteleczek wypełnionych przezroczystym płynem, zaczynam podejrzewać, że Rakel dokładnie wie, ile czego ma. Mam poczucie, że jest trochę jak ja – potrafi liczyć.

Na widok kilku pustych fiołek walających się na półce niżej przychodzi mi pewien pomysł do głowy. Wyciągam z plastikowego opakowania strzykawkę i napełniam ją wodą z kranu. Następnie wbijam igłę w cienką gumową membranę na jednej z pustych buteleczek i wstrzykuję do środka wodę.

Po wyciągnięciu igły membrana na nowo się zasklepia, ale na wszelki wypadek przyglądam się uważnie, czy nie pozostał ślad po nakłuciu.

Na szczęście nie pozostał.

Zakręcam nakrętkę i stawiam buteleczkę z wodą obok tych pełnych.

Wygląda identycznie jak wszystkie pozostałe.

Powtarzam tę samą procedurę z dwiema kolejnymi buteleczkami i zastępuję nimi te, które leżą w mojej kieszeni.

To raczej nie powinno zaszkodzić Jonasowi zombie? Przecież to tylko woda, a ludzkie ciało w siedemdziesięciu procentach składa się właśnie z wody.

Wzdycham głęboko, zamykam drzwi szafy, przekręcam kluczyk w zamku i odkładam go na miejsce.

W tej samej sekundzie rozlega się przytłumiony hałas.

Odwracam się i widzę Rakel w pokoju Jonasa.

W jednej ręce trzyma siatkę z zakupami i patrzy na mnie z na wpół otwartymi ustami, jakby nie docierało do niej to, co widzi. Jej spojrzenie zdradza niemal strach, a dłoń ściskająca torbę jest biała.

– Krem do rąk się skończył – wykrztuszam. – Chciałem tylko sprawdzić, czy jest go więcej.

## Pernilla

**P**o przeliczeniu kasy i sporządzeniu raportu idę do biura Stiny i pukam do drzwi.  
– Proszę – woła.

Wchodzę i kładę raport na biurku.

Stina podnosi wzrok znad okularów i uśmiecha się tak szeroko, że jej plamista, sucha skóra marszczy się na policzkach jak pergamin.

– Dziękuję, kochana – mówi. – Widzimy się jutro.

– Jasne, do jutra – odpowiadam i odwracam się, żeby wyjść.

– Poczekaj – zatrzymuje mnie Stina. – Co z twoim synem?

Zamieram w pół kroku i zastanawiam się, co mam odpowiedzieć.

Na ile mogę być wobec niej szczerą?

Stina jest miła i życzy mi dobrze, w to nie wątpię. Ale jednocześnie jest też ciekawska, jak większość pracujących tutaj osób.

Decyduję się na kompromis. Na rozwiązanie pośrednie, które nie zmusi mnie do nadmiernej powściągliwości, ale jednocześnie nie dostarczy jej materiału do plotkowania w salce rekreacyjnej.

– Samuel odszedł – odpowiadam. – Pokłóciliśmy się i go wyrzuciłam. To było w zeszły poniedziałek i od tamtej pory nie mam z nim kontaktu.

– Co ty mówisz? – rzuca Stina, szeroko otwierając oczy. – To musi być dla ciebie strasznie ciężkie. Ale zobaczysz, że on niedługo wróci. Mój Björn też czasami znika. Po prostu tacy już są ci młodzi.

Chociaż Stina przekroczyła sześćdziesiątkę, ma syna w wieku Samuela.

Ja zaczęłam wcześniej, a ona późno.

Zdejmuje okulary i kładzie je obok mojego raportu kasowego. Nagle pyta:

– To dlatego była tu policja?

Waham się.

– Tak – odpowiadam, ale na szczęście udaje mi się powstrzymać od rozwinięcia odpowiedzi, chociaż słowa same cisną się na usta.

Pałają mi policzki.

To dosyć głupie, że w wieku trzydziestu sześciu lat nie umiem skłamać, nie wstydząc się jak pies. Nie umiem wykrztusić z siebie jednego niewinnego kłamstwa,

żeby nie zacząć myśleć o Jezusie i sądzie ostatecznym.

Widzę po Stinie, że chciałyby wiedzieć dużo więcej, ale zamiast zadawać kolejne pytania, uśmiecha się znowu i mówi:

– Zobaczysz, że wszystko się ułoży. Jedź do domu i odpocznij.

– Tak, tak, już jadę – odpowiadam, lecz wciąż stoję w miejscu i nie mogę się ruszyć.

Czuję, jak po policzkach płyną mi łzy.

– No co ty, kochana...

Stina wstaje i zbliża się do mnie. Położywszy mi rękę na plecach, prowadzi mnie do krzesła stojącego przed jej małym biurkiem.

– O co chodzi? – pyta i lekko popycha mnie na dziurawe ratanowe siedzenie.

Spoglądam na sterty papierów na jej biurku. Czuję odór niedopałków w popielniczce.

I wtedy pęka we mnie tama. Wszystkie wstrzymywane słowa wylewają się bez żadnych zahamowań. Opowiadam o zniknięciu Samuela, o łysym nieznanym, który przestraszył mnie śmiertelnie na klatce schodowej, mówię też o tym, czego się dowiedziałam o matce i ojcu, a nawet o pastorze: jak dobierał się do mnie w lokalu zboru, podczas gdy Jezus patrzył na nas z krzyża.

– Moja kochana – powtarza znowu i kręci ze współczuciem głową.

Nagle jestem jej wdzięczna za te słowa. Jakby one same mogły uleczyć mój ból.

– Wszystko po kolei – mówi stanowczo.

Następnie podchodzi do wysłużonej metalowej szafki na dokumenty i wyciąga jedną z szuflad.

Patrzę na jej szerokie plecy i ramiona, które niemal wylewają się z rękawów bluzki. Rude rozczochrane włosy sterczą dookoła głowy jak aureola.

Słyszę, jak grzebie między papierowymi teczkami, potem zasuwa szufladę i wraca do mnie z niedużą piersiówką i dwoma małymi kieliszkami.

– Żartujesz? – mówię do niej. – Przecież nie możemy tutaj tak po prostu... w godzinach pracy. Niby już zamknęłyśmy, ale wciąż jesteśmy w sklepie. I dostajemy za to pieniądze. Jeśli nawet nie ma żadnych klientów... Co się stanie, jeśli ktoś...

– Cicho – mówi Stina i wyciąga w moją stronę pokryty plamami palec.

Potem odkręca nakrętkę i nalewa bursztynowy płyn do kieliszków. Podaje mi jeden ze słowami:

– Pij!

Wykonuję jej polecenie.

Pali mnie w gardle, kiedy przełykam zawartość kieliszka.

– Posłuchaj mnie teraz – odzywa się znowu. – To straszne, że ojciec uniemożliwił ci kontakt z matką, ale dzisiaj już nic na to nie możesz poradzić.

– Ojciec mnie uratował – przerywam jej. – Kochał mnie mimo moich grzechów i pomógł mi wychować Samuela. Bez niego bym sobie nie poradziła.

– A mnie się wydaje, że on cię dosyć mocno kontrolował – prycha Stina, opróżnia kieliszek jednym haustem i odstawia go energicznie na stół. – Dobrze wiedział, co robi – mamrocze i zaczerpuje głęboko powietrza.

– To było tylko dla mojego dobra – zaczynam.

– Bzdura – odburkuje. – Szkoda, że siebie nie widzisz, kiedy to mówisz. Wyglądasz jak zbity pies, wystraszony i poddańczy. Wszystkim facetom zależy tylko na jednym: żeby nas, kobiety, kontrolować.

Przypominam sobie, jak modliliśmy się za duszę matki. Jak ojciec kładł mi wtedy duże dłonie na policzkach i szeptał: „Bóg stworzył kobietę ze swojego żebra, aby była jego uzupełnieniem. Nie z głowy, aby o nim decydowała. Nie ze stóp, żeby po niej nie deptała. Tylko z żebra, aby miała ochronę. Blisko jego serca, aby była kochana”.

– Nic nie zyskasz, kłócąc się z nim teraz – mówi krótko Stina. – A tej historii z pastorem, który okazał się świnią, nie powinnaś w ogóle brać sobie do serca. Dobrze, że otworzyły ci się oczy na to, jaki jest naprawdę, nie uważasz? Może najwyższa pora zmienić zdanie o nim i o zborze.

– Ale on bardzo pomógł i mnie, i Samuelowi.

– W jaki sposób? – prycha Stina.

– Pożyczał mi pieniądze. I dostawałam różne prace w kościele.

– I uważasz, że to przypadek?

Kiedy dociera do mnie, o co jej chodzi, robię się czerwona. Może Stina ma rację, bo pastor rzeczywiście zawsze wybierał przede wszystkim mnie do różnych zajęć i często próbował rozmawiać ze mną dosyć poufale, a wtedy zawsze mnie dotykał. Nie z podtekstem erotycznym, ale mimo wszystko: a to wziął mnie za rękę, a to otoczył ramieniem, kiedy szliśmy do kuchenki po kawę. Zdarzało się też, że grzbietem dłoni głaskał mnie po policzku.

Odbierałam to wówczas jako wyraz ojcowskiej troski, ale po tym, jak zachował się ostatnio, zaczynam patrzeć na to inaczej.

– Przecież to jasne, że planował to od dawna – mówi Stina, jakby czytała mi w myślach. – Był sprytny, to pewne. Chciał się do ciebie zbliżyć. Robił wszystko, żebyś miała wobec niego poczucie wdzięczności. Ale nie myśl już o nim.

Machając lekceważąco ręką, mówi dalej:

– Teraz trzeba się skupić na Samuelu. Wygląda na to, że wpadł w złe towarzystwo. Rozmawiałaś z jego kolegami?

– Nie ze wszystkimi.

– To zrób to. Myślę, że nie trzeba wyciągać zbyt pochopnych wniosków z tego, że nie możesz go złapać, ale moim zdaniem powinnaś zgłosić jego zaginięcie na policję. Bo chociaż policjanci byli tutaj i pytali o niego, to chyba jednak nie wiedzą, że zginął.

Przerywa i mierzy mnie wzrokiem od góry do dołu.

– Pójdę z tobą – oznajmia po chwili tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Może poczekajmy kilka dni?

Stina przykłada palec wskazujący do brody i robi zadumaną minę.

– No dobrze – mówi z ociąganiem – Poczekajmy kilka dni. Ale teraz powinnaś wrócić do domu i się wyspać. Potrzebujesz odpoczynku. W razie czego dzwoń do mnie. Nawet w środku nocy. W takiej sytuacji trudno poradzić sobie samej.

– Okej – odpowiadam i wstaję z krzesła.

Alkohol sprawił, że mam miękkie nogi i palą mnie policzki.

– Dziękuję – dodaję.

Stina też wstaje, podchodzi i obejmuje mnie serdecznie.

– W biedzie trzeba trzymać się razem – szepcze mi do ucha.

Rzucam okiem na stojące na biurku zdjęcie Björna, jej syna.

Ma bujne rudawe włosy i piegowatą cerę. Poza tym szare oczy i grube wargi. Długie włosy i pełne usta sprawiają, że jest podobny do młodej Liv Ullmann.

Stina robi krok do tyłu i zauważa, na co patrzę.

– Wszystko się ułoży, zobaczysz – mówi. – Zawsze tak jest.

Przez sekundę nawet jej wierzę.

Gdy opuszczam sklep, mam jeszcze w uszach jej słowa. Ale kiedy zbliżam się do metra, w mojej głowie zaczyna się szalona gonitwa myśli i do serca wkrada się strach.

Myślę o matce. O dniu, w którym zginęła, jadąc do nas.

Do oczu napływają mi łzy, tylko teraz na wspomnienie Samuela.

Odmawiam krótką modlitwę.

Boże, czuwaj nad Samuelem i wskaż mu właściwą drogę. Spraw, aby do mnie wrócił. Przrzekam, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by pomóc mu naprawić swoje życie. W imię Boże. Amen.

Ale i tym razem Bóg nie odpowiada.

Milczy tak samo jak Samuel w ten chłodny letni wieczór.

Jest jeszcze coś, co mnie gryzie.

Kiedy Samuel miał trzy lata, nagle pojawił się Isaac. Jak królik z kapelusza. Jakby wszystko zostało zapomniane i wybaczone.

Nie wiem, co sobie wyobrażał – że może tak po prostu wpaść ni z tego, ni z owego i zacząć być ojcem Samuela?

Oświadczyłam mu oczywiście, że to niemożliwe, że powiedziałam Samuelowi i wszystkim naszym znajomym, że jego ojciec nie żyje, poza tym stworzyliśmy sobie znośną egzystencję, w której nie ma dla niego miejsca.

Isaac był zawiedziony i zaczął nalegać. Pewnego razu próbował mnie nawet pocałować w jakiejś kawiarni.

Niewiele brakowało, żebym mu uległa, bo wciąż był tak samo przystojny jak dawniej, chociaż obciął włosy i zaczął pracować w sklepie z płytami na Södermalmie.

Ale dałam radę. Chyba jednak czegoś się nauczyłam.

Lecz Isaac okazał się strasznie uparty i zaczął przebąkiwać, że pójdzie do opieki społecznej i będzie się domagał prawa do kontaktu z dzieckiem.

To mnie przeraziło.

Ostatecznie był ojcem Samuela i nie wiadomo, do czego by doszło, gdyby zaczął rozrabiać.

I dlatego zawarliśmy porozumienie.

Obiecałam mu, że będzie mógł odwiedzać Samuela co roku w jego urodziny i w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, a on z kolei zobowiązał się nie wyjawiać, że jest jego ojcem.

I tak się stało.

Samuelowi powiedziałam, że Isaac to mój stary przyjaciel, który czuje się strasznie samotny, bo nie ma żadnej rodziny. I rzeczywiście, pojawiał się u nas regularnie dwa razy w roku, począwszy od trzecich aż do piętnastych urodzin syna. Potem przeniósł się do Gävle i jego wizyty stały się rzadsze.

O ile wiem, nigdy się nie ożenił i nie miał już więcej dzieci.

Mówi się, że to bardzo ważne, aby chłopcy w okresie dorastania mieli do naśladowania jakiś męski wzór. Przypuszczam, że dotyczy to szczególnie takich chłopców jak Samuel, czyli mających problemy. Dlatego wciąż nie przestaję się zastanawiać, czy nie wyrósłby na kogoś innego, gdyby Isaac był bardziej obecny w jego życiu.

Robiłam jedynie to, co uważałam za najlepsze dla mojego syna – wzorując się na ojcu i na tym, jak mnie wychowywał.

Może na naszej rodzinie rzeczywiście ciąży jakiś grzech pierworodny, ale zupełnie inny, niż myślałam – polegający na odmawianiu dzieciom kontaktu z ludźmi, którzy nie są w stanie sprostać surowym zasadom życiowym, jakie na siebie nałożyliśmy.

Pozbawiający nasze dzieci najbliższych.

Pociąg metra wjeżdża na stację, otwierają się drzwi, wchodzę do wagonu. Siadam przy oknie i obserwuję przez szybę letni wieczór.

Chyba mogłabym odejść ze zboru.

Nie wiem, skąd ten pomysł przyszedł mi do głowy, nigdy wcześniej tak nie myślałam i natychmiast ogarnia mnie przerażenie.

Nie mogę tego zrobić.

Dlaczego miałabym to zrobić?

Ale ledwie zdążyłam zadać sobie w duchu to pytanie, nasuwa mi się odpowiedź: wszystkie te zasady i potępienie ludzi, którzy nie spełniają oczekiwań, to jedna z przyczyn, dlaczego ja i Samuel jesteśmy dzisiaj w takiej, a nie innej sytuacji. Druga to mój brak gotowości, by przyznać, że problemy Samuela były tak poważne, że nie dało się ich uleczyć modlitwą i tranem.

Teraz nie ma już niczego, co trzymałoby mnie przy zborze. Może poza przyjaciółmi. I Bogiem.

Ale przecież chyba nic nie każe mi odejść od Boga tylko dlatego, że opuszczę zbor?

Nie mam odwagi myśleć dalej, jestem zbyt przerażona tym, dokąd zaprowadzą mnie te buntownicze pomysły, jeśli za nimi podążę. Sięgam więc po komórkę i szukam numeru Alexandry, dziewczyny Samuela, czy kim ona teraz dla niego jest.

Nie śmiem jej o to pytać.

Odbiera po trzech sygnałach. Jej głos brzmi pogodnie, ale kiedy słyszy, kto dzwoni, od razu poważnieje.

– Nie wiem, gdzie jest – mówi szybko. Nie widziała go od poprzedniego poniedziałku.

– Rozmawiałaś z nim przez telefon? – próbuję się dowiedzieć.

Krótką pauza. Metro zwalnia na stacji Telefonplan, kobieta siedząca naprzeciwko mnie wstaje i wychodzi.

– Nie – odpowiada z ociąganiem dziewczyna. – Trochę się posprzecaliśmy i...

Nie kończy zdania. W tle słychać muzykę.

– Domyślasz się, gdzie może być?

– Nie. Była u mnie policja i pytała o to samo. Była też u Liama. Nie mam pojęcia, w co się wplątał. Może na jakiś czas się przyczaił, skoro gliny go szukają.

Proszę ją, żeby przekazała Samuelowi, jeśli do niej zadzwoni, aby się do mnie odezwał.

Narasta we mnie niepokój, czuję ucisk w żołądku i robi mi się niedobrze. Przed oczami wirują mi obrazy syna, mojego ojca i matki.

Kochany Samuelu.

Mój mały żuczku.

Dlaczego wszystko układa się źle, mimo że chcemy dobrze?

# Manfred

Afsaneh rozczesuje splątane loki Nadji małą różową szczotką do włosów. Potem siada na krześle obok mnie.

– Chyba powinna się niedługo obudzić? – pyta, nie patrząc w moją stronę, jakby nie kierowała tego pytania do mnie, tylko dawała wyraz ogólnemu zniecierpliwieniu albo zwracała się do jakiejś wyższej siły.

– Lekarze powiedzieli, że to wymaga czasu – odpowiadam.

– Przecież minęło już kilka dni.

– To może trwać tygodnie.

– Nie mogę czekać tygodniami – rzuca z irytacją Afsaneh.

– A mamy inny wybór?

Otwierają się drzwi i do pokoju wchodzi Dennis.

To jeden z lekarzy zajmujących się Nadją od samego początku. Jest młody, tak młody, że Afsaneh niełatwo było obdarzyć go pełnym zaufaniem.

Ja nie mam żadnych zastrzeżeń do jego wieku, z mojego doświadczenia wynika raczej, że młodzi lekarze – albo na przykład policjanci – często są zarówno dobrze wykształceni, jak i ambitni. Poza tym nie zdążyli jeszcze zostać zepsuci przez system, stać się cyniczni i obojętni wobec wszystkich potworności, z którymi mają do czynienia.

Afsaneh wstaje i zastępuje Dennisowi drogę.

– Dlaczego ona się nie budzi? – pyta bez żadnych wstępów.

Młody lekarz uśmiecha się niepewnie i zerka w moją stronę.

– Proszę jeszcze przez kilka dni uzbroić się w cierpliwość. Według mnie nie ma powodu, aby państwo siedzieli tu cały czas. Gdy tylko w stanie Nadji nastąpi jakakolwiek zmiana, od razu do państwa zadzwonimy.

– Chciałabym być przy niej, kiedy się obudzi – wtrąca Afsaneh.

– Rozumiem. Ale nadal nie odstawiliśmy wszystkich środków nasennych. Dlatego to jeszcze trochę potrwa. Zawiadomimy państwa, kiedy...

– Nie słyszał pan, co powiedziałam? Chcę być tutaj, kiedy moja córka się obudzi. Żeby nie zobaczyła jedynie tłumy obcych ludzi, gdy otworzy oczy.

Podnoszę się z krzesła, podchodzę do Afsaneh i otaczam ją ramieniem.

– Wiesz co, kochanie – zwracam się do niej. – Pójdziemy napić się kawy.

Uwalnia się z mojego objęcia z determinacją, która mnie zaskakuje.

– Nie chcę kawy – oznajmia. – Chcę tylko, żeby Nadja się obudziła.

Dennis spogląda na mnie bezradnie. Chyba zrozumiał, że rozmowa z Afsaneh jest w tym momencie bezcelowa, ponieważ w stanie, w jakim ona się znajduje, nie przekonają jej żadne słowa.

– Chcę, żeby ona się obudziła – powtarza i z rękami skrzyżowanymi na piersiach zaczyna chodzić tam i z powrotem po pokoju.

Ani ja, ani lekarz nic nie mówimy.

Siadam z powrotem przy łóżku Nadji i przyglądam się małemu ciałku córki, spoczywającemu cicho pod prześcieradłem.

Po chwili Dennis wychodzi.

Afsaneh przestaje wreszcie spacerować i przysiada obok mnie.

– Nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam – szepcze.

Patrzę jej w oczy. Ma bladą twarz i mocno zaciska usta.

– Wytrzymasz. Oboje wytrzymamy. Bo musimy.

Godzinę później jadę na komendę.

Po drodze wypalam w samochodzie przy opuszczonej szybie trzy papierosy i modlę się w duchu, żeby po powrocie do domu Afsaneh nie wyczuła dymu.

Nie chciała mnie puścić, ale przy wsparciu Dennisa udało mi się ją przekonać, że moje przesiadywanie w szpitalu nic nie da.

Nadciągnęły ciemne chmury i gdy budynek szpitala znika we wstecznym lusterku, spadają pierwsze krople deszczu.

Na moście prowadzącym na Kungsholmen już leje, a z daleka słychać pomruki burzy. Przechodnie na chodnikach biegną szybko, na próżno osłaniając sobie głowy gazetami lub kurtkami.

Nie mogę się powstrzymać od myśli, że ta zmiana pogody jest w pewnym sensie symboliczna, chociaż z drugiej strony wiem, że to tylko mój pierwotny instynkt każe mi się doszukiwać związku, który nie istnieje – bo niby dlaczego pogoda ma mieć jakikolwiek związek z moją córką?

A jednak magiczne myślenie wkrada mi się do umysłu. Dziecięce i naiwne spojrzenie na przyczynę i skutek.

Jakby cały wszechświat martwił się razem ze mną.

Zespół dochodzeniowy się rozrósł.

Dołączyły do niego dwie osoby. Obok Dodzieła siedzi Malik, z którym pracowałem przy wyjaśnianiu zabójstwa w Ormbergu. Z jego zebranych w kucyk czarnych włosów kapią krople wody. Pewnie nie zdążył uciec przed ulewą. Jest ubrany w obcisłe džinsy

i koszulę w kratę. Widzę, że zapuścił sobie modną brodę. Chyba należałoby uznać go za hipstera, ale z drugiej strony jestem zbyt stary, by umieć niezawodnie rozróżniać wszystkie rodzaje popkultury.

Przed białą tablicą stoi Samira, patolog. Uśmiecha się do mnie i macha dyskretnie. Odpowiadam na jej pozdrowienie.

Malin wstaje i odchrząknąwszy, informuje:

– Samira Khan, lekarz medycyny sądowej z Solny, przyjechała, żeby przedstawić nam wyniki obdukcji ofiary numer dwa.

Coś takiego nie należy do przyjętych zwyczajów. Najczęściej wnioski patologów poznajemy dzięki ich pisemnym raportom. Dlatego domyślam się, że Samira musiała znaleźć coś niezwykłego, co wymaga wyjaśnienia i przedyskutowania.

– Proszę – Malin oddaje głos gościowi.

Samira zaczyna od pokazania zdjęć zwłok w miejscu, gdzie je znaleziono.

– Ofiara to mężczyzna w wieku szesnastu–osiemnastu lat. Zdrowy i w dobrym stanie fizycznym, chociaż z lekką niedowagą.

Gdy spogląda na mnie, odgaduję, co ma na myśli.

Szesnaście do osiemnastu lat – czyli jeszcze dziecko.

Następnie przechodzi do omówienia po kolei wszystkich obrażeń – od głowy po palce nóg. Opisuje złamania i zmiżdżenia zadane po śmierci, wspomina też o długim gwoździu znalezionym w pięcie denata.

W tym miejscu Dodzieł zaczyna kręcić się na krześle, mamrocze coś pod nosem i palcami przeczesuje sterczącą brodę.

Nawet najbardziej doświadczonemu śledczemu trudno jest zachować obojętność wobec potworności, jakie spotkały tego chłopca.

– Czy udało się ustalić tożsamość? – pytam.

– Porównaliśmy jego profil DNA z trzema potencjalnymi kandydatami wytypowanymi spośród osób zaginionych. Ofiara to Victor Carlgren, siedemnastolatek, zamieszkały w Saltsjöbaden. Zniknął dziesiątego maja, po kłótni ze swoją siostrą.

– Co wiemy o tym Victorze? – pyta Malin.

Dodzieł kaszle i poprawia sobie okulary na nosie.

– Dobrze wychowany. Dobrze się uczył. Nie miał kontaktu z narkotykami czy światkiem przestępczym. Rodzice zostali powiadomieni i przesłuchani. Prawdopodobnie wziął należącą do rodziny motorówkę i uciekł. Ponieważ zdarzało mu się to wcześniej, początkowo nikt się specjalnie nie zaniepokoił. Ale kiedy chłopak nie wrócił po upływie doby, zgłoszono jego zaginięcie i straż wybrzeża wszczęła poszukiwania. Obawiano się, że miał wypadek na morzu.

– O co pokłócił się z siostrą? – pyta Malin.

Dodzieł zakłada nogę na nogę. Jest w spodniach z syntetycznej tkaniny.

– O Netflixu – odpowiada. – Podobno chcieli oglądać różne rzeczy.

Na chwilę zalega cisza. Każdy z nas zastanawia się nad absurdalnością tej sytuacji.

Sama myśl, że tak banalna rzecz uruchomiła ciąg wydarzeń, który doprowadził do śmierci Victora Carlarena, wystarczy, by poczuć się podle.

– Tak, cholera jasna – wzdycha Dodzieł i przyklepuje na prawie łysej czaszce cienkie pasmo siwych włosów.

– Johannes Ahonen zniknął na początku marca – zauważa cicho Malin. – A Victor Carlaren dziesiątego maja. Oba ciała znaleziono w południowej części Archipelagu Sztokholmskiego. Oba zostały mocno zmasakrowane i były owinięte materiałem oraz łańcuchami. Jeśli nawet nie jesteśmy w stanie udowodnić, że to zabójstwo, według mnie możemy jednak wstępnie przyjąć, że w obu przypadkach mamy do czynienia z tym samym sprawcą.

W salce zapada milczenie. Słysząc tylko odgłos wciąż niesłabnącego deszczu, który bębni o szyby, oraz szum klimatyzacji.

– Jest coś jeszcze – odzywa się Samira i poprawia sobie na ramieniu gruby czarny warkocz. – Jak wiecie, u Johanna Ahonena znaleziono pod paznokciami resztki skóry. Udało się ustalić profil genetyczny i...

Samira zawiesza głos, jakby nie wiedziała, jak ma to powiedzieć.

– Analiza DNA wskazuje jednoznacznie, że to skóra Victora Carlarena – uzupełnia szybko.

– Co? – wykrzykuje Malin i upuszcza długopis na stół. – Zaraz, zaraz, przepraszam, ale nie bardzo rozumiem.

Dodzieł podnosi głowę znad notatek.

– Proszę mówić tak, żeby dało się zrozumieć.

– Skóra spod paznokci Johanna Ahonena, ofiary numer jeden, należy do Victora Carlarena, ofiary numer dwa – odpowiada powoli i z naciskiem Samira. – Na przedramionach Carlarena znajdują się na wpół zagojone zadrapania, które jak przypuszczam, są dziełem Ahonena. Tak więc ofiary się spotkały i prawdopodobnie nawet doszło między nimi do bójki. Było to tuż przed śmiercią Ahonena. Ale Carlaren zmarł dużo później.

– A niech to – szepcze Dodzieł i tak mocno pociera dłonią syntetyczną nogawkę spodni, że materiał się elektryzuje.

# Samuel

Czytam książkę Jonasowi zombie, ale prawie nie słyszę własnego głosu, ponieważ myślami jestem zupełnie gdzie indziej, daleko od Stuvskär, Igora i Rakel, która o mały włos nie nakryła mnie wczoraj na kradzieży fentanylu.

Przypominam sobie esemesa od matki.

„Wróć do domu. Kocham cię!”

Biedna, biedna mama.

Zrobiła wszystko, co mogła.

Jeśli nawet wiele jej prób ratowania mnie przed samym sobą było chybionych, to przynajmniej się starała, temu nie można zaprzeczyć.

Pamiętam, jak zabierała mnie do kościoła. Pamiętam surowe spojrzenia starszych braci i tego obłąkańca Stephena, który mówił, że zbliża się dzień sądu ostatecznego za karę za to, że wszyscy używają kart kredytowych.

Ale najbardziej pamiętam głos pastora.

Nawiasem mówiąc, brzmi identycznie jak ten w mojej głowie, który wciąż mi powtarza, że jestem gównem wart.

To nie przypadek.

Raczej nie.

Robili wszystko, żebym został prawdziwym chrześcijaninem – była szkółka niedzielna, chrześcijańscy skauci, modły w mojej intencji i całe mnóstwo innych głupot. Na przykład siadali na podłodze dookoła mnie w kręgu i modlili się za moją duszę.

Czy to nie porąbane?

W rezultacie buntowałem się coraz bardziej. Miałem nawet taki okres w wieku czternastu–piętnastu lat, kiedy rzeczywiście dużo czytałem tylko po to, aby mieć argumenty przeciwko matce.

Oświadczyłem jej, że chrześcijaństwo nie jest wcale dziełem Jezusa, tylko tego drugiego gościa, Pawła, i że on – pomijając to, że w rzeczywistości był i Rzymianinem, i Żydem i prześladował mnóstwo chrześcijan – tak naprawdę był bezwzględny bydlakiem, który rozesłał do chrześcijańskich wspólnot na całym świecie masę

aroganckich listów. Poza tym podawał się za przyjaciela Jezusa, chociaż nawet nie należał do jego uczniów.

Zachowywałem się bardzo cwanie, bo cytując Biblię, stosowałem metody zboru przeciwko matce.

Mama bez przerwy płakała i powtarzała, że siedzi we mnie szatan. Że moja dusza jest zgubiona. Że zostałem zbrukany.

Użyła właśnie takiego słowa.

Jakbym był kawałkiem usmarowanego gównem papieru toaletowego.

Spoglądam na Jonasa zombie.

Gdzie jest jego nieśmiertelna dusza?

Ma pozbawioną wyrazu twarz, rozchylone usta. Czoło mu błyszczy, jakby się spocił. Ciało tkwi bez ruchu pod wykrochmalonymi prześcieradłami, a na długim przewodzie sterczącym z jego nosa wisi samotna kropla wody.

Może właśnie niedawno jadł – jeśli można użyć takiego określenia, gdy wpompowuje się rurką żarcie prosto do żołądka.

Znowu myślę o matce.

Według niej to jej wina, że wszystko się tak ułożyło – że nie skończyłem szkoły i pracuję dla Igora. Dopatruje się przyczyny w tym, że nie dorastałem w przykładowej chrześcijańskiej rodzinie, która mieszka w szeregowcu na jakimś miłym przedmieściu.

Uważa, że wszystko potoczyłoby się inaczej, gdybym został zbawiony.

Chciałbym jej wyjaśnić, że to nie ma nic do rzeczy.

Że tak naprawdę to wszystko moja wina.

Biedna matka – cała jej praca na darmo.

Czasami się zastanawiam, czy nie spotykała się po kryjomu z jakimś facetem. Mam taką nadzieję, bo myśl, że jedynie harowała i zajmowała się mną, jest nie do zniesienia.

Może było coś między nią a tym jej kumplem – obrzydliwym amerykańskim gościem, Isaakiem – który pojawiał się na moich wszystkich urodzinach i w Boże Narodzenie i zmuszał mnie, żebym siadał mu na kolanach.

Nie miałem odwagi protestować – po prostu siedziałem, a on gapił się na mnie tym swoim wilgotnym spojrzeniem, jakby chciał mnie zjeść.

Albo jeszcze coś gorszego.

Godziłem się na to tylko dlatego, że mama strasznie się starała – przygotowywała jedzenie, kupowała prezenty i w ogóle.

Bo chociaż miałem w sobie szatana, nie byłem jednak potworem.

Jonas zombie pojękuje. Wzdryga się, powieki nieznacznie się poruszają i przez sekundę mam wrażenie, że zaraz się obudzi, ale po chwili znów zapada w śpiączkę.

Czytam dalej.

Bohater książki jedzie do Hiszpanii na ryby. Poza tym, że nie może się bzykać, ma całkiem fajne życie. Włóczy się po Europie, przesiaduje w barach i spotyka pięknych ludzi.

Jonas znowu jęczy. Tym razem odkładam książkę na nocną szafkę, podnoszę się i pochylam się nad nim.

– W porządku? – pytam, chociaż wiem, że mnie nie słyszy.

Postępuje na nowo i porusza jedną ręką, która drży mu trochę, kiedy wyciąga ją w stronę szafki.

– Ahhhrgggg – bulgocze.

Sztywnieję ze strachu.

Czy to jeden z tych jego ataków?

– Uhhrrg.

Jego ciało się pręży. Można odnieść wrażenie, że chłopak całkiem świadomie chce sięgnąć po coś z nocnej szafki. Z jednego kącika ust spływa gęsta ślina i ścieka mu po brodzie.

Na szafce jest tylko wazon z czerwoną różą, która zaczęła już więdnąć, i książka, którą przed chwilą odłożyłem.

Czy chce, żebym dalej mu czytał? Czy to próbuje mi powiedzieć?

– W porządku? – pytam znowu.

– Gaahhh.

Zaciska dłoń, ale palec wskazujący ma wciąż wyprostowany. Wyciąga go w kierunku małej szafki nocnej, prawie jakby ją wskazywał.

Spoglądam na nią i nic nie rozumiem.

Od strony łóżka w drewnianej ścianie jest kilka rys, jak gdyby Jonas wydrapał je paznokciami.

Biedny dzieciak.

– Poczekaj – mówię i wychodzę, żeby zawołać Rakel.

Najpierw idę do jej pokoju, gdzie przez całe przedpołudnie pracowała przy komputerze. Stukot klawiatury słychać było aż w przedpokoju.

Ale jej tam nie zastaję. Biurko jest starannie uprzątnięte, a laptop leży złożony na stercie papierów.

Wybiegam do przedpokoju i otwieram drzwi wyjściowe.

Ciepłe powietrze pachnie różami, kapryfolium i wilgotną ziemią. Nad rabatkami brzęczą trzmielce.

Muchołówka wygląda z budki lęgowej przybitej do fasady domu. Właśnie nakarmiła pisklęta i szykuje się do lotu, żeby upolować więcej owadów.

Samca nie widać. Może pofrunął gdzieś daleko w poszukiwaniu nowego terytorium, podczas gdy samiczka całymi dniami szuka pożywienia dla młodych. Robi dla nich wszystko, co może.

Myślę o swojej matce i od razu tracę humor.

Rakel z sekatorem w ręce klęczy na dużej rabacie przed różanymi krzewami. Na głowie ma szal, a na dłoniach żółte ogrodnicze rękawiczki. Skóra na jej ramionach jest zaczerwieniona od słońca. Obok niej stoi wiklinowy kosz, do którego wkłada obcięte kwiaty i martwe gałęzie.

Gdy zauważy moje spojrzenie, uśmiech na jej twarzy szybko gaśnie.

– Coś się dzieje z Jonaszem – wykrztuszam.

Rakel zrywa się z kolan, upuszcza sekator i rusza biegiem, ściągając po drodze żółte rękawiczki i rzucając je na trawę. Leżą w niej jak ogromne kurki.

– Czy coś powiedział? – pyta, dysząc. W jej oczach dostrzegam strach. Strach i coś jeszcze.

Nadzieję?

– Nie, tylko bulgocze.

Rakel wbiega do pokoju Jonasa, przysiada przy nim i głaszcze go po głowie. Szal zsunął się z głowy na ramiona.

– Synku. Kochanie. Jak się czujesz?

– Ahgg – odpowiada. – Uaahhhgg.

Jego ciało sztywnieje, a potem napina się jak sprężyna. Wstrząsają nim drgawki, pod wpływem których metalowe łóżko niepokojąco skrzypi.

– Szybko – wydaje polecenie Rakel. – Daj mi strzykawkę i buteleczkę z półki.

Odwracam się i wiodę wzrokiem po półkach z foliowymi torebkami, jednorazowymi rękawiczkami i lekarstwami. Na jednej z nich, obok stosu papierowych serwetek, leży sterylnie zapakowana strzykawka i stoi mała szklana buteleczka.

Biorę jedno i drugie i podaję Rakel.

Ona rozrywa foliowe opakowanie, wyjmuje strzykawkę, wkłada igłę do fiolki i zasysa trochę zawartości. Potem podnosi strzykawkę, stuka w nią palcami i wyciska jedną kroplę bezbarwnego płynu.

– Pomóż mi go trochę obrócić – zwraca się do mnie.

Zbliżając się do Jonasa, jestem potwornie przerażony, ale jednocześnie zdeterminowany, żeby jak najbardziej pomóc.

– Chwyć go za ramiona, a ja przytrzymam go za biodra.

Wspólnymi siłami przewracamy go na bok.

Rakel ściąga nakrycie i wbija igłę w pośladek.

– Auughh – gulgotcze Jonas, a jego ciało pręży się pod moimi dłońmi. Po kilku sekundach chłopak głęboko wzdycha i wyraźnie się odpręża. Głowa opada mu bezwładnie na poduszkę, rysy twarzy się rozluźniają.

Rakel osuwa się na podłogę i siedzi na niej z plecami opartymi o łóżko.

Po chwili wstaje, wyrzuca strzykawkę z opakowaniem do kosza na śmieci i podnosi szal, który spadł na podłogę.

– Dziękuję – mówi ze łzami w oczach. – Dziękuję, Samuelu. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Kiwam głową bez słowa, ale czuję, że czerwienię się z dumy i ze wstydu.

– Chodź, zrobię herbaty. On teraz trochę pośpi.

W milczeniu pijemy herbatę w żółtej kuchni.

Na niebie zebrały się chmury i gałęzie krzewów kołyszą się na wietrze.

Zanosi się na deszcz.

Rakel wygląda na przygnębioną i zmęczoną. Zmarszczki wokół jej oczu się pogłębiły. Siedzi pochylona do przodu, ściskając kubek w dłoniach.

Znowu przypomina mi matkę. Nie chodzi tylko o wygląd, ale też o mimikę.

Wydaje się potwornie zrezygnowana.

– Będzie łatwiej, kiedy Olle wróci – mówi. – Wtedy wszystko będzie prostsze.

– Gdzie on jest?

Rakel obrzuca mnie pełnym zdziwienia spojrzeniem.

– Nie mówiłam ci? Jest w Sztokholmie i stara się o pomoc dla nas. I załatwia jeszcze inne sprawy. Wróci za kilka dni. Tyle że właśnie kończy kolejną powieść, więc pewnie nie będziemy go zbyt często widzieć.

Kiedy prostuję się na krześle, komórka o mało nie wysuwa mi się z kieszeni. Wyjmuję ją i kładę przy kubku z herbatą.

Rakel zerka na wyświetlacz.

– Pokaż – mówi i pochyla się w kierunku telefonu.

Niechętnie pokazuję jej zdjęcie z tapety, na którym stoję z matką przed nowym czerwonym sportowym wozem pastora.

– To twoja mama?

Potwierdzam skinieniem głowy.

Rakel patrzy na mnie, a potem na fotografię.

– Jesteście podobni – zauważa. – Ten sam owal twarzy, ten sam...

Nagle milknie i wstaje.

– Momencik – rzuca i idzie do pokoju Jonasa.

Po chwili wraca z dwoma albumami fotograficznymi, siada na krześle i zaczyna kartkować jeden z nich.

Jej twarz łagodnieje, a głęboka zmarszczka na czole niemal znika, gdy jej wzrok zatrzymuje się na zdjęciu chłopca wyglądającego mniej więcej na pięć lat. Siedzi na małej ciężarówce, ubrany w bluzę Spidermana. Jego gołe nogi są blade i usiane czerwonymi cętkami, prawdopodobnie to ślady po ukąszeniach komarów.

– Miałem taką samą – mówię i pochylam się nad albumem, aby przyjrzeć się bliżej.

Woń kwiatów pomarańczy i marcepanu bijąca od Rakel łaskocze mnie w nosie, a w żołądku czuję dziwne mrowienie, jakby obijał się po nim nagle obudzony trzmiel.

– Ciężarówkę? – pyta z uśmiechem.

– Nie, bluzę Spidermana.

– Aha. Jonas ją uwielbiał. Nawet kiedy nie nadawała się już do noszenia, ubierał się w nią chyba jeszcze przez rok. Aż było mi wstyd w przedszkolu.

Rakel śmieje się i przewraca kartki.

Z kolejnego portretowego zdjęcia uśmiecha się do mnie siedmio- albo ośmioletni Jonas. Jest opalony i ma włosy wypłowiałe od słońca.

Wygląda zupełnie inaczej niż zaśliniony zombie leżący jak kłoda za ścianą. Wręcz trudno uwierzyć, że to ta sama osoba. Znowu przychodzi mi do głowy, że Jonas i ja byliśmy dosyć podobni. I że to ja mógłbym być na jego miejscu, gdyby życie chciało inaczej.

Ta myśl dudni mi w głowie i wywołuje niepokój.

– Spójrz na oczy – mówi Rakel. – Widzisz?

Patrzę na nie. Na cienkie, wybielałe od słońca brwi i na powieki – dosyć ciężkie jak na małego chłopca.

Potem spoglądam na twarz jego matki.

– Jesteście podobni – szepczę.

Rakel przysuwa się do mnie bliżej, żebym przyjrzał się dokładnie. Jej ręka spoczywa na stole tuż obok mojej, czuję promieniujące od niej ciepło.

Trzmiel w żołądku znowu się ożywia, czuję mrowienie między nogami.

– Byliśmy podobni – poprawia mnie. – Po wypadku... on... się zmienił.

Jej twarz tężeje, a mnie ogarnia nagła ochota, by otoczyć ją ramieniem i pocieszyć, tak jak czasami pocieszam Alexandrę. Nie mogę się powstrzymać, by nie zerkać kątem oka na krągły biust pod materiałem bluzki, delikatny łuk smukłej szyi i lekko wystający obojczyk.

To jest chore.

Kompletnie chore.

Przecież ona, do diabła, mogłaby być moją matką.

– Jak to się stało? – udaje mi się wykrztusić, chociaż w ustach mam tak sucho, jakbym był na pustyni.

– Potrącił go samochód. Kierowca uciekł. Obrażenia nie były nawet bardzo poważne, ale coś się wydarzyło w szpitalu. Jego stan się pogorszył. Lekarze uważają, że nastąpiło niedotlenienie mózgu albo może nawet udar.

Nie wiem, co powiedzieć.

– Miał przed sobą całe życie – dodaje Rakel i nerwowo mruga.

Potem głęboko zaczerpuje powietrza.

– A ty?

– Ja?

Nie rozumiem, co ma na myśli.

Rakel uśmiecha się i kładzie dłoń na mojej ręce.

Skóra pali mnie pod jej palcami, jakby ktoś przyłożył do niej ogień. Jakby każda pieprzona komórka żarzyła się pod tym dotykiem.

– Tak, ty, Samuelu. Jak ci się układa? Czy jesteś blisko ze swoimi rodzicami?

– Ja...

Słowa nie chcą wydostać się z gardła. Kłębią się w środku. Bojaźliwe jak jemiołuszki albo drozdy kryjące się w koronie jarzębiny.

Podejmuję kolejną próbę.

– To znaczy... mój ojciec nie żyje.

Rakel otwiera szerzej oczy.

– Przykro mi – mówi i znowu dotyka mojej ręki, ale tym razem tylko przelotnie. – A twoja mama?

Jej spojrzenie jest ciepłe, jakby chciała dodać mi otuchy.

– Żyje. Ona... Myślę, że jest mną zawiedziona.

– Dlaczego tak uważasz?

Wydaje się szczerze zdumiona.

– Bo... zadawałem się z niewłaściwymi ludźmi i... mnie wyrzuciła.

Po chwili zaczynam opowiadać.

Tak po prostu, sam nie wiem czemu.

Może dlatego, że Rakel opowiedziała mi o Jonasie.

Oczywiście nie wspominam, że kradłem czy dilowałem. Ale mówię o kościele, o Alexandrze i że jestem ścigany przez groźnego gościa, który nazywa się Igor. Jeszcze raz powtarzam, że mama nie jest ze mnie zadowolona. Że jestem jej wielkim rozczarowaniem. I że w gruncie rzeczy może wcale mnie nie kocha.

Ale Rakel tylko się uśmiecha i kręci głową.

– Bzdura – rzuca. A po chwili dodaje: – Jasne, że cię kocha. Przecież jesteś jej dzieckiem. A swoje dzieci po prostu się kocha. I już.

Po krótkiej pauzie odzywa się znowu:

- Mówisz, że uciekłeś przed tym Igorem.
- Hm.
- Czy od tamtej pory rozmawiałeś z mamą? – pyta niemal z surową miną.
- To znaczy... nie... Ona zawsze śmiertelnie się boi, że wydarzy się coś złego.

Rakel uśmiecha się ze smutkiem.

- Wszystkie matki zawsze się boją.

Po chwili namysłu znowu pyta:

- A ty nigdy się nie boisz?

- Nie – odpowiadam. – Nie boję się tak strasznie, że stanie się coś okropnego.

W każdym razie nie myślałem o tym, zanim Igor... Bardziej obawiałem się, że...

- Że co? – dopytuje Rakel. Sprawia wrażenie szczerze zainteresowanej.

- ...że nic się nie wydarzy – mówię i od razu sobie uświadamiam, że to prawda.

Od zawsze prześladował mnie jeden koszmar: że utknę w swoim pokoju we Fruängen na całe życie. Że po prostu nic się nie zmieni. Zrządzenie matki, dziewiętnastominutowa jazda metrem do centrum, dni będą niezauważalnie mijać jeden za drugim i zamieniać się w miesiące i lata. A potem nagle się okaże, że mam trzydziestkę i życie dobiegło końca.

Rakel wygląda na zasmuconą i jednocześnie ubawioną. Gdy spogląda na album, jej twarz wykrzywia grymas bólu.

- Nie – mówi stanowczo. – Nie możemy tak siedzieć przez cały dzień.

Prostuje się, a cienki materiał podkoszulki napina się na jej biuście.

Szybko opuszczam wzrok na blat stołu.

Po południu pracujemy razem w ogrodzie. Jest odrobinę chłodniej, ale duszno, jakby zanosilo się na burzę. Nad ład nadciągnęły ciemne, fioletowe chmury i zbiły się w gigantyczną ścianę na zachodzie.

Pomogłem Rakel naprawić dużą dziurę w ogrodzeniu, a ona zgrabiła sosnowe szyszki z trawnika pod szczytową ścianą domu.

Idąc po rękawiczki i sekator, które wciąż leżą rzucone w trawie, zatrzymuje się przy mnie.

- Posłuchaj – odzywa się – czy nie mógłbyś mocniej dokręcić kraty w oknie sypialni Jonasa? Trochę się oblużowała.

- Jasne – odpowiadam.

Rakel rusza do składziku.

Po kilku minutach wraca ze śrubami i wkrętarką na baterie.

- W okolicy było sporo włamań – wyjaśnia i wskazuje głową na okno. – Lepiej dmuchać na zimne.

Nic nie mówię, ale w duchu myślę sobie, że ten, kto by się tutaj włamał, byłby solidnie zawiedziony.

Komu zależałoby na pieluchach dla dorosłych i lekarstwach?

– To pewnie te ćpuny z kempingu – bąka Rakel ze złością. – W końcu muszą skądś wziąć pieniądze na dragi. Kiedy mieszka się tak jak ja na uboczu, na dodatek z upośledzonym dzieckiem, lepiej unikać wizyty zjaranego hipisa w środku nocy.

Krata w oknie jest gruba i trochę zardzewiała. W dolnej części widać dwa puste otwory po śrubach.

Pochyliam się, żeby przyjrzeć się im bliżej.

Wyglądają tak, jakby ktoś specjalnie usunął śruby.

Przykręcam kratę i pociągam ją, żeby sprawdzić, czy się trzyma.

Nie drgnie nawet o milimetr.

– No, teraz siedzi mocno – mówię.

Twarz Rakel się rozjaśnia.

– Dzięki! Widzę, że masz smykałkę do takich rzeczy. Ogrodzenie też pięknie naprawiłeś.

– To nic wielkiego – odpowiadam i spuszczam wzrok na trawę.

– Nie bądź taki skromny – rzuca Rakel ze śmiechem. – Bez ciebie nigdy bym go nie naprawiła. Jesteś i silny, i zręczny.

Czerwienię się. Mam nadzieję, że tego nie zauważyła. Mama nigdy nie powiedziała mi czegoś takiego. Nawet gdyby tak myślała.

Odwracam spojrzenie i spoglądam na rosnące pod oknem peonie. Nabrzmiące ciemnoczerwone pąki uwolniły się już od osłaniających listków i mogą rozwinąć się w każdej chwili. Po ścianie domu pnie się dorodne pnącze. Jasnozielone liście rosną niemal w oczach.

Dookoła unosi się zapach trawy, wilgotnej ziemi i perfum Rakel. Nieustannie brzęczą i bzyczą owady, śpiewają ptaki i trzepoczą motyle. Wszystko tchnie życiem i energią.

Rakel pochyła się w moją stronę. Długie pasmo ciemnych włosów opada jej na twarz.

Gdy zwilża sobie usta językiem, przemyka mi przez głowę, że chyba zaraz umrę.

Tutaj. Teraz.

Rakel wyciąga rękę ku mojej twarzy. Ale zamiast mnie pogłaskać, czego się spodziewałem, uderza mocno w policzek.

– Komar – mówi, pokazując mi krwawą plamę na swojej otwartej dłoni.

Skóra w miejscu siarczystego pacnięcia pali mnie jak ogień również pod wpływem świadomości, że jej blada dłoń dotknęła mojej twarzy. Okej, uderzyła mnie, ale mimo

wszystko.

Część mnie pragnie, by zrobiła to jeszcze raz.

Leżę w łóżku i próbuję zasnąć, ale nie potrafię uspokoić myśli. Jedna próbuje przekrzyczeć drugą, jak wygłodniałe i ślepe pisklęta w gnieździe.

Nie mogę tutaj zostać.

Wszystko będzie lepsze niż siedzenie z Jonaszem zombie w cuchnącym pokoju.

No i Razel – jej twarz i ciało pojawiają się w mojej głowie w całkiem chorych sytuacjach. Mimo że ona jest co najmniej czterdziestolatką i ma partnera, który niedługo wróci ze Sztokholmu.

Mimo że jest podobna do matki.

Mimo że wszystko jest kompletnie nie tak, nie umiem przestać o niej myśleć. O jej jasnej skórze, pełnych piersiach i zmarszczkach, które okalają oczy, kiedy się śmieje. I o jej uśmiechu, gdy powiedziała, że jestem silny i zręczny.

Próbujesz popisywać się swoimi umiejętnościami przed czterdziestoletnią kobietą tylko dlatego, że marzysz o tym, żeby ją przelecieć. To żałosne. I cholernie perwersyjne.

Przewracam się na bok i poprawiam poduszkę pod głową.

Letnia noc jest ponura i nie ma końca, jak jeden z tych francuskich filmów, które oglądaliśmy w szkole. W niebieskawej ciemności majaczą kontury szafy i krzeselka stojącego obok. Moje brudne ciuchy leżą ciśnięte na siedzenie.

Wcześniej czy później będę musiał je wyprać, tyle że nie mam nic innego na zmianę. A przecież nie mogę przez cały dzień chodzić nagi, czekając, aż pranie wyschnie.

Mam jednak większe problemy niż nie pierwszej czystości ubranie.

Próbuję ocenić istniejące opcje.

Pójście na policję jest wykluczone. Po pierwsze, nie mam najmniejszej ochoty wylądować w pace, a po drugie, musiałbym wtedy oczywiście sypnąć Igora, co praktycznie byłoby równoznaczne z podpisaniem na siebie wyroku śmierci.

Bo przecież jego gliny i tak nie dopadną.

W porównaniu z nim są jak papierowy tygrys – bezzębne jak dupa.

A jednocześnie nie mogę odezwać się do Igora czy Maltego, żeby im wyjaśnić, że to było nieporozumienie, nie ryzykując ściągnięcia sobie na głowę policji. Poza tym upłynęło za dużo czasu, by próbować przyczołgać się z powrotem i prosić o wybaczenie. Byłbym bardziej wiarygodny, gdybym zgłosił się od razu i powiedział im, że ukryłem pieniądze i pożyczyłem sobie motor.

Właśnie, pieniądze.

Siadam na łóżku i nabieram głęboko powietrza. Poduszka ześlizguje się z szelestem na podłogę.

Pieniądze.

Dlaczego nie pomyślałam o nich wcześniej?

Przecież pod tamtym gładem w lesie leży co najmniej dwieście tysięcy koron. Jeśli pożyczę sobie trochę, wystarczy mi, żeby na jakiś czas się ukryć. Przynajmniej do czasu, kiedy wszystko przyschnie.

Wiem, że Igor gadał coś o wyjeździe do Miami.

Jeśli się tam wyniesie, zostanie sam Malte i chociaż straszny z niego osioł, nie jest takim sukinsynem jak Igor. Oprócz tego mam na niego haka. Widziałem, jak dawał pieniądze Igora lasce, której należało się skopanie tyłka.

Lasce, która przyjmowała też wizyty innych.

Pamiętam, co Malte syknął mi do ucha w domu tej rudej szprychy.

„Ani słowa, kapujesz? Bo wtedy nie żyję. I ty też”.

Serce bije mi mocniej.

Podnoszę z podłogi poduszkę, układam się na plecach i wbijam wzrok w sufit.

Jak dostać się do tych pieniędzy? Nie mogę przecież pojechać do Fruängen na motorze Igora i ich zabrać. Zbyt duże ryzyko, że ktoś mnie zauważy.

Czy mam poprosić Alexandrę, żeby je wzięła?

Nie.

Za nic w świecie.

Nawet nie odpowiedziała na mojego esemesa i nie cierpi wszystkiego, co ma związek z Igorem. Na pewno nie dałaby się wpakować w to pieprzone bagno.

Sięgam po komórkę z nocnej szafki. Chyba nic się nie stanie, jeśli włączę ją na kilka sekund.

Blask wyświetlacza rozjaśnia pokój.

Przeglądam Instagrama.

Jeanette wrzuciła swoje zbliżenie. Lśniące usta, jak zwykle ponętnie rozchylone, szeroko otwarte oczy. Wiatr rozwiewa jej włosy, a słońce tworzy aureolę dookoła głowy. Mina wyzywająca i jednocześnie trochę zdziwiona.

„Coś potwornego dzisiaj pogrzebaliśmy chomika siostry wszyscy byli strasznie smutni” – czytam pod zdjęciem.

Czteryście jednaście lajków.

Nieżywy chomik w połączeniu z namiętymi ustami to zdecydowanie dużo nawet jak na Instagram.

W telefonie rozlega się kliknięcie. Oblatuje mnie taki strach, że omal nie upuszczam aparatu na podłogę.

To wiadomość od Liama.

„Prześnij do mnie pisać gliny wypuściły Igora nie mają dowodów on chce cię ZABIĆ siedź cicho nie dzwoń NIE chcę być w nic wmanewrowany”.

Zamykam oczy i rzucam komórkę na łóżko.

Narasta we mnie desperacja, mam wrażenie, że zaraz wybuchnę, jakby ktoś albo coś siedziało w środku i próbowało się wyrwać.

Zbiera mi się na płacz, chociaż tego nie chcę. Łzy płyną mi po policzkach bez końca, jakbym był jakimś gówniarzem, który zgubił ulubioną zabawkę, a nie dorosłym facetem, który sam wdepnął w gówno, bo był pieprzonym kretynem.

Jesteś niczym. Nic nie umiesz. Równie dobrze mógłbyś się położyć i zaraz umrzeć, bo i tak nikogo by to nie obchodziło.

Wycieram nos w prześcieradło.

Jest tylko jedna osoba, z którą mogę się skontaktować. Jedna jedyna.

# Pernilla

Akurat gdy zbliżam się do zboru, odzywa się telefon. Ściągam z ramion plecak, który zapakowałam na wycieczkę z dziećmi. Jest tak ciężki, że ledwie utrzymuję równowagę.

Nawet nie patrzę na wyświetlacz, przekonana, że dzwoni pastor, żeby pewnie coś jeszcze uzgodnić.

Przez ostatnie dni przeżywałam istne katusze. Stina uważa, że nie powinnam jechać. Według niej powinnam powiedzieć Karlowi-Johanowi, żeby się wynosił gdzie pieprz rośnie i więcej nie pokazywał swojego świętojebliwego tyłka w kościele.

Ale jak mogłabym zrobić coś takiego?

Ostatecznie jest pastorem całego zboru, mnóstwo razy mi pomógł i dobrze życzy Samuelowi. Oprócz tego nie mogę zapominać o dzieciach. Bo beze mnie nie będą miały wycieczki, a przynajmniej prawdziwej wycieczki.

Okazuje się jednak, że to nie pastor. Zamiast niego słyszę jego.

Serce omal nie wyskakuje mi z piersi.

– Samuel? – pytam łamiącym się głosem, jednocześnie wzdychając z wdzięcznością do Boga.

– Cześć, mamó. Jak się miewasz?

Nie mogę wykrztusić ani słowa, ale w środku czuję falę znajomego ciepła. Przyspiesza mi puls.

– Mama?

Upływa kilkanaście sekund, zanim udaje mi się opanować i odezwać.

– Gdzie ty jesteś? – pytam, słysząc samą, że brzmię bardzo oschle. – Dlaczego nie dawałeś znaku życia? Strasznie się denerwowałam.

Przenoszę spojrzenie na grupę dzieci, które zebrały się już na ulicy.

Chmury częściowo się rozproszyły i pomiędzy nimi pokazują się coraz większe połacie błękitnego nieba. Ale ziemia nadal jest wilgotna od deszczu.

– Przepraszam – mówi Samuel i milknie.

Słyszę jego oddech.

Najdroższy Samuel. Mój najukochańszy przegrany chłopiec.

– Przepraszam – powtarza po chwili. – Wydarzyło się coś kurewsko paskudnego.

– Nie przeklinaj – rzucam odruchowo, ale natychmiast tego żałuję.

Nie chciałam go spłoszyć, gdy w końcu się do mnie odezwał. Ale też nie życzę sobie, żeby mój syn bluźnił, przynajmniej kiedy rozmawia ze mną.

– Przepraszam – mówi po raz trzeci. – No więc zdarzyła się pewna... rzecz. I po prostu musiałem trzymać się z daleka od domu.

– Czy to ma związek z tamtymi torebkami? – pytam, chociaż już znam odpowiedź.

– Tak. Ale... one nie były moje i kiedy je wyrzuciłaś, facet, do którego należały, kurewsko, przepraszam, strasznie się na mnie wkurzył.

Czuję skurcz w żołądku, gdy przypominam sobie, jak cisnęłam te dziwne małe foliowe torebki do śmieci. W najdzikszych snach nie przyszłoby mi do głowy, że przeze mnie Samuel znajdzie się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Myślałam, że mu pomagam. Że w końcu wytyczyłam ostateczną granicę.

– Nie wiedziałam – bąkam.

– Jasne, skąd mogłaś wiedzieć. Słuchaj, muszę zaraz kończyć. O dziesiątej zaczynam pracę.

Oddycha dosyć ciężko, jakby był gdzieś na dworze i szedł.

– Pracę?

– To długa historia. Znalazłem robotę przez internet w okolicy Stuvskär.

I opowiada mi chaotycznie, że pracuje gdzieś w szkiełach u Rakel i jej partnera Ollego, który podobno jest pisarzem. Jej syn Jonas ma uraz mózgu i potrzebuje towarzystwa i opieki.

– Sęk w tym, że nie mogę tutaj zostać – wyjaśnia dalej. – Po prostu nie zdzierzę. Ale muszę jeszcze przez jakiś czas się nie wychylać, dopóki gość, który za mną węszy, nie wyjedzie za granicę.

W tym momencie przypomina mi się człowiek z klatki schodowej.

Do dzisiaj mam siniaka na ręce w miejscu, gdzie mnie ścisnął.

– Czy ta osoba – zaczynam – ma ogoloną na łyso głowę i mówi z akcentem, jakby był Polakiem albo...

– Igor – wtrąca szybko Samuel. – On nazywa się Igor. Wyrzuciłaś jego towar. Skąd wiesz, jak wygląda?

– Był u mnie i pytał o ciebie.

– Kurwa.

– Proszę cię!

– Pierdolony skurwiel!

– Ja cię bardzo proszę!

Słyszę, jak sapie pomiędzy rzucanymi przekleństwami. Brzmi to tak, jakby niemal wchodził pod jakąś górę.

– On jest niebezpieczny, mamó. Nie chcę, żebyś z nim rozmawiała.

– Przecież to nie ja do niego poszłam. Tylko on pojawił się tutaj i wypytywał o ciebie.

– I co mu powiedziałaś?

– Prawdę. Że nie wiem, gdzie jesteś.

Podnoszę plecak i cofam się o krok na chodniku, żeby przepuścić kobietę z wózkiem i psem. Przed budynkiem zboru kilku chłopców kopie jak piłkę coś, co wygląda na kalosz. Jedna z dziewczynek na próżno próbuje przechwycić swój gumowiec.

Powinnam iść do nich i kazać im się uspokoić, ale nie mogę. Nie teraz, kiedy Samuel wreszcie odezwał się do mnie.

– Proszę cię, mamó, posłuchaj mnie uważnie. Musisz mi pomóc w jednej sprawie.

– Jasne, że ci pomogę. O ile będę potrafiła. Zawsze ci pomogę. To znaczy, nie wiem, o co dokładnie chodzi. W czym miałabym ci pomóc. Na przykład.

– Pamiętasz ten laszek, który ciągnie się wzdłuż ścieżki rowerowej między strefą przemysłową a szkółką ogrodniczą?

– Tak.

– Jest tam duży głaz, kilka metrów na prawo od ścieżki. Nie sposób go nie zauważyć, bo jest cholernie duży.

Milczę, ponieważ chyba niestety się domyślam, do czego zmierza.

– Pod tym głazem jest jama. Można się do niej dostać, podkopując trochę kamień od strony brzoź. W środku leży torba sportowa. A w niej...

– Samuelu – przerywam mu najsurowszym tonem, na jaki mnie stać.

– ...są pieniądze – kontynuuje, jakby mnie nie słyszał. – Czy mogłabyś wziąć z niej dla mnie ze dwie paczki stukoronowych banknotów?

– Samuelu! Czy ty słyszysz, o co mnie prosisz? Pieniądze? W torbie w lesie? Paczki stukoronówek? Skąd one są? Z handlu narkotykami? Po moim trupie! Nie zamierzam maczać palców w czymś takim. Musisz iść na policję, synu. To jedyne rozwiązanie. Jeśli zrobiłeś coś nielegalnego, powinieneś się przyznać i ponieść karę.

– Zapomnij – mamrocze.

– Co takiego? Czemu tak mówisz? Jedyne słuszne wyjście to poddanie się karze.

– To nie takie proste.

– Proste? Nie żartuj sobie! Kto powiedział, że życie jest proste? Poza tym na jakiej podstawie uważasz, że łatwa droga to właściwa droga?

– Mamó, posłuchaj...

– Nie, już dość się nasłuchałam. Nie zamierzam siedzieć cicho i patrzeć, jak niszczysz sobie życie. I mnie też. Zamierzam iść na policję i poprosić o pomoc. Tak, pójdę na policję.

– Posłuchaj mnie, bardzo cię proszę. Jeśli kiedykolwiek pojawię się w okolicy Sztokholmu, zginę. Rozumiesz? Będę martwy. Nieżywy. I to będzie twoja wina.

– Jak możesz tak mówić, Samuelu? Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam...

– Bo taka jest prawda! – krzyczy. – Igor mnie znajdzie, a jak znajdzie, to zabije. Przecież go widziałas i chyba zrozumiałaś, jaki on jest. Na co go stać. To potwór w ludzkiej skórze. Nie zawaha się ani sekundy, żeby mnie rozwalić.

Zamykam oczy.

Dlaczego on nie może się poprawić? Dlaczego musi zawsze coś wykręcić?

– Mógłbyś pożyczyć ode mnie – mówię, starając się zachować spokój. – Tyle że w tej chwili jestem goła. Musiałam zapłacić parę rachunków ojca i teraz nie wiem, jak sama przetrwam do końca miesiąca.

– Weź pieniądze stamtąd – rzuca ostro. – One tam leżą i tylko gniją.

Zerkam na budynek zboru.

– Nawet gdybym się zdecydowała ci pomóc, to i tak nie mogę – odpowiadam. – Jadę na wycieczkę z dziećmi.

– Na wycieczkę? Serio? Zamierzasz siedzieć przy ognisku, piec kiełbaski i czytać Biblię zgrai niedorozwiniętych gówniarzy, kiedy na mnie dybie Igor? Serio?

Głos mu się łamie, a ja nie potrafię rozstrzygnąć, czy mówi prawdę, czy przesadza.

Zawsze miał skłonność do dramatyzowania.

Ale jest moim dzieckiem, wszystkim, co mam. Poza ojcem to jedyna istota, którą kocham.

– Pomóż mi, mamó – szepcze. – Musisz mi pomóc.

– Ja, ja...

Czuję czyjąś dłoń na ramieniu. Odwracam się, wciąż z telefonem przy uchu.

– Za chwilę oddzwonię – bąkam i się rozłączam.

Karl-Johan ma mroczne spojrzenie, a jego czoło przecina głęboka bruzda.

– Niechący słyszałem – mówi do mnie. – Nie rób niczego, Pernillo, czego byś potem żałowała. Chyba pamiętasz, co mi obiecałaś?

Potakuję głową i podnoszę plecak.

– Chyba do niego nie zadzwonisz? – pyta.

Tym razem kręcę przecząco głową. Jak posłuszne dziecko. Jak owieczka.

– To dobrze – stwierdza.

Trzyma w ręce niewielkich rozmiarów plecak.

– Gdzie masz swój namiot? – chcę wiedzieć.

– Jest podarty – wyjaśnia. – Będę spał w twoim. To najlepsze rozwiązanie.

Oblewa mnie fala lodowatego zimna.

– Nie – odpowiadam. – To niemożliwe.

Ale on tylko prycha lekceważąco.

– Nie przesadzaj – rzuca, po czym otacza mnie ramieniem, trochę za mocno, i ciągnie w kierunku siedziby zboru. – Chodź już – dodaje. – Pora jechać.

W tym momencie coś we mnie pęka.

Uświadamiam sobie, jak bardzo posłuszna i bezwolna byłam przez wszystkie minione lata. Do jakiego stopnia podporządkowywałam się najpierw ojcu, a potem dostosowywałam się do wymogów zboru.

A zbor to przecież Karl-Johan: mężczyzna, który teraz ciągnie mnie za rękę, jakbym była niesfornym dzieckiem. Mężczyzna, który uważa, że jestem już za długo sama i nie miałby nic przeciwko temu, żeby się ze mną przespać, chociaż ma żonę i jest sługą Bożym.

Nagle robi mi się niedobrze. Moja bezrozumna uległość podchodzi mi do gardła.

Co dobrego mi przyniosła?

Nic. Absolutnie nic.

A kłamstwa?

Majaczą przede mną obrazy wychudzonego ciała ojca i pożółkłych listów od matki. Myślę też o Isaacu, który tak bardzo chciał poznać swojego małego chłopca. Pragnął tak wiele, a dostał tak mało – co najwyżej po kilka godzin dwa razy w roku.

Wszystkie te kłamstwa.

Wszystkie lata, kiedy odmawialiśmy sobie bliskości, do której mieliśmy prawo i której też potrzebowaliśmy.

Nagle zatrzymuję się na chodniku i opieram się pastorowi, a ten patrzy na mnie zaskoczony. Kątem oka widzę, że kilkoro dzieci przerwało zabawę i przyglądają nam się z zaciekawieniem.

– Chodźże – mówi Karl-Johan i pociąga mnie tak mocno, że aż czuję ból.

Zapieram się jednak nogami, nie ruszam się ani o centymetr.

– Robisz z nas pośmiewisko – syczy przez zęby.

Patrzę mu w oczy. Widzę w nich cień frustracji i złości, ale także prawdziwy strach, jakby moja niespodziewana siła go przeraziła.

To jeszcze bardziej wzmacnia mój gniew.

– Chodź – powtarza, rzucając niespokojne spojrzenia w stronę dzieci przed siedzibą zboru.

Wyrywam rękę i robię krok do tyłu. Zarzucam plecak na plecy.

– Zapomnij – odpowiadam.

# Manfred

Afsaneh pochyla się nad poduszką i unosi komórkę w taki sposób, abym mógł zobaczyć wyświetlacz.

– Spójrz!

Alba, moja najstarsza córka, która mieszka w Paryżu, uśmiecha się do mnie ze zdjęcia. Jasnoblond włosy rozwiewa wiatr, w jej ręce widzę kieliszek z białym winem.

– Ja też chciałbym mieć jej zdjęcia – mówię.

Afsaneh wywraca oczami.

– To załóż sobie Instagrama.

– A jak to się robi?

– Litości!

Afsaneh ściąga z nocnej szafki moją komórkę i wpisuje kod, który rzecz jasna zna. Potem opiera się na poduszce i w skupieniu naciska przycisk za przyciskiem.

Wygląda jak dzikuska z lasu: czarne włosy ma potargane i poplątane, brwi bujnie rozrośnięte i błyszczący nos. Mimo to jest tak piękna, że nagle ogarnia mnie nieprzewartowana ochota, by ją dotknąć, jakbym musiał się upewnić, że jest rzeczywistą postacią, a nie fatamorganą wyczarowaną przez moją wyobraźnię.

Poznaliśmy się cztery lata temu, w Sandhamn na szkiecach. Wbrew przeważającej opinii to ona mnie poderwała, a nie odwrotnie.

Nigdy bym się nie ośmielił uwodzić tak młodej, utalentowanej i urodziwej kobiety. A przynajmniej w tamtym momencie, zaraz po rozwodzie z Beatrice, który pozbawił mnie resztek normalnie wcale niemałej pewności siebie.

Z jakiegoś jednak powodu młoda doktorantka z psychologii chciała rozmawiać właśnie ze mną. I nie tylko rozmawiać, jak się niebawem okazało.

Zaprosiła mnie do siebie, do małego letniskowego domku, który wynajęła od przyjaciółki. Leżał w południowo-zachodniej części wyspy, ukryty wśród sosen i krzaków jagód, nie było w nim ani prądu, ani bieżącej wody.

Ale co z tego?

Rzecz jasna uważałem, że jedynie się mną bawi, nie miałem jednak nic przeciwko temu, by być jej zabawką. Mijał dzień za dniem, w końcu minął cały tydzień. Zadzwoiłem do szefa i powiedziałem, że dopadła mnie paskudna angina. Afsaneh i ja

kapaliśmy się w morzu, jadaliśmy długie kolacje w barze dla nurków w porcie i spacerowaliśmy po małej wyspie. Kiedy wreszcie trzeba było jechać do domu, poprosiła mnie o numer telefonu.

Zapisałem go na odwrocie paragonu za benzynę, a ona obiecała, że się odezwie. Na co jedynie skinąłem głową i roześmiałem się trochę zażenowany, byłem bowiem święcie przekonany, że nigdy nie zadzwoni. Poza tym trochę przeszkadzało mi też nietypowe odwrócenie ról. To ona mnie zaczepiła, uwiodła i zaprosiła do siebie. I ona poprosiła o numer telefonu, obiecując, że zadzwoni.

Czyli zrobiła wszystko to, co zwykle robią faceci – tacy, którzy nie mają zamiaru więcej dać znaku życia.

Ale już tego samego wieczoru, kiedy znalazłem się z powrotem w pustym mieszkaniu, zadzwoniła komórka.

– Bardzo proszę – mówi Afsaneh. – Teraz musisz tylko założyć swój profil.

Pomaga mi go uruchomić i pokazuje, jak to działa.

– Możesz śledzić tyle osób, ile tylko chcesz. Jeśli spodoba ci się czyjś post, naciskasz tu serduszko. A jeżeli będziesz chciał napisać komentarz, wtedy wchodzisz w to okienko. No i możesz publikować własne wiadomości. I to cała filozofia!

Odgarniam jej włosy z twarzy i całuję w policzek.

Ale Afsaneh, która wydaje się bardzo skupiona, odsuwa się ode mnie.

– Jestem upośledzony? – pytam, nie odrywając wzroku od mojej pięknej żony.

– Tak – odpowiada szczerze. – W każdym razie cyfrowo na pewno.

– A według ciebie mogę to nadrobić?

Przez chwilę nic nie mówi, potem podnosi wzrok znad komórki i przygląda mi się badawczo.

– Nie – oznajmia w końcu.

– Nie bądź taka surowa. Po prostu nie pojmuję, po co to wszystko.

– Jak to? Nie chodzi o nic specjalnego. W ten sposób utrzymuje się kontakt z ludźmi. Można zobaczyć, co się dzieje w ich życiu. Ty na przykład mógłbyś śledzić Albę, Alexandra i Stellę.

– No a ktoś taki? – pytam i wskazuję na młodą kobietę w drogich ciuchach, która i tak wygląda tanio. – Ona ma dwieście tysięcy obserwatorów. I wszystkich ich zna?

Afsaneh wzdycha i się śmieje.

– Oczywiście, że nie. Jest influencerką. Żyje z lajków. Dla niej są równie ważne jak dla ciebie chodzenie do pracy.

– Praca – przypominam sobie i patrzę na zegarek. – Cholera. Muszę się związać.

Afsaneh kładzie się znowu.

– Widzimy się w szpitalu?

– Tak – odpowiadam i wstaję.

Wchodząc na komendę, jak zwykle myślę o Peterze.

Strasznie mi go brakuje.

Pracowaliśmy razem ponad dziesięć lat, kiedy pochłonęły go ciemności Ormbergu. Widok jego zamrożonego na kość ciała w wielkiej zamrażarce na zawsze wrył mi się w pamięć. I nigdy nie przestanę analizować swoich działań z ubiegłej zimy, nigdy nie przestanę zadawać sobie pytania, czy mogłem zrobić coś więcej, żeby go ocalić.

Peter to jeden z nielicznych prawdziwych przyjaciół, jakich miałem w życiu. Pierwszym, i chyba najbliższym, był Aron.

Wtedy poznałem, czym jest ból po stracie kogoś, kogo się kocha.

Przed oczami przemyka mi obraz drobnego ciała Nadi na dużym szpitalnym łóżku.

Można by pomyśleć, że po śmierci Arona załamałem się i odizolowałem.

Byłaby to logiczna reakcja.

Oczywiście opłakiwałem brata i zabijałem smutek, obżerając się słodyczami, ale jednocześnie ta tragedia miała dla mnie pozytywne następstwa – na przykład zyskałem w szkole wyjątkowy status.

Zwłaszcza wśród dziewczyn.

To on! Brat chłopaka, który umarł!

Skończyłem właśnie trzynaście lat, kiedy Anna zaczęła się do mnie zalecać. Była rok starsza, miała już piersi, umiała całować się z języczkiem i postawiła sobie za cel, żeby nauczyć mnie wszystkiego, co wie o miłości, aby w ten sposób złagodzić moje wielkie cierpienie.

A ja chętnie skorzystałem z jej pomocy.

Po Annie pojawił się cały sznur dziewczyn. Sussi ze znamieniem na czole i Elsa, która została mistrzynią w pływaniu, oraz Pirjo z dużym biustem. Była też paląca trawkę Marika, której ojciec siedział w więzieniu za przestępstwa ekologiczne, a mama latała w weekendy do Paryża i Nowego Jorku na zakupy. Pamiętam też wysoką Stellę i wysoką Sannę, siostry, które nie miały nic przeciwko temu, żeby się mną dzielić.

Później przyszła kolej na Beatrice, piękną dziewczynę z wyższej klasy, która mieszkała niedaleko ode mnie i została moją żoną oraz matką trojga moich starszych dzieci.

Koledzy nigdy nie potrafili pojąć, co tak naprawdę widziały we mnie te wszystkie dziewczyny. Nie byłem specjalnie przystojny i już wtedy miałem za dużo kilogramów.

Nie rozumieli jednak, że – być może pod wpływem tragicznych okoliczności lub też aby skompensować swój niepozorny wygląd – rozwinąłem inne atuty.

Nauczyłem się na przykład trudnej sztuki słuchania. Wypracowałem też pociągający w moim mniemaniu wizerunek, odznaczający się cynizmem i nonszalancją. Prezentowałem lakoniczny humor i zapoczątkowałem trwającą całe życie miłość do ładnych ubrań.

Nie jestem tak głupi, żeby nie zdawać sobie sprawy, że kanalizowałem próżność za pomocą garderoby, ponieważ nie potrafiłem uporać się z nadwagą. Z upływem czasu polubiłem własne ciało, jak to się ładnie mówi. Po prostu zaakceptowałem nadmiar tłuszczu. Przynajmniej z czysto estetycznego punktu widzenia.

Natomiast coraz silniej narastał we mnie strach, że otyłość wpłynie na moje zdrowie, a może nawet skróci mi życie.

Nie mogę umrzeć. Nie teraz.

Nie mam czasu.

Poza tym to byłoby strasznie niesprawiedliwe wobec Afsaneh.

Myślę o mojej biednej żonie.

Zawsze byłem przekonany, że przeżyjemy ze sobą całe długie życie, ale teraz nie jestem już tego taki pewny. Tak dużo naszej miłości przelaliśmy na Nadję, że szczerze mówiąc, nie wiem, co z niej pozostanie, jeśli...

Jeśli ona...

Jeśli ona miałyby...

Nie jestem w stanie iść za tą myślą do końca, ponieważ wydaje się niewyobrażalne, aby świat mógł istnieć bez Nadji. Aby mogła nadejść wiosna, aby obudziły się do życia rośliny i kobiety rodziły nowe dzieci z wiarą w przyszłość równą tej, jaką miała Afsaneh, rodząc Nadję.

A przede wszystkim niemożliwe wydaje mi się myślenie o Afsaneh i o mnie bez Nadji, bo ona jest sumą nas dwojga, naszej miłości. Naszej miłości do życia.

Bez niej jesteśmy niczym.

Bez niej jesteśmy jak suche, martwe liście wirujące w jesiennym wietrze. I tak samo jak one zostalibyśmy porwani w różne strony, nie mogąc w żaden sposób temu zapobiec.

Dodzieł i Malin są już w salce konferencyjnej.

Malin ma na sobie obcisły T-shirt, który uwydatnia jej pokaźny brzuch. Uśmiecha się, widząc moje spojrzenie. Ja też się uśmiecham, chociaż w głębi czuję ból, bo jej widok przywodzi mi na myśl Afsaneh i Nadję.

Dodzieł siedzi u szczytu stołu. Dziś włożył koszulę z jakiegoś syntetyku. Przez przezroczysty materiał widać zarys siatkowego podkoszulka. Dżinsy są pogniecione, wysokie w pasie, ale za krótkie na dole. Wystające z sandałów palce stóp mają długie żółte paznokcie zagięte do dołu.

Jezu, wygląda, jakby właśnie wyszedł z kampera na kempingu. To naprawdę cud, że jakakolwiek kobieta może uważać tego gburowatego, zaniedbanego faceta za atrakcyjnego.

– Rozmawiałam z naszymi ludźmi od ustalania profilu sprawców – mówi Malin. – Nie są formalnie włączeni do sprawy, ale podzielili się ze mną swoimi przemyśleniami. – Odchrząkuje i przewraca kartki w notesie. – Mamy dwa zabójstwa – kontynuuje. – Albo zbezczeszczenie zwłok, jeśli ofiary, wbrew naszym przypuszczeniom, zmarły śmiercią naturalną i dopiero potem zostały wrzucone do morza. Dla ułatwienia analizy przyjęliśmy założenie, że chodzi jednak o zabójstwa. Jak wiemy, zwykle zabójcami są mężczyźni. A w tym przypadku według profilerów jest to tym bardziej prawdopodobne, ponieważ ciała zostały poddane brutalnej fizycznej przemocy, a później zatopione, co wymaga niemałej siły, a więc wskazuje na mężczyzn lub mężczyznę. I to raczej młodego. Osoba stara czy chora raczej by sobie z tym nie poradziła. Podsumowując: ich zdaniem sprawcą musiał być silny fizycznie mężczyzna.

Dodzieł krzyżuje ręce na piersi i jak zawsze wysuwa do przodu dolną szczękę.

– Nie wierzę w takie bzdury – prycha. – Ci cywile i psychiatrzy siedzą sobie w swoich eleganckich gabinetkach i szukają kontaktu ze swoim wewnętrznym ja. Co oni mogą wiedzieć o prawdziwej policyjnej robocie? Jeszcze trochę, a zaczniemy zatrudniać wróżki i tych głupków z różdżkami.

Malin spogląda na mnie zdezorientowana.

– Kontynuuj! – mówię.

– Oprócz tego uważają, że ten człowiek ma za sobą kryminalną przeszłość. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że sprawca znajduje się w naszym rejestrze karnym lub w rejestrze podejrzanych. Niewykluczone, że nawet siedział za jakieś przestępstwo z użyciem przemocy. I dlatego jest starszy niż ofiary. Może być w wieku od trzydziestu do pięćdziesięciu lat.

Dodzieł demonstracyjnie gapi się w okno.

– A sposób potraktowania ciał przez sprawcę po śmierci? – pytam. – Na co wskazuje ta przemoc?

– O tym też mówiliśmy – odpowiada Malin. – Może świadczyć o wielkiej furii albo bezwzględności.

Oparłszy łokcie na stole, pochylam się do przodu.

– A gwóźdź w pięcie Carlarena? – rzucam. – Jeśli Samira ma rację, że został wbity specjalnie, a pewnie się nie myli, to by oznaczało, że poddano go...

Malin z wyrazem wstrętu na twarzy opuszcza wzrok i kładzie dłoń na brzuchu.

– ...torturom – kończy, ponuro kiwając głową. – A to prowadzi nas do dwóch wniosków. Albo mamy do czynienia ze sprawcą, który torturuje swoje ofiary w czysto instrumentalnym celu, czyli żeby coś osiągnąć. Mógłby to być na przykład ktoś, kto chce wyciągnąć jakieś informacje bądź wysłać komuś jednoznaczny sygnał: tak się kończy lekceważenie mnie.

Dodzieł chrząka i drapie się po brodzie.

Zauważam, że paznokcie u rąk też ma za długie.

– Czy przypadkiem nie za bardzo komplikujemy sprawę? – wtrąca. – Młodzi faceci. To oczywiste, że zabójstwa zwykle mają w tle narkotyki. Niewykluczone, że ten nasz poczciwy Carlgren brał na przykład kokainę, mimo że na pozór był czysty jak lilia. Przecież dobrze wiemy, jak to jest na tych eleganckich przedmieściach.

Kiwam głową.

Dodzieł ma trochę racji.

– Jutro przesłuchujemy jego starszą siostrę – informuję. – Może ona wie, czy brat brał narkotyki.

Nastaje krótka cisza.

– Wspomniałaś, że w związku z torturami można postawić dwie hipotezy – zwracam się po chwili do Malin. – Jaka jest ta druga?

– Przepraszam – odpowiada Malin. – Pewnie sami się domyśliliście. Można mianowicie przyjąć, że mamy do czynienia z sadystą. Z kimś, kto upaja się zadawaniem bólu. Ale żeby było jasne: jedna ewentualność nie wyklucza drugiej.

## CZEŚĆ III

---

# Upadek

*Wtedy wielki strach zdjął mężów i rzekli do niego: „Dlaczego to uczyniłeś?” – albowiem wiedzieli mężowie, że on ucieka przed PANEM, bo im to powiedział.*

*I zapytali go: „Co powinniśmy ci uczynić, aby morze przestało się burzyć dokoła nas?”. Fale bowiem w dalszym ciągu się podnosiły.*

*Odpowiedział im: „Weźcie mnie i rzućcie w morze, a przestaną się burzyć wody przeciw wam, ponieważ wiem, że z mojego powodu tak wielka burza powstała przeciw wam”.*

Księga Jonasza 1, 10–12

# Samuel

Zrobiło się dużo cieplej.

Mój pokój na piętrze leży od południowej strony i kiedy budzę się o siódmej, jest w nim gorąco i duszno, a pościel jest wilgotna od potu.

Wychodzę z łóżka i od razu włączam komórkę. Obiecuję sobie, że będę online najwyżej przez minutę.

Sprawdzam wpisy na Instagramie. Zamieram na widok twarzy Alexandry widocznej ponad brzegiem nieproporcjonalnie dużego kieliszka. Uśmiecha się i puszczając oko, tworzy za pomocą kciuka i palca wskazującego literę O.

„Znowu jestem singielką”, czytam poniżej.

Pięćdziesiąt dwa lajki.

Walę dłonią w ścianę i wykrzywiam twarz z bólu i ze złości.

Jak to singielką? Nie powinna tak pisać. Przecież nigdy, do jasnej cholery, nie byliśmy razem.

To strasznie wkurzające, że muszę tkwić w tym pieprzonym domu i nie mogę się do nikogo odezwać. Nie mogę nawet wrzucić żadnego komentarza. Czy wysłać esemesa.

Zupełnie jakbym już nie istniał.

Oddycham głęboko i próbuję się opanować. Sprawdzam, kto do mnie napisał.

Nikt.

Puls trochę się uspokaja.

Wszystko będzie dobrze, powtarzam sobie w duchu. Matka weźmie pieniądze i będę mógł się gdzieś przycząić, dopóki Igor nie wyluzuje albo nie pryśnie za granicę.

A Alexandra może spadać.

Wyłączam komórkę i odkładam ją na nocną szafkę, następnie podchodzę do okna i pociągam za sznurek uruchamiający stare, wyblakłe rolety. Podnoszą się, a ja od razu otwieram okno. Wychylam się na zewnątrz, wciągam głęboko zapach wrzosów i sosen, a jednocześnie obejmuję spojrzeniem spokojne morze, które rozciąga się pode mną. Małe skaliste wysepki wyglądają tak, jakby unosiły się na jego powierzchni. Na horyzoncie rysuje się ciemna sylwetka latarni. Słysząc odgłos oddalającej się motorówki i krzyk stada mew.

Poza tym dookoła panuje spokój.

Zostawiam okno otwarte i wciągam dzinsy i T-shirt. Potem schodzę na dół, najciszej jak potrafię.

Kiedy mijam pokój Jonasa, coś słyszę.

W pierwszej chwili myślę, że to on pojękuje, że to jeden z tych dziwnych odgłosów, które co jakiś czas nieświadomie z siebie wydaje, lecz po chwili nabieram pewności, że ktoś tam płacze.

To Rakel.

Ściska mi się żołądek. W jej łkaniu jest tyle smutku i beznadziei, w każdym spazmie słyhać tyle cholernego cierpienia, że mam ochotę natychmiast wypaść z tego domu, wskoczyć na motor i uciec jak najdalej się da.

Ale nic takiego nie robię, tylko stoję i podsłuchuję, wstydzając się tego jednocześnie.

Potem słyszę, jak Rakel coś mówi, a właściwie mamrocze. Ma zdławiony łkaniem głos, mimo to odróżniam poszczególne słowa.

– Mój najdroższy synku, tak bardzo mi cię brak.

Przełykam głośno i ocieram pot z czoła.

Mam tego dość.

Biedna, biedna Rakel.

Chociaż dla mnie to żadna nowina, że jej syn jest roślinką, kiedy jednak teraz widzę jej rozpacz, słyszę ją przez drzwi, ogarniają mnie straszne wyrzuty sumienia, że wcześniej nie pomyślałem, jak potwornie trudna do zniesienia musi być dla niej ta sytuacja.

I od razu nasuwa mi się pytanie: czy mogę coś dla niej zrobić? Coś więcej poza siedzeniem przy Jonasie i czytaniem mu nudnej jak flaki z olejem książki.

Może jest coś, co by ją rozpogodziło?

Gdy z pokoju dobiega jakiś nagły hałas, podbiegam szybko do drzwi wyjściowych, wkładam buty i wymykam się na zewnątrz.

Idę po długich drewnianych schodach, które wiodą na pomost. Nad morze prowadzi sześćdziesiąt siedem stopni, ale schodzenie po nich wydaje się trwać wieczność.

Po obu stronach zbocze opada pionowo do wody. Drewniana konstrukcja sprawia wrażenie stabilnej, jest mocno przytwierdzona do granitowej skały i wije się zgrabnie po ścianie klifu jak gigantyczny wąż.

Jedyne rośliny, jakie widać, to kilka smaganych wiatrem sosen oraz trochę mchu i wrzosów rosnących w głębokich pionowych rozpadlinach, które przecinają klif jak otwarte rany.

Zwalniam kroku i patrzę na krajobraz. Gdy trącam czubkiem buta nieduże kamienie, w zawrotnym tempie toczą się w dół stromizny.

Na pierwszy rzut oka skały wydają się martwe i nieurodzajne, ale gdy przyjrzeć się im bliżej, można dostrzec, że nie brak na nich życia. Porosty w różnych kolorach rozlewają się po kamieniach jak oceany szarości i zieleni. Lecz kiedy dotykam ich butem, rozpadają się pod moją podeszwą, zamieniają w suche okruchy i są porywane przez wiatr.

Dziadek Bernt powtarzał zawsze, że nie należy tak robić, bo to, co powstawało przez wiele stuleci, moja mała chłopięca stopa niszczy w ciągu minuty.

Dziadek.

Kiedy myślę o nim, zawsze zatyka mi oddech. Jakby pierś przygniatał mi jakiś potwornie wielki kamień.

Jeśli mam być szczerzy, był dla mnie prawie jak ojciec. Mimo to nie jestem w stanie odwiedzić go w miejscu, które nazywa się hospicjum – przypomina obóz koncentracyjny dla chorych na raka, dokąd człowiek trafia, żeby umrzeć.

Dziadek zawsze się mną opiekował, zostawał ze mną, kiedy matka pracowała, łajał mnie, gdy zrobiłem coś głupiego. Pomijając te religijne kretynizmy, szanuję go w stu procentach.

Problem w tym, że on godzi się na to, żeby te religijne brednie kierowały jego życiem.

Wychyłam się trochę poza poręcz schodów i przyglądam z bliska chropowatej powierzchni kamieni.

Miriady owadów poruszają się w różnych kierunkach: małe czarne i duże rudawoczerwone mrówki oraz mikroskopijne pomarańczowe pająki o tak drobnych i szybkich nóżkach, że zdają się płynąć po skałach.

Kopię w dół kolejny kamień.

Toczy się po klifie z głuchym łoskotem i w końcu spada na ziemię z przenikliwym hukiem.

Na miejscu, gdzie leżał kamień, widać jeszcze więcej różnych insektów: skorki o miedzianym połysku i matowoczarne stonogi, które nagle obudzone krążą gorączkowo w słońcu.

Cofam się w obawie, że wielki włochaty pająk zaraz na mnie wpełźnie.

Nie cierpię pajaków.

To dziadek nauczył mnie wszystkich nazw owadów i roślin. Kiedy byłem mały, musiałem jeździć na organizowane przez zbór kolonie na Ljusterö. Ponieważ miałem problemy z koncentracją, nie uczestniczyłem w czytaniu Biblii i śpiewaniu psalmów, za to chętnie chodziłem na wycieczki i brałem udział w różnych zajęciach w terenie.

Żeglowaliśmy, biwakowaliśmy i piekliśmy kiełbasę na ognisku. I uczyliśmy się o zwierzętach i roślinach.

Dziadek wyjaśnił mi, że pająki odgrywają ważną rolę w ekosystemie i w ogóle nie są groźne dla człowieka.

Nic to nie pomogło.

Wciąż nie istnieje dla mnie nic gorszego niż pająki.

Cała historia z dziadkiem wydaje mi się dziś tak odległa, jakby działa się w jakimś innym życiu albo jakby była opowieścią, którą którą widziałem na Netflixie.

Ruszam po stopniach w kierunku wody.

Z każdym krokiem bledną wspomnienia z wakacyjnych kolonii, wypierane całym tym szajsem, który składa się na moje prawdziwe życie.

Pamiętam wyraz twarzy Igora, kiedy dotarło do niego, że nie mam paczki z próbkami, pamiętam też chude ciało Maltego i jego błyszczące złote zęby.

Zdradziłem ich.

Potem myślę o wszystkich innych, których zawiodłem, jak dziadek Bernt i Liam, któremu obiecałem, że przestanę pracować dla Igora. I o Alexandrze, która płakała za drzwiami i nie chciała wpuścić mnie do środka.

I przestań, do cholery, mówić do mnie baby.

No tak, chyba miała rację.

Ale najwięcej myślę o matce.

To, co mi bez przerwy powtarza: że przez tyle lat się o mnie troszczyła i tak dalej, i tak dalej – to rzeczywiście prawda. Gdyby nie ona, nie wiem, co by ze mną było. Chociaż teraz i tak wszystko totalnie się spieprzyło, bez niej jednak doszłoby do tego dużo wcześniej.

Mam nadzieję, że się pospieszy i w miarę szybko weźmie pieniądze, bo nie dam rady zostać tu dłużej. Jonas zombie działa mi na nerwy, Rakel też, choć w zupełnie inny sposób.

Minęło pięć dni od chwili, kiedy się tutaj znalazłem, a pojutrze, w piątek, jest noc świętojańska.

Wolę być wtedy jak najdalej stąd.

Na pomoście zdejmuję buty i dzinsy. Ściągam też T-shirt i kładę wszystko razem.

Drewno pod stopami jest ciepłe i szorstkie. Pachnie smołą i wodorostami. Słychać ciche, metaliczne chlupotanie.

Wpatruję się w wodę.

Wygląda na głęboką.

Widzę kupkę brązowego morskoczynu unoszącego się obok pomostu i parę drobnych ryb przemykających pod rozświetloną słońcem powierzchnią wody.

Próbuję sobie wyobrazić, jak jest dalej, gdzie woda jest naprawdę głęboka i zimna. Gdzie pływają śledzie, a ponad dnem wiją się węgorze.

Prostuję się, zamierzam zanurkować, ale z jakiegoś powodu odwracam głowę i patrzę w stronę domu.

Pod oknem Rakeł stoi jakiś mężczyzna. Nie widzę z daleka, kto to, ale wydaje mi się, że osłania sobie oczy dłońmi i zagląda przez szybę do środka.

Przypuszczam, że to pewnie jakiś jej znajomy. Kiedy przypominam sobie płacz dobiegający z pokoju Jonasa, przez sekundę się zastanawiam, czy nie wrócić, w końcu decyduję się jednak wykąpać. Odwracam się w stronę morza, nabieram powietrza i skaczę.

Woda jest zimniejsza, niż myślałem, ale moje ciało z lubością wita ten chłód. Czuję się tak, jakbym narodził się na nowo w tej zimnej zielono-niebieskiej ciszy.

Otwieram oczy i spoglądam w górę. Pęcherzyki powietrza ulatują nade mną, słoneczne światło rozprasza się na złote płatki unoszące się falami, jakby z nieba spadła złota świąteczna bombka i rozbiła się na tysiące kawałków.

Wynurzam się i przez kilka minut płynę na plecach, wsłuchując się w odgłosy morza, dziwne delikatne trzaski i łoskoty oraz nieprzerwany szum wszelkich istot, które pływają, pełzają i unoszą się w wodzie.

– Widzę, że chyba ci dobrze.

Odwracam się w stronę pomostu.

Rakeł stoi na samym jego skraju, ubrana w granatowe bikini. Oczy ma zaczerwienione i trochę podpuchnięte, ale uśmiecha się szeroko.

– Wykąpie się pani? – pytam i słyszę od razu, jak idiotycznie to brzmi.

Przecież jest w kostiumie kąpielowym, więc chyba to oczywiste, że będzie pływać, a nie wrywać chwasty z pieprzonych rabatek.

Rakeł wybucha śmiechem.

Potem lekko ugina kolana i wskakuje do wody dwa metry na prawo ode mnie.

Perfekcyjne zanurzenie. Błyszcząca tafla pozostała niemal niezmaczona. I podobnie jak poprzednim razem, kiedy obserwowałem ją z okna, również teraz wypływa dopiero po kilku chwilach, co najmniej dwadzieścia metrów dalej.

Następnie rusza w moją stronę spokojnym kraulem.

– Cudownie – mówi, odgarniając ręką włosy z twarzy.

– To prawda – odpowiadam.

Po kilku minutach ona wciąga się na pomost i siada na nim, ja zaś pozostaję w wodzie, bo uzmysławiam sobie nagle, że jestem w samych slipach. Na dodatek białych, które na pewno prześwitują, kiedy są mokre.

Rakeł spogląda na mnie z rozbawieniem.

– Nie wychodzisz?

– Jeszcze chwilę – odpowiadam i czuję, że mimo lodowatej wody palą mnie policzki.

Rakel wzrusza ramionami, zamyka oczy i zwraca twarz do słońca.

Na jej ramionach pojawiła się gęsia skórka, a pod mokrym materiałem stanika wyraźnie odznaczają się sutki. Ściskając bladymi smukłymi palcami brzeg pomostu, macha nogami w wodzie. Z jej włosów kapią duże krople.

Jest tak piekielnie ładna.

Dałbym wiele, aby móc dotknąć jej skóry, zatopić dłoń w jej włosach i powieść palcem po jej wargach.

Moje nogi zamieniły się w zimnej wodzie w zmrożone kawałki mięsa. W końcu decyduję się podpłynąć do pomostu w bezpiecznej odległości od Rakel i chwytam się deski.

– Co jest na tej bransoletce? – pyta, patrząc na moją rękę.

– To taki drobiazg, który zrobiłem, jak byłem mały – wyjaśniam zawstydzony swoją dzieciinną ozdobą.

– To akurat widzę. Ale co tam jest napisane?

– „Mama”. Bo zrobiłem ją dla matki.

– Urocze – szepcze Rakel i delikatnie przesuwa palcem po bransoletce.

Nie jestem gotowy na jej dotyk. Przełykam nerwowo, ręka mi drży.

Przez dłuższą chwilę zalega cisza. Rakel marszczy czoło i wygląda tak, jakby za chwilę znowu miała zacząć płakać. Energicznie mrugając, odwraca głowę w bok.

– Kto to był? – pytam, głównie po to, żeby przerwać ciszę.

Rakel wyjmuje stopy z wody i zdziwiona spogląda na mnie.

– Kto taki?

– Jakiś facet. Stał pod pani oknem. Myślałem, że...

– Pod moim oknem? A jak wyglądał?

– Stąd nie widziałem.

Jest mi tak zimno, że cały dygoczę. Ale trzęsę się nie tylko dlatego, że wciąż jestem w wodzie. Nagle dociera do mnie, że tamten człowiek spod okna to nie żaden jej znajomy; to mógł być jeden z ludzi Igora.

– Shit! – rzucam. – Shit, shit, shit!

Rakel unosi brwi.

– O co chodzi?

– To mógł być ten gość, o którym opowiadałem.

– Tamten Rosjanin? Ale przecież jego byś raczej rozpoznał?

– A może przysłał kogoś innego?

Rakel przekrzywia głowę.

– Czy ty nie masz przypadkiem paranoi? Bardzo prawdopodobne, że to był rzeczywiście ktoś do mnie. Na przykład sąsiad. Albo w ogóle się pomyliłeś i wzięłeś

jakieś zwierzę za człowieka. Pod nasz dom bardzo często podchodzą dzikie zwierzęta i uczują sobie na moich rabatkach. Gdybym miała broń, tobym do nich strzelała.

Spogląda w górę na willę.

– Gdzie dokładnie stał? – pyta spokojnie.

Wychodzę z wody i szybko wciągam dżinsy. Niepotrzebnie się niepokoiłem, bo Rakel w ogóle na mnie nie patrzy, tylko z rękami na biodrach wciąż obserwuje dom.

Po kilku chwilach ruszamy w milczeniu po schodach.

Z każdym kolejnym stopniem robi mi się coraz cieplej i zanim docieramy na górę, jestem nawet spocony. Czuję piekące słońce na ramionach, a serce wali mi w piersi z wysiłku.

Po dotarciu do domu okrążamy taras i podchodzimy do dwóch zabezpieczonych kratą okien od zachodniej strony – jedno to okno pokoju Rakel, a drugie – sypialni Jonasa.

Pod oknami znajduje się wąska grządka z jakimiś roślinami o dużych okrągłych liściach.

Rakel przykuca, a ja idę za jej przykładem.

Ostrożnie odgarnia na bok soczyste, lśniące liście i odsłania duże ślady stóp odcisnięte w wilgotnej ziemi – wygląda na to, że pozostawiły je w niej ciężkie męskie buty.

# Pernilla

**N**a co tak naprawdę się poważylaam?

Już wczoraj, ledwie zostawiłam oniemiałego Karla-Johana na chodniku, od razu zaczęłam żałować.

Oszałamiające poczucie triumfu, które ogarnęło mnie w pierwszej chwili, szybko ustąpiło miejsca wątpliwościom i lękowi, i to tak przemożnemu, że byłam bliska zawrócenia, podbiegnięcia do pastora i przeproszenia go, jak przystało na grzeczną dziewczynkę, którą zawsze byłam.

Rozglądam się dookoła.

Teren przemysłowy pogrążony jest w upiornym niebieskim świetle, jakie pojawia się przez krótki okres u progu lata, gdy ani na chwilę nie zapada całkowita ciemność.

Przyspieszam kroku, skręcam na ścieżkę rowerową prowadzącą do szkółki ogrodniczej i idę na skróty przez niewielki trawnik.

To niepojęte.

Ja – ciężko pracująca, religijna matka kwoka – mam spod jakiegoś głazu wydobyć dla swojego syna forszę ze sprzedaży narkotyków.

Ja – która zawsze tak surowo przestrzegam prawa, że chyba musiałabym się urodzić na nowo, żeby zostać przestępczynią, która nigdy nie dostałam nawet mandatu za parkowanie ani nie zapomniałam oddać książki do biblioteki.

Co pomyślałby sobie ojciec?

Co pomyślałby Bóg?

Odruchowo oglądam się za siebie, jakby Pan Bóg czyhał na mnie wśród ciemnych zarośli.

Niemal słyszę głęboki głos ojca, gdy czyta z Listu do Hebrajczyków:

„Nie ma stworzenia, które by było przed Nim niewidzialne, przeciwnie, wszystko odkryte i odsłonięte jest przed oczami Tego, któremu musimy zdać rachunek”.

Ale ścieżka rowerowa za mną jest całkiem pusta.

Nic się nie rusza, nic nie słyhać.

Latarnie stoją jednak dosyć rzadko, a niektóre są na dodatek popsute, czyli gdyby ktoś bardzo chciał, mógłby się bez trudu ukryć między stożkami światła.

Mimo że wieczorne powietrze jest całkiem ciepłe, przeszywa mnie lodowaty dreszcz na samą myśl o łysym facecie ze wschodnioeuropejskim akcentem, na którego natknęłam się na klatce schodowej. Którego Samuel nazwał Igorem.

I który jest potworem.

Nie wiem, czy ten Igor rzeczywiście chce zabić Samuela, ale nie zamierzam ryzykować. Nagle wszystko stało się dla mnie jasne jak słońce, wyzwalająco jasne: Samuel to moje jedyne dziecko i muszę zrobić, co w mojej mocy, żeby mu pomóc.

Całkiem możliwe, że to podświadoma próba wynagrodzenia mu tego, że przez wszystkie minione lata nie dopuszczałam do niego ojca.

Tak czy inaczej, ten rosyjski potwór nie może tknąć mojego syna.

Poza tym to była najwyższa pora, żeby odtrącić Karła-Johana. Chociaż zajęło mi to dużo czasu, zanim zrozumiałam, że naprawdę się do mnie przystawia. Moim obrazem świata zachwiało to, że ze wszystkich ludzi to właśnie pastor dopuścił się czegoś tak niskiego.

Bo jeśli nawet on zachowuje się w ten sposób, to na kim jeszcze można polegać?

Na żadnym człowieku.

Na żadnym zborze.

A co z Panem Bogiem? Jak to z nami jest, z nim i ze mną?

Znowu przyspieszam kroku i wpatruję się w ciemność, próbując przerwać te teologiczne medytacje, ale twarz pastora znowu wyłania mi się przed oczami.

Może rzeczywiście ma rację, mówiąc, że powinnam kogoś poznać.

Odkąd Samuel przyszedł na świat, nie miałam z nikim żadnej poważnej relacji.

Rzecz jasna chodziłam na randki, byłam nawet kilka razy zakochana, ale przez cały czas czułam, że nasza krucha samotność we dwoje nie wytrzymałaby tego, gdybym na dobre włączyła do naszego życia jakiegoś mężczyznę. Owca

Gdy przypominam sobie Maria, nauczyciela wuefu w gimnazjum w Huddinge, czuję motyle w brzuchu. Ciekawe, co by się stało, gdybym do niego zadzwoniła i spytała, czy nie wpadłby na kolację. Gdybym na serio zaprosiła go do swojego życia.

Coś słyhać za moimi plecami. Jakieś skrzypienie i trzaski.

Natychmiast odskakuję w bok, w cień zalegający obok ścieżki rowerowej, staję za pniem drzewa i opieram dłoń na zimnej, szorstkiej korze.

Odgłosy się nasilają i po chwili w odległości około pięćdziesięciu metrów wyłania się rower.

Jakaś starsza pani siedzi zgarbiona nad kierownicą i z wysiłkiem pedałuje na starej, zardzewiałej damce. Zauważam, że coś tkwi w szprychach i to wywołuje te trzaski.

Przywieram do drzewa i czekam, aż kobieta mnie minie.

Oddycham z ulgą, kiedy odgłosy cichną.

Ten Igor na pewno ma jakiegoś pomocnika, ale wątpię, aby pracowały dla niego starsze panie na rozklekotanych rowerach.

Oczy przyzwyczajają się do ciemności, kontury drzew i krzewów stają się coraz wyraźniejsze. Wpatruję się w rzadki las. W momencie gdy dostrzegam zarys czegoś wielkiego i okrągłego, co mogłoby być głazem, dzwoni komórka.

Przeklinam w duchu, że zapomniałam ją wyłączyć, ale mimo wszystko wyjmuję aparat z kieszeni i spoglądam na wyświetlacz.

To z hospicjum ojca.

Po kilku sekundach wahania odbieram.

Kobieta, której głosu nie poznaję, przedstawia się jako Katja, pielęgniarka. Informuje mnie spokojnie, że stan ojca się pogorszył.

– Czy może pani przyjechać? – pyta.

Serce mi zwalnia.

Jeszcze to, i to akurat teraz.

I natychmiast pojawia się myśl: to kara boska za moje bezczelne zachowanie wobec Karla-Johana i za to, że zostawiłam go samego z dziećmi, chociaż wiedziałam, że na pewno sobie nie poradzi.

– Jak bardzo jest źle? – pytam. – Akurat mam coś bardzo ważnego do załatwienia.

Pielęgniarka wyjaśnia cierpliwie, że trudno to określić, ale od osiemnastej nie ma z nim kontaktu i spadło mu też ciśnienie. Dodaje, że to może być kwestia godzin albo dni. Oczywiście do mnie należy decyzja, co zrobię z tą informacją.

Kątem oka dostrzegam jakiś ruch. Odwracam się w stronę terenu przemysłowego, ale wszędzie panuje spokój.

Mimo to nie mam wątpliwości.

Ktoś albo coś się poruszyło, przemknęło na skraju snopu światła rzucanego przez latarnię i zniknęło w mroku lasu.

Wchodzę między drzewa, aby nie być tak wyraźnie widoczna. Mówię pielęgniarce, że postaram się przyjechać, ale raczej nie od razu. Proszę ją, aby natychmiast mnie powiadomiła, jeśli zrobi się gorzej. Obiecuje mi to.

Rozłączam się i wyciszam sygnał telefonu, a potem stoję cicho i wpatruję się w ciemność. Widzę tylko kontury niskich krzewów i kilka białych nakrapianych brzoźowych pni.

Wyciągnąwszy ręce przed siebie, robię po omacku kilka kroków w ciemności. Nagle moje palce dotykają zimnego kamienia.

To głaz Samuela.

Szybko przykucam i gołymi dłońmi zaczynam go podkopywać. Igły i ziemia wchodzą mi pod paznokcie, kiedy rozgrzebuję suche zeszłoroczne liście i gałęzie.

Początkowo myślę, że szukam w złym miejscu, bo chociaż ręce mam już zanurzone po łokcie, niczego nie znajduję. Ale potem moje dłonie nagle natrafiają na kompletną pustkę, jakby znalazły się w podziemnej grocie.

Pochylam się jeszcze bardziej i jedną rękę wsuwam głęboko pod gład. Szukam po omacku i wreszcie wyczuwam pod palcami grube płótno.

Pięć minut później jestem z powrotem przy samochodzie. Wrzucam torbę, zadziwiająco lekką, do bagażnika i jeszcze raz się rozglądam.

Wokół jest cicho i spokojnie. Nic nie widać i nic nie słychać.

Siadam za kierownicą, zatrzaszukuję drzwi i oddycham z ulgą.

Potem sięgam po komórkę.

Mam trzy nieodebrane połączenia.

Wszystkie z hospicjum.

# Manfred

**B**udzi mnie stukot laptopa Afsaneh.

Zasłony są zaciągnięte i w pokoju zalega mrok. Jest w nim duszno i gorąco, jak w samochodzie, który za długo stał w słońcu.

Zerkam na zegar na nocnej szafce.

Wpół do szóstej.

Co, u diabła, jest takie ważne, żeby walić w komputer o wpół do szóstej rano?

– Co ty robisz? – pytam chyba nieco ostrzej, niż zamierzałem.

– Piszę.

– To widzę. Ale dlaczego o tej porze? Wiesz, która godzina?

– Mogę przejść do salonu.

Wzdycham i odrzucam kołdrę. Jestem cały spocony.

– Nie musisz. Już i tak się obudziłem.

Afsaneh nie odpowiada, tylko jeszcze mocniej uderza w klawisze.

Przewracam się na bok, w jej stronę.

Siedzi z laptopem na kolanach. Na ekranie widzę zdjęcie uśmiechniętej łysej dziewczynki z pręgowanym kotem w objęciach.

– Co to jest, do ciężkiej cholery?

Afsaneh przestaje pisać i obraca do mnie twarz. Jej oczy są mroczne i czujne.

– To Julia. Ma sześć lat i choruje na ostrą białaczkę limfoblastyczną.

– Dlaczego do niej piszesz?

Afsaneh wzdycha głęboko i zamyka komputer.

– Nie piszę do niej, tylko do jej mamy. Poznałam ją na forum dla rodziców ciężko chorych dzieci.

– Nadal zaglądasz na te strony?

– Tak, zaglądam. I wiesz co? Myślę, że ty też powinieneś, bo rozmowa z ludźmi, którzy są w podobnej sytuacji, bardzo pomaga. Oni po prostu rozumieją. Nie wiem, jak radzisz sobie ze strachem, jak z nim walczysz, jak go wypierasz, ale ja czuję potrzebę, żeby rozmawiać o Nadji.

Milczę, bo nagle wydają się sobie nieskończenie mniej dojrzały od mojej młodej żony.

Mniej dojrzały i pozbawiony wyczucia. Poza tym potwornie chce mi się zapalić.

To przecież naturalne, że pragnie podtrzymywać kontakt z tymi ludźmi, jeśli dzięki temu jest jej lżej. Nadja wciąż się nie obudziła i prawdopodobnie warto wypróbować wszystko, co może nas uchronić przed popadnięciem w obłąd.

– Przepraszam – odzywam się w końcu.

Afsaneh kładzie dłoń na moim policzku i głaszcze mnie czule.

– Ale wyjaśnij mi coś, bo jednego nie rozumiem – dodaję zaraz. – Przecież to wszystko nie jest autentyczne.

– Co masz na myśli? – pyta, nie kryjąc zdziwienia. Nie jest zła, tylko zdezorientowana, jakby zupełnie nie wiedziała, o co mi chodzi.

– Mam na myśli to, że nie znasz tych ludzi, nigdy się z nimi nie spotkałaś i prawdopodobnie nigdy się nie spotkasz. Wymieniacie się esemesami, mejlami, czatami czy czym tam jeszcze. Ale to przecież nie są osoby z krwi i kości.

Afsaneh powoli kręci głową.

– Naprawdę nie pojmuję, do czego zmierzasz. Wprost przeciwnie, to są ludzie z krwi i kości. Mający dzieci tak samo chore jak Nadja. Albo jeszcze bardziej.

– Ale przecież ich nie znasz. Tak naprawdę. Nie możesz nawet mieć pewności, czy mówią prawdę.

– Po co mieliby kłamać?

Wzruszam ramionami.

– A po co mieliby mówić prawdę? To wszystko jest nierzeczywiste.

– A co dla ciebie jest rzeczywiste?

Jej pytanie mnie zaskakuje i potrzebuję trochę czasu, żeby na nie odpowiedzieć. Filozofia nigdy nie była moją silną stroną.

– Chyba to, czego można dotknąć. Człowiek z krwi i kości. Przedmioty.

– Czyli jak widzisz w wiadomościach pożar w Kalifornii, to nie jest rzeczywiste?

– No jest, tylko...

– To na czym polega różnica?

Jej głos jest podejrzanie łagodny, wiem, że w gruncie rzeczy w środku się w niej gotuje. Świadczą o tym jej zaciśnięte dłonie i czerwone plamy, które nagle pojawiły się na szyi.

– Bo... jeśli chodzi o program telewizyjny, wiadomości... można liczyć na jakąś kontrolę, krytyczną weryfikację. A w sieci pierwszy lepszy idiota może twierdzić Bóg wie co. Tam nie ma prawdy. Tam rządzi anarchia.

– Ja przyjmuję to za prawdę – mówi Afsaneh.

– Ale to nie jest rzeczywistość, świat. To internet. Silikon i powietrze.

– To jest właśnie nowy świat – odpowiada spokojnie, wciąż zaciskając dłonie w pięści. – Gdzie wszystko się ze sobą łączy. Gdzie nie ma żadnych ograniczeń, żadnych murów między ludźmi.

– To tylko jedyneki i zera – mówię. – Elektroniczne impulsy generowane przez anonimowe osoby, których zamiarów nie znasz, a nie jakaś pieprzona zbiorowa świadomość.

– Czy zawsze musisz się tak wściekać, kiedy czegoś nie rozumiesz?

– Okej – bąkam. – Przepraszam, jeśli nie rozumiem. Widocznie jestem na to za stary.

Afsaneh kręci głową, ale po chwili się odpręża, głęboko wzdycha i obrzuca mnie spojrzeniem, z którego da się odczytać, że jestem beznadziejny, mimo to ona z jakiegoś tajemniczego powodu mnie kocha, za co w konsekwencji powinienem być piekielnie wdzięczny.

– Tak – potwierdza po chwili wahania. – Chyba jesteś za stary.

– Po prostu dziadek ze mnie?

Uśmiecha się i nic nie mówi.

Potem otwiera laptop i zaczyna pisać od nowa. Ja zaś wstaję i idę pod prysznic.

Malin obiecała wstąpić po mnie zaraz po ósmej. Ma przyjechać prosto od siebie z Lidingö, gdzie wynajęła mieszkanie.

Mimo wczesnej godziny jest już bardzo parno i na całym ciele czuję cienką warstwę potu. Z przystanku autobusowego dochodzi intensywny odór śmieci rozkładających się w koszu na odpadki. Odsuwam się dalej i czekam na nią.

Po kilku chwilach tuż przede mną hamuje samochód. Malin wita mnie uśmiechem, gdy wciskam się na wąskie przednie siedzenie.

– Jak sytuacja? – pytam.

– W porządku – odpowiada, skręcając w prawo w Banérgatan i kierując się w stronę Narvavägen. – Amélie Carlgren – rzuca. – Co o niej wiemy?

– Starsza siostra ofiary numer dwa, Victora Carlarena. Dwadzieścia jeden lat. Studiuje w wyższej szkole handlowej, mieszka we własnej kawalerce przy Luntmakargatan.

– Stać ją na nią? – pyta Malin, dodając gazu, aby wyprzedzić rowerzystę, a potem znowu skręca w prawo w Strandvägen.

W porannym słońcu leży przed nami nabrzeże. Długimi rzędami ciągną się restauracje, promy i łodzie kursujące po archipelagu. Ludzie zajeżdżają już na Nybrokajen, aby wybrać się na wyspę Grinda albo do Sandhamn.

– Rodzina ma pieniądze. Pewnie rodzice kupili jej mieszkanie.

– Niektórym to dobrze – bąka Malin.

Kręci głową i odbija w kierunku Norrmalmstorg.

Nie mówię na głos tego, co akurat w tej chwili przyszło mi do głowy – że Amélie Carlgren w każdej chwili oddałaby swoje drogie mieszkanie w śródmieściu, byleby tylko móc odzyskać brata. I że pieniądze są ważne, dopóki człowiek je ma, ale dopiero gdy dziecko wypadnie mu z okna albo zostanie zamordowany brat, dostrzega, że w rzeczywistości nie mają znaczenia.

Amélie Carlgren lekko uchyla drzwi.

Dostrzegam długie jasne włosy i bladą, nieumalowaną twarz.

– Dzień dobry – mówi Malin, pokazując służbową legitymację. – Jesteśmy z policji. To ja dzwoniłam wczoraj do pani.

– Proszę wejść – szepcze dziewczyna.

Jest ubrana w luźne welurowe spodnie i biały T-shirt z wizerunkiem Davida Bowiego. Strój i brak makijażu sprawiają, że wygląda na znacznie młodszą.

Zdejmujemy buty i wchodzimy do jedyne go pokoju, w którym stoją mała sofa, stół i łóżko.

– Możemy usiąść w kuchni – proponuje Amélie. – Tam są trzy krzesła. Coś do picia? Malin kręci odmownie głową.

– Byłbym wdzięczny za szklankę wody – mówię.

Kuchnia jest maleńka i wychodzi na wewnętrzny dziedziniec. Pod oknem jest składany stolik i trzy krzesła. Amélie nalewa mi wody, a potem wszyscy troje siadamy – ona naprzeciwko okna.

– Przede wszystkim bardzo mi przykro z powodu tego, co spotkało pani brata – zaczynam przytłumionym głosem. – Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby ustalić, co dokładnie się stało i kto za to odpowiada.

Dziewczyna kiwa głową w zadumie i spuszcza wzrok.

– Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań – kontynuuję.

– Jasne – odpowiada. – Pytajcie. Na niczym mi tak nie zależy, jak na tym, żebyście złapali człowieka, który go zabił.

Mruga nerwowo.

– Mojego braciszka – dodaje, utkwivszy spojrzenie w zniszczonym blacie stołu.

– Jak pani pewnie wie, nasz kolega rozmawiał już z pani rodzicami – mówię dalej. – Ale chcielibyśmy usłyszeć o Victorze i jego ostatnich tygodniach także od pani.

Dziewczyna pociąga nosem i gwałtownie wstaje z krzesła.

– Przepraszam – mówi, łkając. – To dla mnie za wiele.

Podchodzi do szafki, urywa kawałek papierowego ręcznika i wyciera nim nos. Potem wraca na krzesło, mocno ściskając w ręce zwitek papieru.

– Jaki on był? – pyta Malin.

Amélie powoli kręci głową.

– Zwyczajny. Przyjacielski. Dobrze się uczył. Chciał być prawnikiem, jak mama.

– Czy miał jakichś wrogów? – kontynuuje Malin, zapisując coś w notesie.

– Skąd. On był... zupełnie niekonfliktowy. Nie znam nikogo, kto nie lubi Victora albo źle mu życzy. – Przerzywa i po chwili się poprawia: – Nie lubił. Rany boskie. Nie mogę uwierzyć, że go nie ma. Był jakby moim dzieckiem.

Znowu zaczyna płakać, a potem wyciera nos.

Malin odczekuje trochę, po czym zadaje kolejne pytanie:

– A jakie miał relacje z rodzicami?

Amélie wzdycha ciężko i opanowuje łkanie na tyle, by móc odpowiedzieć.

– Dobrze. To znaczy, oczywiście czasami się sprzeciali. Ale to nigdy nie było nic poważnego.

– A tamtego dnia? – wtrącam ostrożnie.

– Pokłóciliśmy się – mówi cicho. – O pieprzony film na Netflixie, który ja chciałam obejrzeć, a on nie. To kompletny kretynizm, ale taka jest prawda. Wtedy wziął łódkę i gdzieś popłynął. Victor taki był, potrafił porządnie się wściec. Nie pierwszy raz zniknął wtedy po kłótni.

Na chwilę zapada cisza.

– Gdybym na niego tamtego dnia nie napadła, może wciąż by żył – odzywa się znów Amélie, zniżając głos.

– To nie pani wina – wtrącam, ale ona milczy.

– Czy ma pani jakąś teorię, co mogło mu się stać? – pyta Malin.

Dziewczyna tak energicznie kręci głową, że pasmo włosów opada jej na twarz. Odgarnia je palcem wskazującym. Spod mocno ogryzionego paznokcia widać różowe mięso.

– Nie. Musiał trafić na jakiegoś psychola. Pieprzonego dewianta. Bo nikt inny nie chciałby zrobić krzywdy Victorowi.

– Rozumiem – odzywa się Malin i zerka na mnie. Chyba wiem, co myśli.

To raczej reguła niż wyjątek, że członkowie rodziny, ci najniewinniejsi z niewinnych ofiar, nie są w stanie dostrzec, że ich ukochani bliscy byli dalecy od doskonałości.

Malin lekko przekrzywia głowę i pochyla się nieco w stronę Amélie.

– Jaki ładny kolczyk – zauważa.

– Dziękuję – odpowiada dziewczyna, muskając koniuszek ucha. – To biedronka. Victor ma, to znaczy miał, identyczną. Te kolczyki należały do naszej babci, dostałam je po jej śmierci. Mama wpadła w furję, kiedy Victor przekłuł sobie ucho, a ja oddałam mu jeden kolczyk, żeby było widać, że jesteśmy rodzeństwem.

Malin przysuwa się bliżej, aby przyjrzeć się dokładniej.

Ozdoba jest bardzo mała i rzeczywiście przedstawia niewielkich rozmiarów biedronkę, która wydaje się pełznąć po uchu. Chyba jest wykonana z jakiegoś rodzaju szkliva.

– Czy Victor często nosił swój kolczyk? – pytam.

– Zawsze – odpowiada bez wahania jego siostra.

Malin zerka na mnie dyskretnie. Oboje wiemy, że Victor po znalezieniu nie miał nic w żadnym uchu.

– Czy mogłabym zrobić zdjęcie tego kolczyka? – pyta Malin.

Amélie wzrusza ramionami.

– Jasne.

Malin wyjmuje komórkę i pstryka kilka fotek. Następnie opiera się na krześle i uważnie mierzy dziewczynę wzrokiem.

– Ostatnie pytanie: czy Victor albo któryś z jego przyjaciół zażywał narkotyki?

Amélie wydaje się spłoszona i odwraca głowę.

– Proszę niczego nie ukrywać. Nie mamy zamiaru nikogo wsadzać za to, że raz czy dwa czegoś spróbował, ale ta informacja może mieć znaczenie dla śledztwa.

Dziewczyna wciąż milczy. Bawi się okruchem na stole, przesuając go palcem po blacie.

– Tak – mówi wreszcie.

– Co oni brali?

– Kokę. Ale o ile wiem, tylko kilka razy. Na imprezach.

– A skąd ją mieli? – pytam.

Amélie kręci głową.

– Nie mam pojęcia. Chociaż zaraz... Zdaje się, że jeden z kumpli Victora kupował ją od gościa, który nazywał się Måns czy Malte. Nie pamiętam dokładnie.

– A konkretnie, który z kumpli? – dopytuje Malin, odłożywszy długopis.

– Nie wiem. Victor mi tego nie mówił.

Twarz Malin jest obojętna, ale jej oczy mówią wszystko.

Musimy dopaść Maltego Lindéna.

# Samuel

W pokoju Jonasa jest nieznośnie gorąco, ale wyraźnie nie robi mu to żadnej różnicy.

Leży bez życia, niemal jak manekin.

Mam wrażenie, że jest jeszcze chudszy. Poza tym jego skóra stała się przejrzysta jak pergamin – żyły i kości nóg wyglądają jak mrożonki zapakowane w cienką folię. Twarz jest blada, a wargi wysuszone i popękane.

Sięgam po pomadkę, która leży na nocnej szafce przy wazonie.

To naprawdę wzruszające. Każdego ranka Rakel wstawia do niego dla syna świeżą różę, chociaż on nie ma o tym w ogóle pojęcia, bo jest warzywem i nic by go to nie obchodziło, gdyby zamiast wazonu stała tam miska z gównem.

Pochyliłam się nad nim i ostrożnie nawilżam mu usta bezbarwną, tłustą pomadką.

Nie reaguje na mój dotyk.

Potem podchodzę do okna i uchylam je na kilkanaście centymetrów, bo żelazna krata nie pozwala otworzyć go szerzej.

Gdy rama okienna uderza o zardzewiałe żelazo, z krzewów zasłaniających szybę zrywa się para wróbli mazurków.

Passer montanus.

Matka nigdy nie umiała się nauczyć odróżniać ich od wróbli zwyczajnych, chociaż wyjaśniałem jej, że mazurek ma czarną plamkę na białym policzku, a na podgardlu mały – a nie duży, jak wróbel zwyczajny – czarny śliniaczek.

Zostawiam lekko uchylone okno i otarłszy pot z czoła, wracam na swój wysiedziany fotel.

Ponieważ trudno mi się skupić na lekturze, zastanawiam się, czy dla odmiany nie włączyć muzyki. Zwykle tak robię, kiedy zmęczę się czytaniem na głos, co zdarza się całkiem często, bo książka jest koszmarnie nużąca. Dzisiaj jednak nie potrafię się skoncentrować z innego powodu: myślę wciąż o esemesie od matki, który przeczytałem, kiedy tylko się obudziłem. Chyba musiał przyjść w nocy.

Zabrała pieniądze.

Moja matka – najbardziej upierdliwa, najbardziej praworządna i najbardziej bogobojna osoba na świecie – wygrzebała spod głazu pieniądze Igora. Zrobiła to dla

mnie. Chociaż nie potrafi przejść przez ulicę na czerwonym świetle, nie bojąc się, że trafi za to do piekła, poszła do lasu i wzięła torbę.

Wprost nie mogę uwierzyć, że to prawda.

Mamy spotkać się w Stuvskär jutro, w noc świętojańską, a potem pożegnam się z Jonaszem zombie.

Cudownie będzie się stąd wynieść. Chociaż całkiem lubię Rakel.

A Jonasa?

Rzucam na niego okiem.

Leży tak, jak leżał. Oddycha bezgłośnie. Kołdra zsunęła się trochę, odsłaniając bladą klatkę piersiową, która unosi się powoli.

Jego nie da się ani lubić, ani nie lubić. On po prostu jest i tyle.

Jak stonogi i szczypawki pod kamieniem.

Spoglądam na książkę na swoich kolanach. Kartki są pożółkłe i pofałdowane od wilgoci, jakby długo przechowywano ją gdzieś poza domem. Czuć zapach pleśni i grzyba. Na samym końcu, na wewnętrznej stronie okładki, odkrywam jakiś znaczek. Przyglądam mu się z bliska: to stempel. „Gimnazjum Nacka, Biblioteka Szkolna” – czytam.

Może Jonas tam chodził.

Zamykam książkę i trzymając ją w ręce, próbuję ocenić jej wagę.

Na moje oko może ważyć czterysta gramów. W każdym razie na pewno więcej niż trzysta, ale maksymalnie czterysta pięćdziesiąt. Gdyby była z koki, miałyby wartość około trzystu tysięcy, ale nikt nie jest gotów zapłacić aż tyle za słowa.

Cena za gram nie osiąga nawet w przybliżeniu ośmiuset koron.

Otwieram ją i próbuję czytać od nowa. Ale prawie zaraz się zacinam. Słowa więzną mi w gardle, kłębią się, płaczą, zahaczają jedno o drugie i w końcu wydostają się w niewłaściwej kolejności.

Przeskakuję kilka rozdziałów do przodu, żeby sprawdzić, czy pod koniec historia robi się ciekawsza, ale wydarza się tylko tyle, że zawiedziona narzeczona zbliża się do dziewiętnastoletniego matadora o imieniu Romero. Szczerze mówiąc, wcale mnie to nie dziwi, w gruncie rzeczy wiedziałem, że tak będzie. Ale oczywiście żal mi bohatera, do którego chyba nie może dotrzeć, że powinien zapomnieć o tej suce i iść dalej.

Przed oczami przemyka mi twarz Alexandry. Smutne oczy patrzą na mnie oskarżycielsko.

Tak, żałuję, że tak ją potraktowałem.

Tak, przyznaję, że gdybym wcześniej trochę pomyślał, użył rozumu, jak mawia Liam, to bym wiedział, co się stanie, jeśli będę podrywać Jeanette. Bo nie trzeba być

fizykiem jądrowym, żeby pojąć, że wszystko się spieprzy, jeśli człowiek zacznie się przystawiać do najlepszej przyjaciółki własnej dziewczyny.

Ale myślenie nie jest twoją mocną stroną, prawda, Samuelu? To dlatego nikt cię nie lubi, bo jesteś palantem, impulsywnym durniem, który...

– Zamknij się! – mówię głośno.

Zastanawiam się.

Może Jonasowi spodobałaby się bardziej jakaś inna książka, bardziej wciągająca. Może zacząłby wtedy reagować, poruszyłby ręką czy zastękał, tak jak czasami mu się to zdarza.

Zrobiłby cokolwiek, dzięki czemu stałby się trochę ludzki.

Rozlega się pukanie do drzwi i do środka wchodzi Rakel.

– Cześć – mówi łagodnym głosem. – Wszystko w porządku?

Kiwam głową bez słowa.

Wygląda na zmęczoną. Włosy ma zebrane w niedbały kucyk, a jej twarz i dekolt błyszczą od potu, mimo że jest ubrana tylko w T-shirt i szorty, a na nogach ma japonki.

Ale i tak jest pioruńsko piękna.

Nie mogę przestać myśleć, jak by to było, gdybym tak mógł pójść z nią do łóżka i całować jej pełne piersi. Już tak dawno się nie bzykałem, że na samą myśl o tym mi staje.

Wstydzę się i szybko kładę książkę na uda.

– Chciałam wyskoczyć na chwilę, żeby coś kupić – mówi. – Niedaleko. W okolicy portu dla małych łódek.

– Przy kempingu?

Jej spojrzenie mrocznieje.

– Byłeś tam?

– Nie, tylko...

– Trzymaj się od tamtego miejsca z daleka – oznajmia oschle. – To prawdziwa speluna. Pełno tam dilerów, paserów i Bóg wie, kogo jeszcze.

Rakel jest zestresowana i niespokojna od chwili, gdy odkryliśmy ślady butów pod oknem. Chociaż w tamtym momencie wydawała się całkiem beztroska, potem pytała mnie kilka razy, czy ten ktoś, kogo widziałem w ogrodzie, to był Igor. Zapewniłem ją, że to nie on, bo jego rozpoznałbym na sto procent.

Prawdopodobnie się wystraszyła, że to mógł być jakiś ćpun z kempingu, który robił rekonesans przed planowanym włamaniem.

– Okej – odpowiadam.

Rakel kiwa głową.

– Wrócę za jakąś godzinę.

Jej twarz nagle się rozchmurza.

– Jesteś taki niesamowicie dobry dla Jonasa. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak się cieszę, że się u nas znalazłeś. Chciałam, żebyś wiedział.

Czuję się tak bardzo zawstydzony, że nie mogę wydobyć z siebie słowa.

Rakel macha mi na pożegnanie, wychodzi i zostawia mnie samego z Jonaszem zombie. Po chwili słyszę trzaśnięcie drzwi wyjściowych, a potem odgłos oddalającego się samochodu.

– Pójdę sprawdzić, czy nie znajdzie się jakaś fajniejsza książka – mówię do Jonasa.

Właściwie nie wiem dlaczego, ale zacząłem do niego mówić, tak jakby wszystko rozumiał.

Może trochę mi odbija od tkwienia na tym pustkowiu.

Wychodzę z sypialni i ostrożnie zamykam za sobą drzwi.

Nogi jakby same wiedzą, dokąd mają mnie zaprowadzić – kierują mnie do spiralnych schodów, a potem prosto na górę.

Znalazłszy się na piętrze, zatrzymuję się pod pokojem, który Rakel nazwała gabinetem Ollego. Słońce wlewa się przez duże tafle szkła, przecina duszne powietrze. Za szybą rozciąga się bezkresne morze. Niemal niezmacona tafla wody iskrzy się złościście.

Naciskam klamkę.

Cholerne drzwi do pokoju Ollego są zamknięte.

Ale ludzie są w większości strasznie przewidywalni. I chyba nie ma powodu, aby sądzić, że Rakel jest inna.

Przypominając sobie, gdzie leżał klucz do jej szafki z lekarstwami, podchodzę do regału z książkami i przesuwam dłońią po wszystkich półkach po kolei.

W niecałą minutę znajduję klucz na najwyższej z nich, przed książką o szwedzkich latarniach morskich, a potem wsuwam go bez kłopotu w dziurkę i po kilku sekundach jestem już w środku.

Pokój jest całkiem mały, ale ma okna wychodzące w dwóch różnych kierunkach. Jedyne meble to niski regał zastawiony książkami i segregatorami, duże staroświeckie biurko i wygodny fotel biurowy. Na biurku stoi drukarka, a obok niej leży plik kartek A4. Nie brak też fotografii w ramkach.

Podchodzę bliżej i przyglądam się zdjęciom.

Widać na nich Jonasa jako małe dziecko. Na jednym trzyma piłkę pod pachą i się uśmiecha, a na drugim pozuje przed motorowerem.

Rozglądam się dookoła.

Przy regale stoi granatowa torba z materiału. Przypomina torbę sportową, ale jest elegantsza. Nadaje się na krótki weekendowy wyjazd.

Odsuwam zamek błyskawiczny. W środku leżą męskie rzeczy – T-shirty, swetry i džinsy. Grzebię w nich – wszystko jest czyste i starannie poskładane. Na samym spodzie odkrywam brązową kopertę.

Biorę ją do ręki – maksymalnie sto pięćdziesiąt gramów – i zaglądam do środka.

Znajduję paszport: Olle Berg, trzydzieści jeden lat, sto osiemdziesiąt dwa centymetry wzrostu. Pod paszportem leży karta kredytowa.

Patrzę na zdjęcie w paszporcie.

Mamy wiele wspólnego – rozczochrane ciemnoblond włosy, ciemne oczy.

Właściwie jedyna różnica to broda. No i wiek, oczywiście. Jest trzynaście lat starszy ode mnie, ale gdybym zapuścił brodę, być może uchodziłbym za trzydziestolatka.

Gdzieś z tyłu głowy zaczyna wykluwać się plan. Na razie dosyć niewyraźny, ale wiem, że jestem na dobrym tropie.

Paszport, ubrania – to są elementy puzzli, których mi brakowało.

Ostrożnie odkładam kopertę na miejsce, zasuwam suwak w torbie i wracam do biurka. Na wierzchu cienkiego pliku kartek obok drukarki leży poźółkły wycinek z gazety.

„Przy drodze nr 53 na wysokości zamku Sparreholm przypadkowy przechodzień znalazł ciężko rannego młodego mężczyznę. Na razie nie wiadomo, jak doszło do tych obrażeń. Policja prosi ewentualnych świadków zdarzenia, aby zgłaszali się na...”

Odkładam wycinek i wyjmuję spod spodu stos zadrukowanych kartek.

Na samej górze pierwszej widnieje tytuł Letarg.

Pod stroną tytułową jest kilka stron pokrytych odręcznie pisanymi notatkami i wydruk czegoś, co wygląda na długi wiersz.

W końcu Olle jest pisarzem – czyli to on musiał to napisać.

Myślę o Jonasie, który leży i sapie na dole w sypialni.

Ciekawe, co będzie, jeśli przeczytam mu coś, co rozpozna, albo co może nawet czytał wcześniej? Coś, co na przykład wyszło spod pióra Ollego.

Kto wie, czy nie wywoła to w jego biednym uśpionym mózgu reakcji tego typu, z jaką ma się do czynienia na przykład przy uruchamianiu komputera czy modemu.

A jeśli się obudzi?

Zamykam za sobą drzwi i siadam w starym fotelu, który pod ciężarem mojego ciała głośno skrzypi. Jonas nie reaguje na to w żaden sposób.

Kładę kartki na kolanach, odchrząkuję i zaczynam czytać.

Ty byłeś gołębiem, ja barankiem

Naszym domem był raj

Otoczony cierniami cmentarz  
Bo każdego dnia odlatywałeś dalej  
Jak czarna chmura przesłoniłeś słońce swą grą  
Jak sadzą zatrąłeś powietrze swą pychą  
Niczym strzały bolała twoja zdrada  
Ty byłeś gołębiem, ja barankiem  
Odrzącałeś moje ostrzeżenia  
Szydziłeś z mych słów  
Nie chciałeś pić mojej miłości  
Twoje pióra drżały ze wzburzenia  
Twoje usta powtarzały nie  
Twoje myśli mieszkają wszędzie  
Tylko zawsze omijały mnie  
Przerywam.

Co to za gówno?

Myślałem, że ten cały Olle pisze powieści czy coś w tym stylu, a nie jakieś chore wierszydła.

Z łóżka dochodzi jakiś odgłos.

Jonas zombie jęczy i drżą mu powieki. Chude palce jednej dłoni lekko się poruszają, a mięśnie przedramienia są wyraźnie napięte. Palec wskazujący się podnosi i ręka wyciąga się w kierunku szafki nocnej – dokładnie tak samo jak ostatnio.

Czy on rozumie, co mówię? Rozpoznaje ten tekst?

Jego ręka wyciąga się coraz bardziej i bardziej, wreszcie jest zaledwie kilka centymetrów od rys wydrapanych w lakierze nocnej szafki.

Z bijącym szybciej sercem zaczynam czytać dalej:

Ty byłeś gołębiem, ja barankiem  
O skały połamały się twoje skrzydła  
Słońce spaliło ci pióra  
Dziób szerniał ci od kłamstw  
Upadłem, umarłem, nie ożyłem  
Ale wśród wielkiego smutku  
Przyszedł do mnie lew  
– Mahhrg...

Jonas zombie bełkocze głośno, a mnie coraz bardziej przyspiesza puls.

Ty byłeś gołębiem, ja barankiem  
Opatrywałem twoje rany  
Gasiłem łzami twoje pragnienie

Przeniosłem cię z letargu  
Do raju, który był nasz  
Chociaż powiedziałem, że ci wybaczam  
Tobie zależało tylko na tym,  
Aby odzyskać skrzydła

W tym samym momencie słyszę kroki na schodach przed wejściem i zaraz potem odgłos klucza przekręcanego w zamku.

Zrywam się z fotela i nerwowo wpycham kartki pod materac Jonasa, udaje mi się jednak wsunąć je zaledwie do połowy.

Sekundę później otwierają się drzwi sypialni.

– Jestem z powrotem – mówi Rakel. – Wszystko w porządku?

– Tak – odpowiadam, zerkając na Jonasa, który już się uspokoił.

Ona podchodzi do łóżka, pochyla się nad synem i całuje go w czoło.

Lekki szelest papieru powoduje, że Rakel nagle nieruchomieje.

Serce przestaje mi bić, a żołądek zaciska się w bolesnym skurczu.

Ale po sekundzie Rakel na szczęście się prostuje jak gdyby nigdy nic i pyta mnie z uśmiechem:

– Nie jesteś przypadkiem głodny?

# Pernilla

**B**ardzo źle spałam. Wiele razy się budziłam i potem nie mogłam zasnąć. Słuchałam kosa, który rozrabiał w klatce w pokoju Samuela. Przewracałam się z boku na bok w wilgotnej pościeli. Płakałam i modliłam się na przemian.

Nie dociera do mnie, że ojciec odszedł. Że jego dusza uleciała ku Panu dokładnie wtedy, kiedy ja wygrzebywałam spod głazu torbę z forszą za narkotyki – bo przecież te banknoty raczej nie pochodzą ze sprzedaży bożonarodzeniowych kartek.

Kiedy przyjechałam do hospicjum, pielęgniarka od razu zaprowadziła mnie do niego.

Na szafce nocnej stały świeże kwiaty i paliła się świeczka. Ręce ojca leżały skrzyżowane na Biblii, która spoczywała na jego piersi. Było to piękne i zarazem przerażające. Niby naturalne, a jednocześnie przeczące wszelkiemu rozumowi. W jednej sekundzie ukochana osoba jest, a w drugiej już jej nie ma.

Wśród smutku ogarnął mnie też gniew.

Bo ojciec wybrał sobie najmniej dogodny moment na to, żeby umrzeć. Już nigdy nie uzyskam odpowiedzi na pytanie, dlaczego mi nie powiedział, że matka chciała się ze mną widywać.

Zostaliśmy teraz sami, Samuel i ja.

Myślę o nim. Przypominam sobie jego małe ciało, które położna położyła mi na piersi, i radość w oczach ojca, gdy pierwszy raz zobaczył wnuka. Mimo niewyobrażalnego wstydu. Mimo że jego niezamężna młoda córka zgrzeszyła i urodziła nieślubne dziecko.

A potem widzę go jako pyzatego dwulatka z całą masą siniaków na nogach i rękach. Wystarczyło, że dostał podwójną porcję kaszy i od razu był zadowolony.

A teraz?

Pieniądze w torbie pod kamieniem.

Foliowe torebki z dragami, rozrzucone jak płatki róży na podłodze w mieszkaniu.

Drogie markowe ciuchy, na które go przecież nie stać.

To wszystko moja wina. Na pewno, ponieważ jak wszystkie dzieci Boże Samuel urodził się doskonały i niewinny.

Wkładam do ust ostatni kęs kanapki z serem i zerkam na torbę stojącą w kącie.

„Just do it” – widnieje na niej napis.

Po powrocie do domu nie mogłam się powstrzymać i od razu do niej zajrzałam.

Samuel miał rację – jest pełna pieniędzy. Na widok pęków banknotów wrzuconych do środka bez ładu i składu ogarnął mnie strach i od razu przypomniał mi się tamten człowiek z klatki schodowej – Igor.

Moje ciało też go pamiętało, bo miejsce, gdzie chwycił mnie za ramię, wciąż boli, a skóra piecze, jakbym poparzyła się na słońcu.

W nocy kilka razy wstawałam i sprawdzałam, czy drzwi wejściowe są na pewno zamknięte i czy łańcuch jest zatknięty. A kiedy w ciemności stałam w pokoju za cienkimi frankami, wydawało mi się, że widzę kogoś w mroku na zewnątrz – ciemną postać przyciśniętą do drzewa po drugiej stronie ulicy.

Ale to musiało być chyba urojenie?

Tak czy inaczej, nie zamierzam trzymać tych pieniędzy w domu ani minuty dłużej, niż to będzie konieczne. Umówiłam się z Samuelem, że spotkamy się na przystani w Stuvskär o siedemnastej, mimo to postanawiam jechać tam już teraz, przed południem.

Dziś jest sobótka.

Zawsze świętowałam ten dzień z ojcem, w tym roku pierwszy raz go zabraknie. Nie będzie marynowanych śledzi ze śmietaną i szczypiorkiem. Nie będzie spaceru pod słup majowy. Nie będzie piwa ani drinka, słońca albo deszczu, deszczu albo słońca.

Wyglądam przez okno.

Słońce świeci na bezchmurnym niebie, a gałęzie drzew nie drgną nawet o milimetr.

Jest ładny dzień, równie dobry jak każdy inny, aby powiedzieć Samuelowi, że jego dziadek odszedł na zawsze.

I aby dać mu tę przeklętą torbę.

Ciągle jeszcze nie rozpakowałam plecaka, który miałam wziąć na wycieczkę. Postanawiam zabrać go ze sobą na wypadek, gdyby Samuel chciał coś pożyczyć, zanim zniknie.

Biorę prysznic i myję zęby. Potem pociągam rzęsy tuszem i nakładam przez głowę cienką letnią sukienkę. Z plecakiem w jednej ręce i z torbą w drugiej idę do samochodu.

Na wysokości centrum handlowego Länna zaczynam się denerwować.

Czarne bmw, które znalazło się za mną już na Nynäsvägen, wciąż się mnie trzyma, mimo że raz przyspieszam, a raz zwalniam.

Auto jedzie jednak zbyt daleko, abym mogła zobaczyć, kto siedzi za kierownicą. Ale ktokolwiek to jest, wyraźnie zależy mu na zachowaniu odpowiedniej odległości.

Czuję lodowate zimno w piersi, a w ustach robi mi się sucho. Chociaż świeci piękne słońce i otacza mnie bujna zieleń wczesnego lata, jestem roztrzęsiona.

Przekonuję samą siebie, że coś sobie ubzdurałam, i podgłaśniam radio, aby muzyka zagłuszyła huk silnika wlewający się do środka przez otwarte okna mojego starego, rozpadającego się samochodu.

Leci Dancing queen.

Abba to jedyny współczesny zespół, którego słuchał mój ojciec, kiedy dorastałam. Właściwie najbardziej lubił muzykę klasyczną i sakralną, ale podejrzewam, że Abba wzbudzała w nim taki zachwyty, że nie potrafił odmówić sobie ich słuchania.

W rezultacie tak często puszczałyśmy ich płyty, że w końcu kompletnie się zgrały i tata musiał kupić nowe. Każdą z piosenek znałam na pamięć, chociaż nie rozumiałam ich słów.

Co więcej, zawsze kiedy z jakiegoś powodu się bałam, odklepywałam po kolei tytuły utworów. Jak mantrę.

Dancing queen

Mamma mia

Chiquitita

The winner takes it all

Zerkam w lusterko wsteczne i widzę, że jakieś białe volvo wyprzedziło czarne bmw i oddziela mnie teraz od niego.

Serce powraca do normalnego rytmu, a ja, odetchnąwszy z ulgą, koncentruję się na drodze przede mną. Przystaję kurczowo ścisnąć kierownicę i po kolei wycieram spocone dłonie o cienki materiał sukienki.

Potem podkręcam radio jeszcze głośniej i śpiewam na głos.

You are the dancing queen

Young and sweet

Only seventeen.

Ale kiedy nieco później wjeżdżam do Stuvskär, znowu widzę w lusterku czarny samochód, jakieś siedemdziesiąt pięć metrów za mną. Jedzie tak powoli, że niemal stoi.

Na nowo ogarnia mnie panika.

Serce wali mi jak szalone, między piersiami czuję strużkę potu, która spływa coraz niżej, jak wąski potok strachu.

Co mogę zrobić?

Czy mam zaparkować, jakby nic się nie działo, i najzwyczajniej w świecie położyć się w słońcu na skale, nie zwracając uwagi na nic, czy spróbować urwać się prześladowcy – o ile rzeczywiście nim jest.

Urwać się prześladowcy?

To zwrot wzięty prosto z jakiegoś kryminału. Czy w ogóle mam pojęcie, jak coś takiego się robi?

Decyduję się jednak na tę drugą opcję. Zamierzam jeździć bocznymi drogami w kółko po okolicy i w najlepszym razie uwolnić się od tego bmw, jakby to był irytujący insekt, który uparcie pełza mi po ubraniu.

Zawracam przy przystani i ruszam w kierunku czarnego auta, które natychmiast odbija w leśną drogę.

Mijając je, zwalniam i próbuję dostrzec chociaż cień kierowcy, to jednak niemożliwe, dodaję więc gazu i jadę kilkaset metrów dalej, a potem skręcam w prawo w wąską żwirową drogę.

Jest nędznej jakości – usiana głębokimi dziurami, raz po raz muszę objeżdżać kamienie.

Otacza mnie rzadki, ale niebotycznie wysoki sosnowy las. Słoneczne światło sączy się przez gałęzie i tworzy koronkowe wzory na nawierzchni drogi. Między smukłymi drzewami tkwią okazałe granitowe głazy, częściowo porośnięte białym mchem. Ze szczelin wyglądają paprotniki i borówki.

Tutaj, w cieniu, powietrze jest chłodniejsze. I przesycone zapachem igliwia oraz próchnicy.

Widzę okazałe wille kupców z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego stulecia i podobne do pudełek letnie domki z lat pięćdziesiątych. Widzę kampery i drogie samochody sportowe zaparkowane na zadbanych podjazdach, ale nie dostrzegam żadnych ludzi.

Gdzie się wszyscy podziali? Czyżby zaczęli już świętować sobótkę?

Zerkam w lusterko wsteczne.

Pusto.

Zwalniam i zaczynam krążyć po wąskich drogach dookoła Stuvskär. Przejeżdżam przez nieduży most przerzucony nad błyszczącą wodą i prowadzący na jedną z małych wysepek.

Zabudowania stają się coraz radsze. Dostrzegam jeszcze jeden wjazd i gdzieś dalej jeden dom w głębi lasu, ale poza tym okolica jest dziwnie opustoszała.

Akurat w momencie, gdy decyduję się zawrócić i jechać znów na przystań, widzę w lusterku wstecznym czarny samochód.

Czuję się tak, jakby ktoś kopnął mnie prosto w brzuch.

Może jednak lepiej będzie wrócić do Stuvskär i rozłożyć się na skałach?

Zwalniam i objeżdżam dookoła duży kamień, który stoczył się na drogę. W tej samej sekundzie zauważam po prawej wąski wjazd. Obok czarnego volva stoi zaparkowany

motocykl, który wygląda mi jakoś znajomo. Ognisty płomień na czarnym lakierze zbiornika na paliwo coś mi przypomina.

Wpatruję się między sosny. Widzę dach i piętro ładnej starej willi.

Dodaję gazu i rzucam okiem w lusterko.

Samochód nie zniknął. Zaczynam się modlić: Dobry Boże, pomóż mi i spraw, abym bezpiecznie dotarła do Stuvskär. W imię Jezusa Chrystusa. Amen.

Obejmuję mocno kierownicę i na chwilę zamykam oczy, usiłując połączyć się duchem z Najwyższym.

Kiedy unoszę powieki, oślepia mnie promień słońca. Kicham, starając się nie zjechać z drogi.

Las stał się gęstszy i ciemniejszy. Tu i ówdzie między sosnami rosną świerki.

Zerkam w lusterko.

Nie widzę samochodu.

Czy to możliwe? Moja modlitwa zadziałała?

W pierwszej chwili nie mam odwagi uwierzyć, że to prawda. Jeszcze co najmniej przez kwadrans kręcę się po bocznych drogach, aż w końcu stwierdzam, że bmw rzeczywiście zniknęło.

– Dzięki ci, Boże – bąkam i ruszam z powrotem w kierunku Stuvskär. – Dziękuję ci, Panie, że wysłuchałeś mojej prośby.

# Samuel

Tuż po dziesiątej rano słyszę trzaśnięcie wejściowych drzwi. Rakel pozwoliła mi dzisiaj pospać dłużej, ponieważ przez ostatnie dni sporo pracowałem po godzinach. Olle, jej facet, wciąż jeszcze nie wrócił ze Sztokholmu i dlatego nie mogła dać mi tyle wolnego, ile początkowo obiecywała.

Wyskakuję z łóżka, wciągam dżinsy, wychodzę do holu i zaczerpuję głęboko powietrza.

U mnie w pokoju musi być chyba ze trzydzieści pierdolonych stopni.

Co najmniej.

A nie można otworzyć cholernego okna, bo zaraz pożarłyby mnie komary.

Kiedy do niego podchodzę, deski w podłodze trzeszczą i skrzypią. Obejmuję wzrokiem morze. Kilka mew szybuje wysoko, a na horyzoncie majaczy żaglówka.

Rakel właśnie zbiega po drewnianych schodkach w dół, ubrana w zdecydowanie za duży granatowy szlafrok. Długie włosy powiewają na wietrze.

Prawdopodobnie ona też wstała dzisiaj później.

Może Jonas miał ciężką noc i w końcu dostał zastrzyk w tyłek, żeby się uspokoił.

Nie bez trudu odrywam wzrok od Rakel i podchodzę do regału. Klucz leży tam, gdzie go zostawiłem – przy książce o latarniach morskich. Po przekręceniu go w zamku drzwi do pokoju Ollego otwierają się bezszelestnie.

Tu słońce nie świeci jeszcze w okno i panuje przyjemny chłód. Czuć lekki zapach kurzu i skóry, którą obity jest fotel w rogu.

Przyklękam przy granatowej torbie i wyciągam z niej parę dżinsów, jeden T-shirt i jedną koszulę. Wyjmuję też kopertę z paszportem i kartą kredytową.

Potem zasuwam zamek i upewniam się, czy torba wygląda tak jak wcześniej.

Jest w porządku – dopóki ktoś jej nie otworzy i nie zobaczy, że czegoś brakuje, nie sposób się zorientować, że w niej grzebałem.

Wymykam się do holu, zamykam drzwi i odkładam klucz na miejsce. Ubrania i kopertę chowam do swojego plecaka, w którym są już fiołki z zabranym z apteczki fentanylem.

Sprawdzam, czy mam też wszystkie własne rzeczy – komórkę, ładowarkę i klucze. Przesuwam palcem po kółku do kluczyków. Dostałem go od matki. Jest z nierdzewnej

stali, a na nim zaczepione są miniaturowa książeczka i plastikowa rybka. Kretyński religijny gadżet, kupiony przez zbór, aby zachęcić dzieciaki do przyłączenia się do grupy młodzieżowej.

Pora zniknąć.

Gdy tylko skończę dzisiaj pracować, pryskam stąd i spotykam się z matką w porcie.

I nie zamierzam tu wracać.

Z pieniędzmi Igora uda mi się zaszyć gdzieś na dłużej. A dzięki paszportowi mogę nawet wyjechać za granicę.

Czyli problem rozwiązany.

Po prysznicu schodzę spiralnymi schodami na parter. Od razu czuję zapach świeżo smażonych naleśników.

Przyjemna woń, choć z lekką nutką przypalenia, budzi we mnie głód, ale także coś jeszcze: narastające w piersi dokuczliwe poczucie winy.

Biedna Rakel – stoi od rana przy kuchni i robi dla mnie żarcie, chociaż wcale nie musi. Zasługuje naprawdę na coś lepszego niż nadskakiwanie koleśowi, który ją okrada, a potem nawiewa od niej i zostawia ją samą z dzieciakiem warzywem.

Przełykam nerwowo i czuję, jakbym miał w gardle niewidzialną piłkę.

Nic nie umiesz. Na niczym ci nie zależy. A teraz wypinasz się na jedyną osobę, która ci pomaga.

– Wesołej sobótki! Zrobiłam naleśniki. Mam nadzieję, że jesteś głodny.

Rakel uśmiecha się do mnie i wkłada sobie do ust kawałek placka.

Na widok fartuszka na jej białej sukience przypomina mi się matka. Kiedy byłem mały, smażyła mi na śniadanie naleśniki i miała niemal identyczny fartuszek.

Piłka w gardle rośnie. Mam wrażenie, że zaraz pęknie mi przełyk. Nie jestem w stanie wykrztusić ani słowa.

Siadam na krześle, nalewam sobie soku do szklanki i zmuszam się do wypicia paru łyków.

Rakel podchodzi do stołu i stawia na nim talerz ze świeżo usmażonymi naleśnikami.

– Proszę!

– Dzięki – bąkam, chociaż gula w gardle grozi eksplozją.

– Muszę wyskoczyć do sklepu – mówi, rozwiązując fartuch na plecach. Potem zdejmuje go przez głowę i wiesza na haczyku obok kuchenki. – Mógłbyś rzucić okiem na Jonasa?

– Jasne – odpowiadam. Powoli odzyskuję nad sobą kontrolę, niepokój ustępuje, a twarda kula w gardle kurczy się jak przekłuty balon.

Nie jestem złym człowiekiem, przemyka mi przez głowę.

Jestem takim samym facetem jak wielu innych, wdepnąłem w gówno i robię, co mogę, żeby się z niego wykaraskać.

Nigdy nie miałem żadnego wyboru.

Jonas zombie leży nieruchomo na plecach.

Słaba woń uryny zalegająca w dusznym pokoju miesza się z zapachem czerwonej róży, która stoi w wazonie na szafce jak samotny wykrzyknik.

Pochyliłam się nad łóżkiem i uważnie przyglądam twarzy chłopaka.

Skóra w dziurce nosa, z której wystaje rurka, jest czerwona i zaropiała. Usta wydają się jeszcze bardziej spierzchnięte niż dzień wcześniej, przecinają je głębokie pionowe pęknięcia.

– Cześć – mówię i sięgam po pomadkę. Zdejmuję nakrętkę i delikatnie pociągam sztyftem po jego wargach.

Jonas nie reaguje. Z kącika ust sączy mu się strużka śliny i spływa na poduszkę.

Prostuję się i biorę z półki na ścianie papierową serwetkę. Ostrożnie wycieram mu brodę i odkładam serwetkę na szafkę. Następnie sięgam po krem do rąk i zaczynam masować jego chude, zimne palce.

– Co ty na to, żeby przeczytać tamten wiersz do końca?

Oczywiście nie pada żadna odpowiedź, ale prawda jest taka, że sam jestem trochę ciekawy, co się stanie z lwem, barankiem i rannym gołębiem, któremu zależy tylko na odzyskaniu skrzydeł.

Schylam się i wyciągam kartki spod materaca w tylnej części łóżka. Sadowię się w fotelu i zaczynam czytać.

Ty byłeś gołębiem, ja barankiem

Lew cię ostrzegł

Krzyknął, że musisz zostać

Ale zęby miał tak ostre

I pazury tak długie

Że niechcący cię zmiażdżył

Gdy chciał cię zatrzymać

Nie ma już żadnego gołębia

Wypłakałem morze łez

I chciałem umrzeć

Na miękkiej kępie smutku

Ale oto lew wrócił znowu

I w swej wielkiej paszczy

Przyniósł nieskalanego gołębia

Kładę kartki na kolanach. Dalszy ciąg wiersza jest na następnej stronie, ale coś mnie hamuje.

Nie mogę czytać dalej.

Jak można wymyślać takie bezsensowne rzeczy?

Poza tym to jest nie tylko chore, ale na dodatek przypomina trochę styl biblijny. A jeżeli ktoś ma to w ogóle rozumieć, to właśnie ja, bo przecież przez całe lata musiałem chodzić z ostatnimi debilami do szkółki biblijnej w mamimym kościele.

Spoglądam z powrotem na tekst. Czytam ostatnie linijki.

Ale oto lew wrócił znowu

I w swej wielkiej paszczy

Przyniósł nieskalanego gołębia

W tym wierszu i samej opowieści jest coś, co sprawia, że włoski jeżą się na karku. Nie potrafię jednak dojść, o co chodzi. Zupełnie jakby w mojej podświadomości wykluło się jakieś przecucie, jakby zagnieżdżyło się w niej duże czarne zwierzę, które nie chce wyjść na powierzchnię, mimo że je wołam.

Składam kartki z wierszem, chowam do tylnej kieszeni dżinsów i spoglądam na Jonasa zombie.

Całe jego ciało podryguje, a dłonie są kurczowo zaciśnięte w pięści.

Kurdemol!

Chyba nie zamierza mi tu zejść na moim dyżurze?

Ale już kilka sekund później blade dłonie się rozluźniają i Jonas znowu się uspokaja. W kącikach ust pojawia się piana.

Sięgam po papierową serwetkę z nocnego stolika i ocieram nią ślinę z narastającym obrzydzeniem.

– Muszę niedługo wyjechać – mówię. – Sorry. To nic osobistego, po prostu muszę prysnąć.

Zastanawiam się przez chwilę i dodaję:

– Tak czy siak, mam nadzieję, że niedługo ci się poprawi, no i w ogóle.

Brakuje mi słów.

Nie ma nic więcej do powiedzenia, nie ma słów, które mogłyby wyjaśnić to, co zrobię.

Siedzę cicho w fotelu. Czas mija.

Trzaskają drzwi. Rakel wróciła. Słyszę szelest toreb z zakupami i odgłos otwieranej lodówki. Potem Rakel znika w swoim pokoju.

Odczekuję pół godziny i uznaję, że już pora.

Biorę Jonasa za rękę i ściskam ją ostrożnie, żeby przypadkiem nie zostawić na niej siniaków.

– No to cześć. Wracaj do zdrowia.

Leży nieporuszony.

Wychodzę do przedpokoju i pukam w drzwi Rakeł.

– Proszę! – woła.

Wsuwam głowę do środka i widzę ją przy biurku za otwartym jak zwykle laptopem.

Strasznie dużo pracuje.

Zdejmuje okulary i zamyka komputer. Z opartymi na blacie łokciami patrzy na mnie.

– Wszystko w porządku?

Potakuję.

– Jonas śpi. Muszę pojechać do sklepu i kupić parę drobiazgów.

– Oczywiście. Czy mógłbyś po drodze kupić mi na stacji benzynowej blokadę do roweru?

– Jasne – odpowiadam i wstydzę się trochę na myśl o tym, że nigdy nie kupię jej tej blokady. Że niedługo będę daleko stąd.

– Dwieście powinno chyba wystarczyć?

– Pewnie – odpowiadam i biorę od niej pieniądze, a potem wsadzam je do kieszeni.

Słońce wpadające przez okno sprawia, że włosy Rakeł lśnią miedzianym blaskiem. Zauważa, że się jej przyglądam, i uśmiecha się dyskretnie.

Przełykam głośno i opieram się impulsowi, by natychmiast stamtąd spieszyć, uciec przed Rakeł, która siedzi za biurkiem i chyba nawet nie wie, jaka jest piękna.

Zamiast tego odpowiadam jej uśmiechem jak dobrze wychowany gość.

Otwiera z powrotem laptop, wkłada na nos okulary i odwraca się, jakby chciała dać do zrozumienia, że to koniec rozmowy.

Wychodzę do przedpokoju, zakładam buty i plecak.

Właśnie mam nacisnąć klamkę, gdy słyszę kroki za plecami.

To Rakeł.

– Posłuchaj – mówi cicho. – Chcę ci tylko podziękować. Jesteś strasznie dobry dla Jonasa. Widziałam, że posmarowałeś mu ręce kremem. Nawet nie wiesz, jak dużo to dla mnie znaczy, że jesteś tutaj. Zwłaszcza teraz, kiedy Olle wyjechał. Miło jest mieć w domu mężczyznę.

– Dzięki – mamroczę.

Miło jest mieć w domu mężczyznę.

Czuję, że się czerwienię. A jednocześnie wstydzę się, że jestem takim bezwartościowym człowiekiem. Bo zaraz ją oszukam i zostawię jak najgorszy krętacz.

Ostatni raz mam otworzyć drzwi wejściowe do domu Rakeł. Spoglądam na nią.

W tej samej sekundzie uśmiech zamiera na jej twarzy, oczy się rozszerzają, a usta rozchylają w niemym zdziwieniu.

– O co chodzi? – pytam, czując jednocześnie muskający mi kark strumień ciepłego i wilgotnego powietrza, zupełnie jakbym stał na peronie tuż przed wjazdem metra.

Rakel nie odpowiada.

Tylko otwiera szerzej usta i wydaje z siebie krzyk tak przeraźliwy, że serce niemal przestaje mi bić.

Powoli obracam się w stronę drzwi wejściowych.

Na schodach stoi ogromna, mroczna postać. Pod opiętym T-shirtem prężą się mięśnie. Wytatuowana czaszka lśni od potu. Mocno zaciśnięte szczęki pracują, a oczy wyglądają na martwe, jakby ktoś mu je wydlubał i zastąpił dwoma kawałkami ołowiu.

To Igor.

# Manfred

Czasami mi się wydaje, że byłoby łatwiej, gdyby różnica wieku między mną a Afsaneh nie była taka duża.

Oczywiście Nadja nadal byłaby chora, a ja nadal zmagalibyśmy się z wyrzutami sumienia.

Ale może trochę mniej albo w inny sposób, bo przy Afsaneh jest tak, jakbym zawsze startował na minusie.

Jakby wyświadczała mi ogromną przysługę już przez samo to, że jest ze mną, chociaż jestem dużo starszy i dźwigam brzemię w postaci dawnego małżeństwa, byłej żony, trójki dużych dzieci i bardzo wielu zbędnych kilogramów.

Tymczasem prawda jest taka, że Afsaneh nie tylko zaakceptowała moją starą rodzinę, ale na dodatek polubiła ją od pierwszej chwili. A dzieci ją wprost uwielbiają. Nawet Beatrice ją lubi, co jest istnym cudem, bo nie ma chyba takiego człowieka, którego ta kobieta darzyłaby sympatią.

Być może Afsaneh tak szybko przyłgnęła do mojej rodziny, ponieważ nie miała swojej. Była jeszcze niemowlęciem, kiedy jej ojciec i starszy brat zostali zamordowani w Iranie na początku lat osiemdziesiątych, dwa lata po przejściu władzy przez islamistów pod przywództwem ajatollaha Chomeiniego. Jej mama, którą wiadomość o śmierci męża i syna zastała na targu, opuściła kraj na łeb na szyję, dosłownie z Afsaneh na ręce. Trzy miesiące później dotarła z nią do Sztokholmu i zaczęła powoli budować sobie życie na nowo. Wszystko układało się dobrze, ale kiedy Afsaneh miała siedemnaście lat, jej mama umarła w wyniku rozległego zawału serca.

Afsaneh opowiedziała mi o tym wszystkim już na naszym pierwszym spotkaniu. Nie kryła też, że jej najważniejszym celem w życiu jest stworzenie rodziny. Toteż gdy pewnego dnia oświadczyła mi, że jest w ciąży, nie mogłem jej powiedzieć, że mam już trójkę dzieci i nie jestem specjalnie spragniony kolejnego.

Byłem jej winien znacznie więcej.

Można by pomyśleć, że powinienem być w stanie chronić naszą małą rodzinę, za którą Afsaneh tak długo tęskniła. Że będę potrafił zapobiec temu, aby nasze dziecko wypadło z trzeciego piętra na twardy asfalt.

Robi mi się niedobrze na samą myśl o tym, jak mała rączka Nadji wyślizgnęła mi się z dłoni, a robotnicy drogowi podbiegli pod budynek.

Gdyby nie Grzegorz Cybulski – dwudziestopięcioletni polski gastarbeiter – Nadja już by dzisiaj nie żyła. To on próbował ją złapać i zdołał złagodzić upadek.

Tydzień po wypadku ja i Afsaneh odwiedziliśmy go z kwiatami, aby mu podziękować. Chociaż złamał sobie rękę, był w dobrym nastroju i chyba ucieszyła go nasza wizyta.

Wiedzieliśmy już wtedy, że stan Nadji jest ciężki, ale nie mogliśmy sobie wyobrazić, że nasza córka utknie w otchłani, na granicy między życiem a śmiercią, na nie wiadomo jak długo.

Patrzę na nią.

Wygląda tak spokojnie na szpitalnym łóżku. Słońce świeci przez okno i pada na jej jedną rękę, sprawiając, że drobny puszek na jej skórze błyszczący złociście.

Zastanawiam się, co sobie myśli, kiedy tak leży, pogrążona w śpiączce zwanej komą. Czy coś jej się śni albo może nawet zdarzają się chwile, kiedy bywa przytomna i odpoczywa pod powierzchnią świadomości. Może wtedy nas słyszy, tak samo jak słyszy się przez zamknięte drzwi po przyłożeniu do nich ucha.

Może błona oddzielająca jej sen od naszej rzeczywistości jest cieniutka jak gaza.

Może mógłbym przez nią przeniknąć, jeśli tylko wystarczająco mocno bym tego pragnął i wystarczająco intensywnie ją kochał.

Jeśli tylko należycie odpokutowałbym swoją winę.

I znowu to samo – magiczne myślenie. Które nie prowadzi donikąd, jedynie prosto w bagno użalania się nad sobą i wyrzutów sumienia.

Afsaneh podchodzi do Nadji i pochyla się nad nią.

– Dlaczego się nie budzi? – pyta.

– Przecież słyszałaś, że podobno wczoraj zareagowała na ból. To dobry znak.

– Ale ja chcę, żeby się obudziła – mówi Afsaneh, która coraz częściej odzywa się jak dziecko, kategorycznie i bez grzecznościowych zwrotów.

– Dobrze wiesz, że to wymaga czasu.

– Nie umiem już dłużej czekać. Chcę, żeby obudziła się teraz.

Afsaneh wyjmuje komórkę i cofa się kilka kroków, następnie przykuca.

– Co robisz? – pytam.

– Fotografuję.

– To widzę. Ale po co?

Nie odpowiada, tylko po chwili siada na krześle obok mnie i zaczyna coś pisać w telefonie.

Właściwie nie należy używać tutaj komórek, ale Afsaneh w ogóle się tym nie przejmuje, bo jak mówi, według jej przyjaciela Love'a, który doktoryzuje się z fizyki, telefony w żaden sposób nie mogą zakłócić działania elektroniki na oddziale.

Zanim wiadomość wyfruwa z aparatu, miga mi na wyświetlaczu zdjęcie Nadji.

– Dlaczego wysyłasz jej zdjęcia?

– To na forum.

– Na forum? Oszalałaś? To brak szacunku i dla Nadji, i dla nas.

– Nic nie rozumiesz. Dzielimy się naszymi przeżyciami. Inaczej bym tego nie wytrzymała. Poza tym pokazuję tylko takie zdjęcia, na których nie da się jej rozpoznać.

Afsaneh wkłada telefon do torebki i patrzy na mnie. Gdybym nie wiedział, że przestała palić, mógłbym przysiąc, że czuć od niej papierosowym dymem. Ma zaczerwienione i podpuchnięte oczy, w kąciку ust widać strupek po opryszczce. Czoło ma wilgotne, a wargi blade.

Pierwszy raz od długiego czasu nie jestem pewny, kto z nas ma rację.

Czy jestem starym dinozaurem, który nie rozumie jej cierpienia, czy też raczej to ona straciła rozeznanie, gdzie przebiega granica między sferą prywatną a publiczną.

Gdy mamy już iść do domu, aby zjeść razem skromny lunch na powitanie lata, dostaję esemesa od Malin.

Po przeczytaniu go odwracam się do Afsaneh.

– Muszę na chwilę wpaść do pracy.

Patrzy na mnie mrocznym, ale pustym wzrokiem.

– Przecież to sobótka.

– Wrócę najszybciej, jak się da.

Na komendzie idę prosto do salki konferencyjnej.

Ponieważ bardzo cieszy mnie to, że zrzuciłem prawie dziesięć kilogramów, nienawidzę sytuacji, gdy ktoś mnie zmusza, żebym zmagiał się z własną słabą wolą.

Patrzę na stół.

Malin kupiła croissanty z nadzieniem czekoladowym. Czyli największą bombę kaloryczną z możliwych. W tym wypieku nie oszczędza się na niczym – ani na cukrze, ani na tłuszczu, ani na szybkich węglowodanach, które tylko czekają, żeby pozostawić po sobie ślad na brzuchu – a wszystko to jest skoncentrowane w chrupiących rogalikach, które królują na tłustej tekturowej tacce, tak apetycznych, że nie sposób się im oprzeć.

Biorę jeden i wmawiam sobie, że to przecież niczego nie zmieni.

Jeden croissant nie wyprodukuje góry tłuszczu.

– Co się stało? – rzucam.

Malin wzrusza ramionami.

– Nie mam pojęcia, ale mam nadzieję, że to nie potrwa długo.

W momencie gdy wpycham do ust ostatni kawałek rogalika, do sali wchodzi Dodzieł, ubrany w tę samą prześwitującą koszulę co dzień wcześniej, tylko tym razem bez siatkowego podkoszulka pod spodem.

– Co wy na to, żeby pogadać z najbliższym człowiekiem Igora Iwanowa? – pyta i siada na jednym z wysłużonych krzesel.

Malin tak gwałtownie odstawia papierowy kubek, że kawa rozlewa się na stół.

– What? Znaleźliście Maltego Lindéna?

Dodzieł pochyła się i patrząc na Malin, szczerzy się w uśmiechu.

– Patrol zlokalizował go wczoraj późno wieczorem, a dzisiaj rano po decyzji prokuratora został przywieziony na przesłuchanie. Właśnie byłem na dole i do niego zajrzałem.

Malin wyciera kawę ze stołu wyblakłą serwetką z motywem bożonarodzeniowym, która w zakamarkach komendy musiała przetrwać co najmniej jedną zimę.

– Stawia się? – pytam.

Dodzieł kręci głową.

– Nie. Za stary z niego wyga. Siedział za posiadanie narkotyków i napaść. Wie, co robi. Oczywiście próbował ściągnąć na przesłuchanie adwokata.

– I co mu wtedy powiedziałaś?

Dodzieł uśmiecha się chytrze.

– Że ma takie samo prawo do adwokata jak dziwka do ubezpieczenia zdrowotnego – mówi z naciskiem. – Adwokata można dostać dopiero wtedy, kiedy zgodnie z dwudziestym pierwszym paragrafem kodeksu postępowania sądowego jest się zasadnie podejrzanym o przestępstwo, a to, zgodnie z dwudziestym trzecim paragrafem, wymaga jeszcze ustalenia.

Malte Lindén siedzi rozparty na krześle, z rękami demonstracyjnie skrzyżowanymi na piersi.

Jest ubrany w podkoszulek i nisko opuszczone džinsy. Jest chudy, wręcz wychudzony, a rzadkie jasne włosy opadają mu w tłustych strąkach na ospowatą twarz. Ma obojętny wyraz twarzy i znudzone spojrzenie, jakby siedział w metrze, a nie na przesłuchaniu na policji.

Przedstawiamy się i siadamy za stołem.

Malte wydaje się nieporuszony, unosi jednak brew, kiedy wszyscy troje wchodzimy do pokoju. Normalnie przesłuchania prowadzą tylko dwie osoby.

W momencie gdy Malin zamierza włączyć magnetofon, ktoś puka do drzwi i do środka zagląda Malik.

- Gunnar, mogę prosić cię na chwilę?
- Koniecznie? – odpowiada Dodzieł jak przekorny pięciolatek.
- To ważne.

Dodzieł wzdycha, wstaje i opuszcza pokój demonstracyjnie powoli.

Malin uruchamia nagrywanie i recytuje obowiązkowe formułki. Potem zwraca się do Maltego i przechodzi do rzeczy.

- Znałeś Johanna Ahonena i Victora Carlgrena?

Zanim Malte odpowiada, następuje krótka pauza.

- Nie – mówi, unikając wzroku Malin.
- Czyli nigdy nie spotkałeś żadnego z nich?
- Nie.

Malin wyjmuje zdjęcia Johanna i Victora i kładzie je przed Maltem.

- Poznajesz ich?
- Nie – zaprzecza Malte, nie patrząc na fotografie.
- Popatrz na nie – zwracam się do niego.

Jego wzrok przenosi się powoli na wydruki. Potem wzrusza ramionami.

- Poznajesz ich? – powtarza pytanie Malin.
- Nie.
- Nigdy ich nie widziałeś?
- Nie.
- Jesteś pewny?
- Hm.

– Według naszych informacji zarówno Johannes Ahonen, jak i Victor Carlgren kupowali kokainę od osób powiązanych z tobą i Igorem Iwanowem. Co masz do powiedzenia na ten temat?

– Nic – odpowiada Malte ospale i w zimnym świetle jarzeniówki przygląda się tępo swoim paznokciom.

- Czyli nie skomentujesz tego, że kupili kokainę od waszego gangu?

– Tego nie mówiłem – odzywa się Malte, nie podnosząc głosu. – Mówiłem tylko, że nie skomentuję waszego twierdzenia, że kupili kokainę od ludzi, którzy, jak twierdzicie, mnie znają.

Malin spogląda na mnie z rezygnacją, na co wzruszam ramionami.

Niczego innego się nie spodziewaliśmy.

Sprytni zawodowi przestępcy nie dają się tak łatwo wyprowadzić z równowagi. Potrzeba dużo więcej niż parę oderwanych zdań podczas przesłuchania, żeby takiego gościa jak Malte zmusić do przyznania się, że zrobił coś na granicy legalności.

Próbuję innej taktyki. Wyjmuję zdjęcia ofiar wykonane w zakładzie medycyny sądowej i rozkładam je na stole.

– Ci mężczyźni prawdopodobnie zostali zamordowani – mówię. – Byli młodzi. Mieli przed sobą całe życie. Ktoś im je odebrał, a potem wyrzucił ich do morza jak śmieci.

Malte zerka na fotografię, nawet nie mrugnawszy okiem, na pozór nieporuszony widokiem spuchniętych ciał i popękanej skóry.

– Mieli pecha – mamrocze takim samym monotonnym głosem.

Malin wzdycha i mówi:

– Jeśli coś o tym wiesz, lepiej, żebyś powiedział.

Malte milczy.

– Wiesz coś? – pytam go.

Ten chudy facet powoli spogląda na mnie, a gdy widzę jego kompletnie obojętną minę, czuję, jak włoski jeżą mi się na karku. Czuję wewnętrzny chłód, chociaż w pokoju przesłuchań jest ciepło jak w saunie.

Coś połyskuje w jego ustach i dopiero teraz widzę, że ma złote przednie zęby.

– Nie – mówi. – Nic nie wiem.

Zapada cisza.

– Gdzie jest Igor, Malte? – pytam po chwili.

– Nie wiem.

– Naprawdę nie masz pojęcia?

– Pewnie się gdzieś kąpie.

– Kąpie się?

Malte splata i wygina kościste dłonie, aż trzeszczą kości. Wydaje mi się, że przez jego chudą twarz przemyka uśmiech.

– Tak. Przecież jest ładna pogoda.

Wchodząc po schodach, mijamy idącego na dół Dodzieła. Sapie, jakby właśnie przebiegł czterysta metrów. Pod pachami ma duże mokre plamy.

– Nie pisnął ani słowa – mówi Malin, odpowiadając na pytanie, którego Dodzieł nie zadał.

– Aniemówiłem?

– A co by było, gdybyś się pomylił?

– Ja nigdy się nie mylę – oznajmia Dodzieł z zadufaniem. – Tylko raz mi się to zdarzyło i wiedziałem, że się pomyliłem. Chociaż miałem rację.

Śmieje się chrapliwie z własnego żartu.

– Ale nie załamujcie się, młodzieży – dodaje, ruszając z nami na górę. – Bo wujek Gunnar ma dla was smakowitą kość. Zaraz wam pokażę!

Idziemy za nim do jego pokoju. Na biurku stoi otwarty laptop.

– Malik mnie zawołał, bo mieliśmy gościa z wydziału techniki kryminalnej – wyjaśnia Dodzieł, ocierając pot z czoła. – A ponieważ znam się trochę na tych sprawach, chciał, żebym to obejrzał.

Ostatnie zdanie wypowiada z emfazą i kiepsko skrywaną dumą.

Wstukuje coś na klawiaturze i ekran komputera się rozjaśnia. Następnie otwiera serię zdjęć.

– To ciało Victora Carlarena, starannie zapakowane w prześcieradło i owinięte łańcuchem. Na pierwszy rzut oka być może tego nie widać, ale przy szyi prześcieradło jest sklezione taśmą.

Monitor wypełnia postać przypominająca mumię.

– I? – wtrąca Malin, próbując zrozumieć.

– Dzięki taśmie materiał w tym miejscu zachował się nienaruszony – kontynuuje Dodzieł. – I właśnie tutaj – wskazuje punkt na szyi denata – dokładnie pod taśmą, znaleziono kilka włosów z cebulkami. Technikom udało się uzyskać jądro DNA, co oznacza, że dysponujemy pełnym profilem genetycznym osoby, od której pochodzą włosy.

Robi pauzę i patrzy na nas triumfalnie.

– I nie jest to profil genetyczny żadnej z ofiar – dodaje.

– Sprawcy? – szepcze Malin.

– Możliwe – mówi Dodzieł i spogląda najpierw na mnie, a potem na Malin. Następnie uśmiecha się tak szeroko jak nigdy dotąd. Cała jego zazwyczaj posępna twarz rozjaśnia się i łagodnieje.

– Wiemy, czyje to DNA! – oznajmia. – Bo mamy gościa w naszym rejestrze.

– No, czyje? – pyta Malin, niemal wstrzymując oddech.

Dodzieł uśmiecha się jeszcze szerzej, na co ona delikatnie uderza go w ramię.

– Do cholery, Gunnar! Powiedz wreszcie!

Kiwając głową, gładzi się po brodzie, a potem stuka palcem w jeden z przycisków klawiatury. Na monitorze pojawia się zdjęcie mężczyzny z brązowymi potarganymi włosami i z brodą.

– Olle Berg, trzydzieści jeden lat. Sądzony za rozboje z użyciem siły i groźby karalne.

# Pernilla

**N**a pomoście w Stuvskär nie ma nikogo poza dwoma nastolatkami, którzy siedzą na samym jego końcu i łowią ryby.

Dusznym bryza marszczy tafel wody i próbuje poderwać moją szeroką sukienkę do góry, w związku z czym muszę przytrzymać ją rękami. Czuć intensywny zapach wodorostów i ryb starannie ułożonych na gazecie za plecami chłopaków. To drobne, błyszczące okonie. Z oddali płynie w naszą stronę biały parostatek spółki Vaxholm. Przed dziobem tworzy się piana, a na pokładzie pasażerowie tłoczą się przy relingu, aby koniecznie stać w słońcu.

Za kwadrans mam się spotkać z Samuelem.

Siadam na betonowej ławce, stawiając sobie sportową torbę między nogami. Mam cichą nadzieję, że mój syn dostał wystarczającą lekcję i teraz postara się uporządkować swoje życie. Bo przecież nie mogę bez przerwy przychodzić mu z pomocą, gdy tylko tego zażąda.

W każdym razie nie wtedy, kiedy chodzi o coś niezgodnego z prawem.

Statek już prawie dopływa do brzegu. Widzę wyraźnie pasażerów. Ci, którzy chcą świętować sobótkę w Stuvskär, stoją już w kolejce na dziobie, z torbami wypchanymi prowiantem, piwem i wódką.

Chłopcy łowiący ryby wstają z pomostu. Jeden z nich wyjmuję komórkę i zaczyna fotografować okonie. Potem podnosi gazetę i wyrzuca ryby do wody.

Od razu robi mi się niedobrze.

Wiem. To tylko parę rybek. Ale dlaczego funduje się coś takiego innym żywym stworzeniom? Łapie się je wyłącznie po to, aby pstryknąć zdjęcia, a potem ciska się je w morze.

Po co?

Patrzę za dwoma nastolatkami, gdy oddalają się w kierunku portowej knajpy. Idą razem, ale nie rozmawiają ze sobą, są tak bardzo zapatrzeni w komórki, że jeden z nich o mało nie wpada na zaparkowany samochód.

Parowiec dobija do brzegu, odświeżenie ubrani ludzie zaczynają wylewać się na pomost, a potem znikają, rozchodząc się w różnych kierunkach. Jakiś motorower

z przyczepką odjeżdża wyładowany ludźmi i pakunkami. Dwa psy wściekle obszczekują się nawzajem.

Dociskam kostki stóp do torby i zerkam na zegar – jeszcze pięć minut.

Pomost opustoszał.

Statek właśnie zniknął za jakąś wyspą. Duże ciemne chmury gromadzą się nad lądem i nasila się wiatr. Zardzewiały semafor poskrzypuje, a obok mnie przefruwa stary papierek po łodzi i ląduje w wodzie pode mną.

Znowu spoglądam na zegarek.

Samuel powinien być już dziesięć minut temu, ale to nic niezwykłego. Często się spóźnia. Albo przychodzi za wcześnie. Za to rzadko punktualnie.

Zerkam na torbę między nogami.

Wygląda zwyczajnie, całkiem normalnie i zupełnie niegroźnie. Gdybym zobaczyła z nią kogoś w mieście, nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że jest w niej coś nielegalnego.

Odzywa się komórka. Mimo gorąca przeszywa mnie lodowaty dreszcz.

To Stina. Pyta, czy mogę jutro przyjść do pracy. Mówię, że tak, a potem gawędzimy jeszcze chwilę. Wspominam, że ojciec zmarł, a ona mnie pociesza i obiecuje, że zajmie się mną, kiedy się zobaczymy. Podejrzewam, że zamierza mnie znowu upić, ale nic na to nie odpowiadam. Później rozmawiamy o Samuelu. Słyszę szczerą radość w jej głosie, kiedy mówię, że właśnie czekam na niego w Stuvskär.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, kochana. Strasznie się cieszę.

Umawiamy się, że się spotkamy, gdy tylko wrócę do miasta. Stina zaprasza mnie na kolację, a ja obiecuję przyjść, o ile nie sprawię jej kłopotu.

– Jakiego znowu kłopotu! – wykrzykuje. – Co ty wygadujesz, serdeńko. Powiedz jeszcze, jak skończyła się ta historia z obłudnym pastorem? Dał ci wreszcie spokój?

Relacjonuję jej, co się wydarzyło przed planowaną wycieczką, jak kazał mi koniecznie jechać z nimi, na co mu oznajmiłam, że może to sobie wybić z głowy.

Stina śmieje się tak serdecznie, że niemal się krztusi, i w końcu upuszcza telefon na ziemię.

– Przepraszam – sapie, gdy znowu się odzywa. – Tak mu powiedziałaś? Przy dzieciakach? Już dawno tak się nie uśmiełam. Musisz opowiedzieć mi wszystko ze szczegółami, gdy się zobaczymy. A potem ja trochę ci się poużalam. Teraz moja kolej. Chyba ci nie mówiłam, ale zawsze trafiam na niewydarzonych facetów.

Wybucham śmiechem i mówię, że rzeczywiście dotąd mi o tym nie wspominała. Potem się rozłączamy.

O torbie z pieniędzmi nie pisałam ani słowa. Za bardzo się wstydzę.

Minuty mijają jedna za drugą. Robi się z nich godzina. Niebo pociemniało jeszcze bardziej i z daleka słychać pomruki burzy. Ciężkie chmury przetaczają się nad wyspami, podobne do gigantycznych kamiennych kul.

Patrzę na morze, patrzę na ląd.

Co dziesięć minut sprawdzam komórkę.

Podchodzę do knajpy i zaglądam do środka przez brudne szyby. Wstępuję do sklepika, który już prawie zamykają, i kupuję najtańszą rzecz, jaką tam znajduję – śmiesznie drogi karton ekologicznego mleka kokosowego.

Ale Samuela wciąż nie ma.

Zaczynają spadać duże krople deszczu.

W końcu opuszczam pomost i bez jakiegokolwiek planu ruszam wąską żwirową ścieżką biegnącą wzdłuż brzegu. Mijam czerwone domki i małe zatoczki, w których czarna i spokojna woda odpoczywa pod ciężkimi chmurami. Gdy deszcz przybiera na sile, zaczynam się rozglądać za jakimś schronieniem.

Obok mostku, jakieś pięćdziesiąt metrów dalej, stoi mała rybacka szopa. Dach wystaje poza ścianę.

Podbiegam szybko do bliskiej zawalenia drewnianej rudery i przyciskam się do drzwi.

Deszcz zacina o dach nade mną. Grzmi i błyskawice raz za razem przesywają niebo. Mam przemoczoną sukienkę, włosy opadają mi wilgotnymi pasmami na plecy, ale nie jestem w stanie myśleć o niczym innym poza tym, że moje dziecko znowu zniknęło. I nagle ogarnia mnie zupełnie irracjonalne, ale bardzo sugestywne uczucie, że Samuel jest w niebezpieczeństwie.

Że stało się coś strasznego.

# Samuel

Igor jest nade mną.

Leżę na brzuchu przyciśnięty do podłogi, z rękami zablokowanymi na plecach w żelaznym uścisku. Silne ramiona podnoszą mnie i ciskają na ziemię.

Podnoszą. Ciskają.

Raz za razem, jakbym był szmacianą lalką albo orzechem kokosowym, który próbuje rozbić.

Czuję, że coś pęka mi w twarzy, że trzaska mi nos, kiedy on po raz nie wiadomo który wali moją głowę o podłogę. Sekundę później usta wypełniają mi się krwią.

Igor przytrzymuje mnie tak mocno, że prawie nie mogę oddychać.

Po chwili siada na mnie. Wgniała mi kolano w krzyż. Jego łapy jeszcze brutalniej zaciskają się na moich nadgarstkach i ostry ból przeszywa mi zdrętwiałe ręce.

Pochyla się nade mną i szepcze mi do ucha:

– Jebana kurwa. Pierdolona cipa.

Ślina pryska mi na policzki.

Nie mogę ani odpowiedzieć, ani się ruszyć, ale czuję jego zapach: cierpki odór potu i furii.

I pośrodku tego chaosu nagle wydaje mi się, że część mojego mózgu wciąż jest w stanie analizować sytuację. Ocenić z zadziwiającą precyzją, na ile jest prawdopodobne, że on rozwali mi głowę o podłogę albo połamię ręce.

I ta część mózgu stwierdza beznamiętnie, że jestem skończony. Że nie mam najmniejszych szans. Że Igor rozgniecie mnie zaraz jak przejrzałego banana.

Powinienem wpaść w panikę. Może zacząć się modlić. A jedyne, co jestem w stanie zrobić, to myśleć o niej.

O matce.

– Liczyłeś na to, że uda ci się mnie wykiwać? Już jest po tobie, kumaszu? – Słowa są tak odległe, jakbym je sobie przypominał, a nie słyszał. – Twoja stara mnie tu przyprowadziła. Głupio, co? Ona...

Jego głos się oddala, istnieje jedynie palący ból, który pulsuje we mnie falami. Jakbym zatapiał się w morzu bólu.

A potem robi się biało i cicho.

Ból łagodnieje, a ja czuję jej obecność. Wiem, że stoi obok, że nie pozwoli mi umrzeć. Kładzie swoją chłodną dłoń na moim czole.

– Samuelu. – Jej głos jest tylko cichym szeptem, ale zawiera w sobie ocean miłości.

– Samuelu, jak się czujesz? Kochanie, powiedz, że wszystko w porządku!

Ból w rękach powraca, nos zaczyna pulsować i otoczenie znowu ma wyraźne kontury. Czuję pod policzkiem wytarte deski podłogi i uprzytamniam sobie, że coś przygniata mi plecy.

Ktoś lekko trąca mnie w ramię.

– Samuelu!

Otwieram jedno oko.

To nie matka, to Rakeł.

I wtedy widzę krew. Rozlewa się po podłodze jak jezioro. Pokrywa niemal cały hol.

Krzyczę, chociaż myślę, że nie żyję, bo przecież nie sposób stracić tyle pieprzonej krwi i przeżyć.

Rakeł sapie i postępuje, a kilka sekund później ciężar przygniatający mi plecy znika. Niesamowita ulga – mam wrażenie, że niemal szybuję nad ziemią.

Podnoszę się i rozglądam dookoła. Poślizguję się na krwi i o mało nie upadam.

Na podłodze obok leży na plecach Igor.

Ręce ma rozrzucone na boki, usta otwarte, oczy też, a w skroni zieje duża czerwona dziura. Wygląda tak, jakby jakieś dzikie zwierzę odgryzło mu kawałek głowy.

Przenoszę wzrok na Rakeł.

Stoi obok Igora. W jednej ręce trzyma żelazny stoper do drzwi w kształcie baranka.

Jest pokryty krwią.

Rakeł nie może się uspokoić.

Łzy płyną strumieniami po policzkach, cieknie jej z nosa.

– Ja... nie... chciałam... go... zabić.

Wśród nieprzerwanego szlochu ledwie rozróżniam poszczególne słowa. Zakręcam kran i wycieram się lnianą ścierką, ale ręce trzęsą mi się tak mocno, że upuszczam ją na podłogę.

– On nie... nie żyjeee – wyje Rakeł i zaczyna chodzić wte i wewte po kuchni, zostawiając lepkie czerwone ślady na posadzce.

Zerkam do przedpokoju.

Potężne ciało wciąż leży w kałuży krwi.

Rakeł osuwa się na krzesło przy stole, chowa twarz w dłoniach i kołysze się do przodu i do tyłu.

– Co my mamy zrobić? – lamentuje. – Co my mamy zrobić? Co my mamy zrobić? Co my...

– Może powinniśmy zadzwonić na policję? – mówię szeptem.

Nie żebym szczególnie pragnął, aby przyjechała policja, ale to wszystko jest zbyt nienormalne, by poradzić sobie z tym samemu. Nawet ja – który unikam glin jak zarazy – nie mam pojęcia, co trzeba zrobić, jeśli niechcący się kogoś uśmierciło.

Rakel przestaje się kołysać, odsłania twarz i patrzy na mnie. Nagle wydaje się całkiem przytomna.

– Nie – mówi. – Przecież go zabiłam. Nie mogę trafić do więzienia, chyba rozumiesz? Jonas ma tylko mnie. Nie dałby sobie rady, on by...

Głos jej się załamuje.

– To była samoobrona – wtrącam. – Wtedy chyba nie idzie się do więzienia.

Rakel powoli kręci głową.

– Nie mogę ryzykować. Absolutnie. – Po chwili dodaje: – Ty chyba też nie chciałbyś mieć do czynienia z policją?

Patrzę jej w oczy.

Chociaż co nieco jej powiedziałem, nie wspomniałem ani słowa o interesie Igora, ale być może domyśliła się sama.

– W takim razie co zrobimy? – pytam. Raptem czuję się kompletnie bezradny.

Rakel wzdycha.

– Może masz rację. Chyba trzeba zawiadomić policję. – A sekundę później mówi: – Nie. To niemożliwe. To po prostu niemożliwe.

Znowu zaczyna pochlipywać i podchodzi do mnie. Każdemu jej krokowi towarzyszy kląskanie podeszew.

– Co my zrobiliśmy, Samuelu? – pyta.

Obejmuje mnie i przytula. Mocno, bardzo mocno.

– Wrzucimy go do morza – wykrztuszam z ustami tuż przy jej uchu.

W tym momencie ona sztywnieje, potem odsuwa się i robi krok do tyłu.

– Oszalałeś? – szepcze.

Marszczy czoło i chyba zastanawia się nad moimi słowami.

– Nie – potwierdza. – Nie możemy wyrzucić go tutaj. Ktoś mógłby go znaleźć.

– Wypłyniemy dalej w morze. Chyba masz łódź?

Rakel ociera sobie łzy.

– W tę pogodę?

Zwraca twarz w stronę okna, za którym pada i grzmi.

– Poza tym – dodaje – nasza łódź szwankuje. Ciągłe gaśnię. Nie, to się nie uda. Wolę nie myśleć, co by było, gdyby silnik się wyłączył z nim na pokładzie.

Wskazuje na Igora i niemal w tej samej sekundzie zasłania sobie usta dłonią, jakby miała zwymiotować.

Pcham taczkę wąską ścieżką. Rakel idzie przede mną i pokazuje mi drogę.

Deszcz smaga mnie po karku, błyskawice rozdierają niebo. Huczy mi w głowie, nos mam spuchnięty jak pieprzony balon i co parę minut robi mi się tak niedobrze, że chcę puścić pawia, ale jakoś się powstrzymuję i idę dalej, aby nie zawieść Rakel.

W pewnej mierze chyba mamy szczęście, bo jest raczej mało prawdopodobne, że przy takiej pogodzie na kogoś się natkniemy.

Ciało Igora przykryte jest kocem, ale spod wykończonej frędzlami krawędzi wystaje zakrwawiona dłoń.

To niewiarygodne.

Zabiliśmy człowieka, to fakt, co prawda w obronie własnej, a ofiara była potworem, prawdziwą kanalią, która próbowała zrobić to samo ze mną.

Odebraliśmy życie i nie sposób zrozumieć, że Igor, który jeszcze niewiele minut temu oddychał, cuchnął potem i walił moją głową o podłogę jak jakiś psychol, teraz leży pod kraciastym kocem upchnięty na taczce.

Od tych myśli od razu robi mi się niedobrze. Zamykam oczy, a kiedy opuszczam powieki, muszę przystanąć i przytrzymać się drzewa, aby się nie przewrócić.

Rakel odwraca się i patrzy na mnie zaniepokojona.

– No chodź – rzuca i rozgląda się nerwowo.

Chwytam taczkę i ruszam dalej. Liczę kroki, jak zawsze.

Idziemy dróżką do niewielkiego wzniesienia – sto czterdzieści siedem kroków od furtki. Potem skręcamy w lewo na jakiś pusty teren – sto dziewięćdziesiąt siedem.

Pod mokrą sukienką, która przykleiła się Rakel do pleców, wyraźnie odznacza się biustonosz.

Dwieście dziesięć.

Odwraca się.

– Tutaj – mówi i wskazuje między zarośla.

Dostrzegam zarys ruin jakiegoś budynku, częściowo porośniętych gąszczem chwastów.

Rakel czeka na mnie.

Przyspieszam kroku i przepycham taczkę przez niewielki uskok. Potem zatrzymuję się przy niej.

Dwieście pięćdziesiąt.

– Kiedyś była tu fabryka farb – mówi, wskazując na rumowisko. – Została zamknięta pięćdziesiąt lat temu, ale ziemia jest wciąż skażona chemikaliami, a gmina i państwo nie mogą się dogadać, kto ma ponieść koszty usunięcia skażenia. Zresztą właśnie dlatego na wyspie jest tak mało domów. Nikt nie chce się budować na zatrutej ziemi. Te ruiny to dawne mieszkanie kierownika.

Rozglądam się dookoła.

Tuż obok widzę pozostałości studni, a przy niej stos kamieni porośniętych pnączami.

– Tu.

Głos Rakel zagłusza grzmot pioruna.

– Tu nikt nie przychodzi – mówi z przekonaniem. – Nikt.

Jej ciemne oczy patrzą na mnie uważnie. Po raz kolejny myślę o mamie.

W następnej chwili przypomina mi się, że miałem się z nią spotkać w Stuvskär. Co najmniej godzinę temu. Pewnie stała w deszczu na pomoście i czekała. Najpierw była zła, potem zrobiło jej się przykro, a wreszcie poczuła się zawiedziona.

Jak zwykle.

Rakel wskazuje ręką na starą studnię.

– Tam – mówi.

Podchodzi do pokrywy i kładzie rękę na pokrytym rdzą uchwycie.

– Możesz mi pomóc? – pyta.

# Manfred

Wieczór.

Burza minęła, ale nad Sztokholmem nadal siąpi deszcz. Znad wciąż ciepłego asfaltu unosi się para. Niebo jest ciemne, a powietrze wpadające do sali konferencyjnej przez lekko uchylone okno ciężkie od wilgoci i rozmaitych zapachów lata. Z ulicy dochodzi przeraźliwe wycie alarmu samochodowego uruchomionego gdzieś przez grzmot.

Wstaję, podchodzę do okna i je zamykam. Poprawiam sobie muszkę, którą noszę, kiedy jestem w dobrym nastroju – w kropki, oczywiście jedwabną, dokładnie taką, jaką miał Churchill.

Myślę o Afsaneh, która musi jeść świąteczny lunch sama, chociaż obiecałem jej, że wrócę do domu. Myślę też o Albie, Alexandrze i Stelli, do których nie zdążyłem zadzwonić. Potem patrzę na swoich kolegów – wszyscy chcemy stąd iść. Każdy z nas ma kogoś, kto gdzieś na nas czeka, kto chce świętować z nami najbardziej szwedzkie ze wszystkich świąt.

Malin siedzi z łokciami opartymi na stole. Chociaż próbuje stworzyć pozory entuzjazmu, widać, że jest zmęczona. Dodzieł stoi przy tablicy, z rękami głęboko wepchniętymi w kieszenie beznadziejnie niemodnych dżinsów z zaprasowanymi kantami.

Malin wstaje i prostuje plecy.

– Olle Berg – mówi i za pomocą małych okrągłych magnesów umocowuje na tablicy kilka zdjęć. – Nazywany też „Bullen”. Trzydzieści jeden lat, zamieszkały we Flemingsbergu, na południe od Sztokholmu. Skazany za brutalną napaść i ograniczanie wolności kobiet. Siedział osiemnaście miesięcy i wyszedł dobry rok temu.

– Opowiedz o tym dokładniej – mówię, rozmasowując sobie kolano lewą ręką.

– Napaść zdarzyła się w czasie imprezy w Tumbie. Berg wdał się w bójkę i kilka razy uderzył gospodarza w głowę pełną puszką piwa. Facet miał rozcięte wargi i w trzech miejscach zszywany prawy łuk brwiowy. W tym przypadku Berg pewnie był pijany, ale sprawa z kobietą...

Malin milknie i mruga nerwowo.

– ...wygląda dużo gorzej – kontynuuje. – Groził swojej byłej partnerce i ciężko ją pobił. Podobno przestała widzieć na jedno oko. Oprócz tego kilkakrotnie złamał zakaz zbliżania się do niej i zniszczył jej samochód. Prawdziwe bydlę.

– Szkoda go – mówi oschle Dodzieł. – Takich facetów zawsze jest szkoda. Rozmawialiście z jego byłą?

– Tak – odpowiada Malin. – Nie utrzymuje z nim żadnego kontaktu, ale dzięki temu, że oboje mają wspólnych znajomych, trochę wie, co się dzieje w jego życiu. W każdym razie wiedziała jeszcze pół roku temu.

– A co się stało pół roku temu? – pytam, zerkając na komórkę, żeby nie przegapić esemesa od Afsaneh, ale na wyświetlaczu jest tylko zdjęcie Nadji w żółtym kostiumie kąpielowym i w rękawkach, zrobione w ubiegłe lato.

– Poznał nową kobietę i podobno stracił dla niej głowę – mówi Malin. – Przestał spotykać się z dawnymi kolegami. Chyba zamieszkali razem. Wcześniej waletował u znajomego.

– Gdzie oni mieszkają? – pytam.

– Otóż to. Nikt nie wie, gdzie się podział Bullen ani gdzie mieszka ta kobieta.

– Jak ona się nazywa? – pytam znowu.

– Tego też nie wiemy. Udało nam się jedynie ustalić, że nosi nietypowe imię. Trochę staroświeckie, tak powiedziała jego pierwsza przyjaciółka. Wiadomo też, że ma niepełnosprawnego syna o imieniu Jonas. Zdaje się, że doznał uszkodzenia mózgu wskutek wypadku.

– Przecież, do diabła – mamrocze Dodzieł i obiema dłońmi głaszcze się po brodzie – ktoś musi coś o niej wiedzieć. Rozmawialiście z tym kumplem, u którego Berg mieszkał wcześniej?

– Tak – potwierdza Malin cierpliwie. – Rozmawialiśmy z nim, ale on nic nie wie.

– Do diabła – powtarza Dodzieł. – To staje się coraz bardziej nieprawdopodobne.

Malin zerka dyskretnie na zegarek. Kiedy zauważa, że na nią patrzę, od razu spuszcza wzrok.

– Nie ma żadnego innego tropu, który moglibyśmy sprawdzić? – dopytuję. – Czy ten Bullen nie ma jakiejś pracy? Krewnych? Sprawdziliśmy jego billingi i historię karty kredytowej?

Malin potakuje ruchem głowy.

– Od chwili zniknięcia ani nie dzwonił, ani nie używał karty. A jeśli chodzi o pracę, osiem miesięcy temu był szoferem furgonetki. Ale wyraźnie nie dbał o posadę, nie przychodził rano na czas i tak dalej, więc nie przedłużono z nim umowy. Jego rodzice nie żyją, nie ma też żadnego rodzeństwa.

– Nic więcej nie wiemy? – warczy Dodzieł.

– Owszem, wiemy – odzywa się Malin. – Ale nic, co miałyby znaczenie. Jest leworęczny. Kibicuje Arsenalowi. W wolnym czasie grał w gry komputerowe. Lubił komedie romantyczne, ale w rzeczywistości najwyraźniej wolał bić swoje kobiety.

Dodzieł, który wydaje się pełen nienawiści do podejrzanego sprawcy, syczy:

– Przecież nie można tak po prostu zniknąć. W końcu ktoś musi wiedzieć, gdzie on się podziewa.

Malin nie odpowiada, tylko opiera się o tablicę i zamyka oczy, jakby chciała znaleźć się daleko stąd. Potem zaczyna zbierać swoje rzeczy.

– Przepraszam – mówi. – Naprawdę muszę już iść.

Dyskretnie kiwa głową na znak zrozumienia.

– Czy nie moglibyśmy zwrócić się do wszystkich urzędów policji w południowym Sztokholmie, żeby zaczęli szukać Ollego Berga? – pytam. – Trzeba tylko przekazać informację, że mieszka z kobietą, która ma niepełnosprawnego syna o imieniu Jonas. Ludzie pamiętają takie rzeczy.

Malin kiwa głową, wyjmuje notes z torebki i coś zapisuje.

– Pójdę już – bąka po chwili. – Andreas jest w Sztokholmie.

Przyglądam się jej. Patrzę na jej chudą postać, ogromny brzuch i zrezygnowany wyraz twarzy.

Domyślam się, jak się czuje.

Dobrze pamiętam, jak to jest być początkującym policjantem i chcieć tak cholernie dużo. Palić się do tego, żeby rozwiązać przypadki, które są nie do rozwiązania.

Pamiętam noce, weekendy, kiedy przesiadywałem w pracy i studiowałem protokoły z przesłuchań i raporty techników kryminalnych. Pamiętam kolegów, dziewczyny, a później dzieci, które na próżno czekały w domu przed telewizorem.

Czy właściwie było warto?

– Do jutra – rzuca Malin przez ramię i rusza do drzwi. Ale zanim dotyka klamki, drzwi otwierają się na oścież i do środka wchodzi Malik.

Ciemne włosy ma zebrane wysoko w kucyk, przez co przywodzi na myśl transseksualną wersję Małej Mi. Jak zwykle ma pogniecione ubranie, a jego nadgarstki zdobią cienkie rzemyki.

Wszystko razem wygląda okropnie, ale oczywiście nigdy mu tego nie powiem.

Ludzie powinni wstydzić się sami, bez mojej pomocy.

Malik unosi rękę w kierunku Malin, jakby chciał ją zatrzymać.

– Mamynowąofiarę – mówi tak szybko, że z trudem rozróżniam poszczególne słowa.

Dopiero teraz słyszę, jak bardzo jest zasapany – chyba musiał biec po schodach.

- Na wschód od kąpieliska Gålö znaleziono ciało w wodzie - wyjaśnia. - Czy możecie pojechać teraz do zakładu medycyny sądowej?

# Samuel

**K**iedy wybiegam z domu, leje jak z cebra. Nasiąknięty wodą trawnik wsysa moje Adidasy, jakby chciał mnie zatrzymać.

Chcę znaleźć się jak najdalej stąd.

Jak najdalej od domu na skale, Rakel oraz zaślinionego i cuchnącego sikami Jonasa. Jak najdalej od widoku przedpokoju, w którym chociaż unosi się zapach mydła i chloru, na deskach podłogi wciąż widać ciemne plamy po krwi Igora. Jak najdalej od aromatu świeżych naleśników i cienkich bluzek czterdziestolatki opinających jej pełne piersi.

Rakel położyła się właśnie na chwilę, korzystam więc z okazji, żeby się wymknąć. Co prawda jest mało prawdopodobne, aby mama wciąż była w porcie, ale chcę to sprawdzić. A jeśli jeszcze ją złapię, spadam stąd i nigdy więcej tu nie wrócę.

Zamykam za sobą furtkę i wychodzę na drogę.

Wygląda na to, że ktoś przestawił mój motor.

Jestem pewien, że zostawiłem go tuż przy samochodzie, a teraz stoi bliżej skraju drogi.

Dopiero po kilku sekundach dociera do mnie, że to musiał być Igor.

Możliwe, że to właśnie motocykl zdradził moją kryjówkę. On i matka, która zaprowadziła go do Stuvskär.

Trzeba było lepiej ukryć motor.

Trzeba było. Ładnie się urządziłeś, ty kretynie.

Ignoruję wewnętrzny głos, uruchamiam motocykl i przekręcam gaz do oporu. Dżinsy, które musiałem zaprać, są mokre i ciasno opinają mi uda. Po dojechaniu do mostku czuję, że muszę się zatrzymać. Boli mnie głowa i zbiera mi się na wymioty.

Zostawiam motor na poboczu i schodzę nad wodę. Przykucam na wielkim głazie, a potem ściągam z ramion plecak i kładę się na brzuchu na wilgotnym zaokrąglonym kamieniu. Złączam dłonie i nabieram w nie wody z morza, aby móc opłukać sobie twarz. Rozbity nos szczypie mnie od soli.

Przekręcam się na plecy i leżę tak bez ruchu. Krople deszczu spływają mi po twarzy jak łzy.

Co, do jasnej cholery, mam zrobić? Co robi człowiek, kiedy kogoś zabije? Co zrobię, jeśli mamy nie będzie już w Stuvskär?

Powinienem wrócić do domu, do Fruängen?

Wtedy ludzie Igora spuszcza ci łomot.

Czy pojechać do któregoś z kumpli i u niego się ukryć?

Nie masz już żadnych kumpli.

Nie mogłem mieć pewności, ale wydaje mi się, że Igor zjawił się w Stuvskär sam. W przeciwnym razie Malte czy inni już by mnie znaleźli. Może uważał, że jestem tak niegroźny, że bez problemu policzy się ze mną w pojedynkę. Albo nienawidził mnie do tego stopnia, że chciał policzyć się ze mną w pojedynkę. Tak czy inaczej, lepiej się gdzieś zaszyć.

Wyjmuję komórkę z plecaka i ją włączam.

Mama przysłała mi pięć wiadomości. Najpierw napisała, że już jest na miejscu, potem pytała, gdzie się podziewam, a w trzech ostatnich była porządnie wkurzona.

Wyłączam telefon i wracam do motoru.

Może jednak jest jeszcze w porcie. Może na mnie czeka.

Okazuje się jednak, że pomost w Stuvskär jest pusty. W porcie nie stoi też żaden zaparkowany samochód i nigdzie nie widać mojej mamy.

Odstawiam motocykl i w ulewnym deszczu podbiegam do sklepu, żeby zajrzeć przez okno.

Jest zamknięty.

Idę do portowej knajpy. Przykładam twarz do szyby i zaglądam do środka przez franki, ale tam też jej nie ma.

Wracają mdłości.

Na miękkich nogach wlokę się na pomost i opadam na ławkę. Tutaj wieje jeszcze mocniej – fale oblewają skalne bloki i biała piana wypełnia szczeliny w kamieniach.

To koniec, Samuelu. Nie możesz już dłużej uciekać.

Kretyńskie pieprzenie. Jasne, że mogę.

Z oczu płyną mi łzy. Toczą się po twarzy, mieszając się z morską wodą i deszczem. Część wpada do ust, a część cieknie po szyi.

Ten paskudny głos tym razem się nie myli.

Bo jeśli nawet ucieknę do Tajlandii albo do Marbelli czy do Miami, nadal będę tym samym bezwartościowym facetem. Już lepiej, gdybym po prostu przestał istnieć. Gdyby pochłonęło mnie morze.

Ale...

Matka by tego nie przeżyła. Jej całe życie to ja. Nie mogę jej tego zrobić.

Deszcz coraz bardziej się nasila. Szara kurtyna wisi nad morzem, zaciera kontury latarni i wysp. W oddali rozlegają się pomruki burzy.

Mimo woli zmuszam się, by przypomnieć sobie wszystkich ludzi, których zawiodłem.

Widzisz, co narobiłeś?

Widzę.

Pierwszy raz w życiu dociera do mnie, ile spieprzyłem, chociaż nigdy nie miałem takiego zamiaru. Ostatnia rzecz, na jakiej by mi zależało, to komukolwiek zaszkodzić. Nie jest to przyjemny wniosek, ponieważ nie chcę być beznadziejnym gościem, który wszystkich zawodzi i krzywdzi.

Chcę być uczciwy, szczerze. Chcę być kimś, z kogo mama mogłaby być dumna. Kimś, na kim można polegać.

Co właściwie mnie przed tym powstrzymuje?

Spoglądam na morze. Prostuję się, otwieram plecak i wyjmuję fiolki fentanylu.

Pobrzękują głucho w mojej dłoni.

„Narkotyki śmierci” – tak są nazywane w wieczornej prasie.

Bez wahania ciskam małe buteleczki, jedną po drugiej, jak najdalej w morze. Potem się odwracam i ruszam do motocykla.

W połowie drogi na parking mijam kosz na śmieci.

Wpycham paszport i kartę kredytową Ollego między puszki po napojach, zasrane pieluchy i torebki z psim gównem.

Muszę zrobić porządek ze swoim życiem. A zacznę od tego, że wrócę do Rakel, która w gruncie rzeczy uratowała mnie przed Igorem.

Nie mogę zostawić jej samej z Jonasem. To niesprawiedliwe.

Nie, pojedę do niej, złożę wypowiedzenie jak pierwszy lepszy frajer i dopóki nie znajdzie kogoś na moje miejsce, będę jej pomagał przy zombie. Możemy też pójść razem na policję i powiedzieć, co się stało z Igorem.

Cholera, nawet kupię na stacji benzynowej tę blokadę do roweru, o którą prosiła – jak zrobiłby każdy porządny facet.

I w tym momencie dzieje się coś niesamowitego: ciężar w piersi ustępuje, a głos w głowie milknie. Powietrze wydaje się lżejsze i łatwiej jest nim oddychać, znika też napięcie w ramionach i karku.

Już mam uruchomić motocykl, gdy nagle dostrzegam coś czerwonego wystającego zza sklepu.

Podchodzę bliżej.

Samochód mamy stoi zaparkowany na pustym placu na tyłach budynku.

Nie ma w nim nikogo, ale szyba przy kierowcy jest jak zawsze opuszczona kilka centymetrów – mama nie ma klimatyzacji i dlatego upiera się, że musi jeździć z uchylonym oknem.

Zastanawiam się.

Jeśli jest w Stuvskär, powinna była schronić się przed deszczem albo w sklepie, albo w knajpie. Ewentualnie siedzieć w samochodzie, ale nie ma w nim żywego ducha.

Czy to możliwe, że pojechała do domu, ale zostawiła auto?

W ciągu ostatniego półrocza ten cholerny grat co najmniej trzy razy się popsuł. Raz matka musiała jechać autobusem całą drogę z Norrtälje.

Czyli to możliwe, ale nieszczególnie prawdopodobne.

Nie można też wykluczyć, że matka chowa się gdzieś pod drzewem, nie zamierzam jednak jeździć po całym Stuvskär i jej szukać, bo mimo wszystko nie mam pewności, czy nie kręca się gdzieś tutaj kumple Igora.

Najrozsądniej by było, gdybym mógł się z nią umówić gdzieś w pobliżu na trochę później.

Spoglądam na otwartą szybę w oknie i się zastanawiam. Potem otwieram plecak, z kieszeni dzinsów, wyciągam kawałek papieru i go rozkładam.

To porąbany wiersz Ollego.

Czytam ostatnią zwrotkę.

Wypłakałem morze łez

I chciałem umrzeć

Na miękkiej kępie smutku

Ale oto lew wrócił znowu

I w swej wielkiej paszczy

Przyniósł nieskalanego gołębia

Na dole strony jest jeszcze sporo wolnego miejsca.

Przykucam, wydaję długopis, kładę kartkę na kolanie i piszę.

Prawie przestało padać, gdy stawiam motocykl obok samochodu Rakel.

Na drodze utworzyły się wielkie kałuże, a wysoka trawa leży na ziemi miękkimi pokosami jak świeżo umyte włosy.

Dom wygląda równie idyllicznie jak zawsze. W każdym razie na pewno nie robi wrażenia miejsca, w którym przypadkowym żelaznym przedmiotem pozbawiono kogoś życia.

Żołądek zwija mi się z bólu, kiedy przypominam sobie cielsko Igora na moich plecach, ból w ramionach i odgłos rozbijanego nosa. Dotykam go odruchowo.

Jest spuchnięty i obolały, ale oddycham bez problemu.

Gdy w oddali rozlega się grzmot, oglądam się za siebie. Ciemnofioletowe chmury wiszą nad lądem i powoli przesuwiają się w kierunku Sztokholmu.

Idę do wejścia, wyjmuję klucz i otwieram drzwi.

Żelazny baranek stoi znowu na swoim miejscu pod ścianą. Połyskuje delikatnie w świetle lampy wiszącej pod sufitem. W holu pachnie środkami czystości i basenem.

Ściągam przemoczone adidas i cienką kurtkę, którą wziąłem z szafy Ollego. Potem wyjmuję blokadę do roweru kupioną na stacji.

Zabezpieczenie – wyjątkowo długie – składa się z grubego łańcucha obciążonego czerwonym plastikiem. Sprzedawca zapewniał, że to najlepsze zabezpieczenie rowerowe, jakie mają. Podobno przepiłowanie go albo przecięcie zajmuje dużo więcej czasu niż w przypadku zwykłego zamka.

Słyszę kroki zbliżające się z pokoju Jonasa. Sekundę później w drzwiach pokazuje się Rakel.

Jest blada. Ma podpuchnięte i zaczerwienione oczy.

– Jesteś – mówi, po czym podchodzi do mnie i mocno obejmuje swoimi chudymi rękami.

– Skoczyłem tylko po zakupy – wyjaśniam.

Jej ciepła skóra dotyka mojej, długie włosy łaskoczą mi ramię. Czuję bicie jej serca – szybkie i delikatne, jak u ptaka – i piersi unoszące się przy każdym oddechu.

To podniecające, a jednocześnie pod powiekami palą mnie łyzy.

– Jonas – bąka Rakel i przeczesuje mi dłonią włosy.

– Co? – pytam, próbując nie przyciskać się do jej ciała.

Wtedy ona się cofa i chwyta mnie za dłonie, a potem patrzy z taką powagą, jakiej nigdy wcześniej u niej nie widziałem.

– Chodź – szepcze tak cicho, że niemal jej nie słyszę.

– Kupiłem blokadę do roweru – mamrocze i podnoszę solidny czerwony zamek.

Rakel zatrzymuje się, odwraca i spogląda na mnie trochę zaskoczona.

Natychmiast żałuję swoich słów.

Po co to powiedziałem? Po co spierdoliłem tę magiczną chwilę gadaniem o pieprzonym zamku do roweru, który gównu znaczy?

Bierze go ode mnie, waży w dłoni, jakby się nad czymś zastanawiała, a potem odkłada na szafkę i odwraca się do mnie plecami.

– Dziękuję – mówi i rusza do sypialni Jonasa.

Idę za nią.

W pokoju panuje mrok. Obok róży na nocnej szafce pali się samotna świeczka. Płomień chwieje się, gdy siadamy: Rakel na krześle, a ja na starym fotelu.

Kilka pojedynczych kropli deszczu spada na blaszany parapet.

Rakel splata dłonie na kolanach i przenosi spojrzenie na Jonasa.

Patrzę na nią, potem na zapaloną świeczkę i wreszcie na Jonasa zombie, który leży na łóżku całkiem nieruchomo. Ma przejrzystą skórę i otwarte usta, jakby właśnie chciał coś krzyknąć.

– Właściwie to czysta ironia losu, że daliśmy mu na imię Jonas – odzywa się Rakel cienkim głosem.

– Dlaczego?

– Znasz historię o Jonaszu i wielorybie?

– Tak – odpowiadam krótko, nie mając zamiaru opowiadać, jak matka zmuszała mnie do chodzenia do szkółki biblijnej, kiedy byłem mały.

Rakel obrzuca mnie przelotnym spojrzeniem.

– Mój tata był pastorem w Kościele szwedzkim – mówi. – Znam wszystkie te przypowieści. Dokładnie każdą z nich. Jonasz uciekał przed Bogiem, kiedy na morzu rozpętała się straszna burza. Wtedy kazał załodze wyrzucić się za burtę. Gdy znalazł się w wodzie, został połknięty przez wieloryba albo, jeśli wierzyć starszym przekładom, po prostu przez rybę. Przebywał w jej brzuchu przez trzy doby, a na koniec został przez nią wypłuty na ląd.

– No tak – bąkam, zastanawiając się, do czego ona zmierza.

– Kiedy Jonas się rozchorował, często myślałam, że to tak, jakby był uwięziony w brzuchu wieloryba. Nie mógł się z nikim porozumieć, był odcięty od świata, jak płód znajdujący się wciąż w macicy.

Milczę.

– Jak ja się modliłam – kontynuuje Rakel. – Bóg nie dotrzymał jednak swojej części umowy. Jonas nigdy nie powrócił ze swojego letargu. Pozostał w środku wielorybiego brzucha. Ale zajęłam się nim. Byłam przy nim. Staralam się. Bóg powinien był mi pozwolić go zatrzymać, bo był wszystkim, co miałam. Rozumiesz?

Rakel podnosi się i podchodzi do mnie. Staje za fotelem i kładzie mi dłonie na ramionach.

Ale ja nic nie rozumiem.

Zupełnie nic.

– Przykro mi – szepcze, podczas gdy jej dłonie mocniej zaciskają się na moich ramionach.

Odwracam się i spoglądam na nią. Stoi wpatrzona w Jonasa.

I wtedy widzę.

Jonas.

Zaciska mi się żołądek. Drzę. Szumi mi w uszach, a ściany się przybliżają, jakby były na kółkach. Kapanie na parapet się nasila i brzmi jak ogłuszające walenie

w gigantyczny bęben.  
On nie oddycha.  
Jonas zombie nie oddycha.

# Pernilla

**P**atrzę na ciemne morze i próbuję zrozumieć.  
Ojca nie ma. Samuela nie ma.

Pomijając przenikliwy smutek i niepokój o to, co mogło się stać Samuelowi, narasta we mnie poczucie, że jestem jak drzewo pozbawione korzeni albo może jak łódeczka dryfująca na bezkresnym morzu.

Bez Samuela i ojca nie mam żadnego zakotwiczenia w przeszłości czy w przyszłości. Kim bez nich jestem? Czy w ogóle istnieję?

Powtarzam sobie w duchu jeszcze raz, staram się zaakceptować bolesną prawdę: ojca nie ma, Samuela nie ma.

A może jednak nie?

To, że ojciec nie wróci, jest dla mnie oczywiste, ale jeśli chodzi o Samuela, nigdy nie wiadomo.

Znikanie to jedna z jego popisowych specjalności.

Pamiętam, jak kiedyś w majowy dzień mieliśmy się spotkać na rynku przed sklepem, żeby pojechać do ojca, który miał urodziny. Jak czekałam i czekałam ponad godzinę, aż wreszcie nabrałam przekonania, że ktoś go napadł, pobił albo przejechał. I kiedy miałam już odejść, pojawił się na horyzoncie, idąc sobie spacerkiem, bez pośpiechu, z małym kosem w ręce, którego, jak twierdził, uratował z kontenera.

Innym razem pomylił dni, zasnął, nie mógł oderwać się od telewizora, coś zainteresowało go po drodze albo pochłonięły go własne poplątane myśli.

Samuel jest nierzetelny, impulsywny i ma zdolność koncentracji młodego pieska. Ale nie jest zły.

Tylko...

Szukam odpowiedniego słowa i po chwili je znajduję: beznadziejny. Tak, muszę rzeczywiście przyznać, że jest po prostu beznadziejny.

Myślę o ojcu.

Jak to możliwe, że go kochałam, skoro tak bezwzględnie mnie kontrolował, a oprócz tego odebrał mi matkę?

Potem myślę o pastorze, o jego zdradzie – wcale nie mniejszej. O tym, jak oszukiwał swoje naiwne owieczki, że jest zastępcą Boga na ziemi, podczas gdy tak

naprawdę to całkiem zwyczajny słaby mężczyzna w średnim wieku.

Jeszcze więcej myśli ciśnie mi się do głowy.

Skąd właściwie się wzięli ci wszyscy mężczyźni, którzy kierowali moim życiem?  
I kto dał im prawo do decydowania o mnie?

Ale znałam już odpowiedź na to pytanie.

Ja dałam im to prawo. I nikt inny.

Opieram się o samochód, wybucham niepowstrzymanym płaczem i z trudem się powstrzymuję, żeby nie zacząć krzyczeć na całe gardło. Po chwili otwieram drzwi i osuwam się na fotel za kierownicą. Wciągam zapach plastiku i wilgotnego ubrania. Przekręcam kluczyk w stacyjce i dodaję gazu.

Coś mi przeszkadza. Coś szeleści, kiedy naciskam pedał, jakby leżała tam torebka po chipsach.

Unoszę nogę i macam dłonią po podłodze. Znajduję kartkę.

Podnoszę ją i ostrożnie rozkładam na desce rozdzielczej. Pochylam się, żeby w mętnym świetle wieczoru zobaczyć, co na niej jest.

Wygląda to na wydruk jakiegoś tekstu.

Na samej górze czytam: Letarg.

Poniżej jest jakiś wiersz o lwie i gołębiu. Ostatnia zwrotka jest poruszająca.

Wypłakałem morze łez

I chciałem umrzeć

Na miękkiej kępie smutku

Ale oto lew wrócił znowu

I w swej wielkiej paszczy

Przyniósł nieskalanego gołębia

Co to może być i jakim sposobem znalazło się w moim aucie?

Cały wiersz robi na mnie dosyć nieprzyjemne wrażenie. Odnajduję coś znajomego w tej historii lwa i gołębia, ale gdy próbuję uchwycić kryjącą się w niej myśl, zauważam, że na samym dole kartki coś jest napisane odręcznie.

Natychmiast rozpoznaję to koślawe, pochylone w lewo pismo. Niechlujne litery, które jakby potykały się jedna o drugą.

Czuję falę ciepła w piersi, jakbym wypila kubek gorącej herbaty.

„Czy możemy się spotkać na stacji benzynowej o 22.00 wydarzyło się coś nietypowego muszę załatwić parę rzeczy cauję. S”.

Pod tą informacją Samuel narysował mapkę i grubym krzyżykiem zaznaczył na niej stację, którą miał na myśli.

Rzucam kartkę z wierszem na siedzenie obok i zaciskam powieki. Przed oczami przemyka mi twarz ojca i słyszę jego głos przestrzegający mnie przed spotkaniem

z Samuelem.

Nie!

Nie zamierzam popełnić tego samego błędu co on.

Spoglądam na zegarek.

Mogę jeszcze zdążyć.

# Manfred

Samira gestem zaprasza nas, abyśmy usiedli przed jej biurkiem.

Ja i Dodzieł siadamy na brzydkich plastikowych krzeselkach. Boję się, żeby moje nie zawaliło się pode mną, ponieważ niebezpiecznie się zachwiało pod ciężarem mej cielesnej powłoki.

Zwolniliśmy Malin, aby mogła spędzić świąteczny wieczór z Andreasem. Wystarczy, że my dwaj mamy zepsutą sobótkę.

– Sądzę, że nie ma sensu, abyście oglądali szczątki – oznajmia rzeczowo Samira, przerzucając sobie czarny warkocz przez ramię, jakby to był długi szal. – Szczerze mówiąc, niewiele się zachowało. Ciało długo znajdowało się w wodzie, co najmniej cztery–pięć miesięcy. Podobno natrafiła na nie jakaś rodzina z dziećmi żeglująca w tamtej okolicy.

– To ono unosiło się na wodzie? – pyta Dodzieł.

– Nie – wzdycha Samira. – Na jeden dzień zarzucili kotwicę w jakiejś zatoczce, a kiedy chcieli z niej wypłynąć...

– A niech to szlag – wyrzywa mi się. – Chcesz powiedzieć, że...

Samira kiwa głową i patrzy na mnie swymi ładnymi ciemnymi oczami, które naoglądały się tyle cierpienia.

– Tak. Kotwica zaczepiła się o łańcuch, którym opasane były zwłoki, więc kiedy została podniesiona...

– ...wyciągnięto też ciało? – uzupełnia Dodzieł, krzywiąc się z obrzydzenia.

Przez chwilę zastanawiamy się w milczeniu.

– Co wiadomo o ofierze? – pytam.

Samira spokojnie przewraca papiery.

– Powinniście porozmawiać jeszcze z technikami, ale denat był obwiązany łańcuchem, identycznie jak Johannes Ahonen i Victor Carlgren. Nie znaleźliśmy natomiast żadnego materiału, co znaczy, że albo zniknął, albo sprawca go nie użył. Dokonałam wstępnych oględzin zwłok, ale sekcję zrobię dopiero jutro.

– To mężczyzna? – przerywam jej.

Samira kiwa głową i zerka w notatki.

– Mężczyzna, prawdopodobnie w wieku między trzydzieści a czterdzieści lat, dokładny wiek ustalę na podstawie obdukcji. Na razie nie potrafię nic powiedzieć o bezpośredniej przyczynie śmierci, ale również w tym przypadku mamy do czynienia z typowymi zmiżdżeniami i wielokrotnymi złamaniami nóg, rąk i miednicy, co świadczy o tym, że denat padł ofiarą brutalnej przemocy.

– Sprawca był praworęczny? – dopytuję.

– Tak.

– A obrażenia zostały zadane post mortem? – odzywa się Dodzieł.

– Na razie trudno powiedzieć – odpowiada Samira. – Nie jestem nawet pewna, czy wyjaśni to sekcja. Przy takim stanie zwłok dużym wyzwaniem będzie samo ustalenie przyczyny śmierci.

– A co z identyfikacją? – mówię.

– Jeśli o to chodzi, jestem dobrej myśli. Po pierwsze, nie ma wątpliwości, że uzyskamy DNA, a po drugie ofiara ma bardzo nietypowy zgryz. Zobaczymy, co powie nasz odontolog, na moje oko to wygląda na zgryz krzyżowy.

Samira rysuje coś na kartce, którą po chwili odwraca w naszą stronę, aby pokazać nam swój szkic.

Kiedy docieram do szpitala, Afsaneh zdążyła już wyskoczyć do domu, wziąć prysznic, coś zjeść i wrócić do Nadji.

Wbrew moim obawom wcale nie jest zła.

Wręcz przeciwnie – podnosi głowę znad laptopa i posyła mi uśmiech.

– Przepraszam, kochanie – mówię i całuję ją w czoło.

– Mm – mamrocze. – Nic się nie dzieje.

Przygląda mi się.

– Jesteś taki przystojny, kiedy nosisz muszkę – zauważa.

Uśmiecham się, dotykam jedwabnej muszki i podchodzę do Nadji. Pochylam się nad jej drobnym ciałkiem i delikatnie całuję ją w policzek.

Jej skóra jest ciepła i trochę wilgotna, jakby właśnie przed chwilą biegała czy się bawiła, tak jak robią to wszystkie dzieci.

Odwracam się znowu do Afsaneh, która pisze coś w komputerze i lekko się uśmiecha.

– Jak ona się czuje? – pytam.

– Kto? – rzuca Afsaneh, nie odrywając wzroku od monitora.

Jej odpowiedź mnie zaskakuje. Chyba po raz pierwszy od wypadku nie jest do ostatka skupiona na Nadji.

Może to dobrze, że potrafi zająć się czymś innym, przemyka mi przez głowę, podczas gdy ona natychmiast się poprawia:

– Och, przepraszam. Jak do tej pory. Nic się nie zmieniło.

Siadam na krześle obok Afsaneh, na tyle blisko, że czuję jej perfumy i zapach papierosów, które musiała wypalić ukradkiem przed wejściem do szpitala.

To nasze puszczenie dymka po kryjomu jest niemal wzruszające – ja robię to w tajemnicy przed nią, a ona przede mną.

Nie wiem, czy to ze strachu jednego przed drugim, czy z wzajemnej troski.

Rzucam okiem na laptop. Na ekranie jest zdjęcie dziewczynki na wózku inwalidzkim.

Chociaż ma na głowie czapkę z daszkiem, widzę, że jest łysa. Szeroko się uśmiecha, ale cała jej postać zdradza, że mała nie czuje się dobrze – głowa opada na bok, ciało jest skulone i jakby bezwładne.

„Amelia, od trzech tygodni na chemioterapii” – widnieje napis pod zdjęciem.

A poniżej ciągnie się długi szereg komentarzy.

„Życzymy Ci siły!”

„Jesteś najpiękniejsza na świecie! Dasz radę!”

„<3 <3 <3”.

„Czy wypróbowałaś srebro koloidalne? Jeśli nie, zrób to. To naprawdę działa! Sprawdź link na moim profilu!”

„Ja i Nadja trzymamy za Ciebie kciuki!”

Afsaneh odwraca się do mnie.

Jej twarz nie jest już zasmucona, tylko raczej skupiona i jakby też trochę zacięta. Oczy błyszczą, a wargi znowu nabrały barwy.

– No co? – rzuca. – Trzymam za nią kciuki. Masz z tym jakiś problem?

# Pernilla

Słońce świeci nad zatoką. Delikatna mgła unosi się nad wodą jak dym nad dalekiego ogniska.

Po wczorajszej ulewie nie ma ani śladu. Woda wsiąkła w ziemię, skały wyschły, a wysoka trawa podniosła się w nocy i na nowo wyciąga się ku wschodzącemu słońcu.

Stoję obok mojego małego golfa i myję zęby szczoteczką, którą miałam w plecaku.

Czasami dobrze jest być przygotowanym do pobytu na łonie natury – nawet jeśli w ostatniej chwili zrezygnuje się z wyprawy. Jak się okazuje, ekwipunek może się przydać w najmniej spodziewanych okolicznościach.

Pluję na trawę i chowam szczoteczkę z powrotem do futerału.

Boli mnie głowa i czuję piasek pod powiekami. Mam wrażenie, jakbym w nocy nie zmrużyła oka. W końcu dziesięcioletni golf nie jest szczególnie wygodny, jakkolwiek by się w nim obracać i układać. Ale wolałam już spać w nim, a nie w namiocie, ponieważ zapomniałam zabrać karimatę.

Samuel wczoraj się nie pojawił.

Bez problemu znalazłam małą zatokę, którą zaznaczył mi na mapie, i dotarłam do niej nawet przed czasem.

Ale się nie pokazał.

Siadam na trawie i mrużę oczy pod słońce. Myślę o tym, co Samuel napisał pod wierszem.

„...wydarzyło się coś nietypowego muszę załatwić parę rzeczy...”

„Coś nietypowego” – ciekawe, co miał na myśli? Coś niebezpiecznego czy tylko głupiego?

Czy za nietypowe uważa to, że jest ścigany przez żadnego zemsty dilera, czy że komórka wpadła mu do kawy?

Rozmasowuję sobie palcami skronie i usiłuję myśleć trzeźwo. Po mojej sukience pełźnie połyskujący czarno-zielono chrząszcz. Strzepuję go, a potem zerkam na zegarek.

Za piętnaście ósma.

Powinnam wrócić do domu. Biedny kos nie ma jedzenia i wody, a za dobrą godzinę powinnam być w sklepie. Ale nie mogę przecież pracować, kiedy moje dziecko jest

w niebezpieczeństwie. Nie mogę stać i podawać puszek kukurydzy i groszku, przyjmować pieniędzy od starszych pań i metkować chleba, gdy mojemu synowi – jedynemu żywemu człowiekowi, którego naprawdę kocham – przydarzyło się coś nietypowego i znowu zniknął.

Pytanie tylko, co powinnam w tej sytuacji zrobić.

Przecież nawet nie wiem, gdzie on może być.

Biorę telefon i wchodzę na klif. Siadam na skale i dzwonię do Stiny.

Odbiera po trzecim sygnale i brzmi tak samo radośnie jak zawsze. Jakby właśnie wygrała los na loterii albo została babcią bądź jedno i drugie naraz. Jakby świat wcale nie był złym i niebezpiecznym miejscem, gdzie przez cały czas dzieje się coś nietypowego.

Wyjaśniam jej. Opowiadam o Samuelu, który rozpląnął się w powietrzu.

Zgodnie z oczekiwaniem Stina w ogóle nie jest zirytowana, że będzie musiała zadzwonić po kogoś innego, wręcz przeciwnie, okazuje mi pełne zrozumienie i oferuje pomoc, jeśli tylko jest coś – „cokolwiek, dosłownie cokolwiek, serdecznie” – co mogłaby dla mnie zrobić.

– To strasznie miłe – mówię. – Ale nie mam pojęcia, od czego zacząć.

– Najwyższa pora, żebyś poszła na policję – odpowiada z pełnym przekonaniem, jakby jej dzieci i przyjaciele znikali bezustannie, a ona najlepiej wie, jak długo trzeba odczekać, zanim zawiadomi się organy ścigania.

– Tak. Chyba tak. Ale przecież nawet nie wiem, gdzie był w ostatnim czasie.

– Zdaje się, że pracował u jakiejś rodziny? Tak mówiłaś.

– Tak, u rodziny, która ma niepełnosprawnego syna. I mieszka gdzieś w okolicy Stuvskär, tylko nie wiem dokładnie gdzie.

– Jak Samuel trafił na tę pracę? – pyta Stina, a w tle słyszę szelest papieru i skrobienie po nim, jakby robiła jakieś notatki.

Szukam w pamięci, próbuję sobie przypomnieć, co mówił mi Samuel.

– Zdaje się, że znalazł ogłoszenie w sieci.

– Hm – bąka Stina i skrobie dalej. – Nie powiedział, jak nazywa się ta rodzina?

– Nie. Wspomniał tylko, że matka ma na imię Rakel, a syn, z uszkodzeniem mózgu, nazywa się Jonas. Jego ojciec, albo partner Rakel, to podobno pisarz. Chyba ma na imię Olle lub jakoś podobnie. Ale to wszystko. Nie znam ich nazwiska.

Stina robi pauzę, jakby zastanawiała się nad tym, co przed chwilą usłyszała. Potem pyta zniżonym głosem:

– Samuel nie przysłał stamtąd żadnych zdjęć?

– Nie przysłał. A teraz znowu ma wyłączoną komórkę i nie wiem, co mam zrobić. Mieliśmy się spotkać wczoraj o dziesiątej wieczorem, ale nie przyszedł.

– Idź na policję – powtarza Stina stanowczym tonem. – Idź prosto na policję i potem zadzwoń do mnie. Znajdziemy go. Słyszysz, serdeńko? Znajdziemy go!

Po drodze mijam słupy majowe przystrojone trawą i kwiatami, które zwiędły już w upale. Puszki po piwie i butelki po winie walające się na poboczach świadczą o nocnej zabawie w różnych częściach szkieletów.

Dojazd do najbliższego komisariatu zajmuje tylko dwadzieścia minut, ale w miarę jak oddalam się od Stuvskär, z każdym kilometrem moje ciało coraz bardziej się buntuje. Jakby każda jego komórka czuła niewidzialną więź łączącą mnie i Samuela i była bliska pęknięcia.

Kiedy w końcu wjeżdżam na parking, jestem zlana potem i serce wali mi w piersi.

Policjantka, która przyjmuje moje zgłoszenie, ma na imię Anna i wygląda na nie więcej niż siedemnaście lat. Przez głowę przemyka mi pytanie, czy przypadkiem nie ukradła gdzieś munduru albo czy nie jest na praktyce.

– Czyli chce pani zgłosić zaginięcie syna? – pyta i wydyma dziwnie nabrzmiałe usta.

– Tak. Zniknął. Samuel. To znaczy mój syn. Tak się nazywa. Samuel. Per Samuel Joel.

Nastoletnia policjantka patrzy na mnie ze znudzoną miną.

– Od jak dawna go nie ma?

– Mieliśmy się spotkać wczoraj o dziesiątej wieczorem, w Stuvskär, ale się nie zjawił. Minęło już dwanaście godzin. A w ogóle to nie ma go jeszcze dłużej. To znaczy, w domu nie był od dwóch tygodni. Oczywiście strasznie się denerwowałam, ale potem przysłał mi esemesa, więc wtedy właściwie nie zniknął. Ale teraz tak.

Robię pauzę i dodaję:

– To znaczy zniknął.

Żałuję od razu, że nie ograniczyłam się do odpowiedzi na pytania. Dlaczego nie mogę się nauczyć trzymać języka za zębami?

– Czyli dwanaście godzin? – dopytuje policjantka.

Kiedy między jej brwiami pojawia się głęboka zmarszczka, domyślam się, że po pierwsze, uważa mnie za stukniętą, a po drugie, chyba nie jest tak młoda, jak myślałam. Moje przypuszczenie potwierdza duży brzuch sterczący pod jej koszulą.

Nie zauważyłam go wcześniej. Policjantka musi być co najmniej w siódmym miesiącu.

Nie masz pojęcia, jak to jest mieć dzieci, myślę.

Nie wiesz, jak to strasznie boli, kiedy cierpią, jaka nadludzka siła wstępuje w matkę, kiedy potrzebują pomocy, albo jak przeraźliwie się boi, kiedy czuje, że coś im grozi.

Siedzisz tu sobie ze swoimi uszmiłkowanymi ustami i myślisz, że wiesz cokolwiek o życiu, choć w istocie ono jeszcze się dla ciebie nie zaczęło.

– Może zaczniemy od początku? – sugeruje.

Opowiadam jej o Samuelu i rodzinie w Stuvskär, u której pracuje – o Rakel, Ollem i Jonasie. Mówię, że chociaż Samuel nie należy do punktualnych, to jednak zawsze się zjawia. Pokazuję też wiadomość od niego, napisaną na kartce z dziwnym wierszem. Ale zanim ona pochyla się nad nią, w korytarzu wybucha jakiś hałas. Potem rozlega się głośny huk i wściekły wrzask.

– Nie dotykaj mnie, ty pieprzona dziwko! Rozumiesz?

Nastoletnia policjantka wzdycha i wywraca oczami, aby pokazać, jak bardzo ją to irytuje.

– Sorry – mówi. – Muszę pomóc koleżankom. Za chwilę wrócę.

Jak wiadomo jednak, chwilka może trwać całkiem długo, a w miarę jak upływają minuty, a krzyk i zgiełk na zewnątrz powoli, ale nieuchronnie oddalają się w kierunku wyjścia, czuję się coraz bardziej nieswojo.

I chociaż policjantka nie uraziła mnie bezpośrednio, jest dla mnie oczywiste, że nie ma co liczyć na skuteczną reakcję policji.

Najwyraźniej Samuel nie jest zaginiony wystarczająco długo.

Zastanawiam się, na ile trzeba zniknąć, żeby policję zaczęło to obchodzić – na dzień, na tydzień?

Poza tym, co powiedziała by Samuel, gdyby wiedział, że tu jestem?

W mojej skołatanej głowie pojawia się jeszcze więcej pytań.

Czy mam wyjawić, że jej koledzy poszukują Samuela?

Pot występuje mi na skronie i serce mi przyspiesza, gdy zaczyna do mnie docierać, w co się wplątałam.

A torba wypchana pieniędzmi – co mam o niej powiedzieć?

Serce mi zamiera, przełykam nerwowo.

Nie, to nie było dobre posunięcie.

Wstaję tak gwałtownie, że o mało nie wywracam krzesła, sięgam po torebkę i wymykam się tą samą drogą, którą przyszedłam.

Młoda policjantka i jej koleżanki są całkowicie zajęte uspokajaniem agresywnego mężczyzny, który leży wyciągnięty na podłodze w korytarzu i głośno dysząc, mocno trzyma jedną z nich za łydkę.

Opuszczam komisariat z poczuciem ulgi. Otwieram drzwi samochodu i siadam na rozgrzanym siedzeniu.

Skóra swędzi mnie od gorąca, ale w ogóle tego nie czuję. Myślę jedynie o tym, że uciekłam w ostatniej chwili i że muszę wymyślić jakiś inny sposób, żeby znaleźć

Samuela. Taki, który nie wymaga wspominania o moim i jego udziale w handlu narkotykami.

Na początek zamierzam wrócić do Stuvskär – bo przecież on musi gdzieś tam być. I na pewno ktoś musiał go widzieć.

Dopiero prawie pod samym Stuvskär uświadamiam sobie, że na biurku nastoletniej policjantki zostawiłam wiersz z odręczną wiadomością od Samuela.

# Manfred

**K**olejny promienny poranek, który w żaden sposób nie odzwierciedla mojego stanu ducha. Bo słońce na zewnątrz bynajmniej nie jest równoznaczne ze słońcem w sercu czy umyśle.

Mimo to postanawiam wykorzystać ten pogodny dzień jak najlepiej i wkładam różową koszulę oraz szary garnitur. Do tego dobieram jaskraworóżową jedwabną poszetkę, składam ją starannie i wsuwam do górnej kieszonki marynarki. Kończę przygotowania do wyjścia spryskaniem szyi kilkoma kroplami perfum Acqua di Parma, następnie robię kilka kroków do tyłu i taksuję wzrokiem potężnego rudowłosego mężczyznę patrzącego na mnie z lustra.

Afsaneh zerka w moją stronę z uśmiechem.

– Jesteś bardzo elegancki – mówi, przeciągając ostatnie słowo, jakby się nim delectowała.

– Dziękuję – odpowiadam. – Tobie też nie można nic zarzucić.

Afsaneh ma na sobie dopasowaną jasnożółtą sukienkę ze lśniącej satyny. Wygląda w niej niesamowicie pięknie, ale jej jest do twarzy nawet w byle jakim podkoszulku.

Ona błyszczy we wszystkim, nie jestem jednak na tyle nierozsądny, by nie rozumieć, że to moja miłość dodaje jej urody.

Razem opuszczamy mieszkanie.

Karlavägsallén jest niemal całkiem pusta w wibrującym upale. Powietrze wokół pełne jest pyłów z drzew przypominających pierze. Osiadają wszędzie: na włosach, na twarzy, pod stopami. Zalegają całymi zaspami wzdłuż krawężników. Jak śnieg.

Letni śnieg.

Na chwilę przystajemy na chodniku przed wejściem do domu. Afsaneh ze śmiechem zbiera mi kilka pyłków z twarzy, następnie, po wymianie szybkich całusów na pożegnanie – jak to robią wszystkie zakochane pary – każde z nas rusza w swoją stronę.

Afsaneh miałaby bliżej, gdyby poszła razem ze mną do Karlaplan, ale na razie nie jest w stanie zbliżyć się do miejsca, gdzie spadła Nadja, i dlatego nadkłada drogi.

Ja sam zawsze przyspieszam tam kroku albo przechodzę na drugą stronę, aby nie musieć deptać tamtych kamieni, tamtego asfaltu, tamtego pieprzonego chodnika,

który zwrócił się przeciwko mojemu niewinnemu dziecku.

Wzdycham głęboko i usiłuję nie myśleć o Nadji, tylko skupić się na żółtej sukience Afsaneh i na tym, jak łopotiała wokół jej smukłych łydek, gdy odwróciła się i ruszyła lekkim krokiem. Jak wiatr rozwiewał i unosił jej włosy znad ramion.

Czy jej samopoczucie uległo wyraźnej poprawie za sprawą przyjaciół z internetu? Czy to od nich otrzymała wsparcie, którego ja nie potrafiłem jej dać?

Nie wiem.

Poświęcam przedpołudnie na przejrzenie starych akt sprawy zarówno z sądu okręgowego, jak i apelacyjnego przeciwko Ollemu Bergowi alias Bullenowi, skazanemu za brutalną napaść i naruszenie wolności osobistej kobiet.

Wyłania się z nich obraz osoby impulsywnej o cechach mizogina – mężczyzny pod wieloma względami do tego stopnia niedojrzałego, że można by go z pełnym uzasadnieniem nazwać chłopcem.

Wśród dokumentów znajduję opinię psychologa, który badał Berga, w tym poddał go także testowi IQ. Na jego podstawie stwierdził, że iloraz inteligencji Ollego wynosi około siedemdziesięciu pięciu. To granica, poniżej której zdolności intelektualne formalnie uważane są za ograniczone.

Innymi słowy, Olle Berg nie należy do geniuszy.

Zaraz po lunchu udaję się do automatu z kawą, by jak zwykle wziąć sobie finansowany przez państwo beznadziejnie lurowaty napój nazywany kawą.

Gdy podchodzę bliżej, widzę Dodzieła i Malin. Stoją blisko siebie obok szarej metalowej bestii i żywo gestykują. Widząc mnie, równocześnie ruszają w moim kierunku.

– Musimy pogadać – rzuca Malin.

– A mogę najpierw wziąć sobie kawę? – pytam.

– W końcu jesteśmy ludźmi – odburkuje Dodzieł.

Z pełnym kubkiem w ręce idę z nimi do salki konferencyjnej.

– Słucham – mówię, siadając za stołem.

– Wczoraj poprosiłeś mnie, żebym sprawdził u kolegów z południowych obrzeży Sztokholmu, czy nie mają jakichś informacji o Ollem Bergu albo jego przyjaciółce i jej synu – zaczyna Dodzieł.

– A dziś przed południem zgłosiła się do nas jedna z funkcjonariuszek z Haninge – uzupełnia Malin. – Aspirantka Anna Andersson przyjęła rano zgłoszenie o zaginięciu jednej osoby.

– Podejrzewa, że ten zaginiony pracuje u jakiejś rodziny w Stuvskär – wtrąca Dodzieł, pochylając się ku mnie. – Moglibyśmy z nią pomówić.

– Oprócz tego – odzywa się Malin na wdechu – i Victor Carlgren, i Johannes Ahonen dzwonili pod nierejestrowane numery prepaidowe.

– Obaj na te same?

Malin kręci głową.

– Nie, ale dzięki operatorowi mogliśmy połączyć karty SIM obu prepaidów z jednym konkretnym numerem IMEI. Należy on do iPhone'a, którego używano przy wszystkich tych rozmowach. Zarówno telefon, jak i karty zostały kupione w salonie w centrum handlowym Haninge, chociaż przy różnych okazjach. Rozmowy też prowadzono stamtąd. Koledzy z Haninge sprawdzą, czy w sklepie jest monitoring i czy kupujący jest na nagraniu.

– Stuvskär – mówię powoli. – Zdaje się, że to niedaleko od centrum Haninge?

– Około dwudziestu kilometrów – bąka Dodzieł.

– Przepraszam – wtrąca Malin – na razie nie mam najlepszego rozeznania w Sztokholmie. Co to za miejsce to Stuvskär?

Zastanawiam się przez kilka sekund.

– To coś w rodzaju Ormbergu, tylko na opak. Równie mała miejscowość. Dawna osada rybacka, w której zostali już sami starcy. Stałych mieszkańców jest tam jak na lekarstwo, głównie mają tam letnie domy bogacze ze Sztokholmu.

– Rozumiem – mówi Malin. – Wobec tego porozmawiajmy z tą aspirantką.

– Jest tylko jeden problem – zauważa Dodzieł. – Kobieta, która chciała zgłosić zaginięcie, zniknęła, zanim ona zdążyła spisać protokół i wziąć dane kontaktowe.

Anna Andersson jest dosyć muskularna i w równie zaawansowanej ciąży jak Malin. Włosy o mysim odcieniu miękkimi lokami okalają lalkowatą twarz o trochę zbyt mocnym makijażu.

– Czyli tak po prostu zniknęła? – pyta Malin, zapisując coś w notesie.

– Akurat w korytarzu zaczął rozrabiać jeden facet. To nasz stały bywalec. Wysłałam z pokoju, żeby pomóc koleżankom, a kiedy wróciłam, już jej nie było.

– Dlaczego według pani ona zniknęła? – rzuca Malin ze zdziwioną miną.

Anna czerwieni się i spuszcza wzrok.

– No więc... Powiedziałam jej, że ponieważ Samuela, to znaczy jej syna, nie ma na razie dopiero od kilku godzin, prawdopodobnie trochę potrwa, zanim... eee... podejmiemy jakieś konkretne działania.

– Innymi słowy, pani ją wystraszyła? – zauważa Dodzieł, wysuwając zarośniętą brodę do przodu.

Śmiertelnie przerażona Anna nie odpowiada.

– Mój kolega żartuje – próbuje załagodzić Malin, ale Dodzieł ma surową minę. Ze wzrokiem utkwionym w aspirantce powoli żuje wykałaczkę.

Młoda kobieta wciąż wygląda tak, jakby lada moment miała posikać się ze strachu.

– A co dokładnie zdążyła powiedzieć, zanim zniknęła? – pytam.

Anna sięga po notes i przewróciwszy parę kartek, znajduje kilka niedbale nabazgranych zdań.

– Że poprzedniego wieczoru o dziesiątej miała się zobaczyć ze swoim osiemnastoletnim synem Samuelem w Stuvskär, ale on nie przyszedł. Podobno pracuje gdzieś w okolicy Stuvskär u rodziny, która ma chorego syna z uszkodzonym mózgiem. Chłopak ma na imię Jonas, a jego matka Rakel. Jej partnerem jest pisarz, który nazywa się Olle albo jakoś podobnie. Zapisałam to wszystko po jej wyjściu.

– Nic więcej? – dopytuję.

Anna wpatruje się w sufit, jakby szukała w pamięci.

– Nie. Chociaż zaraz. Jeszcze coś. Powiedziała, że syn zniknął już kiedyś, ale wrócił. Mówiąc szczerze, sprawiała wrażenie dosyć chaotycznej. Poza tym to było akurat święto, sobótka, więc pomyślałam, że chłopak leży gdzieś pewnie wstawiony i śpi. No i...

– Do jasnej cholery – wtrąca Dodzieł, wpatrując się w rozżutą wykałaczkę. – Nie rozumiem, czego was teraz uczą w wyższej szkole policyjnej. O równości płci? O różnorodności? O podstawowych wartościach? Tak czy inaczej, nie zaszkodziłoby trochę zwykłej wiedzy o ludzkiej psychice.

Anna nic nie mówi, ale wygląda na jeszcze bardziej zdruzgotaną.

Dodzieł przenosi spojrzenie z Anny na Malin i z powrotem.

– I odrobinę wiedzy o środkach prewencyjnych – mamrocze, a potem wypluwa w dłoń małą drzazgę pozostałą z wykałaczki.

Chrząkam.

– Podobno ta kobieta o czymś zapomniała? – pytam.

Młoda aspirantka, która wygląda tak, jakby miała lada sekunda wybuchnąć płaczem, kiwa głową i kładzie na biurku kartkę w przejrzystej foliowej koszulce. Widać na niej coś w rodzaju wiersza.

Wszyscy troje instynktownie pochylamy się nad blatem i czytamy w milczeniu.

– Co to, kurde, jest? – bąka Dodzieł.

Jeszcze raz spoglądam na wiersz.

Ostatnia zwrotka z jakiegoś powodu mnie porusza. Czytam na głos, ponieważ czuję, że muszę ją usłyszeć.

Wypłakałem morze łez

I chciałem umrzeć

Na miękkiej kępie smutku

Ale oto lew wrócił znowu

I w swej wielkiej paszczy

Przyniósł nieskalanego gołębia

– Co my, u diabła, mamy z tym zrobić? – warczy Dodzieł. – Przekazać do wydziału do spraw badania poezji? Poszukać eksperta od wierszy? Czy poprosimy o pomoc te cioty z wydziału komunikacji?

– Gunnar! – rzuca ostro Malin.

– Przeczytajcie tekst na samym dole – wtrąca aspirantka z zaczerwienionymi policzkami.

– No dobra – odzywam się. – Myślę, że w okolicy nie ma Bóg wie ilu Rakel, które mają niepełnosprawne dziecko o imieniu Jonas.

Malin kiwa głową i wstaje.

– A jeśli chodzi o wiersz, mogłabyś sprawdzić, skąd pochodzi? – zwracam się do niej.

– Sprawdzę – potwierdza Malin, zatrzymując się w drzwiach. – Czy ten Samuel jest według ciebie w niebezpieczeństwie?

– Nie wiem – odpowiadam szczerze. – Tak czy inaczej, musimy jak najszybciej ustalić, gdzie on jest.

Nikt z nas nic nie mówi. Nie trzeba żadnych słów.

Spoglądam na kartkę i jeszcze raz czytam wiersz.

I w swej wielkiej paszczy

Przyniósł nieskalanego gołębia

– Chyba powinniśmy odwiedzić naszą przyjaciółkę w Ormbergu – odzywam się po chwili.

– W Ormbergu? – powtarza Dodzieł. – Mamy przystąpić do Oporu Białych Aryjczyków?

– Tam mieszka Hanne Lagerlind-Schön – wtrąca cicho Malin.

– Ta czarownica? – prycha Dodzieł.

– Możesz ją sobie nazywać, jak chcesz – odpowiadam – ale bez niej nie wyjaśnilibyśmy zabójstwa w Ormbergu. To wyjątkowa osoba. Nigdy wcześniej nie spotkałem kogoś, kto by do tego stopnia umiał wniknąć w umysł przestępcy. Jestem nawet skłonny zrozumieć, że nadano jej przydomek Czarownica, bo rzeczywiście jest najlepszym profilerem, jakiego znam.

Po krótkiej pauzie dodaję:

– W każdym razie była taka przedtem.

Dodzieł marszczy brwi i kciukiem oraz palcem wskazującym przeciąga po swoim wielkim nosie.

– Przedtem, czyli kiedy? – pyta.

– Zanim popadła w demencję – odpowiada cicho Malin.

# Pernilla

Siedzę na głazie i patrzę na wodę. Śledzę wzrokiem jej monotony ruch i wsłuchuję się w spokojny plusk równomiernie wzbierających niedużych fal, które oblewają granitowy jezior wrzynający się w morze.

Popołudniowe słońce parzy mi odsłonięte ramiona, a słaby wiatr owiewa mnie gorącem.

Cały dzień spędziłam na kręceniu się po Stuvskär i pokazywaniu ludziom zdjęć Samuela w telefonie. Pytałam w sklepie, na stacji benzynowej i w portowej knajpie. Nie pominęłam też przechodniów.

Ale nikt go nie rozpoznał.

Wydaje mi się to bardzo dziwne, bo przecież musiał być chociaż kilka razy w porcie.

Czy w ogóle już nie zwracamy na siebie uwagi? Jesteśmy tak pochłonięci komórkami i robieniem selfie, że zupełnie nie obchodzą nas bliźni?

Przypominam sobie chłopców, którzy łowili ryby na pomoście tylko po to, żeby je sfotografować, a potem wyrzucić do morza jak odpadki.

Chowam twarz w dłoniach i głęboko wzdycham.

Pastor miał chyba rację, mówiąc, że z naszymi czasami dzieje się coś złego, że jesteśmy na najlepszej drodze, by zastąpić prawdziwą wiarę narcyzmem i materializmem.

Chociaż nie jestem pewna, czy się z nim zgadzam, kiedy mówi, że to oznacza bliski koniec świata. Że karty kredytowe, internet i formalne uznanie przez USA Jerozolimy za stolicę Izraela to znak, że wkrótce czeka nas przyjsie Chrystusa. Że antychryst czyha za każdym rogiem i że budujemy własną wieżę Babel.

Naprawdę nie wiem, czy jeszcze wierzę w cokolwiek z tego, co mówił.

Po tym, jak go poniżyłam przed budynkiem zboru na oczach dzieci, przysłał mi całą serię esemesów.

Ostatni przyszedł dziś rano, kiedy wracałam z policji do Stuvskär. Napisał w nim, że niepokoi się o „moją nieśmiertelną duszę”.

Rozzłościł mnie tak bardzo, że omal nie wyrzuciłam telefonu przez okno samochodu.

Serio?

O moją nieśmiertelną duszę?

Jedyna część mnie, która interesuje Karla-Johana, znajduje się między moimi udami. A o ile mi wiadomo, to nie jest dusza.

Zastanawiam się, czy mam właśnie tak odpisać, i na samą myśl o tym wybucham śmiechem. Mimo że to wszystko jest strasznie żałosne.

Kładę się na skale i zamykam powieki. Czuję na plecach ciepło szorstkiego kamienia. Kojarzy mi się z surowym, ale ufnym uściskiem.

Ojca.

Boże, jak strasznie mi go brakuje!

Czuję ból w piersi, właściwie wszędzie, kiedy myślę o jego wychudzonym, pożółkłym ciele, kruchym i zarazem niezłomnym. Nawet skóra mnie boli. Jakby smutek i lęk znajdowały się na zewnątrz, niczym niewidzialny kostium utkany z cierpienia.

– Samuel.

Wypowiadam na głos jego imię pod słońce.

Ale oczywiście nikt nie odpowiada.

Musi być coś, co widziałam albo słyszałam, tylko nie uznałam tego za istotne. Coś, co pomogłoby mi go odnaleźć.

Odmawiam krótką modlitwę i jednocześnie wyjmuję z torebki krem przeciwsłoneczny. Smaruję sobie nim spoconą twarz.

Jeśli chodzi o modlitwę, mam zdolność symultanicznego działania – umiem modlić się i robić na drutach, modlić się i prowadzić samochód albo na przykład modlić się i zapamiętywać termin ważności chleba na pomarańczowych metkach z promocyjnymi cenami, a równocześnie uśmiechać się uprzejmie do wszystkich przechodzących klientów.

Modlitwa jest dobra w takich sytuacjach.

Modlitwa jest jak porcja codziennych ćwiczeń – można ją wcisnąć raz czy kilka razy w ciągu dnia, nie wymaga przeznaczenia na nią specjalnego czasu.

Otwieram oczy i patrzę prosto w niebieskie niebo. Widzę mewy szybujące z wiatrem jak maleńkie punkciki. Takie wolne, takie świadome wszystkich ludzkich słabości. Potem chowam krem z powrotem do torebki i patrzę na wygładzoną przez tysiące lat skałę. Jej powierzchnię przecinają linie i rysy. Wygląda jak skóra bardzo starego człowieka.

Przed oczami ukazuje mi się pomarszczona i usiana piegami twarz Stiny, a w uszach odbijają się echem jej słowa, zagłuszając moje myśli.

„Jak Samuel trafił na tę pracę?”

Zamieram nad torebką, którą właśnie zamierzałam zamknąć, i uderzam pięścią w kamień.

Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam?

– Dzięki – mamroczę, unosząc oczy ku niebu.

# Manfred

Jedziemy na Nyköping czy na Gnestę? – Malin rzuca spojrzenie w moją stronę.

– Na Gnestę – odpowiadam, patrząc przez okno na jaskrawożółte od kwitnącego rzepaku pola.

– Dziwnie się czuję – odzywa się po chwili Malin i tak mocno ściska kierownicę, że aż bieleją jej palce. – A jeśli natknę się na mamę?

– Jakoś sobie z tym poradzimy – odpowiadam.

Malin klnie pod nosem i gwałtownie hamuje, ponieważ na drogę wyjechał traktor.

– Wiesz, co słyhać u Hanne? – pyta po chwili.

– Nie. Ale kiedy widziałem się z nią ostatnio, miewała się całkiem dobrze.

Malin zmienia bieg i dodaje gazu, aby wyprzedzić traktor. Wskutek przyspieszenia lekko wciska mnie w fotel i odruchowo chwytam za siedzenie. Gdy kilka sekund później skręcamy płynnie przed traktor, puszczam się i głęboko oddycham.

Malin znowu przerzuca bieg i zerka na mnie.

– A co z jej pamięcią?

– Nadal największe problemy ma z pamięcią bezpośrednią – odpowiadam. – Kiedy się z nią spotkamy, trzeba jej przedstawić, do czego doszliśmy w śledztwie, pokazać wiersz i tak dalej. Wtedy ona podzieli się z nami swoimi spontanicznymi spostrzeżeniami, ponieważ jej umiejętności kognitywne są zasadniczo nienaruszone. Hanne pamięta wszystko, co wydarzyło się w ciągu kilku lat wstecz. Dlatego może nadal korzystać ze swojego doświadczenia zawodowego. Ale gdybyśmy jutro albo w przyszłym tygodniu wrócili znowu do Ormbergu, na pewno nic by już z tego nie pamiętała i musiałbym całą historię opowiedzieć jej od nowa.

– Takie życie to prawdziwe piekło – bąka Malin.

Nic nie mówię, ale w duchu zgadzam się z nią tylko częściowo, ponieważ taki stan ma także swoje zalety.

Dzięki niemu Hanne nie zadręcza się na przykład wspomnieniami tego, co wydarzyło się w Ormbergu.

Obejmuję wzrokiem rozległe łąny, które falując, ciągną się aż po horyzont jak zielone i żółte morze. Widoczne tu i ówdzie łaski rzucają na pola widmowo długie cienie.

– Tego wiersza nie ma nigdzie w sieci – wtrąca Malin. – Czyli musiał go napisać jakiś amator poeta z bożej łaski.

– Mm.

– Tamta aspirantka... – kontynuuje Malin, odgryzając kawałek śliwki.

– Anna Andersson?

– No właśnie – mówi i wkłada do ust resztę owocu. – No więc ona, zdaje się, wspomniała, że ten Olle, którego możemy wstępnie uznać za Ollego Berga, jest pisarzem.

– Do bycia pisarzem to mu jeszcze bardzo daleko – zauważam. – Chociaż co ja tam wiem. Dzisiaj każdy głupiec uważa się za pisarza.

Malin uchyla nieco szybę, wyjmując z ust pestkę i wyrzuca ją za okno.

W aucie rozchodzi się zapach nawozu i trawy.

– Masz rację – przyznaje. – Chodziło mi tylko o to, że może on jednak coś napisał. Choćby tamten wiersz.

– Możliwe. Ja też trochę piszę. Ale w większości to nic niewarte.

– À propos pisania – mówi z ociąganiem Malin. – Gadałam z koleżanką, która pracowała na Södermalmie w zespole do zwalczania handlu narkotykami. Jeszcze przed restrukturyzacją. Zna prawie wszystkich narkomanów, a ci mają rozeznanie wśród dilerów, którzy z kolei... kapujesz. Podobno ten Igor Iwanow wydał dwie książki. Dwa tomiki wierszy.

– Nie żartuj!

– Poważnie. Są do kupienia na Amazonie i całkiem dobrze się sprzedają. Zamówiłam jeden, żeby mu się przyjrzeć. Nie można wykluczyć, że nasz wiersz pochodzi z książki Igora.

– Nie stawiałbym na to – mówię, po czym opuszczam szybę i wyjmuję papierosa. Zapalam go i zaciągam się głęboko.

Malin spogląda na mnie, nie kryjąc zdziwienia, ale nie mówi ani słowa. Niedługo potem odbija na Ormberg.

Droga robi się gorsza – w asfalcie są duże pęknięcia, a pokrywające nawierzchnię łaty kojarzą mi się z ohydnyimi połatanymi dżinsami, jakie moi koledzy nosili w czasach, kiedy chodziłem do gimnazjum.

Ja nigdy nie włożyłbym na siebie czegoś takiego, nawet jako nastolatek.

Około pięćdziesięciu metrów przed nami przez jezdnię przebiega jakieś zwierzę. Malin hamuje raptownie. Gaszę niedopałek na lakierze i upuszczam go na ziemię. Po chwili Malin, zamiast dodać gazu, zwalnia i zatrzymuje się na poboczu. Jej palce znowu zaciskają się kurczowo na kierownicy.

– Nie wiem, czy dam radę – mówi ze wzrokiem utkwionym w wysokiej sośnie.

– Wszystko będzie dobrze.

Powoli kręci głową.

– Nic nie będzie dobrze.

– Może poprowadzę? – proponuję. Mam wyrzuty sumienia, że zmusiłem ją, aby pojechała ze mną.

Znowu kręci głową i po chwili rusza.

Jesteśmy coraz bliżej Ormbergu. Las dookoła gęstnieje, a droga robi się coraz węższa i mroczniejsza. Przedziera się między smukłymi sosnami jak wąwóz przez dolinę.

Rzucam okiem na komórkę. Nie mam żadnej wiadomości od Afsaneh.

Kiedy jej oznajmiłem, że dzisiaj wieczorem muszę pracować, wcale nie była zła. Jedynie bąknęła coś pod nosem, jakby była zajęta czymś innym i w ogóle nie słuchała, co do niej mówię.

Moja żona bardzo się zmieniła, a ja nie wiem, czy mam się tym niepokoić, czy cieszyć.

Gdy wjeżdżamy do Ormbergu, dochodzi ósma wieczorem. Chociaż słońce zaszło już za górą Ormberg, niebo ma nadal jasnoturkusową barwę ze złotymi smugami, jak na rokokowym malowidle.

Ale na tym kończą się podobieństwa do osiemnastowiecznej sztuki.

Wokół osady nie brakuje bujnej zieleni, lecz nieliczne domy, nazywane potocznie centrum, są wciąż tak samo ohydne, jak je zapamiętałem.

Gdy przejeżdżamy obok starego sklepu – który służył nam jako prowizoryczne biuro podczas prowadzenia śledztwa w sprawie zabójstwa – odnotowuję, że właśnie jest remontowany. Stoi przed nim betoniarka i widzę kilka wielkich worków z gruzem. A nad oknem ktoś umieścił szyld „Spożywczyk Hassana”.

– Proszę, proszę – rzucam.

Malin nie reaguje.

Mijamy kościół. Stoi ciemny i złowrogi, niczym monolit pamiętający lepsze czasy, gdy gmina i parafia kwitły. Wokół budynku rośnie wysoka trawa, gęste krzaki przesłaniają wejście. Tynk odpada od fasady, odsłaniając wielkie ceglane rany.

Przed nami ostatni odcinek drogi do domku Berit Sund.

Znowu otaczają nas wysokie, wyniosłe choinki. Zima nie obeszła się łagodnie ze starą kamienistą drogą – zięją w niej dziury, a w wielu miejscach pobocznie zapadło się do rowu, jakby osunęła się pod nim ziemia.

Niedługo potem las się przerzedza i zza drzew wyłania się mała chałupka.

Okna zapraszają ciepłym światłem, a z komina wznosi się ku jasnemu letniemu niebu smuga dymu.

Zatrzymujemy się przed domkiem i wysiadamy z samochodu.

– Czyli Berit Sund is still going strong – zauważa Malin.

Ta stara kobieta mieszka w tej okolicy od niepamiętnych czasów. Kiedyś pracowała w gminie i w pomocy społecznej, a teraz opiekuje się Hanne. Można powiedzieć, że jest dla niej połączeniem przyjaciółki, opiekunki i pomocy domowej.

– Na to wygląda – odpowiadam.

– Jestem w stanie sobie wyobrazić, że nie jest to najgorszy sposób na spędzenie ostatnich lat życia – dodaje Malin, obejmując wzrokiem czerwony domek z białymi narożnikami. Sądząc po jej zaróżowionych policzkach, najwyraźniej jej ulżyło, że po drodze nie natknęła się na nikogo znajomego.

Na starannie skoszonym trawniku rosną drzewka owocowe, a cały dom opasuje ozdobna rabata, na której rywalizują o miejsce kocimiętka i wysokie malwy bliskie rozkwitnięcia. W wilgotnym powietrzu wieczoru zapach dymu miesza się z ciężką słodkawą wonią jaśminowca pyszniącego się na lewo od wejścia.

Berit otwiera niemal natychmiast.

Jest w bezkształtnej kwiecistej sukience, z rodzaju tych, które moja babcia zwykła nazywać domowymi, a na nogach ma grube wełniane skarpety. Zaczesaną na bok grzywkę przytrzymuje dziewczęca spinka z gwiazdką, która błyszczy i odbija światło padające z wewnątrz. Zmarszczki zamieniły się w głębokie bruzdy. W blasku lampy pod sufitem przypominają ślady po uderzeniach siekiery przecinające skórę wzdłuż i w poprzek i czynią jej twarz podobną do pieńka do rąbania drewna.

Za nią stoi Joppe ze spuszczonego łbem i wyczekująco macha ogonem.

Berit uśmiecha się i obejmuje mnie nadspodziewanie mocno.

– Manfred, kopę lat.

Jej ciało wydaje się jeszcze drobniejsze i chudsze, niż pamiętam, jakby część jej stopniała razem z grubą pokrywą śniegu.

Potem bierze w ramiona Malin.

– Jak dobrze cię widzieć, moje dziecko. – Kładzie rękę na jej brzuchu. – I gratuluję ci błogosławionego stanu! Ale nie sterczcie w drzwiach. Wejdźcie do środka!

W domku wszystko jest po staremu: ubrania wiszą porządnie na wieszaku, buty stoją w równym rzędzie na półce poniżej, a pelargonie w oknach wyglądają równie smętnie jak ubiegłej zimy.

Z kuchni dochodzi trzaskanie ognia.

Zdejmujemy buty i idziemy za Berit. Hanne siedzi przy stole. Na mój widok od razu wstaje i szeroko się uśmiecha. Promienieje.

Jej rude włosy są dłuższe i przybyło w nich siwizny, ramiona wydają się nieco węższe, ale poza tym, gdy bierze mnie za rękę i mierzy mnie wzrokiem od góry do

dołu, jest taka, jaka była.

– Ale mi ciebie brakowało – mówi, mocno ściskając mi dłoń.

– I wzajemnie – odpowiadam.

Potem obejmuje mnie i tuli tak długo, że czuję się niemal niezręcznie.

W końcu odsuwa się i zwraca do Malin.

– Hanne – przedstawia się, wyciągając do niej rękę.

Malin zerka w moją stronę trochę zdezorientowana.

– Malin Brundin – mówi, podając dłoń. – Już się kiedyś spotkałyśmy. Pracowałyśmy razem przy śledztwie w sprawie zabójstwa tutaj, w Ormbergu.

– Przepraszam – bąka Hanne z wyraźnym zakłopotaniem. – Musiałam zapomnieć.

– Nic nie szkodzi – rzuca Malin.

Siadamy wszyscy przy kuchennym stole.

– Jak się miewasz? – pytam.

– Nie narzekam – odpowiada Hanne z uśmiechem. – A ty? Co u Afsaneh i Nadji?

Serce podchodzi mi do gardła. Opowiadałem jej, co się stało z Nadją, ale widocznie zapomniała.

– Przecież rozmawiałyśmy o tym, Hanne – wtrąca Berit, wyraźnie zdenerwowana. – Nadja miała wypadek i leży w szpitalu.

– Ojej – wykrzykuje Hanne i zasłania sobie ręką usta, jakby chciała cofnąć swoje słowa. – Wybacz mi.

– Nic się nie stało – uspokajam ją, siląc się na uśmiech.

– Czy to coś poważnego? – pyta, wciąż z dłonią na ustach.

Po chwili wahania odpowiadam:

– Miejmy nadzieję, że nie.

Hanne siedzi dosyć długo ze wzrokiem utkwionym we własnych kolanach, Berit zaś dwoi się i troi, by rozładować atmosferę – nalewa nam kawy ze swojego starego porcelanowego dzbanka w kwiatki, częstuje ciasteczkami własnego wypieku i plecie o pogodzie oraz wietrze, podczas gdy Hanne stopniowo wraca do siebie.

– Przejdę się z Joppem – rzuca Berit przez ramię i poprawia sobie spinę we włosach. Potem wychodzi z kuchni, kuśtykając, a za nią drepcze kulawy tak jak ona pies.

Przez chwilę rozmawiamy z Hanne o Ormbergu. O starym sklepie, który ma być znowu otwarty. O nastoletnim Jakem, który ku zaskoczeniu wszystkich zajął pierwsze miejsce w konkursie na opowiadanie i doczekał się publikacji swojego dziełka w dużej codziennej gazecie.

Później mówimy o długiej zimie, która o mało nie skończyłaby się tragicznie dla pewnego starego małżeństwa mieszkającego kilka kilometrów dalej. Ich dom został

do tego stopnia zasypany śniegiem na wiele tygodni, że biedacy musieli zacząć palić meble, ponieważ nie mogli dostać się do składzika z drewnem.

Gdy właściwy powód naszej wizyty staje się coraz bardziej czytelny, Hanne od razu nabiera pewności. Spogląda na nas – najpierw zatrzymuje wzrok na mnie, potem na Malin.

Jest w niej spokój, swego rodzaju dostojeństwo, a gdy przez jej twarz przemyka dyskretny uśmiech, nabieram przekonania, że sprawiliśmy jej przyjemność tym, iż wybraliśmy się aż tutaj, aby zasięgnąć jej opinii.

– Chyba nie przyjechaliście, żeby plotkować o Ormbergu? – pyta.

– No nie – przyznaję.

– Wobec tego mówcie! – zwraca się do nas i pochyla do przodu.

Hanne słucha cierpliwie naszej relacji o trzech ofiarach znalezionych w wodach sztokholmskich szkierów i o kobiecie, która chciała zgłosić zaginięcie syna, ale podobno została spłoszona przez mało empatyczną aspirantkę.

Trzymając przed sobą notes, robi notatki, pomrukuje i zadaje nam krótkie pytania. Jej długopis bez ustanku tańczy po papierze.

Po mniej więcej czterdziestu minutach Berit wraca ze spaceru z psem. Proponuje nam znowu kawę, a kiedy dziękujemy, znika szybko na pięterku.

Za oknem ciemnieje letni wieczór.

Szaroniebieska mgła spowija łąkę i znajdujący się za nią las, w którym potężne choinki stoją na baczność. Na szybie ląduje duża ćma, pewnie zwabiona światłem sufitowej lampy.

– A ta trzecia ofiara? Jeszcze jej nie zidentyfikowaliście, tak?

– Zgadza się – potwierdzam. – To mężczyzna, znacznie starszy od tamtych dwóch. Według patolog mógł mieć od trzydziestu do czterdziestu lat. I zmarł znacznie wcześniej niż oni.

– Hm – bąka Hanne. – Czyli wyłamuje się ze schematu.

– No właśnie – potakuję.

– Według waszej hipotezy Olle „Bullen” Berg jest w jakiś sposób związany z tymi zbrodniami albo może nawet to on ich dokonał.

– Jego DNA znaleziono na materiale, w który było owinięte ciało Victora Carlgrena. Poza tym jest brutalnym przestępcą i niedawno gdzieś zniknął.

– A chłopak, który zaginął...

– Samuel – wtrąca Malin.

– Otóż to. Waszym zdaniem on pracuje dla Ollego Berga i jego partnerki...

Hanne szuka w swoich zapiskach i szybko dodaje:

– Rakeł?

– Tak. Oboje odpowiadają opisom. Znajomi Ollego Berga mówili nam, że jest ostatnio z kobietą, która ma upośledzonego syna.

– Hm – bąka znowu Hanne. Zarzuca sobie szal na ramiona i pociera dłonią usiany piegami policzek. – A wiersz pochodzi od tego zaginionego chłopaka, który mógł go mieć od Berga i jej partnerki.

Malin kiwa głową.

Hanne zakłada okulary do czytania i sięga po kopię wiersza z odręcznie napisaną wiadomością od Samuela do jego matki. Potem zapala lampę, która stoi na stole, i zaczyna czytać.

Następnie podnosi wzrok na sufit, jakby się zastanawiała, a później czyta tekst powtórnie. Na koniec zdejmuje okulary, uciska opuszkami palców skronie, opiera się na krześle i zamyka oczy.

– To nie jest żadna wielka poezja – zaczyna. – Ale jest coś...

I po chwili dodaje:

– Rakel. Rakel. Jonas. Jona. Rakel i Jona.

Malin zerka na mnie pytająco, ale tylko lekko kręcę głową, dając jej do zrozumienia, że nie powinniśmy przeszkadzać.

Hanne zakłada z powrotem okulary. Jej oczy błyszczą, a na twarzy maluje się ekscytacja, która sprawia, że przypomina niesforne dziecko.

– A więc tak – odzywa się znowu i po krótkiej pauzie kontynuuje: – Gołąb i baranek żyli w zgodzie, dopóki gołąb nie zaczął latać coraz dalej. Posłuchajcie tego:

Bo każdego dnia odlatywałeś dalej

Jak czarna chmura zasłoniłeś słońce swą grą

Jak sadzą zatruełeś powietrze swą pychą

Niczym strzały bolała twoja zdrada

Malin i ja milczymy.

Hanne zsuwa okulary na czubek nosa i spogląda sponad nich z powagą.

– Rozumiecie?

– No tak, ale...? – pytam niepewnie.

Na co ona unosi rękę i wywodzi dalej:

– Baranek kochał gołębia, jednak ten odrzucił jego uczucia. Tylko posłuchajcie:

Twoje usta powtarzały nie

Twoje myśli mieszkały wszędzie

Tylko zawsze omijały mnie

– Okej – mówi Malin, przenosząc spojrzenie na zegar z kukułką na ścianie.

– Potem gołąb miał wypadek – wyjaśnia dalej Hanne. – Pograżony w rozpacz baranek spotkał lwa. Tego, który niechcący uśmiercił gołębia. W wierszu jest to

opisane tak:

Ale zęby miał tak ostre

I pazury tak długie

Że niechcący cię zmiażdżył

Gdy chciał cię zatrzymać

Malin kręci się niecierpliwie na krześle.

– Baranek cierpi – mówi Hanne, ściągając brwi i lekko przekrzywiając głowę. – Baranek cierpi i lew przynosi jej nowego gołębia. Posłuchajcie:

Wypłakałem morze łez

I chciałem umrzeć

Na miękkiej kępie smutku

Ale oto lew wrócił znowu

I w swej wielkiej paszczy

Przyniósł nieskalanego gołębia

– Przepraszam – przerywa jej Malin. – Nie chciałabym, broń Boże, być niegrzeczna, ale nie bardzo rozumiem, dokąd to nas może zaprowadzić.

– Poczekaj – rzucam i przechylam się tak daleko przez stół, że płomień świecy niemal muska mi policzek. – Dlaczego mówisz, że lew przyniósł nowego gołębia jej. Skąd wiesz, że ten baranek to... ona?

Hanne uśmiecha się szeroko, bierze notes i otwiera go na pustej kartce. Potem kładzie go na stole w taki sposób, abyśmy mogli widzieć, co pisze.

– Rakeł to imię ze Starego Testamentu, to chyba wiecie?

– To akurat nie jest moja specjalność – bąka Malin, tłumiąc ziewanie.

– Rakeł pochodzi od hebrajskiego wyrazu rachel, który oznacza jagnię, owieczka albo „dziękować” – wyjaśnia Hanne, zapisując jednocześnie: „jagnię = Rakeł”.

Malin spogląda na mnie ze zdziwioną miną.

Hanne znowu się uśmiecha i zwraca się do nas:

– A zgadnijcie, co po hebrajsku oznacza Jonas?

Malin kręci głową, nic nie mówiąc. Na jej twarzy maluje się zarówno fascynacja, jak i zaniepokojenie.

– Jonas to szwedzka forma imienia Jona, znaczącego dosłownie „gołąb”. To imię także występuje w Biblii, o czym z pewnością wiecie.

Jej długopis skrobie po cienkim papierze, dopisując kolejne równanie: „gołąb = Jonas”.

– Psiakrew – szepczę. – Chyba nie chcesz powiedzieć, że...?

– Autor wiersza opisuje relację Rakeł i jej syna, opowiada o jego wypadku i jego... śmierci? – głos Malin jest tak cienki, że ledwie go słyszeć.

– Ale przecież gołębia uśmiercił lew – wtrącam. – Kim jest lew?

Twarz Hanne posępnieje. Uśmiech znika, a oczy w migoczącym świetle świecy zasnuwają się mrokiem. Chwyta za długopis i pisze cztery litery: „Olle =”.

– Co otrzymamy, jeśli usuniemy z tego imienia jedno „l” i zamienimy miejscami „o” i „l”? – pyta nas retorycznie.

Cienka kartka marszczy się nieco pod ostrą końcówką długopisu, gdy nie czekając na naszą odpowiedź, Hanne uzupełnia ostatnie równanie: „Olle = Leo”.

– A leo to łacińska nazwa...

– ...lwa – kończę za nią.

Hanne kiwa głową i dopisuje ostatni wyraz: „Olle = Leo = lew”.

Potem prostuje się i delikatnie kładzie długopis obok notesu.

Malin zaś gwałtownie zrywa się z krzesła i zaczyna chodzić tam i z powrotem po kuchni, uderzając prawą pięścią w otwartą lewą dłoń.

– Niech to jasny szlag – syczy. – Dlaczego, do cholery, nie widzieliśmy tego wcześniej?

Ani ja, ani Hanne nic nie mówimy.

– Przeczytaj jeszcze raz ostatnie linijki – zwracam się do Hanne, na co ona sięga po wiersz i czyta na głos:

Wypłakałem morze łez

I chciałem umrzeć

Na miękkiej kępie smutku

Ale oto lew wrócił znowu

I w swej wielkiej paszczy

Przyniósł nieskalanego gołębia

– I jak, na litość boską, mamy to rozumieć? – pytam.

## CZEŚĆ IV

---

# W brzuchu wieloryba

*PAN zesłał wielką rybę, aby połknęła Jonasza. I był Jonasz we wnętrznościach ryby trzy dni i trzy noce. Z wnętrzności ryby modlił się Jonasz do swego PANA Boga.*

Księga Jonasza 2, 1-2

# Samuel

L atam w kółko po ciemnej jaskini.

Krążę i krążę – unoszony przez chłodne i wilgotne powietrze. Moje skrzydła są silne, a ciało wytrzymałe, ale czasami uderzam o ścianę. Wtedy kładę się na ziemię i pozwalam głowie i dziobowi opaść na bok. Odpoczywam, podczas gdy moje małe ptasie serce pika w ciele jak szalone.

Przekrzywiam głowę. Przyglądam się swoim szarym piórom. Na ogonie i skrzydłach widać czarny nalot, a pierś jest winnoczerwona. Nogi są krótkie, mocne i różowe.

Nie mam stuprocentowej pewności, ale powiedziałbym, że to gołąb grzywacz.

Columba palumbus.

Chwilami przez gruby kamień dociera do groty fragment rozmowy, tak jak woda wnika szczelinami w skałę.

Niekiedy poznaję głosy, a nawet rozumiem, o czym jest mowa.

Na przykład słyszałem Rakel. Wydawała się wystraszona i powiedziała: „Co z nim zrobiłeś?”. A potem: „Jeśli spadnie mu choćby włos z głowy, wtedy ja...”. I po chwili: „...zadzwoń na policję, jeżeli nie znikniesz z mojego domu. I to JUŻ, słyszysz?”.

Mężczyzna, z którym rozmawiała, odpowiadał jej w skańskim dialekcie, w związku z czym nie rozumiałem prawie ani słowa, ale nie miałem wątpliwości, że był zły, piekielnie zły.

Mój mózg jest ociążały i zmęczony, mimo to jestem w stanie sformułować pytanie: czy rozmawiała z Ollem? Czyżby wreszcie wrócił do domu?

Ale te głosy zawsze w końcu zanikają.

Rozpryskują się, rozpadają i zamieniają w pył, który ściele się po wilgotnym dnie jaskini.

Czasami pojawia się Światło.

Światło jest ostre, twarde i jak nóż tnie moje wrażliwe oczy. Mrużę je i tęsknię za ciemnością jaskini, ale zamiast tego wdziera się we mnie Światło. Ciągnie i szarpie, jakbym był mokrym ręcznikiem do wyżęcia. Rozprostowuję się, a w dziobie tak mnie parzy, jak gdyby był w nim ogień.

W końcu trafiam znowu do Ciała, tego drugiego ciała – które ma ręce zamiast skrzydeł oraz palce i łzy.

Ale to nigdy nie trwa szczególnie długo, bo potem pojawia się ból w tyłku, a sekundę później w środku rozlewa się ciepło.

Później spadam na nowo.

Spadam i spadam, przez podłogę, przez ziemię i przez skałę. Wreszcie spadam na powrót do jaskini. Stoszę pióra, odrobinę grucham i zanurzam dziób w miękkim puchu na piersi.

Jaskinia nie jest wcale taka zła.

Tu nie ma żadnego bólu, żadnego głodu, żadnego lęku.

Wszystko jest przewidywalne, ma własny rytm, jak fale albo bicie serca. W równych odstępach czasu Ciemność oddaje mnie Światłu, które z kolei zwraca mnie znowu Ciemności.

Dopóki.

Dopóki.

Mam wrażenie, że gdzieś nade mną dokonuje się zmiana koloru na sklepieniu groty. Czerni wydaje się mniej czarna. Kontury stają się wyrazistsze, a powietrze robi się klarowniejsze.

To nadchodzi Światło, a tym razem jest silniejsze niż kiedykolwiek do tej pory. Nabiera intensywności, zamienia się w słońce i na koniec wyrzywa mnie z jaskini, jakbym był marchwią, którą trzeba usunąć.

Wszystko jest ostre i twarde i piekielnie boli.

Czuję ręce, nogi, nawet łzy spoczywają pod czymś miękkim i ciepłym. Czuję też serce – ale nie ptasie serduszko, tylko dużo większe, które ciężko bije mi w piersi. I czuję także ciężar głowy oraz krew szybko płynącą w moich żyłach.

Ale czuję też inne rzeczy, nieprzyjemne, jak suchość w ustach – jakby język przykleił mi się do podniebienia – i dziwny palący ból w nosie.

– Gaahh aarrgghh.

Słowa, które nie są słowami, tylko charkotliwymi dźwiękami, świńskim pochrumkiwaniem, wydostają się ze mnie.

Patrzę pod Światło, chociaż razi i kłuje mnie w oczy.

Nade mną zwisa z sieci na suficie ogromny pająk. Ciało ma równie wielkie jak człowiek. Tułów, głowa i wystające szczęki są niebieskie, ale nogi czarne i długie.

Próbuję krzyczeć, doprowadzam jednak tylko do tego, że z kącików ust cieknie mi ciepła ślina i spływa po twarzy.

Nogi pająka są coraz bliżej, tak blisko, że widzę rosnące na nich długie, podobne do szczotki włosy i macki na końcu kończyn.

Na intensywnie niebieskiej głowie siedzi kilka par metalicznie połyskujących oczu. Odbija się w nich ostre światło.

Krzyczę raz za razem, aż w końcu chyba rzeczywiście udaje mi się przestraszyć tego gigantycznego potwora, bo jakby nieruchomieje i na moich oczach przyjmuje inną postać.

Nogi się kurczą i zamieniają w czarne nylonowe pasy. Macki stają się plastikowymi klamrami, a niebieskie ciało robi się prostokątne. Oczy zastygają w metalowe guziki.

Mrugam powiekami i próbuję zrozumieć.

Co to, u diabła, jest?

To nie żaden pająk, tylko kretyńska uprząż Jonasa. Ta, której używa Rakeł, kiedy musi go przemieścić.

Leżę w łóżku pod nią.

W ohydny łóżku Jonasa!

Świadomość tego jest jak kopniak prosto w żołądek.

Co ja, kurde, robię w łóżku Jonasa? Jestem chory?

A gdzie on jest?

Usiłuję zawołać Rakeł, bo chyba musi wiedzieć, co się stało. Musi umieć wyjaśnić, dlaczego to ja, a nie on, leżę tu jak przepoczwarzona foka i nie mogę ruszyć nawet palcem.

Ale usta mnie nie słuchają, odmawiają formułowania słów, a jedyne, co udaje mi się z siebie wydobyć, to jeszcze więcej śliny.

Przypominam sobie Jonasa leżącego w łóżku – był wychudzony jak jakiś pieprzony ćpun, skórę miał białą i lśniącą jak wypolerowany marmur – i już nie oddychał.

Lodowaty dreszcz przeszedł mi po plecach.

Czy Jonas nie żyje?

Staram się przekręcić głowę, aby zobaczyć nocną szafkę, ale na próżno. Mówię do swojego ciała, nie, krzyczę do niego, żeby obróciło głowę, ono jednak odmawia, jakbym nadal był w tamtej jaskini.

Próbuję jeszcze raz i teraz głowa rzeczywiście trochę się porusza, lecz nie na tyle, abym mógł spojrzeć na szafkę, która – jestem tego pewien – stoi obok łóżka.

Podejmuję kolejną próbę. Zamykam oczy, maksymalnie się koncentruję i wyobrażam sobie, jak moja głowa porusza się na poduszce. Jak przesuwa się na bok, jakby to była najprostsza rzecz na świecie.

Jeszcze centymetr.

Otwieram oczy.

Na nocnej szafce stoi wazon z jedną świeżą różą. Obok leży tubka kremu do rąk i pomadka. Kątem oka widzę też kalendarz na ścianie.

Dwudziesty czwarty czerwca.

To niemożliwe, dziś jest dwudziesty drugi.

Przecież chyba nie leżę tu od dwóch dni?

Na samą myśl o tym pokój zaczyna wirować, szumi mi w uszach.

– Gaahhrrraa.

Z moich ust dobywa się jedynie charkot, tym razem nie próbuję nawet krzyczeć.

Spoglądam znowu na nocną szafkę i na różę stojącą jak zwykle w małym wazonie.

Potem mój wzrok pada na rysy w fornirze, te, których Jonas usiłował dosięgnąć ręką.

I widzę.

Patrząc teraz z innej perspektywy, z łóżka, widzę, że to nie żadne rysy.

To litery.

Wyryte albo raczej wydrapane w fornirze. Krzywe, koślawe litery układają się w samotne słowo.

POMOCY

# Pernilla

Jasne, że ci pomożemy! Przecież ciągle ci to powtarzałam. Nie można się bać prosić o pomoc. Następnym razem ja będę jej potrzebowała i wtedy przyjdę do ciebie.

Głos Stiny jest stanowczy, a dłoń, która ściska mi rękę, jest ciepła i bezpieczna.

– Następnym razem to ja natknę się znowu na jakiegoś beznadziejnego faceta i będę potrzebowała się wypłakać – dodaje ze śmiechem.

Siedzimy na kocu na skale sto metrów od portu w Stuvskär.

Słońce jest już nisko i gład pod nami robi się coraz chłodniejszy. Ognście rude włosy Stiny płoną w ciepłym świetle, a jej skóra przybrała miedziany odcień. Ma na sobie wiśniową bluzkę z tak dużym dekoltem, że widać jej prawie cały biustonosz.

– Prawda, Björn? – dodaje Stina, patrząc zachęcająco na syna, szczupłego nastolatka o rudawych włosach i ładnej, niemal dziewczęcej twarzy, którą znam ze zdjęcia stojącego na biurku jego matki.

– Jasne – odpowiada chłopak, ale wydaje się strasznie niepewny. – A jak wypadnę sztywno?

– Bzdura – mówi Stina i odpędza komara tak zamasyście, że aż faluje jej biust. – Jak ktoś może zobaczyć przez telefon, że jesteś zdenerwowany?

Björn wzrusza chudymi ramionami i zaczyna grzebać w dużym pryszczu na brodzie.

– W takim razie nie ma co czekać – stwierdzam i podaję mu komórkę z kartą prepaidową, którą specjalnie kupiłam na tę okazję.

Chłopak bierze ode mnie telefon, a do drugiej ręki kartkę z notatkami i długopis.

– To na pewno miało być wpół do siódmej? – pyta Stina.

– Tak – potwierdzam. – Ale nie mogę obiecać, że zadzwoni punktualnie.

Rakel jest ostrożna.

Kiedy po znalezieniu jej ogłoszenia w internecie odpowiedziałam na nie mejlowo, przysłała mi dwie wiadomości: w pierwszej zadała uzupełniające pytania, a w drugiej chciała wiedzieć, o której mogłaby zadzwonić.

Nie podała żadnych swoich danych kontaktowych.

Mijają minuty, a słońce coraz niżej chyli się nad wodą, która spokojnie rozciąga się przed nami. Tylko pojedyncze mikroskopijne fale od czasu do czasu niemal

bezszelestnie kołyszą zielonymi wodorostami, które rosną blisko brzegu i są utrapieniem dla każdego, kto chce wejść do wody i się wykąpać.

Słysząc hałas oddalającej się motorówki, który nasila się i przycicha, odbijając się echem między skalistymi wysepkami.

Stina wyjmuje piersiówkę, którą już znam ze sklepu, i wyciąga ją w moją stronę.

– Jeden łyżeczek dobrze ci zrobi – mówi, po czym, nie czekając na moją odpowiedź, nalewa trochę bursztynowego płynu do dwóch plastikowych kubków.

– Może i tak – wzdycham.

Następnie otwiera butelkę coli i chce podać ją synowi, on jednak odmawia, unosząc rękę i kręcąc głową.

Wygląda na zdenerwowanego.

Myślę o Samuelu. Co za ironia, że jego imię w istocie oznacza „Bóg wysłuchał”.

Zgodnie z Pierwszą Księgą Samuela zawdzięcza on swoje imię matce Annie, która modliła się do Boga o syna i go otrzymała.

Bóg wysłuchał.

Ale kto słucha teraz?

Minęły już trzy doby od czasu, kiedy Samuel miał się ze mną spotkać w porcie – trzy doby, w czasie których nie dał najmniejszego znaku życia. Nie przysłał esemesa, nie zadzwonił.

Cisza.

Może powinnam pójść znowu na policję, ale tamta arogancka i bezczelna dziewczucha, która ze mną rozmawiała, skutecznie mnie do tego zniechęciła.

Obiecuję sobie jednak, że wybiorę się na komisariat, jeśli skontaktujemy się z tą kobietą od ogłoszenia, bo wtedy miałabym już coś konkretnego do powiedzenia. Coś, dzięki czemu policja musiałaby zacząć działać, zamiast siedzieć beczynn timer i patrzeć na mnie jak na wariatkę.

Dzwoni komórka i Björn odbiera z zaciętą miną.

Gdy spogląda na mnie, kiwam mu zachęcająco głową i podnoszę kciuk.

– Tak, słucham? – Kiedy chłopak się odzywa, jego głos przechodzi w falset.

Stina uśmiecha się do mnie. Widać, że jest dumna z syna.

– Okej – mówi Björn.

A po chwili:

– Nie. Niezupełnie, ale pracowałem w domu starców. Chociaż głównie w nim sprzątałem. Nie mogłem podawać nikomu lekarstw ani robić zastrzyków.

Milknę i kilka razy z rzędu kiwam głową.

– Dziewiętnaście. Za trzy miesiące.

Znowu nic nie mówi, a ja wstrzymuję oddech i modlę się w duchu, aby to zadziało.

– Przestałem chodzić – odpowiada Björn i mówi dokładnie tak, jak go wcześniej instruowałam. – Miałem dość szkoły i chciałem robić coś pożytecznego. Nie wagarowałem ani nic z tych rzeczy. Tylko...

Kolejny raz milknie i spogląda na mnie.

– Tak – mówi z ociąganiem. – To byłoby możliwe.

Następnie zapisuje coś na papierze i kiwa głową.

– Dobrze. To jesteśmy umówieni.

Potem się rozłącza.

Nie mam odwagi pytać, ale twarz Björna, na której pojawił się uśmiech tak szeroki jak z reklamy pasty do zębów, zdradza wszystko.

– Port w Stuvskär, pojutrze, o jedenastej – oznajmia z triumfem i unosi rękę, tak by Stina mogła przybić mu piątkę. Robię to samo co ona i oddycham z ulgą.

– Co ci powiedziała? – pytam szeptem.

– Że chętnie się spotka i ze mną porozmawia. I że trudno jest znaleźć odpowiednią osobę. No i ma nadzieję, że dojdziemy do porozumienia.

Stina spogląda na mnie. Jej zielone oczy błyszczą.

– Przecież ci mówiłam, że wszystko się ułoży – wtrąca i uśmiecha się tak szeroko, że widać wszystkie uzupełnienia w jej pożółkłych od nikotyny zębach.

– Dziękuję – odpowiadam ze łzami w oczach i najpierw z wdzięcznością kiwam głową w jej stronę, a potem w stronę jej syna. – Dzięki, kochani. Nie wiem, jak się wam odpłacę.

# Manfred

**M**oja mama zawsze mówiła, że czas leczy wszystkie rany. Jakby czas był pielęgniarką w wykrochmalonym białym kitlu i o troskliwych dłoniach, która krząta się przy pacjentach i podaje im ciepły bulion, a nie kostuchą z kosą, która tylko czyha, kiedy się odwrócimy. I czeka, aż człowiek popełni jakiś karygodny błąd kosztujący go życie.

Albo życie kogoś bliskiego – na przykład własnego dziecka.

Pociągam łyk wina i uśmiecham się do Afsaneh i Martina, jej kolegi z uniwersytetu.

Śmieją się z czegoś, co Martin właśnie powiedział. Czego wprawdzie nie rozumiem, ale robię dobrą minę, ponieważ nie mam siły ani ochoty dzielić się swoimi ponurymi myślami. Poza tym wciąż mam w pamięci to, co usłyszałem od Hanne o baranku, gołębiu i lwie.

O lwie, którym jest Olle Berg.

Musimy go znaleźć, i to szybko. Bo chociaż ta przypowieść nie mogłaby posłużyć przed sądem jako dowód, to można na podstawie DNA powiązać Berga przynajmniej z jedną ofiarą. Ponadto wiadomo przecież, że nie stroni od przemocy, tak więc prawdopodobieństwo, że jego DNA znalazło się tam przez przypadek, jest znikome.

Zresztą nie wierzę w przypadki.

Spoglądam na Martina.

Jest w tym samym wieku co Afsaneh. Ma bladą, pociągłą twarz o nieproporcjonalnie długim nosie. Kręcone jasnoblond włosy zdają się przeczyć prawu grawitacji. To wrażenie potęguje sposób ich obcięcia, który upodobnia go do pudła.

Martin patrzy na mnie tak, jakby czekał na mój komentarz do czegoś, co właśnie powiedział. Staram się więc skierować rozmowę na inny temat, aby się nie zorientował, że go nie słuchałem.

– Wiem od Afsaneh, że twoja praca nad dysertacją posuwa się do przodu – mówię.

Martin się uśmiecha i zerka na moją żonę.

– Owszem, właśnie przed chwilą wspomniałem, że chciałbym bronić się w październiku, ale nie wiadomo, jak będzie. Mam nadzieję, że mimo wszystko się uda. Mojego starego profesora z instytutu psychologii czeka operacja kręgosłupa, więc zobaczymy.

– Przepraszam – bąkam. – Jestem myślami trochę gdzie indziej.

– Nic nie szkodzi. To przecież jasne, że macie inne zmartwienia niż moja mało ważna i nieciekawa praca.

Na chwilę zapada cisza. Opuszczam wzrok i zatrzymuję spojrzenie na zrobionej przez Nadję w ostatnią wiosnę rysie na blacie kuchennego stołu. Pamiętam, że bardzo się na nią wtedy zezłościłem, i obiecuję sobie w tej chwili, że już nigdy się tak nie zachowam.

Byleby tylko wyzdrowiała. Byleby wszystko wróciło do normy.

Afsaneh odchrząkuje.

– Nie nazwałabym jej nieciekawą – mówi. – Bardzo trafnie opisuje naszą współczesność.

– A czego dotyczy? – pytam.

Martin przeczesuje palcami loki i przechyla nieco głowę, wskutek czego włosy niemal sięgają talerza. Jego duży nos błyszczy w blasku górnej lampy.

– O narcyzmie, a mówiąc precyzyjnie, dlaczego ostatnio tak radykalnie nasilają się u ludzi cechy narcystyczne.

– To prawda? – pytam. – Rzeczywiście się nasilają?

Martin opiera łokcie na stole i pochyla się nad nim.

– Tak. Dwoje amerykańskich naukowców, Twenge i Campbell, udowodniło, że od lat osiemdziesiątych obserwuje się znaczny przyrost osobowości narcystycznych. Dotyczy to szczególnie kobiet. – Martin zerka na Afsaneh i dolawszy sobie wina, kontynuuje: – Potwierdza to także wiele innych badań.

– Czy można uznać to za epidemię? – pyta Afsaneh, opróżniając kieliszek jednym haustem.

– Oczywiście – potwierdza szybko Martin. – Bo to jest epidemia.

– Ale dlaczego? – wtrącam. – Dlaczego mielibyśmy być teraz bardziej narcystyczni?

Martin uśmiecha się wyrozumiale.

– Społeczeństwo się zmieniło. Dziś mamy inną strukturę społeczną niż kiedyś, jej najmniejszą jednostką nie jest już rodzina, tylko indywidualium. Do tego dochodzi jeszcze rozwój mediów społecznościowych. Ponad miliard ludzi każdego miesiąca używa Facebooka. Miliard, wyobrażasz sobie? A wciąż powstają nowe platformy komunikacyjne. Wyrastają jak grzyby po deszczu. Istnieje ścisłe powiązanie między uzależnieniem od mediów społecznościowych a zachowaniami narcystycznymi. To jest klinicznie udowodnione. I właściwie trudno się dziwić, bo przecież wszystko skupia się wokół tego, aby wykreować taki wizerunek siebie samego, który zapewni jak najwięcej lajków, obserwatorów, postów i temu podobnych rzeczy.

– To samo widzimy w naszym projekcie – wtrąca Afsaneh, tłumiąc ziewanie.

– Ale czy ludzie nie byli zawsze zależni od oceny społecznej? – pytam.

– Owszem – odpowiada Martin, zniżając głos. – Tyle że technika zawłaszczyła nasze naturalne pragnienie społecznej akceptacji i uzyskania rezonansu. Obecnie nie brakuje ludzi, którzy prawie nie wychodzą z domu, tylko robią sobie fotki albo nagrywają filmiki w różnych sytuacjach i w różnych strojach, a potem wrzucają to do mediów społecznościowych, gdzie są obecni także ich znajomi. Ci ludzie wręcz zrosli się z techniką.

Afsaneh dolewa sobie wina do kieliszka. Jej ruchy są dosyć niezdarne i gdy odstawia ją z powrotem, na dodatek niebezpiecznie blisko skraju stołu, butelka mocno uderza o blat.

– To trochę przypomina chińskie wesele – zauważa.

– Chińskie wesele? – pytam zdziwiony, przesuwając butelkę na środek stołu.

– No tak. Słyszałam od chińskiej badaczki, która była gościnnie na naszym uniwersytecie, że u nich zazwyczaj nie urządza się przyjęcia po ślubie, tylko młoda para idzie do fotografa i robi sobie masę zdjęć z różnymi rekwizytami, na przykład z kieliszkiem szampana w dłoni czy przy krojeniu sztucznego tortu weselnego. Nowożeńcy całują się też na jakimś odświętnym tle i tak dalej. Wszystko po to, żeby móc potem pokazać ślubny album krewnym i znajomym. A w Japonii można podobno wynająć gości weselnych, bo wtedy fotki wyglądają jeszcze lepiej.

– Otóż to – odzywa się Martin. – To jest ten sam mechanizm. Ważniejsze jest to, aby pokazać zdjęcia, niż rzeczywiście przeżyć własne wesele razem z rodziną i przyjaciółmi i cieszyć się wszystkim, co się z tym wiąże. Tak to oceniam. A teraz zamiast wklejać zdjęcia do albumu, wrzuca się je na którąś z platform społecznościowych, co daje możliwość nieograniczonego odzewu. Zimą byłem w Auschwitz. Nawet sobie nie wyobrażacie, ilu ludzi robiło sobie tam selfie. Jakby większe znaczenie miało pokazanie innym, że się tam było, niż refleksja nad tym, co się działo w tamtym miejscu.

Afsaneh wykrzywia z dezaprobatą twarz.

– Mówisz poważnie? Chybabym zwymiotowała, gdybym zobaczyła, jak ktoś się mizdrzy do aparatu przed komorą gazową.

– A jednak niektórzy właśnie tak się zachowywali. – Martin opiera się na krześle z bezradną miną. Po chwili mówi dalej: – To dopiero początek. Internet zmienił zachowania społeczne. Dzisiaj determinuje je fakt, jak często ma się okazję powiedzieć: „Spójrz na mnie”. A realne życie nie zapewnia choćby w przybliżeniu tylu możliwości pozytywnego sprzężenia zwrotnego co sieć. Po co w takim razie skupiać się na realnym życiu?

– Czyli Facebook wygrywa? – rzucam raczej dla żartu.

Martinowi wcale jednak nie jest do śmiechu.

– Czy wiecie, że Facebook dosłownie eksplodował, kiedy wynaleziono opcję lajkowania? Jeśli dobrze pamiętam, wymyśliła ją niejaka Leah Pearlman. Mniejsza z tym. W każdym razie było to już prawie dziesięć lat temu. I ta mała ikonka, uniesiony kciuk, zmieniła cały internet. Zmieniła ludzkie zachowania, przyczyniała się do sukcesu albo upadku firm, kreowała lub obalała prezydentów.

– Nie przesadzasz trochę? – oponuję.

Martin zdecydowanie kręci głową.

– Media społecznościowe zmieniają nasze społeczeństwo od podstaw. Zmieniają nas od podstaw. I niekoniecznie na lepsze. Nasze uzależnienie od lajków grozi nam pasywnością. Jak będzie wyglądało nasze postrzeganie świata, jeśli we wszystkim uczestniczymy tylko pośrednio, jakby z drugiej ręki, zamiast doświadczać tego osobiście? To tak, jakby czytać o kolorach, ale nigdy ich nie widzieć. Internet separuje nas od rzeczywistości. Żyjemy okiem kamery, między jednostką a rzeczywistością zawsze jest przegroda. Kurtyna. Dlatego obawiam się, że istnieje ryzyko, iż nowa technika nas ogłupi. Że wypierze nam mózg i wprawi nas w pewien rodzaj...

– Letargu? Otępienia? – sugeruję.

Martin skwapliwie potakuje.

– Ach – wzdycha Afsaneh. – Dajcie spokój! Moim zdaniem nie ma się czego bać. A przynajmniej nie w dłuższej perspektywie. Przecież to oczywiste, że musimy wchodzić we wzajemne interakcje. Interakcje wyłącznie z techniką nic nam nie przyniosą. Nie moglibyśmy się wtedy rozmnażać.

– Teraz mówisz jak biolog – odzywa się Martin i w jego ustach brzmi to jak obelga.

– Poza tym nie brak też innych problemów. Na przykład nie sposób wiedzieć, co w internecie jest prawdą.

– A czy ludzi to jeszcze w ogóle obchodzi? – rzucam.

– Ciekawe pytanie! – wykrzykuje Martin, a ja od razu żałuję, że je postawiłem, ponieważ czuję, że z każdą chwilą coraz bardziej ciężą mi powieki. – Według mnie zmierzamy ku społeczeństwu, w którym podstawowy model interpretacyjny ma charakter fenomenologiczny.

– Fenomeno... jaki?

– Przepraszam – odpowiada Martin i przeciąga dłonią po swych kędzierzawych włosach. – Pod pojęciem model interpretacyjny mam na myśli to, jak opisujemy naszą rzeczywistość. Wyobraźmy sobie na przykład, że czujemy się źle i zastanawiamy się dlaczego. Opierając się na modelu religijnym, jesteśmy skłonni dojść do wniosku, że być może oddaliliśmy się od Boga. W tym przypadku lekarstwem jest zatem modlitwa. Są też modele naukowe. Wtedy nasze złe samopoczucie przypisujemy chociażby

niedostatkowi żelaza w organizmie i zaczynamy brać odpowiednie tabletki. W fenomenologicznym modelu interpretacyjnym za punkt wyjścia przyjmuje się indywidualne doświadczenie jednostki: nie jest mi dobrze, ponieważ przeszedłem przez traumę albo przyczyną jest to, że jestem, jaki jestem. Mam prawo do własnych przeżyć, do własnej traumy. To, co czuję, jest prawdziwe i nie może być kwestionowane. Dokładnie tak wygląda to dzisiaj w sieci. Poza tym jest w niej tak cholernie dużo informacji, że jedynie ten, kto popiera nasz punkt widzenia i jest najbardziej skuteczny, może do nas dotrzeć przez ten wielki szum i zgiełk.

Wstaję od stołu i zaczynam zbierać z niego naczynia w nadziei, że Martin zrozumie sygnał.

– Co sprawia, że jedna informacja się przebija, a inna nie? – pyta Afsaneh.

– Każda skrajność ma największą siłę przebicia – odpowiada szeptem Martin, jakby zdradzał jakąś wielką tajemnicę. – The quotidian lifestyle is dead! Online trzeba być bardziej Dostojewskim niż Tołstojem, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Nastaje chwila ciszy. Czuję na sobie spojrzenie Afsaneh.

– Eee... – zaczynam.

– Tołstoj pisał o codzienności – wyjaśnia dalej Martin, nie dopuszczając mnie do głosu. – A w mediach społecznościowych ludzie mają gdzieś codzienność, chyba że jesteś jakimś supercelebrytą. Jeśli nie, to mają w nosie twoje pelargonie, twojego psa czy sałatkę, którą zrobiłeś. Guzik ich obchodzi twoja nowa sofa i to, ile kilometrów przebiegłeś w weekend. Jeżeli chcesz zaistnieć w mediach społecznościowych, musisz być ekstremalny. Dostojewski pisał o idiotach. Coś takiego cholernie dobrze sprawdza się w internecie. Jeśli chcecie, możecie mnie cytować.

Martin kłania się i wykonuje teatralny gest podziękowania, jakby miał przed sobą ogromną publiczność.

Dzwoni komórka i Afsaneh natychmiast zrywa się z miejsca. Podchodzi do szafki, podnosi telefon i spogląda na wyświetlacz. Potem podaje mi aparat.

– Do ciebie – mówi.

Biorę go od niej niechętnie.

To Dodzieł.

– Mamy go – informuje. – Znaleźliśmy Ollego Berga. Musisz przyjechać.

# Samuel

Ciemność jest chłodna i pozbawiona zapachu.

Chodzę w kółko po czymś w rodzaju dna i od czasu do czasu uderzam w nie dziobem. Nie dlatego, że jestem głodny, ale dlatego, że tak robią gołębie. Fruwają, dziobią coś do jedzenia, gruchają, czyszczą sobie pióra i robią inne rzeczy typowe dla ptaków.

Gdzieś z daleka słyszę ludzkie głosy, ale słowa zlewają się w dziwne trajkotanie, którego nie sposób zrozumieć.

Potem coś się dzieje.

Jest tak, jakby Światło ciągnęło mnie do siebie, ale tu nie ma światła. Jest tylko ciemność.

Mimo to znowu ląduję w Ciele.

Wszędzie mnie mrowi i kłuje, stopniowo staję się świadomy swoich rąk i nóg. Czuję, że dłonie spoczywają na gładkiej kołdrze. Odnotowuję gorzki smak w ustach, dudnienie w głowie i palący ból w nosie, jakbym całymi tygodniami bez przerwy wciągał koks.

Próbuję krzyknąć, ale usta i struny głosowe nie są mi posłuszne. Mój krzyk sprowadza się do bezsilnego wydmuchnięcia powietrza, które opuszcza płuca z cichym świstem.

Wciąż leżę nieruchomo na łóżku, a panika rozrywa mi pierś.

Mijają minuty, może godziny, trudno powiedzieć, bo nie mam jak oszacować czasu. Ale ciągle jest ciemno, z wyjątkiem wąskiej smugi księżycowej poświaty, która wpada przez okno i układa się na podłodze jak jakieś senne domowe zwierzę.

A jeśli to koniec, jeśli to śmierć?

Łzy palą mnie pod powiekami, a w gardle rośnie twarda gruda.

Co zrobiłem ze swoim życiem? Co zostało po Samuelu Stenbergu?

Nic a nic, ale mówiłem ci to już dawno, tylko że nie chciałeś mnie słuchać.

Myślę o jedynej osobie, której mi teraz tak strasznie brakuje. Dałbym wszystko, aby móc się z nią zobaczyć.

O mamie.

Nagle mam wrażenie, że stoi przy łóżku, że czuję ciepło jej ciała i zapach lawendowego mydła, a przez chwilę wydaje mi się nawet, że w ciemności błysnął złoty krzyżyk, który zawsze nosi na szyi. Sekundę później jednak dociera do mnie, że wszystko to sobie tylko uroiłem.

Płaczę.

Łzy powoli toczą mi się po policzkach, ciche jak letni deszcz, gdy tymczasem noc stopniowo jaśnieje i przechodzi w niebieskoszary świt. I w miarę jak niebo blednie za oknem, Ciało budzi się do życia.

Próbuję zacisnąć dłonie w pięści i Ciało robi to, co chcę – zaciska je raz za razem. Potem poruszam trochę stopą pod kołdrą, a Ciało dalej mnie słucha, a nie odwrotnie.

Przekręcam głowę, podpieram się rękami i lekko unoszę tułów.

Głowa mnie boli, mdłości czyhają pod żebrami, ale mogę się ruszać. Jakimś tajemniczym sposobem udało mi się zwyciężyć nad Ciałem. Cokolwiek mi było, już minęło i nie zostanę tu ani minuty dłużej.

Za oknem śpiewa jakiś poranny ptak, niemal zaraz przyłącza się do niego kolejny.

Ostrożnie badam swoją twarz i na policzku czuję pod palcami plaster, który przytrzymuje coś długiego i wąskiego, jakby miękką rurkę. Bez wahania zrywam plaster i pociągam za nią.

Zabolało mnie porządnie i w tym momencie się zorientowałem, że trzymam w ręce gumowy przewód, który biegnie przez nos aż do żołądka.

Przypominam sobie słowa Razel.

Jonas jest karmiony przez sondę. Ale ty nie musisz o tym myśleć. Takimi rzeczami zajmuję się sama.

W piersi wybucha mi panika. Mocno szarpię wężyk, nie zastanawiając się nad konsekwencjami. Ciągnę z całej siły, jakby to był tasiemiec, który zagnieździł mi się w brzuchu. Obślizgły przewód wysuwa się centymetr po centymetrze z mojego obolałego nosa.

Łapie mnie atak kaszlu, niewiele brakuje, żebym zwymiotował, ale kiedy żołądek już niemal podchodzi mi do gardła, rurka w całości wyslizguje się na zewnątrz. Odrzucam ją na bok, a potem zataczając się, podchodzę do okna i je otwieram.

Rozlega się metaliczne uderzenie.

Wyciągam rękę przez szczelinę i sprawdzam kratę, którą sam solidnie przykręciłem. Ani drgnie.

Tkwi mocno jak skała.

Oddycham głęboko.

Wilgotne nocne powietrze pachnie trawą i ziemią. Śpiew ptaków jest niebezpiecznie głośny, boję się, że kogoś obudzi i będę musiał wrócić do łóżka Jonasa.

Pokój leży na parterze, czyli kurewsko łatwo byłoby się z niego wydostać, gdyby nie te pieprzone kraty. Jestem zamknięty w wielkiej klatce tylko dlatego, że byłem taki sakramencko miły i uczynny.

Zamykam okno i wychodzę do przedpokoju.

Wszędzie jest cicho i spokojnie.

Słyszę jedynie przytłumiony pomruk lodówki w kuchni i te cholerne ptaki.

Deski podłogi trzeszczą pod moim ciężarem. Trzeszczą i skrzypią, jakby przywoływały Rakel, żeby przyszła.

Przystaję i nasłuchuję, ale z jej pokoju nie dochodzą żadne odgłosy. Robię więc kolejny krok i chwytam za klamkę drzwi wejściowych. Spoczywa chłodno w mojej dłoni, gdy przekręcam uchwyt blokady.

Drzwi się nie otwierają, widocznie są zamknięte też na górny zamek.

Próbuję znowu, ale ani drgną. Jakby były z kamienia.

Oblewa mnie lodowata fala zawodu. Osuwam się powoli na podłogę, z plecami opartymi o piekielne drzwi.

Znowu mimo woli płyną mi łzy, tym razem dosłownie tryskają mi z oczu. Leją się po policzkach i wpadają do ust. Szczypie mnie, gdy słone krople dostają się do poranionego nosa.

Co się tutaj, u diabła, dzieje?

Moje myśli są jak dzikie psy, które gonią się zajadle i bez celu, nie czyniąc mnie ani odrobinę mądrzejszym.

Przecież musi być jakiś sposób, żeby się stąd wydostać, ostatecznie to jedynie dom, a nie więzienie. Robię głęboki wdech i próbuję podejść do sprawy logicznie.

We wszystkich oknach na parterze są kraty, czyli tamtędy nie wyjdę. Główne wejście jest zamknięte na tysiąc bezpiecznych zamków, więc mogę o nich zapomnieć. Drzwi na taras pewnie także, a jeśli nawet nie, to i tak nic by mi to nie dało, bo taras jest nad urwiskiem. Wolałbym nie ryzykować upadku z dwudziestu metrów, żeby roztrzaskać się na skałach.

Piętro – to jedyna opcja.

Mogę po cichu wdrapać się po spiralnych schodach, przemknąć do swojego pokoju, otworzyć okno i zeskoczyć. Powinno się udać, nie jest tak wysoko. Maksymalnie trzy-cztery metry, na dole rośnie trawa, więc miałbym miękkie lądowanie.

Nogi mi się trzęsą, kiedy wślizguję się do salonu. Przez duże okna widzę morze rozciągające się o brzasku jak gigantyczna ołowianoszara płachta aż po horyzont.

Pokonuję schody w pięciu szybkich susach – żelazna konstrukcja jest solidna i nie wydaje żadnych dźwięków, które by mnie zdradziły.

Drzwi do mojego pokoju są otwarte, więc wchodzę.

Łóżko jest świeżo pościelone. Poduszki są równie zachęcająco puszyste jak w dobrym hotelu. Tak wszystko wyglądało, kiedy tu przyjechałem. Mojej torby nie ma, a uchylona szafa jest pusta. W powietrzu unosi się słaby zapach środków czystości.

Zupełnie jakby nigdy mnie tu nie było, jakby ktoś usunął wszelkie ślady po mnie.

Podchodzę do okna, otwieram je i spoglądam w dół.

Trochę się przeraziłem – jest wyżej, niż myślałem, a w trawie leżą gdzieś kamienie, na których na pewno nie chciałbym wylądować. Ponadto: pokój Rakel znajduje się bezpośrednio pod moim. Jeśli o coś uderzę albo krzyknę, wtedy może się obudzić. Dlatego niezależnie od tego, co się będzie działo i na co spadnę, muszę być cicho jak mysz.

Wdrapuję się ostrożnie i siadam w oknie. Zastanawiam się, jak mam to zrobić.

Czy rękami chwycić się od zewnątrz blaszanego parapetu, najpierw zawisnąć, a potem się puścić?

Nie.

Co prawda trochę by to zmniejszyło wysokość, ale nie mógłbym wybrać miejsca, na które bym upadł. A istnieje duże ryzyko, że znajdę się tuż przy fasadzie, uderzę w nią i obudzę Rakel i ewentualnie Ollego, o ile już jest w domu.

Dlatego decyduję się skoczyć z pozycji siedzącej i odbić się jak najdalej, aby nie wylądować zbyt blisko ściany.

Zamykam oczy i posyłam prośbę do kogoś – nie wiem do kogo, ale na pewno nie do Boga. Odpycham się stopami i rękami i szybuję przez letnią noc. Ziemia wita mnie twardo jak zaciśnięta w pięść dłoń – zatyka mi oddech. Ostry ból w kostce rozchodzi się po całej nodze, zdławienie krzyku wymaga ode mnie maksymalnej samodyscypliny.

Siadam na trawie i zerkam na stopę, śmiertelnie przerażony, że zaraz zobaczę ostre kości wystające ze skóry.

Ale noga wygląda tak jak zawsze.

Pewnie się tylko uderzyłem, mówię sobie i próbuję wstać. Ból jednak jest zbyt silny, zaczynam więc czołgać się po trawie w kierunku frontu domu. Lewy nadgarstek też mnie jednak boli i nie mogę się na nim opierać.

Przemieszczam się bardzo wolno, zdecydowanie za wolno, lecz cholerna stopa i ręka nie nadają się do niczego, toteż nie mam innego wyboru i zaczynam pełznąć jak cholerna roczne niemowlę.

Kiedy wyłażę zza narożnika, uderza mnie oszałamiający zapach róż Rakel. Delikatne ciemnoczerwone kwiaty wyciągają się na ciemnych łądygach ku jaśniejącemu niebu. Płatki pokrywa cienka warstwa rosy.

Mijam okrągłą rabatę i czołgam się dalej do furtki w ogrodzeniu.

Jeszcze tylko dwadzieścia metrów.

Dłonie mam podrapane o kamienie i szyszki leżące w trawie. Brak mi czucia w kolanach, a stopa pulsuje z bólu.

Z daleka dochodzi skrzek mew.

Dziesięć.

Ręka, kolano. Ręka, kolano.

Czuję pod dłonią coś śluzowatego. Spoglądam w trawę i widzę zmiażdżonego ślimaka.

Idę dalej.

Pięć.

Ręka, kolano. Ręka, kolano.

Po chwili wyrasta przede mną płot, z mojej perspektywy wydaje się wysoki jak mur obronny.

Opieram się o spiczaste deski i podciągam na jedną nogę, a potem chwytam się furtki.

Jasny promień pada na ziemię. Odwracam się i zerkam na dom.

W pokoju Rakel pali się światło.

Próbuję otworzyć furtkę, ale nic z tego – wygląda na to, że jest zamknięta.

Cholera!

Z domu dochodzi hałas, ktoś przeraźliwie krzyczy.

Zastanawiam się.

Ogrodzenie jest dosyć wysokie. Gdybym nie załatał w nim dziury, mógłbym się teraz przez nią przeczołgać. Gdyby nie zależało mi tak bardzo na tym, żeby pokazać Rakel, ile potrafię, byłbym już wolny.

Jakby to cokolwiek mogło zmienić.

Co ja sobie właściwie roilem? Że pójdzie ze mną do łóżka?

Podnoszę wzrok na ogrodzenie i nagle uderza mnie straszna myśl: to ja przykręciłem kratę i naprawiłem płot, przez co stałem się więźniem w tym wariatkowie.

Ty pieprzony durniu. Sam zbudowałeś sobie więzienie.

Co teraz?

Jest tylko jedna możliwość: muszę przejść przez płot. Normalnie nie byłby to żaden problem. Ale w tej sytuacji, kiedy i noga, i ręka tak piekielnie mnie bołą, nie wiem, czy dam radę.

Obiema rękami chwytam się górnej krawędzi ogrodzenia i usiłuję się na nie podciągnąć. Wystarczyłoby zrobić jeden nieduży zamach, ale moje ciało jest zbyt

słabe, koszmarne słabe. Moje ciało ma sto lat i jest niedożywione od dobrego tygodnia. Najchętniej położyłoby się na trawie i umarło jak stary słoń.

Słyszę, że gdzieś otwiera się okno i uderza o kratę z głuchym, metalicznym odgłosem.

Nie ma innej szansy. Jeśli chcę się stąd wydostać, muszę pokonać płot. Zaraz.

Znowu chwytam się krawędzi, kieruję spojrzenie w niebo i koncentruję wszystkie siły. Podciągam się. Plecy, ramiona i mięśnie pieką mnie z bólu. W końcu ciemnieje mi w oczach i Ciemność wciąga mnie z powrotem do jaskini. Pod skórą kielkują mi lotki skrzydeł, a nos zamienia się w dziób.

Nigdy nie dasz rady. Lepiej się poddaj.

Ale się wdrapuję. Daję radę.

Wiszę na ogrodzeniu jak pończocha na sznurze do suszenia, dyszę i nie jestem w stanie ruszyć się nawet o milimetr.

Powoli wracam do Ciała.

W domu otwierają się drzwi wejściowe i na schodach słychać ciężkie kroki.

Resztkami sił wykonuję ostatni ruch i opadam bezwładnie po drugiej stronie.

Uderzam policzkiem o ziemię, coś trzaska mi w ramieniu, ale nie zwracam na to uwagi. Myślę tylko o tym, żeby dostać się do motocykla Igora, który stoi zaparkowany przy drodze.

Wstaję i zaczynam biec. Stopa boli jak cholera, ale strach jest większy od bólu.

Na żwirowej ścieżce słychać kroki, potem brzęk kluczy i skrzypnięcie furtki. Ale w tej samej sekundzie siadam już okrakiem na motorze i chwytam kable do zapłonu.

Uda mi się!

Nie ma szans, aby ktoś mnie dogonił, nawet samochodem.

Kroki są coraz bliżej, gdy silnik odpala z rykiem. Puszczam sprzęgło i czuję w piersi odurzające tchnienie wolności i triumfu, że zdołałem oszukać śmierć.

Motor z gwałtownym szarpnięciem wyrywa ze swojego miejsca pod sosnami, ale nagle, jak postrzelona zniecka kaczka, zatrzymuje się w powietrzu.

A ja nie.

Ja przelatuję bezwładnie przez kierownicę jak rękawica i twardo upadam na drogę. W ustach czuję smak krwi. Wypluwam kamyki – albo może zęby?

Nie wiem.

Nic już nie wiem.

Mózg oczekuje jednak odpowiedzi. Mózg nadal działa, na przekór poobijanemu ciału.

Przypominam sobie buteleczki z fentanylem, które ukradłem z apteczki. Pamiętam głuche pobrzękiwanie, kiedy wyjąłem je z plecaka i cisnąłem w spienione fale. Ale

przede wszystkim pamiętam, jak zawartość trzech fiolek zastąpiłem wodą i postawiłem je z powrotem w szafce.

Czy to dzięki temu się ocknąłem? Ktoś faszerował mnie narkotykami aż do dzisiejszej nocy?

Dopóki zamiast nich nie dostałem wody?

Czy to sprawka tamtego faceta, którego słyszałem – tego ze Skanii, z którym Rakel się kłóciła?

Pamiętam jej słowa: „...jeśli spadnie mu włos z głowy, wtedy... zadzwonię na policję, jeżeli nie wyniesiesz się z mojego domu, i to JUŻ, słyszysz?”.

Wciąża mnie Ciemność, tym razem ostrożnie, niemal życzliwie. Nęci mnie obietnicą uwolnienia od bólu i lęku.

Ale nie chcę. Jeszcze nie teraz.

Muszę zrozumieć. Tyle rzeczy muszę zrozumieć, na przykład to, dlaczego leżę na drodze, a nie siedzę na motorze i nie jadę do Sztokholmu.

Ciemność mnie zagarnia. Pole widzenia się zawęża, zanika. Pulsujący ból ustępuje.

Spoglądam na motocykl, który dymiąc, leży w trawie pod moimi nogami.

I wtedy to widzę.

Widzę, że tylne koło i sosnę oplata jak długi wąż coś czerwonego.

To solidna czerwona blokada rowerowa, którą kupiłem dla Rakel.

## CZĘŚĆ V

---

# W dolinie śmiertelnego cienia

*Wody objęły mnie zewsząd, aż po gardło, ocean mnie otoczył,  
sitowie okoliło mi głowę. Do posad gór zstąpiłem, zawory ziemi  
zostały poza mną na zawsze.*

Księga Jonasza 2, 6–7

# Manfred

**D**ocieram na komendę tuż po północy, wciąż odrobinę wstawiony po zakrapianej kolacji z Martinem, co nie ma jednak żadnego znaczenia. Jestem pełen oczekiwania i kiedy przecinam park, idąc po zroszonej trawie, moje kroki są tak lekkie, jak od dawna nie były.

Malin siedzi już w salce konferencyjnej, gdzie zebrane są materiały dotyczące śledztwa. Na białej tablicy magnetycznej wiszą zdjęcia Johanna Ahonena i Victora Carlarena. Obok ktoś przykleił taśmą wydruk wiersza, a dalej wypisał drukowanymi literami: BARANEK = RAKEL, GOŁĄB = JONAS, LEW = OLLE BERG.

Poniżej widoczne jest zdjęcie paszportowe Berga, który patrzy do kamery pustym wzrokiem.

– Jak się czujesz? – pyta Malin.

– Całkiem nieźle – odpowiadam. – Gdzie znaleźliśmy Ollega Berga?

– Gdzieś na szkiełkach. Dodzieł ma dokładne informacje. Zaraz przyjdzie i nas zbriefuje. Chyba pracował cały wieczór.

– No proszę, a ja myślałam, że wychodzi każdego dnia o piątej, żeby zdążyć wywietrzyć swoją plastikową koszulę.

Malin uśmiecha się półgębkiem.

– Ja też nie poszłam do domu – wtrąca. – Próbowałam poskładać to wszystko do kupy i zbudować jakąś hipotezę, ale mi się nie udało.

Wzruszam ramionami.

– Tu nie ma nad czym główkować. Berg zabił Ahonena, Carlarena i tę niezidentyfikowaną ofiarę.

Malin splata dłonie na karku i podnosi wzrok na sufit.

– To zbyt proste – stwierdza.

– Te sprawy są najczęściej właśnie całkiem proste.

– Tylko dlaczego?

– Diabli wiedzą – mówię. – Pewnie w tle były narkotyki, dzisiaj prawie zawsze o nie chodzi.

Ale Malin, wciąż ze wzrokiem utkwionym w suficie, nie wydaje się przekonana.

– Victor Carlaren raczej nie wygląda na ćpuna.

– Przecież jego siostra mówiła, że koledzy Carlarena kupowali towar od kogoś, kto nazywał się Måns albo Malte – oponuję. – Na pewno chodziło o Maltego Lindéna.

Malin powoli kręci głową.

– To bardzo słabe powiązanie, dobrze o tym wiesz. A kim jest ofiara numer trzy? Ten gość z dziwnym zgryzem?

– Prawdopodobnie kolejny narkoman – mówię z niemałym przekonaniem, chociaż właściwie wcale go nie mam.

Malin poprawia się na krześle i wzdycha. Potem zgniata w kulkę nieduży kawałek papieru i rzuca ją w kierunku stojącego przy drzwiach kosza. Nie trafia i siedzi dalej, mocno marszcząc czoło.

– To dlaczego pod paznokciami Ahonena znaleziono skórę Carlarena? – pyta po chwili.

– Pewnie się tam dostała, kiedy obaj się pobili, zanim Ahonen został zamordowany przez Berga.

– Hm – zastanawia się Malin. – Skóra pod paznokciami. W jakich sytuacjach człowiek kogoś drapie? Poza uprawianiem seksu.

– Mów za siebie. Ja tam nie drapię swoich kochanek. Ale generalnie rzecz biorąc, ludzie uciekają się do tego, kiedy są na przegranej pozycji. Kiedy tracą przewagę. Jeśli ktoś chwyta ich za gardło albo wbija im nóż w brzuch. Gdy zaczyna im brakować powietrza i za chwilę się wykrwawia.

Malin przeciąga się trochę, wypinając brzuch do przodu.

– A obrażenia? – dalej myśli na głos. – Bardzo ciężkie i wszystkie powstały po śmierci. Ofiary miały złamaną każdą bez wyjątku kość, którą da się złamać. Co, na litość boską, ten Berg z nimi wyczyniał?

– Może o zwłoki w wodzie zaczęła jakaś łódź. Przecież Samira mówiła...

– O wszystkie trzy? – przerywa mi Malin. – Mało prawdopodobne. I dlaczego poszczególne zabójstwa, albo zgony, jeśli nie mamy do czynienia z morderstwami, dzieli tak dużo czasu? Gdyby chodziło o jakieś porachunki kryminalnego półświatka, wszyscy trzej zginęliby raczej jednocześnie.

– Niekoniecznie – odpowiadam.

Na korytarzu rozlegają się kroki i po chwili w drzwiach pojawia się Dodziel. W jednej ręce trzyma plik papierów, a drugą opiera na biodrze, z kciukiem wsuniętym za pasek wysiedzianych spodni o krzywo zaprasowanych kantach. Rozpięta pod szyją koszula odsłania kępki siwych włosów na piersi.

Nie mówiąc dzień dobry, siada na krześle obok Malin. Przypatruję się jej bliżej – ma na sobie wytarte ciężowe dzinsy i T-shirt, który pewnie był kiedyś biały, ale teraz jest szary jak woda po praniu.

Ludziom w dzisiejszych czasach nie zależy na ładnym wyglądzie, przemyka mi przez głowę. Chcą wyglądać intrygująco, groźnie albo wręcz buntowniczo. Jakby właśnie wrócili z podróży dookoła świata, całą noc palili albo wyszli z burdelu.

Zerkam na swoje spodnie od garnituru w dyskretny wzorek oraz na wyczyszczone do połysku buty widoczne pod krągłością brzucha.

Dodzieł chrząka.

– Olle „Bullen” Berg przebywa na kempingu pod Stuvskär – oznajmia. – Wczoraj kupił tam prowiant za trzysta czterdzieści koron.

– Skąd ta informacja? – pyta Malin.

– Bank dał mi znać – odpowiada cicho Dodzieł. – Berg użył swojej karty o piętnastej trzydzieści sześć. Pierwszy raz od czasu, kiedy zniknął. I mieliśmy szczęście. Bo sklep, w którym robił zakupy, ma monitoring. Koledzy z Haninge już tam byli i zabrali nagranie.

Dodzieł wyciąga trzy niewyraźne czarno-białe zdjęcia mężczyzny w czapce z daszkiem i w przeciwsłonecznych okularach. Na pierwszym przechodzi przez drzwi. Na drugim stoi przed ladą, na której leżą różne towary. Opiera się o nią lewą ręką, a jednocześnie prawą podpisuje rachunek. Trzecia fotka różni się od drugiej tylko tym, że ekspedientka jest w innym miejscu.

– Dobra robota – bąkam.

Dodzieł kiwa głową.

– Temu nagraniu warto poświęcić trochę więcej uwagi – oznajmia z pewnym rozmarzeniem w głosie, co skłania mnie do podejrzenia, że nie wiem jeszcze wielu rzeczy o tym człowieku.

Po chwili mocno marszczy czoło.

– Jeden szczegół jest dosyć dziwny. Podpisanie rachunku zajmuje mu strasznie dużo czasu.

– Jak to? – rzuca Malin i pochyla się nad zdjęciami.

– Spójrz na zapis godziny.

Dodzieł wskazuje na cyfry w górnym prawym rogu.

– Nie bardzo rozumiem, co masz na myśli – mówi Malin, kręcąc głową.

– Na drugim i trzecim zdjęciu Olle Berg stoi w identycznej pozycji, z długopisem przyłożonym do rachunku – wyjaśnia cicho Dodzieł.

– No i?

– Między jednym a drugim ujęciem upłynęło trzydzieści sekund. Nawet tępym próżniakom z wydziału rzeczy znalezionych złożenie podpisu nie zabiera trzydziestu sekund. Razem z technikami sprawdziłem oryginalny zapis i wiem na pewno, że nie ma w nim żadnej pomyłki, jeśli chodzi o rejestrację czasu.

Jego oczy lśnią za grubymi szklami okularów, a ja przypominam sobie w tym momencie sytuację, gdy pomagał jednemu z kolegów zweryfikować nagranie z eksplozji samochodu. Z sekundy na sekundę przeobraził się wtedy ze zręczliwego dziada w błyskotliwego analityka.

Nie mam wątpliwości, że także w tym przypadku wie, co mówi.

– Jak to tłumaczysz? – pytam go, na co on powoli kręci głową i drapie się po brodzie.

– Hm. Może coś rozproszyło jego uwagę w sklepie – odpowiada w zadumie Dodzieł.

W milczeniu przyglądamy się nieostrym zdjęciom.

– Nie widać twarzy – stwierdzam.

– Owszem – przyznaje Dodzieł. – Ale facet ze sklepu wiedział, kto to jest. Berg jest tam najwyraźniej dobrze znany. Albo raczej niestety dobrze znany. Mieszka w namiocie poza terenem kempingu, co oczywiście nie podoba się miejscowym. Podobno nigdy wcześniej nie płacił kartą i nie znał PIN-u i dlatego musiał pokazać dowód. I wiecie co?

Wzruszam ramionami w reakcji na to retoryczne pytanie.

Dodzieł wyjmuje jedną z wykałaczek i zniżywszy głos, mówi:

– On wciąż tam jest. Ten pieprzony kretyn siedzi nadal w swoim namiocie. Wystarczy pojechać i go zgarnąć.

Ja i Malin jesteśmy w drodze do Stuvskär. W szarym minibusie sto metrów przed nami siedzi Dodzieł i czterech chłopaków z regionalnej jednostki wsparcia operacyjnego, wcześniej nazywanej grupą interwencyjną.

Starając się zachować odpowiedni odstęp, jednocześnie próbuję mentalnie przygotować się do akcji.

Razem z Malin mam czekać przy samochodach, podczas gdy Dodzieł z gośćmi z jednostki wsparcia zatrzyma Ollego Berga. Wydelegowanie pięciu osób do przyskrzynienia jednego faceta z namiotu prawdopodobnie jest przesadą, wolimy jednak nie ryzykować.

– Jeśli masz ochotę zapalić, nie krępuj się – mówi Malin, zerkając na paczkę papierosów wciśniętą między fotelami. – Tylko otwórz okno.

– Nie palę – odpowiadam.

Malin milczy przez chwilę, a potem rzuca:

– Czyli zwiniemy go dzisiaj.

Kiwam głową, ale się nie odzywam, ponieważ wiem z doświadczenia, że nie należy chwalić dnia przed zachodem słońca.

Droga wije się między urodzajnymi polami i pełnymi kurzu wybiegami dla koni. Czerwone domki stoją wśród zieleni jak rozrzucone klocki Lego. Po jasnobłękitnym

niebie szybuje jeden samotny obłoczek.

– Właściwie dlaczego nazywają go Bullen? – pytam, zwalnając za transporterem z końmi, który wyjechał na szosę z gospodarstwa.

– Ollego Berga? Nie mam pojęcia. Ale mogę sprawdzić.

– To nic pilnego. Dowiemy się później.

Malin już jednak wyjęła komórkę.

– Spokojnie – odpowiada. – Mam w telefonie numer do jego dawnej dziewczyny. Napiszę do niej esemesa.

– Do tej samej, którą bił? – pytam.

Malin nie odpowiada, tylko smukłymi palcami wystukuje w aparacie wiadomość, a potem chowa go z powrotem do kieszeni.

Mijamy jakąś zatokę.

Słońce odbija się w falach, a na horyzoncie widać kilka żagli, które zdają się wyrastać jak ostre zęby wprost z morza.

Tuż przed Stuvskär minibus skręca w prawo. Malin rzuca okiem na mapę.

– To już tutaj – mówi. – Trzymajmy kciuki, żeby nam nie zniknął.

Wjeżdżam powoli za szarym busikiem na wąską boczną drogę i tak jak on zatrzymuję się na poboczu.

Członkowie jednostki wsparcia wyskakują z pojazdu, a za nimi wysiada Dodzieł.

Wszyscy są ubrani na sportowo, jak zwyczajni biwakowicze. Albo, mówiąc precyzyjnie, jak według nas, policjantów, ubierają się biwakowicze, czyli mają na sobie bermudy i koszulki polo.

Kilkaset metrów dalej widzę pole kempingowe ciągnące się wzdłuż brzegu. Kampery i przyczepy stoją w długich, równych rzędach. Tu i ówdzie mającą kolorowe zadaszania i przedSIONKI oraz składane meble. Przy wejściu w słabym wietrze powiewa szwedzka flaga.

Gdy otwieram drzwi, uderza mnie zapach siana. Mrużę oczy, aby nie wpadł mi do nich kurz wzbity znad drogi nagłym podmuchem.

Malin wyjmuję z kieszeni wibrującą komórkę i ustawivszy się tyłem do słońca, patrzy na wyświetlacz. Potem odwraca głowę w moją stronę i mówi:

– „Bullen” to podobno skrót od „Buldog”.

– W takim razie dlaczego „Buldog”?

Malin wzrusza ramionami.

– SpytaM – rzuca i od razu pisze.

Ruszamy przez pole skoszonej trawy w kierunku grupki mężczyzn w śmiesznych szortach do kolan i kolorowych koszulkach. Ziemia między pasmami trawy jest sucha jak wiór i każdy nasz krok wzbija tumany kurzu.

– Okej – mówi Dodzieł, który chyba właśnie skończył wydawanie instrukcji. – Możecie zająć pozycje. Zaczynamy za dziesięć minut. Jakies pytania?

Mężczyźni kręcą głowami, po czym znikają w różnych kierunkach.

Patrzę na przysadzistą sylwetkę Dodzieła oddalającą się przez pole, po czym zerkam na Malin, która stoi spokojnie z rękami skrzyżowanymi na piersi.

I w tej sekundzie ogarnia mnie znajome niemiłe uczucie – włoski jeżą mi się na karku i mam sucho w ustach.

Coś jest nie tak.

Jestem pewny.

Nie potrafiłbym wytłumaczyć, skąd to wiem, bo ta wiedza stanowi część mojego ciała. Kryje się we włóknach mięśni, w naczyniach krwionośnych i w komórkach wrażliwej skóry na opuszkach palców.

Moje ciało po prostu to wie.

Wie znacznie wcześniej, niż pojmuje mózg, a mózg akceptuje, że ciało ma nad nim przewagę. Nie wyciąga pochopnych wniosków, nie próbuje przekonywać.

Zamiast tego cierpliwie czeka, co zdecyduje ciało.

Śledzę wzrokiem kolegów z jednostki wsparcia. Opuścili już parking i rozeszli się po terenie otaczającym kemping. Dwóch z wędkami w rękach zmierza pewnym krokiem w stronę wody. Trzeci rozmawia przez komórkę, a czwarty, ubrany w strój do joggingu, biegnie w kierunku morza.

Za kilka minut wszyscy znajdą się przy namiocie Ollego Berga. Zatrzymają go bez większych problemów, bo są w tym najlepsi.

Ale coś się nie zgadza.

Znowu zerkam na Malin, która mrużąc oczy pod słońce i ocierając pot z czoła, pytająco unosi brwi.

– Co? – rzuca.

– Coś mi tu nie gra.

– Jak to nie gra? – pyta i spogląda na Dodzieła, który robi, co może, aby dotrzymać kroku jednemu z wysportowanych policjantów z wędką.

Potem rzuca okiem na zegarek i mówi:

– Pięć minut.

Krążę po suchej trawie i usiłuję uporządkować myśli. Kopię suchą kępę, wzbijając obłok kurzu.

– Minuta – informuje Malin.

Płot spływa mi po twarzy i dostaje się za kołnierzyk koszuli. Owady brzęczą dookoła głowy, a nad wodą skrzeczą mewy.

Malin przekłada komórkę do lewej ręki, a prawą szuka czegoś w kieszeni. Gdy telefon sygnalizuje nadejście wiadomości, próbuje otworzyć go lewą ręką i niechcący upuszcza w trawę.

I nagle wiem.

Nagle przypominam sobie zdjęcia Berga z kamery monitoringu w sklepie na kempingu. Jak stoi pochylony nad ladą i podpisuje się na rachunku. I pamiętam komentarz Dodzieła, któremu coś w tym wszystkim się nie zgadzało.

– Gunnar miał rację – mówię. – Facet na zdjęciach się ociągał. Bo czuł się niepewny, kiedy miał się podpisać jako Berg.

– O czym ty mówisz? – dziwi się Malin, wciąż szukając komórki w trawie.

– Gdy w końcu się podpisał, zrobił to prawą ręką. A Olle Berg jest leworęczny.

Telefon odnajduje się wreszcie między dwiema krzaczastymi kępami trawy i niemal w tej samej chwili rozlega się jego dzwonek.

Prostując się z wysiłkiem, Malin wykrzywia twarz w grymasie, a potem patrzy na mnie długo i badawczo i mówi do słuchawki:

– Tak. Proszę?

Następnie milknie. Głaszcze się po swoim okazałym brzuchu i wznosi oczy ku niebu.

– Osiemnaście? Jak, u diabła...

Odwraca się w stronę samochodu i łokciami opiera się o karoserię, jakby z sekundy na sekundę opuściły ją wszystkie siły i nie była już w stanie stać prosto.

– Niech to jasny szlag – syczy. – Skąd on ją miał?

I po chwili:

– Okej. Zobaczymy się później.

Rozłącza się i patrzy na mnie.

– Wszystko do dupy – mówi. – To nie był on. Gość ze zdjęcia ma osiemnaście lat. Ale użył karty Berga. Mówi, że znalazł ją z jego paszportem w koszu na śmieci w Stuvskär. Nie brzmi to zbyt prawdopodobnie, dlatego go zatrzymają.

Wzdycha i opiera się całym ciężarem o samochód.

Mimo wielkiego brzucha wygląda bardzo młodo. Młodo i tak bezbrinnie, że mam ochotę ją objąć i pocieszyć.

– Miałeś rację – dodaje.

– No i co z tego.

– I jeszcze jedno. Jeśli chodzi o tę książkę, którą napisał Igor Iwanow...

– Tak?

– Malik właśnie przysłał esemesa. Udało się zdobyć jeden egzemplarz.

– I?

Malin kręci powoli głową.

– W książce są tylko dwa słowa. Lorem ipsum. Każda strona wygląda tak samo.

Zastanawiam się. Zwrot wydaje mi się znajomy.

– Lorem ipsum. Czy to nie jest...?

– Tak, to standardowy tekst, używa się go do prezentacji krojów czcionek, kompozycji kolumny i tak dalej. Jeśli chce się pokazać, jak będzie wyglądał jakiś tekst na stronie, a jeszcze go nie mamy.

Malin osuwa się po karoserii i siada na kępie trawy.

– Pranie pieniędzy – mówi w odpowiedzi na pytanie, którego jeszcze nie zdążyłem zadać. – Witamy w dwudziestym pierwszym wieku. Dzisiaj nie pierze się brudnych pieniędzy w pizzeriach czy za pośrednictwem zakładów. Teraz wszystko odbywa się w świecie cyfrowym. Mamy tu na to bardzo kreatywny przykład. Wystarczy wystawić książki do sprzedaży w sieci. Książki, którym czasami w ogóle brakuje treści. Ale mają za to niebotyczne ceny. Dzieło Igora kosztowało ni mniej, ni więcej, tylko dziewięćset koron. Potem przyjmuje się na nie zamówienia i płaci brudnymi pieniędzmi.

– Człowiek ma wtedy gruby zysk, który można opodatkować?

– No właśnie. I pieniądze stają się czyste jak śnieg. A na dodatek można nazywać siebie pisarzem.

Malin wzdycha głośno.

– Igor nie ma nic wspólnego z naszym wierszem – wtrącam.

Jej komórka brzęczy kolejny raz. Malin czyta otrzymaną wiadomość i marszczy czoło.

– Co znowu? – pytam.

– To od dawnej dziewczyny Berga – zaczyna. – Był nazywany „Buldogiem”, ponieważ...

Spogląda na mnie, z niedowierzaniem kręcąc głową. Po chwili uzupełnia:

– Bo miał dziwne zęby. Jak buldog. Zgryz krzyżowy. Dokładnie jak...

– ...ofiara numer trzy – kończę za nią. – W mordę. To jakaś aberracja. Ofiarą numer trzy jest Olle Berg.

Gdy Malin spogląda na mnie, jej oczy mrocznieją.

– Ale jeśli Berg nie żyje, to kto jest naszym sprawcą?

# Samuel

Jestem w jaskini już długo, na tyle długo, że Światło stało się tylko niewyraźnym wspomnieniem, szeptem z przeszłości, która dawno wyblakła i straciła znaczenie.

Gdy więc Światło mnie chwyta i wrywa z ziemi, początkowo jestem zdziwiony, a potem trochę wystraszony, ponieważ w jaskini zaczęło mi się nawet podobać. Moje skrzydła zrobiły się silniejsze, oczy bardziej przenikliwe i oswojone z mrokiem. Nie potrzebuję nikogo i nikt też nie potrzebuje mnie.

To pod wieloma względami idealne.

Ale Światło wdziera się we mnie. Ciągnie mnie do góry, przez ziemię, niemal na samą powierzchnię. Nie jestem w Ciele, ale nie jestem już także w jaskini. Unoszę się bezradnie gdzieś pomiędzy, jakbym utknął między dwoma wymiarami – to tak, jakby znajdować się między dwoma wagonami pociągu, móc zaglądać do obu przez okna, ale nie móc otworzyć drzwi do żadnego z nich.

W końcu znowu trafiam do Ciała, chociaż tego nie chcę. Natychmiast czuję każdą cholerną komórkę i każdy centymetr sześciennej tkanek, kości, krwi.

I czuję ból.

Ale wśród całego tego chaosu, wśród bólu istnieją też rzeczy zwyczajne, powszednie, jak mucha, która niezmordowanie odbija się od okiennej szyby, jak lekki zapach proszku do prania unoszący się z pościeli i woń świeżo zerwanej róży w wazoniku na nocnej szafce.

Słyszę też odgłosy – ktoś chodzi po pokoju – ale nie jestem w stanie unieść powiek, bo wydaje mi się, że ważą co najmniej sto kilo.

Budzi się we mnie panika, a krzyk chce się wydostać z piersi, więźnie jednak gdzieś w gardle, jak kawałek ziemniaka, który utknął w przełyku.

– Jonas?

To głos Rakel, lecz brzmi inaczej, jakbym leżał w wannie pod wodą i słuchał jej stamtąd.

Czyjaś dłoń głaszcze mnie po włosach, miękkie usta przyciskają się do mojego policzka.

– Mój kochany!

Odwracam się i wymierzam jej siarczysty policzek.

Ale jedynie w myślach, ponieważ Ciało jest równie martwe jak niedzielny stek w ladzie chłodniczej w supermarkecie.

– Moja biedna chudzinko – szepcze. – Teraz jesteś w brzuchu wieloryba.

Oszalała, myślę z miernym zainteresowaniem, odnosząc wrażenie, że patrzę na film – potwornie dziwny, ale jednak tylko film.

– Zaopiekuję się tobą – mówi dalej.

Kładzie ciepłą dłoń na mojej i kontynuuje nieco surowszym tonem:

– Ale przede wszystkim muszę dopilnować, żebyś już nigdy nie zrobił takiego głupstwa. To było strasznie nierozsądne. Nie jesteś jeszcze wystarczająco silny, żebyś mógł wyjść. Przecież mogło ci się coś stać. Mógłbyś przewrócić się na skale i zrobić sobie krzywdę albo spaść do morza czy...

Słysząc przeciągłe westchnienie, jej ręka znika, a potem rozlegają się kroki przy drugim końcu łóżka.

– Nie przeżyłabym tego, gdybym znowu cię straciła, rozumiesz?

Dobiega mnie odgłos metalu uderzanego o metal. Jakby podzwaniała monetami w portfelu. Potem odgłos bardziej przytępiony, ale też metaliczny, tylko wytworzony przez cięższe i większe przedmioty.

Może to jakieś narzędzie.

Kołdra znika z moich nóg. Chłodne powietrze owiewa mi łydki.

– Wiem, że mnie słyszysz – mówi. – I wiem, że nie możesz się ruszyć. Chociaż nie jestem potworem, nie mogę jednak pozwolić ci uciec. To dla twojego dobra.

Mojej stopy dotyka dłoń, a na pięcie czuję coś ostrego. Potem słychać uderzenie i pięta eksploduje mi nieopisanym bólem. Cała noga płonie i mimo że jestem oślepiony i właściwie poza Ciałem, wrzeszczę wniebogłosy i kopię w nią obiema nogami, aż ląduje na ścianie.

Ale tylko w mojej głowie.

Bo w rzeczywistej rzeczywistości leżę spokojnie na łóżku Jonasa, a ona uderza i uderza, a ból rozsadza mnie raz po raz.

Jestem wdzięczny, kiedy ogarnia mnie Ciemność.

Nie chcę już być w Świetle, nie chcę być w Ciele.

Zanim zapadam się głęboko, udaje mi się jeszcze przeanalizować to, co się wydarzyło, i sformułować hipotezę. Tyle że wydaje się tak obłąkańcza, tak strasznie chora, że wręcz nie mogę w nią uwierzyć.

Czy ona naprawdę to zrobiła?

Wbiła mi w piętę gwóźdź?

# Manfred

Wracam do domu późno.

Rozczarowanie, że to nie Olle Berg jest sprawcą, pozbawiło mnie energii i czuję się przygnębiony i zrezygnowany.

Tak, wiem.

Berg wciąż może być lwem, mógł zabić syna Rakel, jeśli mamy wierzyć w tę opowieść. Ale niemożliwe, aby zamordował Ahonena i Carlgrena – ponieważ jego ciało leżało w wodzie znacznie dłużej niż ich zwłoki.

Albo lwem nie jest Olle Berg i lew nie ma nic wspólnego ze śmiercią Ahonena i Carlgrena.

Nie chcąc obudzić Afsaneh, ostrożnie zamykam drzwi do przedpokoju, tymczasem ona wychodzi mi naprzeciw z kuchni. Zarzuca mi ręce na szyję i delikatnie mnie całuje. Potem oznajmia, że przygotowała moje ulubione danie – kurczaka z ryżem szafranowym – i postanowiła nie kłaść się spać, tylko poczekać, dopóki nie wrócę.

Jemy razem i rozmawiamy o tym, jak minął nam dzień.

Nie wspominam o Ollem Bergu. Nie chcę już więcej tego wałkować. Nie dzisiaj.

Gawędzimy więc o tym i owym, o całkiem zwyczajnych i nieważnych rzeczach, pierwszy raz tak strasznie długo. Otwieramy absurdalnie drogie wino, które w gruncie rzeczy powinniśmy zachować na jakąś lepszą okazję, i szybko opróżniamy całą butelkę.

Trochę wstawieni kochamy się potem w salonie na podłodze. Jakbyśmy byli nieodpowiedzialnymi, lekkomyślnymi nastolatkami.

Jakby nasza córka nigdy nie wypadła z okna na twardej asfalt.

Potem biorę prysznic.

Stoję pod strumieniem gorącej wody i spłukuję z siebie frustrację i kurz z pola kempingowego. Odpycham myśli o tak zwanej książce Igora, która zawiera tylko dwa słowa – Lorem ipsum – a której jedynym celem było pranie brudnych pieniędzy.

Po wyjściu z łazienki natykam się na nagą Afsaneh za drzwiami.

– Chyba też muszę się odświeżyć – mówi i przemyka obok mnie pod prysznic.

Idę do sypialni, siadam na łóżku i rzucam okiem za okno, gdzie za cienkimi zasłonkami ciemnieje niebo.

Przy poduszce Afsaneh stoi jej laptop. Moje spojrzenie pada na zdjęcie młodego mężczyzny leżącego na łóżku. To zdjęcie jest przerażające i zarazem piękne. Nie jestem w stanie oderwać od niego wzroku.

Sięgam po komputer i przysuwam go bliżej.

Tytuł napisany jest niebieską czcionką w starym stylu: Walka o życie.

Spoglądam niżej, wiodę spojrzeniem po całej stronie i zatrzymuję je na strofie wiersza, który otwiera ostatni wpis.

Wypłakałem morze łez

I chciałem umrzeć

Na miękkiej kępie smutku

Ale oto lew wrócił znowu

I w swej wielkiej paszczy

Przyniósł nieskalanego gołębia

Moje ciało zamienia się w bryłę lodu, a serce wykonuje salto w piersi.

To niemożliwe.

To, kurczę, niemożliwe.

Afsaneh wraca z łazienki owinięta ręcznikiem kąpielowym.

– Co to jest? – pytam ją, odwracając monitor w jej stronę.

Unosi brwi.

– Blog. A o co chodzi?

– Kto to napisał?

Afsaneh ściąga ręcznik i zarzuca go na oparcie krzesła. Potem wkłada jeden z moich starych T-shirtów.

– Nie mam pojęcia. Ta kobieta ma syna z urazem mózgu. To wszystko, co wiem. Jest bardzo aktywna na forum. Często się wypowiada.

Afsaneh siada na łóżku i głaszcze mnie po policzku.

– Jestem zmęczona – mówi, ziewając.

W milczeniu przysuwam laptop i przewijam stronę w dół.

Przed oczami miga mi znowu zdjęcie chłopaka na łóżku. Są też zbliżenia czyjejś dłoni, odwróconej twarzy i samotnej róży wazonie, z kroplami rosy na płatkach. A także pejzaże z widokami morza, gładkich skał i latarni.

Nigdzie nie widać żadnej twarzy, tylko na kilku fotkach pojawia się kobiecy profil. Zdjęcia są nieostre, a rozwiane na wietrze długie włosy częściowo zasłaniają jej rysy.

– Jest duży? – pytam.

– Duży? Co masz na myśli?

Afsaneh wślizguje się do łóżka obok mnie.

– Moglibyśmy już zgasić światło? – mamrocze niewyraźnie, kładąc mi dłoń na udzie.

– Czy dużo osób czyta jej bloga? – precyzuję.

– Co najmniej sto tysięcy. Przecież widzisz, ile ma komentarzy. Przepraszam, kochanie, ale muszę się trochę przespać.

– Mogę pożyczyć twój laptop?

– Jasne – odpowiada i wyłącza lampę.

Chociaż głowa boli mnie ze zmęczenia i organizm domaga się snu, długo siedzę w salonie i czytam bloga. We wpisach mowa jest o wszystkim, począwszy od smutku z powodu wypadku syna po codzienne kłopoty związane z opieką nad osobą z urazem mózgu.

O trzeciej nad ranem dzwonię do Malin. Odbiera po pięciu sygnałach.

– Mogłabyś przyjechać zaraz na komendę? – pytam.

Upływa kilka sekund, zanim mi odpowiada.

– Wiesz, która jest godzina?

– Wiem.

Wzdycha.

– To ważne?

– Ważne jak cholera.

Przez kilka godzin skupiamy się z Malin na gruntownej lekturze bloga i porównaniu go z naszą osią czasu. Przyglądamy się zdjęciom, czytamy też niezliczone posty i komentarze czytelników.

Słońce już wzeszło i komenda zaczęła znowu tętnić życiem: słychać trzaskanie drzwi i szybkie kroki na schodach. Na parterze rozchodzi się zapach świeżo parzonej kawy. W którymś momencie zagląda do nas Dodzieł, wysłuchuje naszych opinii, pomrukuje pod nosem i znowu znika.

– Pokaż mi jeszcze raz początek – prosi mnie Malin.

„Nazywam się Rakel. Mój syn Jonas był całkiem zwyczajnym nastolatkiem, kiedy uległ wypadkowi samochodowemu. Byłam przeszczęśliwa, gdy się okazało, że będzie żył. Nie rozumiałam, że właśnie wtedy zaczęła się walka o jego godne życie, ponieważ uległ ciężkiemu urazowi mózgu i zapadł w głęboką śpiączkę. Postanowiłam jednak, że NIGDY się nie poddam! Opiekuję się nim teraz w domu. Możecie śledzić nasze codzienne zmagania na blogu!”

– Według wiersza lew zabił syna – zauważa Malin. – Tymczasem syn żyje.

Wskazuje głową na monitor komputera, na którym widoczne jest zdjęcie młodego człowieka leżącego na łóżku.

– Wiem – mówię. – Może nie powinniśmy interpretować tej opowieści tak dosłownie, tylko raczej symbolicznie. Można uznać, że on umarł, ponieważ jest w śpiączce i nie ma z nim kontaktu.

Otwierają się drzwi i znowu wchodzi Dodzieł.

– Znaleźliśmy ją – oznajmia. – Rozmawiałem z prokuratorem. I z technikami. Nasi koledzy z IT przeanalizują jeszcze wszystko szczegółowo, ale już teraz ustalili, że bloga prowadzi niejaka Susanne Bergdorff.

W pokoju zapada cisza.

– Susanne? – rzucam.

– Wygląda na to, że woli uchodzić za Rakel – odburkuje Dodzieł. – Susanne Bergdorff urodziła się i dorastała we Flenie, w Sörmlandzie. W młodości była uważana za obiecującą pływaczkę. Jest wdową i ma niepełnosprawnego syna Jonasa. Mąż chorował na stwardnienie rozsiane i cztery lata temu zmarł w wyniku zapalenia płuc. Do wypadku syna Susanne pracowała jako farmaceutka w aptece. Chłopaka potrącił samochód, którego kierowca uciekł. Jej rodzice od dawna nie żyją, rodzinna posiadłość została sprzedana. Ojciec był pastorem Kościoła szwedzkiego, a matka zajmowała się domem. Rozwiedli się, kiedy Susanne była jeszcze mała. Aha, od jednej z jej przyjaciółek zdobyłem nazwisko jej psycholożki. Najwyraźniej chodziła na jakąś terapię.

– Gdzie ona teraz jest? – pytam.

– I tu pojawia się problem – mówi Dodzieł, po czym wzdycha i opada na krzesło obok mnie. – Nigdzie nie możemy jej znaleźć. Poczta do niej nadal przychodzi na stary adres, gdzie wciąż jest zameldowana, ale dom od ponad roku stoi pusty. Co miesiąc wpływają pieniądze z zakładu ubezpieczeń społecznych i firmy ubezpieczeniowej, które podejmuje w bankomacie w centrum handlowym Haninge. Poprosimy o zapisy z ich kamer.

– No dobrze. – Podchodzę do tablicy magnetycznej i sięgam po pisak. – Nasze trzy ofiary można połączyć na podstawie DNA.

Piszę na tablicy: Johannes Ahonen, Victor Carlgren i Olle Berg, po czym każde nazwisko oddzielnie zakreślam.

– A Ollego Berga można połączyć z Rakel alias Susanne, na podstawie zeznań – kontynuuję i zapisuję: „Susanne / Rakel”, następnie otaczam oba imiona kółkiem i prowadzę kreskę do Ollego Berga.

– Zwłoki zostały znalezione w południowych szkiełach. Możliwe, że ofiary pozbawiono życia w Stuvskär, gdzie mieszka Rakel, jak twierdzi kobieta, która chciała zgłosić zaginięcie syna.

– Ta, którą spłoszyła ta głupia gęś w ciąży? – dopytuje Dodzieł.

– Tak. To ona mówiła, że jej syn pracował w Stuvskär albo w pobliżu. Zdaje się, że to niedaleko Haninge, gdzie podejmowane są pieniądze?

– Zgadza się – potakuje Dodzieł. – Ale Susanne i Jonas Bergdorff nie są tam zameldowani. Sprawdziłem to w pierwszej kolejności.

– Rakel też nie – wtrąca Malin. – Sprawdziłam.

– Może mieszkają w Stuvskär, tylko nie są tam zameldowani – sugeruję.

Dodzieł przenosi wzrok na zdjęcie Ollego Berga. Wkłada wykałaczkę między zęby i zaczyna mechanicznie poruszać szczękami.

Rysuję kółko obok imienia Rakel, piszę w nim „lew” i prowadzę kreskę do Rakel.

– Susanne jest kluczem do całej tej historii. Jeśli ją znajdziemy, znajdziemy też faceta, którego ona nazywa lwem.

– O ile w ogóle istnieje – prycha Dodzieł.

– Profilerzy uważają, że sprawcą jest mężczyzna – mówi Malin. – Brutalna przemoc, pozbycie się ciała. Wszystko na to wskazuje.

– Tak czy inaczej, musimy znaleźć Susanne – oświadczam.

Wracam do komputera i przewijam na dół stronę, dopóki nie ukaże się konkretne zdjęcie.

Ciemne morze, fale oblewające gładkie skały. Latarnia oświetlona z boku przez nisko zachodzące słońce. Sylwetki chudych sosen wyciągających się ku niebu.

– Spróbuję skontaktować się z tą psycholog – informuję. – Gunnar, mógłbyś sprawdzić, czy Malikowi uda się ustalić, gdzie zostały zrobione zdjęcia z bloga?

– Latarnia – bąka Dodzieł, pochylając się nad komputerem i wyjmując rozżutą wykałaczkę z ust. – Myślę, że to będzie dla niego wskazówka.

– Słusznie – zgadzam się z nim. – Jest na wielu zdjęciach. W pobliżu Stuvskär raczej nie ma wielu latarni. I spytaj, czy paru kolegów nie pojechałoby do Stuvskär, żeby się trochę rozejrzeć. Przecież ktoś musi ją tam znać.

Dodzieł kiwa głową, rzuca wykałaczkę do kosza i rusza korytarzem.

# Pernilla

**W**jeżdżamy do portu w Stuvskär.

Stina nerwowo zaciska usiane palcami dłoń i patrzy na pomost, ja zaś zerkam na tylne siedzenie, na którym siedzi Björn, obgryzając brudne paznokcie.

Właśnie minęła dziesiąta.

Zatoka błyszcząca, powierzchnia morza jest niemal nieskazitelnie gładka, jakby ją ktoś wypolerował. Ale woda wciąż nosi ślady sztormów i prądów docierających z otwartego morza. One są na zawsze utrwalone w jej potężnym ciele – w ciężkich, martwych falach, które wznoszą się powoli ponad podwodnymi skałami, toczą się i przelewają przez klify z zaskakującą siłą.

Niebo jest błękitne, powietrze ciepłe, a delikatna mgła zamazuje kontury szkieł i wysp ciągnących się rzędem na horyzoncie jak naszyjnik z pokruszonego granitu. Zapach wodorostów i smoły miesza się z aromatem świeżej kawy, który dochodzi z leżącej za portową restauracją przystani dla małych jednostek. Z zacumowanych łodzi dobiegają strzępy rozmów i śmiech.

Za niecałą godzinę ma się pojawić Rakel, żeby spotkać się z prawie dwudziestoletnim Theo, który rzucił szkołę i szuka dorywczej pracy.

Theo – a w rzeczywistości Björn, który równie dobrze mógłby być Samuelem.

Rozglądam się po porcie i próbuję zdecydować, gdzie najlepiej byłoby zaparkować. Ja i Stina zostaniemy w samochodzie, ale cały czas będziemy musiały mieć Björna na oku. Przy czym Rakel w żadnym wypadku nie może nas zauważyć.

– Może tam? – sugeruje Stina, wskazując w kierunku sklepu. Stoją już przed nim dwa samochody, więc nasz nie będzie specjalnie rzucał się w oczy. Poza tym z tamtego miejsca wyraźnie widać pomost i można z łatwością obserwować każdego, kto odjeżdża samochodem.

– Masz rację – przyznaję.

Björn siedzi cicho, z tylnego siedzenia słysząc tylko odgłos obgryzania paznokci.

Parkuję, a potem idziemy ze Stiną do sklepu i kupujemy szaleńczo drogą kawę z mlekiem, zrobioną z jakichś indyjskich orzechów, wracamy do samochodu i czekamy.

– Jak on może się utrzymać – rzuca Stina, wskazując głową na sklepik – przy takim kretyńskim asortymencie? Same cudactwa i wegańskie wymysły. Kto to kupuje? To na pewno nie są rzeczy dla naszej klienteli. Na dodatek podłoga była brudna, a espedientki zamiast zainteresować się kupującymi, zajmowały się swoimi komórkami. Nic im nie pomogą nawet te eleganckie fartuchy.

Prychnąwszy z wyższością, zdejmuje przeciwsłoneczne okulary.

Mijają minuty.

Sprawdzam telefon, czy przypadkiem nie dostałam jakichś wiadomości, ale na wyświetlaczu widać tylko tapetę, na której mam wspólne zdjęcie z Samuelem zrobione w poprzednie Boże Narodzenie.

Jest na nim tak niesamowicie podobny do Isaaca – pociągła, wyrazista twarz, ciemne oczy, wystające kości policzkowe i ten sam kształt ust.

Obiecuję ci, że odzyskasz ojca, mówię do siebie w myślach, gładząc palcem fotografię. Tylko wróć do domu. Jeśli wrócisz, zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Według zegarka w komórce jest za kwadrans jedenasta. Oglądam się na Björna.

– Jesteś gotowy? – pytam. – Bo jeśli nie czujesz się pewnie, możemy jeszcze raz wszystko powtórzyć. Nigdy nie zaszkodzi. O ile nie jesteś gotowy.

Björn wyjmuje z ust serdeczny palec i patrzy na mnie.

– Spoko – mówi. – Najpierw z nią pogadam, a potem wy pojedziecie za nią do jej domu. Co w tym trudnego?

– Tylko nie podawaj jej żadnych swoich danych – upomina Stina. – Żadnego prawdziwego nazwiska, żadnego numeru komórki. Ani...

– Litości... – Björn przerywa jej z westchnieniem. – Niby po co miałbym to robić? Przecież wiadomo.

Spoglądam na niebo, na wręcz nierzeczywiście błękitne sklepienie, które oddziela nas od Niego. Potem kładę telefon obok dźwigni zmiany biegów, popijam łyk kawy, którą czuć pleśnią, i patrzę na port. Obserwuję żeglarzy, którzy na małych wózkach wiozą kanistry z wodą, turystyczne lodówki i siatki wypchane zakupami, oraz kobiety parkujące obok sklepu drogie samochody, aby uzupełnić zapasy tych – jak wyraziła się Stina – cudactw: soku z granatów, marynowanego w jałowcu pstrąga, pasty sezamowej czy na przykład sałatki z anchois i jajek.

Na molo nie ma nikogo poza sześćdziesięcioletnią kobietą czytającą na ławce gazetę. W rozpiętej bluzce i podciągniętej powyżej kolan spódnicy siedzi z bosymi nogami opartymi na torebce.

Czy to może być Rakel?

– To na pewno nie ona – mamrocze pod nosem Stina, jakby czytała mi w myślach. – Za stara. Rakel jest raczej młodsza, prawdopodobnie między czterdziestką

a pięćdziesiątką.

Przed restauracją zatrzymuje się biały mercedes suv. Wyskakuje z niego atrakcyjna blondyna po trzydziestce, której biust przeczy prawu powszechnego ciężenia, a długie różowe paznokcie przypominają szpony. Wchodzi na pomost, robi kilka kroków i rozgląda się niepewnie. W końcu kieruje się do rozkładu rejsów wiszącego na tablicy ogłoszeń. Zsunąwszy na czoło ozdobione strasem okulary przeciwsłoneczne, zaczyna go dokładnie studiować.

Spoglądam na jej auto – dwójka pięciolatek kłóci się zajadle na tylnym siedzeniu.

– Ta też nie – stwierdza bez cienia wątpliwości Stina. – Rakel chyba nie ma dzieci w wieku przedszkolnym? Poza tym z takimi pazkociami raczej trudno by jej było zajmować się niepełnosprawnym synem. Pewnie ledwie jej się udaje podetrzeć własny tyłek.

Stina śmieje się z własnego komentarza tak serdecznie, że aż podskakuje.

Odwracam głowę od pomostu i przenoszę wzrok na plac do zawracania przed sklepem i restauracją.

Za białym suvem właśnie parkuje czarne volvo kombi. Po kilku sekundach wysiada z niego kobieta z długimi i ciemnymi włosami. Ma na sobie dżinsowe szorty, cienką białą bluzkę i japonki.

Rozgląda się dookoła, a potem idzie na pomost. Siada na ławce obok sześćdziesięciolatki i czeka.

Zerkam znowu na jej samochód.

Wygląda na nowy. I drogi, ale nie ostentacyjnie. Na przedniej szybie widać plaketkę z wózkiem inwalidzkim uprawniającą do parkowania.

– Tam! – mówię szeptem, chociaż ona w żaden sposób nie może nas słyszeć.

Stina kiwa głową.

– Tak, to może być ona – bąka.

Björn otwiera drzwi.

– Tylko bądź ostrożny – upomina go matka.

– Przestań wreszcie – syczy, następnie niezgrabnym krokiem rusza w stronę pomostu.

Kobieta, która prawdopodobnie jest Rakel, siedzi spokojnie na ławce. Kiedy Björn do niej podchodzi, wstaje i podaje mu rękę. Potem oboje siadają i zaczynają rozmawiać.

Ona gestykuje, na co on wybucha śmiechem.

– Jak długo twoim zdaniem będą gadać? – pyta Stina.

– Nie wiem. Ile czasu zajmuje wywiad z osobą, która szuka pracy?

Stina nie odpowiada.

Włączam radio, ponieważ obawiam się, że ich rozmowa trochę potrwa.

Lektor wiadomości informuje, że wysokie temperatury utrzymają się jeszcze co najmniej przez tydzień i że w wyniku ciepłej pogody radykalnie wzrosła liczba utonięć. Poprzedniego dnia w kąpielisku pod Norrtälje utopiło się rodzeństwo – trzy- i czterolatek. Ich matka była na miejscu, ale gdy doszło do tragedii, szukała czegoś w internecie w swojej komórce.

– Boże, to straszne – odzywa się Stina i wyłącza radio. – Co się z tymi ludźmi dzisiaj dzieje? Wgapić się w telefon, kiedy ma się małe dzieci w wodzie? To powinno być karalne.

Właśnie zamierzam jej odpowiedzieć, gdy nagle widzę, że Rakel podnosi się z ławki.

Sekundę później wstaje także Björn, a potem oboje idą ramię w ramię w stronę czarnego volva.

– Co oni robią? – pytam.

– Nie wiem – odpowiada Stina. – Pewnie zaraz się pożegnają.

Ale zamiast tego Björn obchodzi auto dookoła i siada na miejscu pasażera.

– Dobry Boże – szepcze Stina. – Co on wyprawia? Przecież mu mówiłam, że pod żadnym pozorem nie wolno mu z nią jechać. Dlaczego on nigdy mnie nie słucha?

Volvo odjeżdża, zostawiając za sobą obłok kurzu.

– Ruszaj! – ponagla mnie Stina. Przekręcam kluczyk, wrzucam bieg i dodaję gazu, żeby pojechać za nimi.

Ale mój stary, wysłużony samochód dławi się i zatrzymuje.

– Przepraszam – bąkam. – Coś się z nim dzieje. Przy zapalaniu. Ale nie zawsze. Czasami odpala bez problemu, nawet w zimie, przy dziesięciu stopniach mrozu, a czasami...

– Jedź, na litość boską! – przerywa mi Stina.

Ponownie przekręcam kluczyk. Ze skrzyni biegów dobiega przenikliwy zgrzyt, ale samochód zrywa się i rusza, tym razem nie zatrzymując się po metrze.

Śledzimy czarne volvo i sprzyja nam szczęście. Między niego a nas wjechał duży ciemnozielony SUV, minimalizując ryzyko, że zostaniemy zauważone.

Ale raptem SUV się zatrzymuje, a my za nim.

– Wyprzedź go! – rozkazuje Stina.

– Nie mogę – krzyczę, pokazując na samochody jadące z przeciwka.

– No, wyprzedź go!

– Nie da się.

Z suva wysiadają dwie młode dziewczyny. Bez pośpiechu podchodzą do bagażnika i zaczynają wyjmować torby.

– Na litość boską – lamentuje Stina.

Naciskam pedał gazu i wyprzedzam zielone auto, co okazało się śmiertelnie groźnym manewrem, ponieważ dosłownie w ostatniej sekundzie udało mi się uciec w prawo przed wielką ciężarówką pędzącą z przeciwka.

Jej kierowca trąbi na mnie przeraźliwie.

Zwalniam i wpatruję się przed siebie.

– Halo? – odzywa się Stina.

I po chwili powtarza:

– Halo?

Spoglądam na szosę ciągnącą się przed nami jak długi wąż. Na smukłe sosny wzdłuż niej i wzgórze wystające spomiędzy zieleni.

Czarne volvo zniknęło.

# Samuel

**N**ie wiem, jak długo przebywałem w Ciemności, gdy znowu wydziera mnie z niej Światło.

Słyszę zbliżające się kroki, głosy. Śmiech.

Śmiech Rakel.

Z powrotem jestem w Ciele.

Ból w stopie jest nieznośny. Chce mi się płakać, ale brakuje mi łez. Nic się nie dzieje, jedynie pot występuje mi na skronie i serce bije coraz szybciej i szybciej.

Otwierają się drzwi. Do środka wchodzi Rakel z chudym chłopakiem o jasnych włosach.

Nie jestem w stanie na tyle szeroko otworzyć oczu, aby zobaczyć ich wyraźnie, bo gdy zbliżają się do łóżka, znikają mi z wąskiego pola widzenia ograniczonego kilkumilimetrową szczeliną pod powiekami.

– Tam jest twoje miejsce – mówi Rakel, a zaraz potem słyszę skrzypnięcie babcinego fotela. Później rozlega się szuranie taboretu po podłodze, kiedy Rakel go przesuwają i na nim przysiadają.

Czuję na dłoni ciepły dotyk.

– To jest Theo – odzywa się Rakel i lekko ściska moją rękę. – Przyszedł się z tobą przywitać. Może zacznie u nas pracować. Będzie ci dotrzymywał towarzystwa. Będzie czytał i puszczał muzykę.

Jej wargi delikatnie muskają mój policzek. Ten lekki dotyk parzy jak ogień, robi mi się niedobrze.

Chłopak mówi coś o moim nosie i Rakel mu odpowiada:

– Jonas jest karmiony przez sondę. Ale ty nie musisz się tym przejmować. Takimi rzeczami ja się zajmuję.

Chcę krzyknąć do nich, żeby zabrali z mojego nosa ten cholerny wąż, ale nie mogę. Chcę z nimi mówić, opowiedzieć o bólu w stopie, brakuje mi jednak słów. Za to ból krzyczy do mnie, wrzeszczy tak głośno, że nie słyszę nawet własnych cholernych myśli.

– Czy on z czegoś spadł? – pyta chłopak.

– Tak, kilka dni temu miał atak epileptyczny. To wygląda dużo gorzej, niż jest w rzeczywistości. Niedługo się zagoi.

Kropla potu toczy się po mojej skroni i spływa za ucho. Słyszę kliknięcie. Sekundę później czuję coś śliskiego i chłodnego na swojej dłoni.

Masują ją palce Rakel. Powolnymi, metodycznymi ruchami wsmarowują w nią coś lepkiego.

– Strasznie wysychają mu dłonie – mówi. – Natłuszczam je kilka razy dziennie. Dobrze jest też nawilżyć mu od czasu do czasu usta. Na nocnej szafce jest pomadka.

Rakel zaczyna masować mi drugą dłoń.

– Uhh – wykrztuszam, ale to brzmi bardziej jak stęknienie niż jak jakieś słowo.

– On wie, że tutaj jesteś – mówi teatralnie Rakel. Brzmi na zadowoloną i jednocześnie zdziwioną. – Wiesz co, wydaje mi się, że świetnie się nadajesz.

– Nie jestem pewny – odzywa się chłopak. – Nie mam pojęcia o chorobach i w ogóle.

– Twój jedyny obowiązek to dotrzymywać towarzystwa Jonasowi. Trochę mu czytać, puszczać muzykę. Prawie cały czas jest spokojny, ale zdarza się, że bywa pobudzony albo chwytają go skurcze. Wtedy musisz mnie zawołać. Żeby nie zrobił sobie krzywdy.

– Okej.

– Możesz trochę poczytać już teraz. Od zaznaczonego miejsca.

– Teraz?

– Oczywiście – potwierdza Rakel.

Chłopak odchrząkuje i zaczyna:

– „Nie lubisz Paryża? Nie. To dlaczego nie pojedziesz gdzie indziej? Nie ma żadnego gdzie indziej”.

Rakel wybucha śmiechem.

– Tylko żartowałam. Nie musisz czytać w tej chwili. Przecież dzisiaj jesteś tu jedynie z wizytą.

– Aha, no dobrze.

Chłopak znowu odchrząkuje.

– Ładna bransoletka.

Dłonie Rakel zamierają w pół ruchu, mój nadgarstek zostaje uniesiony nad kołdrę. Ktoś przesuwa palcami po szklanych paciorkach nawleczonych kiedyś dla mamy.

Chce mi się płakać, chociaż nie mam już łez.

– Tak, jest śliczna – Rakel mówi z przejęciem lekko drżącym głosem. – Zrobił ją dla mnie w pierwszej klasie, ale po wypadku włożyłam mu ją na rękę, aby w ten sposób zawsze być z nim. Spójrz na te koraliki!

Chłopak pochyla się nad łóżkiem. Nie widzę tego, ale czuję jego oddech – ciepłe, regularne poddmuchy powietrza przesyconego zapachem snusu.

– M-A-M-A – literuje jak jakiś pieprzony sześciolatek. I kiedy to robi, kiedy wypowiada słowo, które nie powinno wyjść z jego ust, coś się we mnie budzi i całe moje ciało napina się w spazmatycznym skurczu.

Chciałbym go uderzyć. Chciałbym mu przyłożyć, przywalić mu tak, że trafiłby prosto w ścianę głową do przodu.

Moja ręka wyskakuje do góry w kierunku jego twarzy, ale niestety zbyt mało energicznie, aby go znokautować. Zamiast tego rozpościeram palce i przeoruję mu policzek. Czuję, jak paznokcie wbijają się w jego skórę, na co on z krzykiem odsuwa się do tyłu.

– Ależ Jonas! – woła Rakel. A po chwili dodaje: – Nie rozumiem, jak to możliwe. On nigdy...

– Nic się nie stało – mówi chłopak.

– Poczekaj, przyniosę coś do dezynfekcji – rzuca Rakel.

Słyszę jej kroki oddalające się z pokoju.

Zapada cisza.

Chłopak oddycha ciężko. Po kilku sekundach słyszę charakterystyczne pstryknięcie.

On robi mi zdjęcie.

Po co?

Po chwili znowu rozlegają się kroki. To Rakel wraca.

Usiłuję wydobyć z siebie jakieś słowo, ostrzec tego dzieciaka. Bo chociaż mnie zdenerwował, kiedy dotykał bransoletki mamy, to jednak nie chcę, żeby dostał się w ręce Rakel.

Ale z moich ust nie wydobywa się żaden dźwięk. Usta nie są zdolne, żeby cokolwiek powiedzieć. Płucom brak siły. Struny głosowe odmawiają mi posłuszeństwa.

– Co ty robisz?

Głos Rakel jest spokojny, lecz pod opanowanym tonem wyraźnie wyczuwam strach i wściekłość.

– Ja tylko...

Rakel wchodzi w głąb pokoju.

– Dlaczego fotografujesz mojego syna?

– Ja... To nie... Ja tylko...

– Daj mi komórkę – rozkazuje Rakel.

Nie!, krzyczę. Nie, nie, nie!

Ale tylko w mojej głowie.

# Manfred

Sześćdziesięciokilkuletnia Ulla Waldén przyjmuje nas w swoim mieszkaniu w Gärdet, do którego niedawno się przeprowadziła. Jest elegancką kobietą o bujnych szpakowatych włosach zebranych w kucyk. Obcisły czerwony bawełniany top podkreśla jej zgrabną sylwetkę. Z uszu zwisają duże srebrne kolczyki, a szyję zdobi prosty naszyjnik z pereł, który prawdopodobnie kosztował więcej, niż może się wydawać.

Ma mocny uścisk dłoni, chociaż sama dłoń jest drobna i szczupła.

Gdy Dodzieł podaje jej rękę na powitanie, rozjaśnia twarz jednym z rzadka widywanych u niego uśmiechów. Wciąga też brzuch i lekko się pręży. Jego rysy łagodnieją, a oczy szelmowsko błyszczą. Przez krótką chwilę wygląda jak niesforny chłopiec, a nie zrzedliwy dziad, do którego jesteśmy przyzwyczajeni.

– Gunnar – przedstawia się i zapamiętałe potrzasa dłoń gospodyni, wyczarowując jeszcze jeden wilczy uśmiech.

Oboje stoją w przedpokoju o kilka sekund za długo. Gdy Malin rzuca ku mnie znaczące spojrzenie, przypominam sobie, że podobnie było z Tuulą Ahonen. W powietrzu dawało się wyczuć jakieś napięcie, dziwnego rodzaju energię przepływającą między naszym kolegą a tą drobną kobietą.

– Ach... – bąka Ulla i uśmiecha się z zażenowaniem, po czym spogląda na swoją rękę wciąż spoczywającą w dłoni Dodzieła i z ociąganiem ją cofa. – Witam pana – mówi z naciskiem.

Sekundę później ta szczególna atmosfera się ulatnia i Ulla zaprasza nas do niedużego, ale przytulnie urządzonego salonu.

Meble są z patynowanego drewna, na podłodze leżą chodniki w stylu rustykalnym, a na ścianach wiszą obrazy w bardzo żywych kolorach. Okno jest otwarte i do pokoju wpada letnie powietrze.

– Siadajcie – mówi gospodyni z rumieńcami na twarzy. – Kawy?

– Nie, dzięki – odpowiadam. – Wpadliśmy tylko na chwilę.

– Ja chętnie się napiję – wtrąca Dodzieł, prostując się dumnie.

Ulla z uśmiechem znika w kuchni.

Malin i ja siadamy na kanapie, a Dodzieł na fotelu. Na jego twarzy maluje się wręcz błogość. Malin znowu zerka na mnie, na co ja dyskretnie potakuję, dając jej do zrozumienia, że też odnotowałem osobliwą sytuację, do jakiej doszło w przedpokoju.

Kobieta wraca z kawą i cynamonowymi bułeczkami dla nas wszystkich. Stawia srebrną tacę na niskiej ławie, na której robi więcej miejsca, przesuwając na bok wazon z różowymi piwoniami oraz kilka czasopism. Następnie siada na taborecie, zakłada okulary w czerwonej oprawce i spogląda na mnie.

– Czyli chcecie porozmawiać o Susanne Bergdorff?

– Tak – potwierdzam. – Oczywiście zdaję sobie sprawę, że obowiązuje panią tajemnica zawodowa, ponieważ jednak prowadzimy śledztwo w sprawie kilku prawdopodobnych morderstw, jest pani z niej zwolniona.

– Wiem o tym – odpowiada ze spokojem Ulla. – W jaki sposób mogłabym wam pomóc? Czy Susanne jest o coś podejrzana?

Unikam bezpośredniej odpowiedzi na to pytanie i w zamian sugeruję:

– Czy mogłaby nam pani trochę o niej opowiedzieć?

Gospodyni kiwa głową i poprawia sobie spódnicę na kolanach.

– Susanne należy do tych osób, które się pamięta – zaczyna. – Przyszła do mnie, ponieważ była załamana. Lekarz poradził jej, aby zwróciła się do terapeuty.

Przerywa, wiedzie spojrzeniem po pokoju i po chwili mówi dalej:

– Nie ma jej czego zazdrościć. Prześladowana w dzieciństwie. Trudności w nawiązywaniu kontaktów. Żadnych bliskich przyjaciół. Rodzice umarli wcześniej, zdaje się, że oboje na raka. Potem zachorował jej mąż, na stwardnienie rozsiane, i też umarł. Można by pomyśleć, że to wystarczy, że już dosyć przeszła. Ale nie. Później syn uległ straszному wypadkowi.

Milknie i spogląda w sufit.

– Opiekowała się mężem sama, w domu. Do samego końca. A teraz zajmuje się synem. Poświęciła się, najpierw dla męża, potem dla syna. Wielu ludzi uważa, że to piękne, ale ja jestem innego zdania. Moim zdaniem powinna myśleć więcej o sobie. I to jej powiedziałam.

– Czy wie pani, na co konkretnie umarł mąż? – pyta Malin.

Ulla kręci głową.

– Nie znam szczegółów, pamiętam tylko, że wszyscy byli zaskoczeni. Owszem, chorował na stwardnienie rozsiane, ale o ile wiem, jego stan nie był poważny. Jednak któregoś dnia po prostu odszedł. Susanne bardzo to przeżyła.

Zegar ścienny wybija pierwszą.

– Czy ma pani z nią jeszcze kontakt? – chcę wiedzieć.

Kobieta uśmiecha się smutno i poprawia sobie okulary. Potem znowu kręci głową.

– Nie, ja już nie pracuję. Nie przyjmuję pacjentów. Przeprowadziłam się do Sztokholmu, aby po rozwodzie być bliżej swojej córki Grety.

Gdy wspomina o rozwodzie, zerka przelotnie na Dodziela, który uśmiecha się i unosi wyżej na wpół zjedzoną bułeczkę.

– Wyśmienita – mówi i wydaje się tak zachwycony, że można by pomyśleć, iż nasza gospodyni upiekła coś nadzwyczajnego, a nie zwykłe bułeczki, na dodatek, szczerze mówiąc, dosyć suche.

Ulla rozpromienia się jeszcze bardziej, a rumieńce na jej twarzy się pogłębiają.

– Och, dziękuję – bąka.

– Nie wie pani, czy Susanne miała jakiegoś przyjaciela po śmierci męża? – pytam.

– Nie – odpowiada była terapeutka.

– A czy imię Rakel coś pani mówi? – wtrąca Malin.

– Rakel? Nie, nie sądzę. Brzmi trochę biblijnie. To nie moja dziedzina.

Utkwiwszy wzrok w chodniku na podłodze, zaczynam się zastanawiać, czy ta rozmowa cokolwiek nam da, bo chociaż elegancka pani psycholog jest bardzo miła, raczej nie ma żadnej wiedzy, która pozwoliłaby nam posunąć nasze śledztwo do przodu.

– Czy Susanne interesowała się tematyką biblijną? – pyta Malin, notując coś w notesie.

Kobieta lekko unosi wypielęgnowane brwi.

– No cóż, nie wiem, czy była osobą mocno wierzącą, jeśli to miała pani na myśli. Ale jej ojciec był pastorem, więc dosyć dobrze znała Biblię i często nawiązywała do biblijnych przypowieści.

– Pamięta pani jakieś? – dopytuję.

– Niestety nie. Już dawno wyleciały mi z pamięci. Chociaż... Tak, no jasne! Ale jestem głupia. Opowiadała o Jonaszu w brzuchu wieloryba. Uważała, że jej syn jest uwięziony w brzuchu wieloryba, dokładnie tak jak Jonasz. Że więzi go choroba.

Na chwilę zapada cisza. Malin rzuca szybkie spojrzenie w moją stronę, a następnie kontynuuje:

– Udało się pani jej pomóc?

– Chyba tak. Susanne nie miała żadnych bliskich przyjaciół, a ze mną przynajmniej mogła porozmawiać. Poza tym starałam się dopomóc jej w zbudowaniu bazy kontaktów, sieci ludzi, z którymi miałyby możliwość komunikowania się, interakcji, zarówno we Flenie, jak i wirtualnie. Przecież w internecie jest masa forów i różnych innych platform skupiających osoby w podobnej sytuacji. Zachęcałam ją, aby się do nich przyłączyła.

Malin przestaje pisać, ale wciąż nie podnosi wzroku znad notesu.

– I posłuchała pani? – pytam.

– Tak, oczywiście. Zwłaszcza po śmierci męża. Zyskała wielu przyjaciół w sieci, którzy pomogli jej przetrwać czas żałoby. Widziałam po niej, jak ich wsparcie ją wzmacnia. Ona z kolei pomagała im i to było w tym wszystkim najpiękniejsze. Ale potem zdarzył się wypadek syna. Po nim zamknęła się w sobie. Przychodziła do mnie coraz rzadziej. Początkowo niepokoiłam się o nią, później jednak pojęłam, że dzieli się wszystkim, co ją spotkało, ze swoimi nowymi przyjaciółmi z sieci.

– Czy według pani mogłaby być niebezpieczna dla siebie albo dla innych? – wtrącam.

– Niebezpieczna?

Kobieta wydaje się zdezorientowana, jakby nie zrozumiała pytania.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, aby Susanne była w stanie kogoś skrzywdzić – odpowiada z naciskiem po chwili. – Nie. Ona w żadnym razie nie wykazywała agresji, jeśli o to panu chodziło. Jej największy problem polegał na tym, że była zamknięta do tego stopnia, że nie potrafiła mówić o wszystkim.

Słysząc buczenie komórki Malin.

Wyjmuje ją, spogląda na wyświetlacz, a potem odwraca go w moją stronę, abym mógł przeczytać.

To wiadomość od Malika.

„Susanne Bergdorff mieszka w Marholmen niedaleko Stuvskär. Spotkajmy się na komendzie za 15 minut”.

– Tak, to musi być trudne – stwierdzam, próbując zakończyć rozmowę w miarę zręcznie. – Jeśli nie potrafi się mówić o tym, co najbardziej boli. W końcu nie ma wiele sposobów...

– Och, zawsze jest jakieś wyjście – przerywa mi z uśmiechem psycholożka. Jej oczy błyszczą i pierwszy raz podczas naszej rozmowy dostrzegam u niej autentyczne ożywienie. – Nie zawsze trzeba koniecznie mówić – dodaje. – Ja mówiłam przez całe życie. Również zawodowe. A ktoś zamiast tego może pisać. Przełąć na papier to, czego nie potrafi wypowiedzieć. Susanne odnalazła swój głos właśnie w pisaniu. Tak, tworzyła wiersze. Uważam, że były piękne.

# Samuel

**P**rzykro mi – mówi Rakel i głaszcze mnie po policzku. – Nie wiem, kim był ten Theo i dlaczego cię fotografował, ale w tej sytuacji nie możesz tu zostać.

Trzaskają drzwi, jej kroki się oddalają, a ja jestem sam ze swoim bólem i niepewnością.

Nie możesz tu zostać.

Co miała na myśli?

Chwilę później znowu trzaskają drzwi i kroki całkiem zamierają.

Myśli stają się klarowniejsze i moje ciało trochę się ożywia. Mogę poruszać palcami dłoni, ale nie rękami czy nogami.

Zrozumiałem, że szprycuje mnie narkotykami.

Tylko nie pojmuję po co – po co to robi? Co jej to daje? Chorą przyjemność, że trzyma mnie w łóżku, smaruje mi ręce kremem i wpycha mi do nosa tę cholerną rurę?

Kroki na dworze słychać coraz bliżej, ale oprócz nich słychać też coś jeszcze – grzechotanie przy schodach, głuchy, metaliczny stukot, jakby coś uderzało w blachę.

Kroki rozlegają się w pokoju.

– Musimy się spieszyć – mamrocze Rakel, nie wyjaśniając nic więcej.

Jedna ręka chwytą mnie za prawe ramię, a druga za prawą nogę i ciągnie mnie na brzeg łóżka.

Walczę ze wszystkich sił, żeby uchylić powieki, lecz na próżno. Za to ręce ożyły – poruszam palcami i zaciskam dłonie w pięści, raz za razem. Próbuję tchnąć życie w przedramiona. Robię, co mogę, aby chwycić się materaca i uniemożliwić jej ściągnięcie mnie na podłogę, jednak mi się nie udaje.

Sekundę później kant łóżka znika pod moim prawym ramieniem.

Bezsilnie ześlizguję się z materaca, ale nie na podłogę; ląduję na czymś twardym, co wydaje mi się jakąś dużą skrzynią.

Rakel kładzie mnie na boku, łapie za jedną nogę, zgina ją i wpycha do środka skrzyni. Potem to samo robi z drugą nogą, a na koniec przysuwa mi ręce do piersi, wskutek czego leżę w pozycji embrionalnej.

Kroki znikają z pokoju. Mój policzek dotyka zimnej blachy.

Czuję suchą, popękaną skórę na dłoniach i ciepłe koraliki bransoletki. Moje ciało chciałoby wyć i krzyczeć, ale jestem jak pustynia. Nie wiem, co ona we mnie wpompowała.

Z przedpokoju znowu zbliżają się kroki.

Kilka sekund później spada na mnie coś miękkiego – chyba koc albo jakaś płachta.

Rakel unosi cały pojemnik – teraz moja głowa znajduje się wyżej, a nogi niżej. Kiedy blacha pode mną zaczyna drżeć, wszystko staje się jasne.

Leżę w taczce.

Ta pieprzona wariatka upchnęła mnie w taczce, tak samo jak wcześniej zrobiliśmy z Igorem.

Wywozi mnie przez drzwi i sprowadza taczkę po rampie. Potem pcha ją na wprost, słyszę odgłos kamyków zgrzytających pod kołem, co oznacza, że idzie w stronę drogi.

Taczka podskakuje, moja głowa raz po raz obija się o twarde dno, a ja nie mogę nic na to poradzić. Czuć w niej ziemię i trawę. Do ust wpadają mi ziarna piasku.

Myślę o mamie i Alexandrze. O tym, że zrobiłbym dosłownie wszystko, byleby tylko je odzyskać. Myślę też o tym, jakie to wszystko porąbane, bo to ja planowałem oszukać Rakel, okraść ją, a tymczasem to ona okazała się the bad guy.

Piękna Rakel, zawsze taka pełna zrozumienia. Która smażyła mi naleśniki i przypominała mamę. Która lubi róże i kąpie się rano w morzu, no i uratowała mi życie.

Czy wywozi mnie dokądś taczką?

To tak szalone, że to musi być kara od Boga.

Ale nawet w takiej chwili nie potrafię uwierzyć, że ktoś taki istnieje.

Nawet w takiej sytuacji nie liczę na opiekę nieba. Bo gdyby Bóg naprawdę istniał, nie dopuściłby do tego, żeby ta kobieta zrobiła coś tak chorego. Nie, zgniótłby ją w palcach jak owada, zanim zdążyłaby wypowiedzieć „krem do rąk”.

Rakel przejeżdża przez jakiś wybój i moje ręce wysuwają się za kant taczki.

Dlaczego nic nie mówi? Dlaczego nie tłumaczy, z jakiego powodu tak postępuje?

Przecież to nieważne. I tak zaraz umrzesz, ty gnojku.

Oczy mnie pieką i mam wrażenie, jakbym pod powiekami rzeczywiście miał łyzy. Może prochy przestają działać, może rzeczywiście zaczęłam płakać.

Coś kłuje mnie w policzek, coś ostrego. Jakby szpilka albo mała sosnowa igła. Ogromnym wysiłkiem woli unoszę jedną powiekę, próbuję dojrzeć, co to jest, ale ta rzecz leży zbyt blisko.

Taczka podskakuje, pomarańczowy drobiazg toczy się trochę dalej i ląduje kilkadziesiąt centymetrów od mojej twarzy.

To biedronka, ale nie prawdziwa. Wygląda jak kolczyk.

Taczka się zatrzymuje, moja głowa opada, a nogi wyskakują do góry. Przez kilka sekund jest cicho, a potem słychać brzęk kluczy i skrzypnięcie furtki.

Głowa znowu wędruje do góry i jadę dalej.

Potem czuję, że Rakel skręca. Płachta, którą mnie przykryła, łaskocze mnie w policzek; strasznie chciałbym się podrapać, nie mogę się jednak ruszyć.

Po kilku sekundach dociera do mnie, dokąd mnie wiezie. Ściska mi się żołądek, a serce chce wyrwać się z piersi, niczym zając złapany w śmiertelną pułapkę. W głowie mam tylko jedną myśl: w jakiś sposób muszę się stąd wyrwać, muszę ją powstrzymać. Ale ręce i nogi wciąż mnie nie słuchają. Leżę bezsilnie na boku, z rękami zwisającymi z taczki.

Po omacku próbuję znaleźć coś, co mógłbym chwycić – cokolwiek, igłę czy kamień – ale wokół jest tylko powietrze, ciepłe letnie powietrze, które mnie owiewa.

Umrę dzisiaj i nic tego nie powstrzyma.

Umrę dzisiaj, mamó.

Desperacko zaciskam dłonie i nagle wpadam na pewien pomysł.

Nie wiem, czy to zadziała, ale muszę spróbować. W końcu to tylko prosty matematyczny problem.

Żeby dojść tam, dokąd zmierza Rakel, trzeba zrobić dwieście pięćdziesiąt dwa kroki, a od furtki zrobiła nie więcej niż dziesięć.

Prowadzę prawą dłoń do lewej i szybko przeliczam. A potem zaczynam liczyć jej kroki.

Raz. Dwa. Trzy...

# Pernilla

S toimy w porcie, gdy nagle Björn pojawia się na drodze.

Pędzi, jakby goniło go stado wilków. Jego długie, chude nogi niemal nie dotykają ziemi. Twarz ma czerwoną, a jasne włosy rozwiewają się wokół głowy.

– Tu jesteśmy! – woła Stina, wymachując obiema rękami tak energicznie, że jej bransoletki grzechoczą jedna o drugą.

Zaczynamy biec w jego stronę i wszyscy troje spotykamy się na wysokości lokalnego muzeum.

Björn rzuca się w ramiona matki i dyszy, nie mogąc wydobyć z siebie słowa.

– Mówiłam ci, żebyś z nią nie jechał – ruga go Stina – ale ty nigdy mnie nie słuchasz. Ile jeszcze razy będę musiała...

– Eee... – wykrztusza Björn pomiędzy sapnięciami. – Inaczej nie byłoby wiadomo, gdzie mieszka. Chciała, żebym poznał Jonasa.

– Co z twoją twarzą? Jest cała zakrwawiona.

– Pozwólmy mu najpierw trochę odsapnąć – sugeruję, podając Björnowi butelkę wody.

Bierze ją ode mnie bez słowa i opróżnia duszkiem. Potem pochyla się do przodu, opiera dłonie na kolanach i spluwa na drogę.

– Wszystko się zgadza – mówi wreszcie, prostując się znowu. – Ona ma niepełnosprawnego syna. Widziałem go. Nawet zrobiłem mu zdjęcia. To on mnie podrapał. Nie wiem dlaczego, bo wyglądał na całkiem nieświadomego. Ale ta Rakel jest dziwna. Próbowала mnie zatrzymać, kiedy chciałem wyjść.

– Boże Przenajświętszy! – wykrzykuje Stina, zasłaniając sobie usta.

– Przestań – rzuca Björn i spogląda na matkę z dezaprobatą. – Przecież w końcu uciekłem. Ale przez całą drogę, a to są chyba jakieś trzy kilometry, strasznie się bałem, że ruszy za mną samochodem, dlatego biegłem przez las. Wiesz, jakie to męczące? Spróbuj kiedyś sama uciekać przez las, to się przekonasz.

Stina spogląda na mnie, potem wznosi oczy do nieba i kręci głową.

– Dlaczego nigdy nie możesz zrobić tak, jak ci się mówi? Jak to możliwe, że ty, taki pojętny uczeń, nie umiesz wykonać najprostszej instrukcji? Co ty masz w głowie?

– Mogę zobaczyć te zdjęcia? – pytam.

– Jasne – odpowiada Björn i wyjmuję komórkę z kieszeni. Najpierw wbija kod, potem kilka razy przeciąga palcem po wyświetlaczu i w końcu podaje mi aparat.

Przyglądam się fotkom.

Młody mężczyzna na szpitalnym łóżku. Twarz ma odwróconą, poza tym ukrytą w cieniu. Wydaje się, że jest spuchnięta i pełna strupów. Ciało chude, wręcz zmarniałe. Jedna ręka leży na kołdrze, a wokół nadgarstka...

Jezusie.

Wokół nadgarstka ma bransoletkę.

Przykładam kciuk i palec wskazujący do wyświetlacza i powiększam zdjęcie. Widzę szklane paciorki, rozpoznaję nawet dwie litery.

Nie mam wątpliwości.

Człowiek na łóżku ma na ręce bransoletkę, którą zrobił mi Samuel.

– Musisz mi pokazać, gdzie ona mieszka – mówię szeptem.

– Nie. Pójdziemy zaraz na policję – oznajmia stanowczo Stina.

– Przecież można zadzwonić na komisariat – sugeruje Björn.

– Dobrze – zgadzam się. – Ale zaraz potem pojedziemy do tej Rakel. Ona musi wiedzieć, gdzie jest Samuel.

Pół godziny później stoję na drodze naprzeciwko domu Rakel i patrzę na ładną białą drewnianą willę z zielonymi okiennicami.

Stina i Björn pojechali spotkać się z policjantem, z którym wcześniej rozmawialiśmy przez telefon.

Ogrodzenie wokół działki sięga mi prawie do piersi, co trochę mnie dziwi, bo po co robić aż taki wysoki płot przy letnim domku w okolicy tak spokojnej, że policję wzywa się tutaj pewnie tylko po to, żeby zdjęła kota z drzewa.

Przed kim się tu odgradzać?

A może chodzi o coś odwrotnego: o zamknięcie kogoś w domu – jak inwentarza w zagrodzie?

Na samą myśl przechodzą mnie ciarki, a przed oczami pojawia mi się twarz Samuela.

– Zawiodłam cię – mamroczę pod nosem. – Dopuszczałam do tego, żeby stała ci się krzywda. Za każdym razem, kiedy potrzebowałeś pomocy, jedynie się modliłam i karmiłam cię tranem z rekina. Ale teraz już z tym koniec. Przyszłam po ciebie.

Brzęczy moja komórka. Spoglądam na wyświetlacz i czytam wiadomość przysланą przez policjanta o imieniu Manfred.

Nigdy nie słyszałam bardziej niesamowitej i przerażającej historii niż to, co opowiedział nam przez telefon o Rakel i wierszu. Wydaje się tak nieprawdopodobna, że jestem skłonna uwierzyć, że jest prawdziwa.

Nikt nie mógłby wymyślić czegoś takiego.

Przypominam sobie tamtą smutną strofę, którą czytałam tyle razy, że znam ją na pamięć.

Wypłakałem morze łez

I chciałem umrzeć

Na miękkiej kępie smutku

Ale oto lew wrócił znowu

I w swej wielkiej paszczy

Przyniósł nieskalanego gołębia

A więc to ona napisała ten wiersz. I ona – albo co bardziej prawdopodobne, jakiś pomagający jej mężczyzna – ma związek z brutalnymi zbrodniami.

Lew.

Zastanawiam się.

Coś mi się nie zgadza.

Po pierwsze, syn Rakeł, w przeciwieństwie do tego, co jest w wierszu, nie umarł. Przecież widziałam go na zdjęciu zrobionym przez Björna.

Po drugie: Rakeł i Jonas, czyli Rachela i Jonasz, to imiona hebrajskie, a Leo to imię raczej łacińskie. Poza tym trzeba by usunąć jedno „l” i przestawić litery w imieniu Olle, żeby zrobić z niego Leo.

Czy to nie trochę dziwne?

Próbuję sobie wytłumaczyć, że moje wątpliwości biorą się z tego, iż chodziłam do szkółki biblijnej. A policjanci i wszyscy ich eksperci z tytułami i świetnym wykształceniem doskonale wiedzą, co mają robić.

Ale coś mi przeszkadza w tym, jak tę opowieść interpretuje Manfred.

Lew i baranek.

Baranek i lew.

Przed oczami pojawia mi się obraz samolubnej twarzy pastora. Stoi w salce zboru przed malowidłami ilustrującymi Pismo Święte.

Mimo gorąca przeszywa mnie lodowaty dreszcz. Po chwili obraz blednie, a ja nie potrafię zrozumieć, co mógł znaczyć.

Spoglądam znowu na komórkę.

Jeszcze raz czytam wiadomość od Manfreda.

Pisze w niej, że w żadnym wypadku mamy nie wchodzić ani nawet nie zbliżać się do domu, w którym Rakeł mieszka ze swoim synem. Chce, żebyśmy poczekali na nich w Stuvskär.

Telefon wysuwa mi się z ręki i z głuchym pacnięciem upada na trawę. Chusteczkę do nosa, którą trzymałam w drugiej ręce, porywa słaby wiatr i po paru metrach

zawiesza ją na małej sadzonce sosny, której na przekór wszystkiemu udało się przetrwać w szczelinie wielkiego głazu przy drodze.

Odwracam się i zaczynam iść w kierunku wysokiego ogrodzenia.

Do diabła z Kościołem i całą świętością!

Do diabła z pastorem i zgromadzeniem!

Do diabła z ojcem i jego kłamstwami! I do diabła z gadką tego policjanta, który chce mi zabronić szukania własnego syna.

– Idę po ciebie, Samuelu – szepczę pod nosem. – Nic mnie nie obchodzi, co mówią inni. Czekalesz wystarczająco długo. Ale teraz już idę.

# Manfred

**S**amochód przeskakuje nad progami zwalniającymi na drodze. Jeśli nawet bolą mnie kolana, to w ogóle tego nie czuję, ponieważ jestem całkowicie skoncentrowany na tym, żebyśmy jak najszybciej wydostali się z miasta.

Przed chwilą rozstaliśmy się z Dodziełem i Malikiem, którzy wzięli drugie auto i pojechali spotkać się w porcie w Stuvskär ze Stiną i Björnem Svenssonami oraz z Pernillą Stenberg.

Ja i Malin pędzimy prosto do domu Susanne.

Malik wykonał kawał dobrej roboty: latarnia widoczna na blogu Susanne nosi nazwę Klockaren. To jedna z najstarszych latarni na wschodnim wybrzeżu, nie ma drugiej, która wyglądałaby podobnie.

Kierując się widokiem otwartego morza, innych wysp, a także pozycją słońca w stosunku do latarni, Malik wyciągnął wniosek, że zdjęcia były robione na Marholmen, wysepce leżącej kilka kilometrów na wschód od Stuvskär. Znajdują się na niej tylko dwie nieruchomości. Jak ustalił Malik, jedna z nich jest własnością starszej pani, Maj-Lis Wennström, która w ostatnich latach wynajmuje swój dom. Jest córką ostatniego latarnika z Klockaren, ale w ubiegłym roku przeniosła się do ośrodka opieki. Ponieważ willa była częściowo przystosowana do potrzeb osób niepełnosprawnych, prawdopodobnie bardzo to odpowiadało Susanne alias Rakel. Dodzieł rozmawiał z drugim stałym mieszkańcem wysepki i uzyskał od niego potwierdzenie, że w domu po latarniku mieszka ze swoim synem kobieta o imieniu Rakel.

– Malik świetnie się spisał – mówię do Malin. – I chociaż nie podoba mi się, że Pernilla Stenberg zabawiła się w prywatnego detektywa, mamy dwa niezależne źródła wskazujące na tę willę.

Malin zerka na zegarek.

– Jesteś pewien, że nie lepiej byłoby poczekać na kolegów z Haninge?

Nie odpowiadam, tylko wjeżdżam na drogę szybkiego ruchu i przyciskam gaz do dechy.

– Włączyć? – pyta znowu Malin.

Potakuję ruchem głowy, na co ona uruchamia syrenę i sygnał świetlny.

– Dlaczego tak pędzimy?

– Nie wiem dokładnie, o co chodzi, ale coś w tym wszystkim nie trzyma się kupy.

Przerzucam na niższy bieg, dodaję gazu i wyprzedzam ciągnik, który z trudem pnie się po długim i niezbyt stromym wzniesieniu.

Malin przez chwilę siedzi cicho, ale potem się odzywa:

– Dlaczego powiedziałaś tej Pernilli Stenberg o wierszu?

– Byłem ciekawy, czy wie o nim coś więcej. Czy zinterpretowała go w taki sam sposób jak my.

– I?

– W ogóle nie przyszło jej do głowy, że zwierzęta mogą symbolizować konkretne osoby. Wiedziała natomiast, że Rakel znaczy jagnię, a Jona to po hebrajsku gołąb. Sprawiała wrażenie dosyć dobrze zorientowanej w... tematyce biblijnej.

Zastanawiam się przez sekundę i kontynuuję:

– Poza tym wydała mi się jakaś pokręcona.

– W jakim sensie?

– Gadała całą masę różnych zbędnych rzeczy. Że boli ją kark, bo spała w samochodzie. Że ma ze sobą sprzęt biwakowy, bo właściwie zamierzała jechać na wycieczkę z dziećmi. Ale w końcu się na nią nie wybrała, ponieważ pokłóciła się z pastorem, któremu ufała przez całe życie, a który okazał się prawdziwym szarlatanem. Sama słyszysz, że coś z nią chyba nie tak.

Malin zastanawia się nad tym w milczeniu, a potem mówi:

– Zadzwoiłam do mamy.

W pierwszej chwili jestem tak zaskoczony, że nie mogę wykrztusić słowa.

– Sama już nie wiem – ciągnie Malin. – Ci wszyscy zabici czy zaginieni i ich zrozpaczeni bliscy... Tak się nad tym wszystkim zastanawiałam... Chybabym nie chciała, żebyśmy całkiem straciły ze sobą kontakt. Mimo wszystkiego, co się zdarzyło. W końcu... – wzdycha głęboko i dodaje cicho: – ...mnie wychowała. I kochała. No i w ogóle.

– Cudownie – rzucam, starając się zapanować nad drzeniem głosu. – Spotkacie się?

– Spokojnie. Na razie nie chcę naciskać.

Przed nami robi się gęsto i muszę zwolnić.

– Cholera – rzucam.

– Wypadek – obojętnie stwierdza Malin.

Stoimy za czerwonym volvem wyładowanym bagażami, dziećmi i z psem, któremu cieknie z pyska.

Kierowcy w samochodach z przodu trąbią, a po lewym pasie mijają nas z wielką szybkością jakiś motocyklista.

Spoglądam na zegarek i na korek przed nami, który nie rusza się nawet o milimetr. Sięgam po komórkę i próbuję zadzwonić do Pernilli Stenberg, aby się upewnić, że czeka w Stuvskär na Malika i Dodzieła. Sygnały rozbrzmiewają jeden za drugim, nikt nie odbiera.

W końcu włącza się poczta.

„Witam, dodzwoniłeś się do Pernilli. Pernilli Stenberg. Zostaw wiadomość, a niedługo się usłyszymy. To znaczy, oddzwonię. Później”.

– Cholera – rzucam znowu i patrzę na korek.

– Mam sprawdzić przez radio, co się stało? – pyta Malin.

– Podjedziemy do przodu i sami zobaczymy – odpowiadam, po czym odbijam w lewo i wyprzedzam długi sznur pojazdów.

Ostrożnie i w skupieniu jadę pod prąd, ale z naprzeciwka nic się nie zbliża, co znaczy, że gdzieś dalej rzeczywiście nastąpiła kompletna blokada.

Mniej więcej po kilometrze widzę migające niebieskie światła, a kilka sekund później pośrodku szosy wyłania się także karetka pogotowia i dwa policyjne radiowozy.auta osobowe stojące w korku są puste, a większość drzwi jest otwarta, jakby pasażerowie opuścili pojazdy w wielkim pośpiechu.

Wyłączam sygnał świetlny i głosowy, uchylam szybę i podjeżdżam do policjanta rozmawiającego z kobietą, która trzyma małe dziecko na biodrze.

– Dzień dobry – odzywam się, pokazując legitymację. – Wypadek?

Młody ciemnowłosy policjant kiwa głową.

– Furgonetka wjechała na jeźdźca. Zrobił się straszny chaos.

Rzucam okiem do przodu, ale widzę jedynie tłum ciekawskich, falujący tam i z powrotem jak niespokojne morze. Wygląda na to, że prawie każdy trzyma komórkę w ręce i robi zdjęcia albo filmuje. Niektórzy posadzili sobie dzieci na ramionach, aby mogły lepiej zobaczyć.

– Co się, u diabła, dzieje z tymi ludźmi? – wzdycha Malin.

Młody policjant z z troskaniem kiwa głową.

– Ratownicy medyczni prawie nie mogli się przedostać przez to zbiegowisko gapiów, którzy tylko pstrykali fotki, zamiast pomóc temu, co spadł z konia.

– Moglibyśmy przejechać? Mamy strasznie pilną sprawę. – Specjalnie tak mówię, aby dać do zrozumienia, że wolno nam jechać tak szybko, jak chcemy, a także złamać wszelkie możliwe przepisy drogowe.

– Sprawdzę, co się da zrobić – odpowiada mundurowy i podchodzi do innego funkcjonariusza.

Po krótkiej wymianie zdań między nimi ten drugi coś woła, a sekundę później ludzie zaczynają się rozchodzić.

Ciemnowłosy policjant macha do nas, na co ruszam powoli przez morze gapiów i obok personelu medycznego. Kątem oka dostrzegam konia leżącego na boku. Nie rusza się, a asfalt dookoła niego jest pokryty świeżą krwią. Jeden ze strażaków stara się opasać brzuch zwierzęcia łańcuchem. Domyślam się, że chodzi o ściągnięcie go z jezdni, aby odblokować przejazd.

Na poboczu stoi biała furgonetka, a obok niej leży starszy pan w staromodnej tweedowej marynarce do jazdy konnej i rozmawia z sanitariuszem, który przy nim przykucnął.

Minąwszy miejsce wypadku, odbijam na pusty prawy pas i przyspieszam tak gwałtownie, że aż wbija mnie w siedzenie.

– Powinniśmy być za piętnaście minut – mówię. – Miejmy nadzieję, że nie będzie za późno.

# Pernilla

**D**łonie mam podrapane i pełne drzazg. Wyciągam jedną po drugiej, a potem oglądam się na wysoki płot za moimi plecami.

Ojciec byłby ze mnie dumny, zawsze bowiem czułem się zawiedziony tym, że w szkole byłem kiepska z wufu – wynagradzały mu to stopnie z religii, przynajmniej częściowo.

Wąską żwirowaną ścieżką biegnącą przez trawnik ruszam w kierunku wejścia. Kamyki chrzęszczą mi pod podeszwami, robię więc krok w prawo i idę dalej po miękkiej, bujnej trawie.

Otoczają mnie drzewa owocowe, a po prawej ręce mijam okazałą rabatę czerwonych róż. Ciężki i słodki zapach przepięknych kwiatów wisi w dusznym powietrzu.

Podchodzę do schodów prowadzących do wejścia, pokonuję kilka stopni i zatrzymuję się w połowie drogi. Na najwyższym schodku stoi torba podróżna, a drzwi są otwarte.

Waham się. Mam zadzwonić czy po prostu wejść?

A co, jeśli ta kobieta, która podaje się za Rakel, nie ma nic wspólnego ze zniknięciem Samuela? Byłoby niesamowicie głupio, gdybym została przyłapana na tym, że próbuję zakraść się do domu pracodawczyni Samuela oraz jej niepełnosprawnego syna. Może to byłoby nawet nielegalne.

Nie mogę zrobić nic nielegalnego.

Na dodatek: kto wie, czy w domu nie ukrywa się człowiek, o którym wspominał policjant – pomocnik, lew.

Ale potem pomyślałam o Samuelu. Jak bardzo mi go brak. O wszystkim, co nie zostało do tej pory między nami powiedziane. O tym, że jestem teraz jedyną osobą, która go szuka, jedyną, na której może polegać.

Dla własnego dziecka robi się wszystko, wszystko i jeszcze trochę.

– Jeśli cię odnajdę, obiecuję, że zwrócę ci ojca – szepczę do siebie. – I stanę się lepszym człowiekiem.

Zastanawiam się przez chwilę.

– I schudnę dziesięć kilo – dodaję.

Wchodzę do przedpokoju i lekko przymykam za sobą drzwi, aby nie zatrzasnął ich wiatr. Sekundę później i tak zamykają się same z głuchym stuknięciem, jakby były wykonane z metalu.

Serce podskakuje mi w piersi. Zamieram w pół kroku i nasłuchuję, ale wszędzie panuje cisza.

Nikt nie idzie. Nikt nie woła. Nie wyskakuje żaden lew z ostrymi kłami.

Przedpokój wygląda jak przeniesiony prosto z obrazu Carla Larssona.

Ściany pokrywa niebieska boazeria, zwieńczona u góry staroświecką bordiurą w kwiaty. Na wieszaku wisi kilka męskich okryć – bluzy z kapturem, jedna parka i jedna cienka puchowa kurtka. Pod ścianą stoi nieduży szary stolik z modnie patynowanego drewna, a na nim szklany wazon z bukietem świeżych czerwonych róż.

W głębi przedpokoju widzę dwie czarne walizki.

Ktoś akurat przyjechał albo właśnie zamierza wyjechać.

Robię kilka ostrożnych kroków, ale zaraz się zatrzymuję i ściągam buty. Przez otwarte drzwi dostrzegam puste szpitalne łóżko. Kawałek dalej stoi duży metalowy stelaż, z którego zwisa niebieska uprząż z czarnymi paskami i sprzączkami.

Uprząż kołysze się powoli tam i z powrotem, jakby przed chwilą ktoś ją lekko trącił.

Obok łóżka jest mała szafka z samotną różą w wazonie i tubką jakiegoś kremu. Jeszcze jedna walizka stoi na podłodze. Na ścianach widać kawałki taśmy klejącej, jakby ktoś pozdejmował z niej plakaty. Przy walizce leży para starych butów piłkarskich.

Czy to pokój Jonasa?

W takim razie gdzie on się podziewa? Przecież Björn był tutaj niecałą godzinę temu i go widział. I gdzie jest Rakeł?

Kręci mnie w nosie od słabego zapachu jakiegoś detergentu i jeszcze czegoś – chyba chloru. Z głębi domu dochodzi skrzypnięcie.

Serce wykonuje kolejne salto. Pot kapie mi z czoła i płynie strużką między piersiami. Ręce trzęsą mi się tak mocno, że odruchowo rozglądam się dookoła siebie, aby niechcący czegoś nie przewrócić.

W miarę jak ogarnia mnie coraz większe przerażenie, pokój wydaje się kurczyć, a pole widzenia się zawęża. Strach opanowuje każdą część mojego ciała, aż w końcu nogi odmawiają mi posłuszeństwa, a ręce zwisają bezwładnie wzdłuż ciała. Dłonie i stopy drętwieją, w ustach robi mi się sucho.

Czuję tak potworny lęk, że odnoszę wrażenie, jakbym cofnęła się do dzieciństwa. Do samotnych, pełnych grozy godzin z potworami ukrywającymi się pod łóżkiem. Do spacerów przez ciemny las, gdzie wilki czyhały na mnie w zaroślach. I dokładnie w tym momencie z moich ust wymykają się znajome słowa:

Dancing queen

Mamma mia

Chiquitita

The winner takes it all

Serce odnajduje właściwy rytm i w kończynach wraca mi czucie. Pokój odzyskuje właściwe kontury.

Fernando

Waterloo

When I kissed the teacher

Obracam lekko głowę i patrzę na wprost – widzę salon, do którego słońce wlewa się przez duże okna. Jedno z nich jest otwarte i powoli kołysze się na słabym wietrze.

To pewnie ono skrzypiało.

Kręcę głowę z ubolewaniem nad swoją chorą wyobraźnią. Następnie oddycham głęboko i ruszam w kierunku salonu.

Head over heels

Name of the game

Moje kroki są teraz pewniejsze, świadome celu. Wiedzą, dokąd zmierzają, i nie dadzą się zwieść żadnym urojonym potworom. Ale szerokie deski podłogowe nieoczekiwanie trzeszczą pod moim ciężarem, zmuszając mnie do zatrzymania się.

Wiodę wzrokiem po pokoju.

Za oknami morze rozpościera się leniwie w popołudniowym słońcu. Jego odwieczne pragnienie to dotknąć nieba, ale osiąga jedynie horyzontu.

Pośrodku stoją białe kanapy i fotele, a pod ścianami regały. Wypełniają je książki o grzbietach różnej grubości, we wszystkich kolorach tęczy, ale także zdjęcia i bibeloty.

Obok fotografii kobiety i małego chłopca widzę kobaltowy szklany talerz na nóżce, przypomina moją starą paterę na ciasto z Fruängen, którą odziedziczyłam po babci.

Podchodzę bliżej.

Na talerzu leży męski zegarek z płóciennym paskiem, etui na komórkę w konopne liście i...

I...

Znowu słyszę skrzypnięcie okna, a potem głuchy huk, kiedy rama uderza o doniczkę z kwiatami. Ciepły powiew dotarł do moich pleców, podnosząc mi włoski na karku.

Wpatruję się w niebieskie naczynie i nie mogę zrozumieć.

Obok etui leży wiązka kluczy. Z kółka zwisa maleńka ryba i równie mikroskopijna plastikowa książka.

To klucze Samuela – sama dałam mu to kółko z breloczkami. Identyczne zamawialiśmy dla wszystkich dzieci, którymi zajmowaliśmy się w zborze. Oczywiście był to tani chiński wyrób, ale liczyło się znaczenie tych dwóch rzeczy – ryba symbolizowała chrześcijaństwo, a mała książeczka – Biblię, Pismo Świète.

Tylko dlaczego klucze Samuela leżą tutaj, na niebieskim talerzu, skoro już go tu nie ma?

Wyciągam rękę, aby ich dotknąć, jakby to miało mi pomóc zrozumieć, co się stało. Jakby ten kawałek byle jakiego plastiku mógł przekazać jakieś ukryte przesłanie.

Bum.

Odwracam się odruchowo, spodziewając się, że zobaczę, jak okno znowu uderza w doniczkę. A tymczasem stoję twarzą w twarz z kobietą.

Ma na sobie dzinsowe szorty i cienką białą bluzkę. Ciemne, niemal czarne włosy opadają jej na ramiona. Nie, nie opadają, tylko spływają falami jak rzeka, otulając jasną, marmurową skórę szyi.

Jest śliczna, niesamowicie śliczna.

Ja nigdy nie byłam choćby w przybliżeniu tak ładna. I chociaż panika powraca z całą siłą, zauważam, że jesteśmy podobne – trochę jak siostry, z których jedna wyrosła na piękną, a druga na brzydką.

Rakel.

– Kim pani jest i co pani robi w moim domu? – rzuca ostro i mocno ścisną coś w dłoni. Nie mogę dojrzeć, co to jest, ale wygląda na coś małego, a kiedy się porusza, przedmiot odbija słońce.

Otwieram usta, aby odpowiedzieć, lecz nie wykrztuszam ani słowa.

Rakel robi krok w moją stronę, więc się cofam i zawadzam łokciem o niebieską paterę. Kołysze się kilka razy, lecz wciąż stoi na półce.

– Kim pani jest? – krzyczy kobieta.

– Ja...

Nie mogę wydobyć głosu.

Cofam się w kierunku przedpokoju. Potykam się o próg i gdybym w ostatniej sekundzie nie chwyciła się ramy drzwi, pewnie bym upadła. Ale i tak tracę równowagę, bo moje spocone dłonie ześlizgują się po pomalowanej powierzchni.

Honey honey

When all is said and done

– Samuel – szepczę. – Jestem mamą Samuela. Gdzie on jest?

Rakel rusza w moją stronę, więc cofam się jeszcze dalej. Potykam się po raz drugi i upadam na szary stolik. Wazon się przewraca i roztrzaskuje na podłodze. Kawałki szkła i róże rozsypują się po niej jak bierki. Zimna woda cieknie mi po łydkach.

– Samuel już u mnie nie pracuje – mówi Rakeł.  
– Nieprawda – odpowiadam. – Widziałam jego klucze. Musi tu być.  
– Już tu nie pracuje – powtarza kobieta i robi jeszcze jeden krok w moją stronę. – Dostał inną, ważniejszą pracę. Tak samo jak inni.

Rakeł przystaje i przez sekundę wygląda na strasznie zasmuconą. Mam wrażenie, że ten smutek w jakiś sposób wyciszył złość, przynajmniej na chwilę, dlatego decyduję się mówić dalej. Tylko mówić.

W końcu w tym jestem najlepsza.

– Bardzo mi go brakuje – odzywam się, słysząc ku własnemu zaskoczeniu, że mój głos jednak się niesie.

Ona marszczy brwi i wiedzie wzrokiem po różach na podłodze. Potem powoli kręci głową.

– Wiem wszystko o stracie – mówi po krótkiej pauzie.

Kiwam głową i podążam za jej spojrzeniem. Obok mojej stopy stoi podpórka do drzwi w formie małej owieczki.

W mojej głowie wykluwa się myśl. Myśl tak dziwna, że wręcz nie chcę podążać za nią aż do przerażającej konkluzji.

Przypominam sobie wiersz. Spoglądam na żelazną owieczkę.

I w tym samym momencie po raz kolejny przed moimi oczami wyłania się obraz pastora. Widzę jego pełen samozadowolenia uśmiech, ale widzę też jedną z ilustracji w ramach wiszącą na ścianie za jego plecami w salce zboru. Przedstawia jagnię leżące bezpiecznie obok ogromnego lwa.

Lwa z pokolenia Judy.

Baranek ofiarny.

To tak śmiesznie proste, że nie umiem pojąć, jak wcześniej na to nie wpadłam. Ani że ci mądrzy policjanci nie rozwiązali tej zagadki.

– To pani – mówię szeptem. – Pani jest i lwem, i barankiem. Pojednaniem i walką, dokładnie jak Jezus. Nie ma żadnego pomocnika.

– Nie wiem, o czym pani mówi – odzywa się Rakeł, ale nie patrzy na mnie, wzrok ma utkwiony w podłodze.

– Pani uzurpuje sobie prawo do gry z Bogiem – mówię.

W tej samej sekundzie dociera do mnie, że się pomyliłam.

– Przepraszam, chciałam powiedzieć: do grania Boga.

W jej jednym oku coś drgnęło. Ręką opiera się o ścianę.

– Czytałam wiersz – ciągnę dalej. – Samuel napisał mi na nim informację. To znaczy na wierszu. I wrzucił go do samochodu. Mojego samochodu. Więc go znalazłam. W samochodzie.

– Mój partner jest pisarzem... – zaczyna.

– Pani zna Biblię – przerywam jej. – Tak samo jak ja. Lew i baranek są tym samym. Symbolizują Jezusa. Baranek ofiarny zginął za nas, a lew, król, to Mesjasz. To dwie różne postacie Jezusa. Pani tak właśnie siebie widzi, prawda? Jako Boga. I wydaje się pani, że tak jak Bóg ma pani prawo odbierać życie.

– Ja chcę tylko odzyskać swojego syna – mamrocze Rakel. – Tak jak pani.

Wybucha płaczem. Duże łzy toczą się po jej bladych policzkach, widzę w jej twarzy prawdziwe cierpienie i ból. I w tej sekundzie kolejny element układanki trafia na miejsce.

Wybrała imię Rakel nie tylko dlatego, że oznacza baranka.

Pamiętam słowa z Ewangelii Mateusza, niemal słyszę ojca, jak czyta na głos ze swojej starej, wysłużonej Biblii:

„Krzyk usłyszano w Rama, płacz i jęk wielki. Rachel opłakuje swe dzieci i nie chce utulić się w żalu, bo ich już nie ma”.

Rakel podnosi wzrok i robi kilka kroków w moją stronę. Odłamki szkła pod jej bosymi stopami łamią się i kruszą, lecz jej twarz pozostaje niezwruszona, kamienna.

Na podłodze zostają krwawe ślady. Lśnią w promieniach słońca, które sięgają aż tu z salonu.

– Gdzie jest Samuel? – powtarzam pytanie, cofając się do drzwi wejściowych. Po omacku szukam klamki i natrafiam na nią dłonią.

Ona powoli kręci głową.

– Odszedł – szepcze. – Odszedł. Wszyscy odeszli.

– Nie – mówię głosem zdławionym płaczem. – On nie odszedł. Pani wie, gdzie on jest, i musi pani mi to powiedzieć.

Czuję chłodną klamkę w dłoni, ale kiedy ją naciskam, drzwi się nie otwierają. Pcham je całym swoim ciężarem, nie ustępują jednak ani na milimetr.

Rozglądam się dookoła, próbuję wypatrzeć klucze, które muszą przecież gdzieś być.

Rakel znowu powoli kręci głową. Wokół jej stopy powstała spora kałuża krwi, ale ona zdaje się tego nie zauważać.

– Tego pani szuka? – pyta, podnosząc wiązki kluczy.

# Manfred

**N**ie ma mowy, żebym przelazł przez ten płot – stwierdzam, spoglądając na własny brzuch sterczący nad paskiem spodni.

– Daj spokój – odzywa się Malin, która jest już po drugiej stronie. – Skoro ja w swoim stanie dałam radę, to i tobie się uda.

Z ociąganiem idę w jej ślady.

Mój wyczyn kończy się upokarzającą porażką.

W połowie drogi zahaczam o sztachtetę i zanim udaje mi się niezdarnie przerzucić ciało przez ogrodzenie i runąć w trawę jak jesienne zgniłe jabłko z drzewa, na drogich spodniach od angielskiego garnituru pojawia się długie pęknięcie. Kiedy ląduję na boku, czuję przenikliwy ból w chorym kolanie. Powoli zbieram się z ziemi, najpierw staję na czworakach jak jakiś kundel i stopniowo wracam do pionu.

Po chwili słyszę wibrowanie komórki w kieszeni. Wyjmuję ją i czytam wiadomość od Afsaneh: „Przyjedź zaraz do szpitala!”.

Czuję falę lodowatego chłodu w okolicy serca, gdy jej odpisuję: „Co się stało?”.

Następnie ruszam za Malin na tyle szybko, na ile pozwala mi obolałe kolano. Ona podbiegła już do domu i stojąc na schodkach prowadzących na ganek, patrzy na pomalowaną na biało fasadę. Potem odwraca się i zerka na mnie. W końcu chwyta za klamkę i próbuje otworzyć drzwi.

Docieram do niej zadyszany, przystaję, opieram dłonie na udach i robię kilka głębokich oddechów.

Malin spogląda na mnie badawczo, po czym ostrożnie puka do drzwi i bada zamek.

– Zabezpieczenia antywłamaniowe. Tędy nie wejdziemy.

– Może spróbujemy zadzwonić – proponuję. – Jak normalni ludzie.

– To zadzwoń, a ja sprawdzę okna.

Schodzi z ganku, podczas gdy ja prostuję plecy i wycieram sobie pot z czoła.

Naciskam mosiężny guzik. Słyszę dzwonek przecinający ciszę i czekam.

Nic.

Naciskam jeszcze raz i kolejny, ale nikt nie otwiera. W głębi domu nie rozlegają się niczyje kroki. Nie pojawia się żadna Rakel. Coraz silniej czuję, że coś jest nie tak.

Wraca Malin.

– Słyszałam jakiś hałas w środku. Jakby krzyk. Może wezwijmy wsparcie i poczekajmy.

Zerkam na swoją brzemienną koleżankę i dochodzę do wniosku, że ma rację. To przeczyłoby wszelkim zasadom i wszelkiemu zdrowemu rozsądkowi, gdybyśmy teraz sami weszli do tego domu. Policjantka w ciąży nie ma za bardzo jak nosić broni, a już tym bardziej nie ma jak z niej strzelać. Jednocześnie jednak narasta we mnie przekonanie, że mamy coraz mniej czasu.

– Musimy wejść – oświadczam.

– We wszystkich oknach na parterze są solidne kraty. Wygląda na to, że rzeczywiście musiała się bać włamania. Od strony morza jest taras, ale nie sposób się na niego dostać, bo pod nim jest urwisko.

Odchylam głowę i wiodę wzrokiem po białym budynku, przyglądam się ciesielskim ornamentom, kratom w oknach i wejściowym drzwiom.

– Czy mamy jeszcze w samochodzie tę długą stalową linę? – pytam.

– Chyba tak. Po co ci ona? Będziemy się po niej wspinać? Akurat ani ty, ani ja nie należymy do najzwinniejszych.

Malin się uśmiecha, jakby wyobraziła nas sobie razem wiszących na linie.

– Nie. Dostaniemy się tamtędy.

Wskazuję na ramę jednego z okien, na co Malin obrzuca mnie pytającym spojrzeniem.

Kilka minut później lina jest już mocno zawiązana. Pociągam za nią na wszelki wypadek.

– Gotowe? – woła Malin z drogi.

– Gotowe! – odpowiadam.

Po chwili ciszy słyszę trzaśnięcie drzwi samochodu, a potem odgłos uruchamianego silnika.

Stalowa lina się napina, coś trzeszczy i w drewnianej ramie, do której przymocowana jest krata, pojawiają się nieduże pęknięcia. Szpary coraz bardziej się pogłębiają, deski pękają i stopniowo odrywają się od nich długie drzazgi.

Malin dodaje gazu, z daleka słychać, jak koła buksują na suchej żwirowej drodze. Kilka sekund później krata wyłamuje się z hukiem, odpada od ściany i ląduje w trawie kawałek dalej.

Owijam sobie rękę marynarką, rozbijam szybę, wsuwam dłoń do środka i otwieram okno od wewnątrz.

Malin biegnie z powrotem przez trawnik.

– Ja wejdę pierwsza – mówi, po czym wdrapuje się przez okno z zaskakującą zręcznością.

Sekundę później wyciąga do mnie rękę i pomaga mi się wgramolić.

Znajdujemy się w sypialni ze szpitalnym łóżkiem i z metalowym stelażem z uprzążą. W pokoju jest dwoje drzwi – przez jedno, po prawej, widać przedpokój. Podłogę w nim pokrywają plamy krwi. Odłamki szkła i czerwone róże leżą porozrzucone dookoła.

Malin wyjmuję broń i ją odbezpiecza. Robię to samo i idę za nią do przedpokoju.

– Tam – mówi i wskazuje na czerwone ślady prowadzące do salonu z przeszkloną ścianą wychodzącą na morze.

Biały fotel leży przewrócony, a dookoła niego roi się od krwawych plam. Kawałek dalej widać rozbitą doniczkę.

Za otwartymi drzwiami rozciąga się taras otoczony drewnianą białą balustradą. W jej środkowej części brakuje jednego elementu, wygląda na to, że ktoś go wyłamał. Ostre drzazgi tkwią w dziurze, a tuż obok, przy samym otworze, ktoś trzyma się za barierkę.

Moje serce przyspiesza i każe mi rzucić się do drzwi. W jednej sekundzie nie jestem już tutaj, w domu Rakel w Stuvskär. Jestem w domu przy Karlavägen, jest wiosna i Nadja jeszcze nie...

Pędzę.

Biegnę, bo to jedyne, co mogę zrobić. Biegnę, bo tak trzeba. Nie wolno dopuścić do tego, aby własne dziecko spadło, zginęło. To jedyna rzecz, do której nie wolno w życiu dopuścić.

– Nadja! – krzyczę na całe gardło, wypadając na taras i widząc dłonie kurczowo ściskające balustradę. – Nadja!

Strasznie się boję. Przerażliwie się boję, bo przecież wiem, jak to się skończy. Mimo to nie waham się ani sekundy, bo tak trzeba. Bo człowiek zrobi wszystko, żeby uratować własne dziecko, rzuci się w ogień i wodę.

Zrobi wszystko i jeszcze trochę.

Dobiegam do niej, chwytam. Ale dłoń powoli wysuwa się z mojej.

– Wyślizguje mi się! – wrzeszczę jak oszalały, lecz sekundę później Malin jest przy mnie, a ja powracam do rzeczywistości – do Stuvskär i do czasu, gdy Nadja jest już zgubiona.

Do rzeczywistości, w której na wszystko jest już za późno.

Ale ta kobieta zwisająca z tarasu nie spadnie, mogę ją uratować.

Zaparłszy się o balustradę, Malin mocno chwyta ją za przedramiona.

Spoglądam w dół na osobę, którą trzymam za rękę – to Rakel alias Susanne Bergdorff. Za jej ramionami widzę przepaść. Dno rozciąga się jakieś piętnaście

metrów niżej i jest usiane kamieniami i głazami. Za nimi widać mały pomost i szopę na łódź.

A dalej tylko morze.

Rakel postępuje ciężko, jej długie włosy łopoczą na wietrze. Ręce ma umazane krwią, oczy wpółprzymknięte.

Coś zatrzeszczało i kolejny fragment balustrady pęka z łoskotem. Półmetry kawałek drewna odrywa się, spada, odbija się od skał i wreszcie z ostrym hurkotem ląduje na ziemi.

– Teraz – mówi Malin, po czym wspólnymi siłami wciągamy kobietę na taras.

Dziesięć minut później Susanne Bergdorff leży na brzuchu i z rękami w kajdankach. Ponieważ istnieje podejrzenie, że może być poszukiwanym przez nas sprawcą, wolimy nie ryzykować. Po przeszukaniu domu stwierdziliśmy, że jest pusty, i wezwaliśmy posiłki.

Kobieta mamrocze coś pod nosem.

– Uehl.

– Albo dostała mocno w głowę, albo jest pod wpływem jakichś środków – zauważa Malin i z trudem się prostuje.

Proszę ją, aby wezwała karetkę. Idzie więc do salonu i łączy się z centralą.

– Muel – znowu bełkocze Susanne.

Przenoszę wzrok dalej, za balustradę, a potem niżej, na skały obok pomostu.

Gdyby spadła z tarasu, zginęłaby na miejscu. Miałaby złamaną każdą kość w ciele.

Obrażenia w wyniku brutalnej przemocy, przypominam sobie.

I w następnej sekundzie nasuwa mi się logiczny wniosek: przecież to mogło odbyć się właśnie tak. Zwłoki są ciężkie i trudno je przenieść, ale sturlać na dół potrafiłoby je nawet dziecko. A tam dociągnięcie ich do morza byłoby już dosyć łatwe.

Na myśl o tym czuję, jak wywraca mi się żołądek.

Wraca Malin.

– Mamy sąsiada – informuje. – Mógłbyś z nim porozmawiać? Ja w tym czasie ustale resztę z kolegami i będę miała na nią oko.

Sąsiad, czterdziestokilkulatek, przedstawia się i podaje mi rękę. Wyglądałby całkiem zwyczajnie, gdyby nie szeroka, szpecąca blizna biegnąca od jednej skroni do kącika ust.

– Ona wynajmuje ten dom od Maj-Lis Wennström – wyjaśnia w śpiewnym skańskim dialekcie, przez co niełatwo go zrozumieć. – Kiedy dzisiaj wcześniej rozmawiałem przez telefon z policjantką, powiedziałem, że według mnie coś tu jest nie w porządku.

– Tak?

– Swoją drogą, co się tutaj stało?

Mężczyzna zerka ciekawie w stronę domu, a potem spogląda na trzy samochody zaparkowane przy drodze.

– Na razie nie możemy ujawniać żadnych szczegółów – odpowiadam. – Co pan miał na myśli?

Mój rozmówca wykrzywia twarz, odwraca głowę w bok i spluwa, jakby ugryzł coś gorzkiego.

– Młodzi chłopcy. Wciąż nowi. I ten chory syn. W końcu kiedyś wszedłem do środka, żeby zobaczyć, co się tu dzieje. Ale wtedy mnie spytała, co z nim zrobiłem, chociaż nigdy go nawet nie dotknąłem. Widziałem, jak go fotografowała.

– Fotografowała?

Mężczyzna potakuje i odwraca oszpeconą twarz tak, że przygląda mi się z boku.

– Spytał ją pan, co robi?

– Rozmawiałem z nią wiele razy. Ale wiła się jak piskorz. I groziła mi, że zadzwoni na policję, jeśli nie opuszczę jej terenu. Jej terenu? Co za głupie gadanie! Ciekawe, co by na to powiedziała Maj-Lis? Pewnie przepędziłaby stąd tę babę, że aż by się za nią kurzyło.

Kiedy wracam na taras, zastaję Malin klęczącą przy Susanne.

– Nie mogę zrozumieć, co mówi.

– Muehl – bełkocze kobieta. – Muehl.

– Poczekaj – rzucam.

Pochylam się nad nią. Tak mocno rwie mnie w kolanie, że aż wykrzywiam twarz z bólu.

– Co pani mówi? – pytam.

– Muehl – powtarza.

Mimo słońca i gorącego wiatru przeszywa mnie lodowaty dreszcz.

– Czy ten sąsiad przyjechał samochodem? – zwracam się do Malin, która w odpowiedzi tylko kręci głową i patrzy na mnie pytająco.

– To dlaczego przy drodze stoją trzy samochody? Jeśli jeden jest nasz, a drugi Susanne Bergdorff?

– Amuehl – mamrocze znowu Susanne.

Pod jej policzkiem na desce widoczna jest mokra plama śliny.

Gdy napotykam spojrzenie Malin, dociera to do nas w tej samej sekundzie.

– Ona mówi „Samuel” – szepcze Malin.

Ostrożnie odwracamy kobietę na plecy, aby wyraźnie zobaczyć jej twarz.

W długich, potarganych kasztanowych włosach widać szerokie pasma siwizny, a na skórze piegi. Oczy są na wpół przymknięte, z jednego kącika ust spływa strużka

spienionej śliny. Na dekolcie połyskuje złoty krzyżyk.

– Jak się pani nazywa? – pytam ją.

– Nilla – słyszę jej szept.

– Boże drogi! – wykrzykuje Malin. – To ona. Matka chłopaka, który zaginął. Pernilla Stenberg.

Podnoszę się. Świat wiruje dookoła mnie, więc muszę chwycić się barierki, aby nie stracić równowagi.

– Cholera! Jak mogliśmy to pokręcić?

– Ale czy ona nie miała spotkać się z Dodziełem i Malikiem w Stuvskär? – nie kryje zdziwienia Malin.

Nie odpowiadam, tylko myślę, że ja też powinienem zainteresować się swoim dzieckiem, zamiast cierpliwie czekać na policję.

Malin rozpiną kajdanki i pomaga Pernilli obrócić się na bok. Potem prostuje się i patrzy w przepaść.

– Tam – mówi szeptem.

I wtedy widzę.

Na niedużej krzywej sośnie rosnącej na skale, mniej więcej dwa metry poniżej tarasu, coś pobłyskuje.

To strzykawka.

Dzwoni moja komórka. Wyjmuję ją z kieszeni.

– Jestem w trakcie interwencji. Co się dzieje?

W tle słyszę tłumione łkanie.

– Afsaneh? Halo?

Zimna dłoń znowu chwyta mnie za serce. Targa nim i szarpie, jakby chciała wyrwać je z piersi.

– Manfred?

Jej głos jest tak kruchy jak jednodniowy lód. Z przerażenia nie mogę oddychać.

– Nadja się obudziła – mówi Afsaneh. – Możesz przyjechać?

– Tak – odpowiadam. I tylko tyle jestem w stanie wykrztusić.

Spoglądam bez słowa na Malin.

Ale chyba nie zauważyła mojej reakcji, bo niewzruszenie wpatruje się w jakiś punkt poniżej horyzontu.

– Jest – mówi i wskazuje na morze.

Na zachodzie widać małą kropkę.

Ta kropka to człowiek pływający kraulem w równomiernym tempie.

# Rakel

Z walniam, odgarniam rękami wodę i spoglądam za siebie, na dom, który tkwi niewzruszenie na skale jak orle gniazdo.

Nic.

Żadnych łodzi, nikogo na pomoście, więc płynę dalej. Odzyskuję rytm.

Jedna ręka, druga ręka, wdech.

Jedna ręka, druga ręka, wdech.

Po prawej stronie mijam grupkę skał. Wystają ponad powierzchnią wody i są pokryte grubą warstwą ptasiego łąjna. Fale są tutaj wysokie, a woda zimna. Morze przyciąga i szepcze. Przyzywa mnie w dół, ku ciemnej otchłani.

Zachłystuję się i znowu się zatrzymuję. Kaszlę, wypluwam morską wodę i ruszam dalej, chociaż nogi i ręce mam sztywne z zimna i zmęczenia.

Myślę o matce Samuela, którą zostawiłam dyndającą z tarasu. O tym, co mi powiedziała – że brakuje jej syna. Kiedy to usłyszałam, poczułam z nią jakiś rodzaj wspólnoty. Niewiele brakowało, a wszystko bym jej opowiedziała.

Ale jak miałabym jej to wyjaśnić?

Nigdy by nie zrozumiała. Nikt nie może tego zrozumieć.

Widzę już starą motorową łódź Birgera. Kołysze się na spiczastych falach zacumowana przy boi i czeka, aż zostanie odholowana do stoczni na Kornholmen.

Jeśli dopisze mi szczęście, zdążę do niej dotrzeć, zanim ktokolwiek mnie zauważy. Ukryję się na niej, a kiedy zrobi się ciemno, popłynę na ląd. Nie mogę uciec nią w morze, bo prawie skończyła się benzyna. Poza tym nabiera za dużo wody, o czym niestety się przekonałam, kiedy pożyczyłam ją sobie, żeby przewieźć ciała chłopców.

Jedna ręka, druga ręka, wdech.

Jedna ręka, druga ręka, wdech.

Zostało jeszcze chyba pięćdziesiąt metrów.

Ta kobieta, matka Samuela, musiała spaść na skały. Jej ciało pewnie się roztrzaskało i stało się miękkie i bezwładne jak ciała chłopców. Jakby było z galarety.

Na myśl o tym robi mi się niedobrze. Nigdy nie chciałam pozbawiać kogokolwiek życia, tak się po prostu stało, tak samo jak jesień następuje po gorącym lecie. To była nieuchronna konsekwencja, a nie mój zamiar.

Chwytam się burty i wzdłuż kadłuba przesuwam się do małej drabinki na rufie. Wciągam się i staję na pokładzie, ciężko dysząc. Serce wali mi jak młotem.

Mrużąc oczy pod słońce, patrzę w kierunku domu.

W moją stronę płynie szybka łódź motorowa.

Tak. To moja łódź. A mówiąc precyzyjnie: Victora Carlarena.

Victor był inny niż pozostali, nie szukał pracy asystenta. Zatrzymał się na jeden dzień na przystani w Stuvskär, ponieważ miał kłopot z łodzią.

Zapewniłam go, że możemy mu pomóc. Że Olle uwielbia dłubać przy silnikach motorówek. I częściowo była to prawda – rzeczywiście się na nich znał, ale potem zaczął kwestionować to, w jaki sposób opiekuję się Jonasem. I zaczął być tak brutalny, że musiałam się bronić.

Postanawiam na razie nie zawracać sobie głowy łodzią, spodziewając się, że jak zwykle po drodze wysiądzie jej silnik.

Jeśli będę mieć szczęście, to się wywinę.

Moje myśli wędrują ku tobie, synku. Zawsze tak jest, niezależnie od tego, o czym zaczynam myśleć.

Strasznie za tobą tęsknię, brak ciebie sprawia mi nieopisany ból. Kłuje i dźga w piersi tak mocno, że chyba od tego zwariuję.

Tamci chłopcy... Nigdy na poważnie nie wierzyłam, że oni to ty, chociaż bardzo pragnęłam, aby to była prawda.

Ale przynajmniej pozwolili mi znowu poczuć się mamą. Czyjaś mamą.

Leżeli tacy kompletnie bezradni i zależni ode mnie. Zdani na moją miłość i troskę. A w miarę jak opadali z sił, w miarę jak chudli, dostawali odleżyn i pojawiały się kolejne komplikacje, zaczynałam myśleć o następnym. O tym, że tym razem będzie doskonale, że musi być doskonale.

Nikt jednak nie był taki jak ty.

Spoglądam na morze. Łódź się przybliżyła. Skacze przez fale jak piłka, pozostawiając za sobą białą smugę spienionej wody.

Nie mam się gdzie ukryć.

Otwieram właz na rufie i wciągam kotwicę.

Jest tak ciężka, że ledwie udaje mi się ją podnieść. Łańcuch podzwania głucho, kiedy owijam go sobie wokół pasa i raz okręcam nim także szyję. Potem siadam na relingu z kotwicą na kolanach, odwrócona plecami do wody.

Morze mnie przyzywa.

Chodź! – woła. Tutaj znajdziesz zapomnienie i przebaczenie. Tu jest wszystko, czego ci brak.

Tu jest także twój syn.

W małej motorówce, która nadpływa, siedzi młoda kobieta o długich brązowych włosach, które rozwiewają się na wietrze. Po chwili zatrzymuje łódź kilka metrów ode mnie i odgarnia sobie włosy z twarzy.

– Policja! – krzyczy. – Proszę położyć się na dnie na brzuchu!

Nie odpowiadam.

Kobieta mówi dalej, już spokojniej, ze wzrokiem utkwionym w łańcuchu wokół mojej szyi. Powtarza, że wszystko będzie dobrze, jeśli tylko się położę. Że wszystko się ułoży. Że nie ma takich problemów, których nie dałoby się rozwiązać. Że jest tyle rzeczy, dla których warto żyć.

Przyglądam się jej w milczeniu i zatrzymuję spojrzenie na dużym brzuchu.

Ona ma życie przed sobą. Rośnie w niej nowe.

Moje już minęło. Wlokę je za sobą jak ogon. Moje życie to przyczepa pełna kamieni. Wóz wyładowany kłodami drewna. Ciągnę go i ciągnę, ale donikąd nie dojdę, nigdy nie uwolnię się od swojej przeszłości. Bez przerwy zataczam te same koła.

– Proszę się położyć na dnie łodzi! – wrzeszczy policjantka.

Chyba sprzykrzyło jej się przekonywanie i zachęcanie mnie.

Odwracam twarz do słońca i przymykam oczy. Czuję ciepło rozchodzące się po ciele. Czuję, że skóra, spierzchnięta po długim dystansie, z powrotem się wygładziła.

Potem puszczam reling i upadam do tyłu, w wodę, mocno ściskając kotwicę.

## CZEŚĆ VI

---

# Pojednanie

*Czcciele próżnych marności opuszczają Łaskawego dla nich.  
Ale ja złożę Tobie ofiarę, z głośnym dziękczynieniem. Spełnię  
to, co ślubowałem. Zbawienie jest u PANA.*

Księga Jonasza 2, 9–10

# Manfred

**B**erit dolewa herbaty mnie, Malin i Hanne. Za oknem słońce chowa się za górą Ormberg, ustępując miejsca cieniom i ciemności.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę z twojego powodu – powtarza Hanne i kładzie dłoń na mojej ręce.

– Dzięki – mówię. – Co prawda od wybudzenia minęły dwa dni, ale na razie do końca nie wiadomo, czy Nadja w pełni powróci do zdrowia. Wiadomo jedynie, że czeka nas ciężka praca. Fizjoterapia, ćwiczenia z logopedą i tak dalej.

Przypominam sobie swoją poranną wizytę w szpitalu. Jak spojrzałem córce prosto w brązowe oczka, a ona spojrzała w moje.

Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, lecz nie wydobyły się z nich żadne słowa, mimo że usunięto jej już przewód z krtani i zaszyto mały otwór po nim.

Ale mrugała.

Moje dziecko może znowu mrugać. Mrugać i patrzeć. A jej spojrzenie wyraźnie mi mówiło, że jest z nami, że nie zmieniła się w pustą w środku skorupkę.

Lekarze poinformowali nas, że wstępne badania neurologiczne wskazują na kłopoty z mową i motoryką prawej części ciała.

No i co z tego?

Jest mi wszystko jedno, czy Nadja będzie głucha, niema czy nie całkiem sprawna fizycznie. Najważniejsze, że żyje. Że moje dziecko, które wypadło z okna na twardy asfalt, rzeczywiście żyje.

Że my, będący do tamtego ranka całkiem zwyczajną rodziną, odzyskaliśmy nasze życie.

Przed moimi oczami pojawia się pełna rozpacz twarzy Pernilli Stenberg.

Nie wszyscy mają tyle szczęścia co ja. Nie wszyscy odzyskują swoje dzieci.

Chociaż koledzy przeczesywali Marholmen przez niemal dwie doby, nie znaleźli Samuela. Wprawdzie nie powiedziałem tego jego matce wprost, jestem jednak pewny, że chłopak nie żyje.

Leży gdzieś na dnie morza, obwiązany takimi samymi łańcuchami, jakie odkryliśmy w szopie na łódź.

To niezwykley zbieg okoliczności, może swego rodzaju boska sprawiedliwość, że kobieta, która przyjęła imię Rakel, utopiła się również opasana łańcuchem. Zanim nurkowie wyłowili jej ciało, było już za późno, zdecydowanie za późno.

Susanne Bergdorff już nie ma.

Łódź, którą Malin ją doścignęła, stała w jej szopie na brzegu i należała do Victora Carlarena, a właściwie do rodziny Carlarenów. Dlaczego nie użyła jej do ucieczki, nie wiadomo. Prawdopodobnie myślała, że łatwiej zniknie niezauważona, jeśli popłynie wpław.

Na podstawie mejli, esemesów i notatek Susanne uzyskaliśmy dosyć wyraźny obraz tego, co się działo w jej domu. Zwabiła młodych mężczyzn obietnicą pracy, a potem faszerowała ich narkotykami. Umierali przypuszczalnie wskutek niedożywienia i odwodnienia. Ekspertyza toksykologiczna potwierdziła w organizmie wszystkich ofiar wysoką zawartość opiatów i innych środków.

Technicy znaleźli włosy i ślady krwi w taczce, z czego wywnioskowaliśmy, że Susanne Bergdorff wywoziła nią ciała z pokoju Jonasa do altany, a potem spychała je na dół, na brzeg, co powodowało tak ciężkie obrażenia. Na pomoście zawijała zwłoki w koc i opasywała łańcuchem. Następnie topiła je w morzu.

Prawdopodobnie korzystała ze starej łodzi Birgera Jämtmarka, tej samej, do której dopłynęła, zanim odebrała sobie życie. To, że Johannes Ahonen miał materiał genetyczny Victora Carlarena pod paznokciami, wynikało pewnie z tego, że Ahonen zadrapał go przy jakiejś okazji, gdy obaj przebywali u Rakel. Kim był chłopiec, którym opiekował się Samuel, na razie nie wiemy, ale jeśli będziemy mieli szczęście, znajdziemy ciało, co ułatwi nam identyfikację.

Co się tyczy Ollego Berga, obraz nie jest jasny.

O ile nam wiadomo, był partnerem Rakel.

Może w którymś momencie próbował ją powstrzymać i zapłacił za to życiem, a może był pierwszą ofiarą, zanim Rakel wpadła na pomysł, że mogłaby skupić się na młodych asystentach.

– Potrzebujecie pomocy, żeby zrozumieć? – pyta z ociąganiem Hanne, unosząc obie ręce do głowy i zręcznym ruchem zbierając niesforne włosy w luźny węzeł na karku. Po chwili dodaje: – Każdy tego chce. Zrozumieć. Ilekroć dochodzi do niewyobrażalnie strasznej zbrodni, każdy chce zrozumieć. Ale czasami to niemożliwe. Czasami nie ma żadnej logiki w okrucieństwach, jakie my, ludzie, zadajemy sobie nawzajem.

– No ale gdybyś miała spróbować? – nie ustępuję, wiem bowiem, że Hanne lubi, kiedy wyciągam z niej hipotezy, które chętnie buduje.

– Pokaż mi te jej zapiski z dziennika – zwraca się do mnie.

Wyjmuję teczkę z papierami i szukam kopii dziennika Rakel, który znaleźliśmy w jej domu. W większości mieszczą się w nim krótkie notatki dotyczące lekarstw podawanych przez nią chłopcom, ich samopoczucia oraz liczby czytelników bloga. Ale w kilku miejscach są też zapisane jej osobiste refleksje.

– Proszę – mówię i podaję Hanne kopię jednej strony dziennika.

Czytamy ją oboje po cichu.

„W nocy przyśniła mi się Skrällan, nasza kotka o szarej pręgowanej sierści, którą wzięliśmy do siebie, kiedy miałam osiem lat. Miałam wrażenie, jakbym NAPRAWDĘ wróciła do tamtego dnia, kiedy to się wydarzyło. Wszystko się dokładnie powtórzyło, tylko we śnie. Siedziałam ze Skrällan na kolanach. Chciałam, żeby na nich została, abym mogła dalej głaskać jej puszyste futerko. Ale kiedy chwyciłam ją za nogę, coś się stało. Usłyszałam dźwięk, jakby ktoś wyciągnął korek z małej butelki, i jej łapka pozostała zgięta pod dziwnym kątem.

Pobiegłam po tatę. Powiedziałam mu, że Skrällan zrobiła sobie coś w nogę, kiedy zeskoczyła z regału na książki.

Tata obejrzał ją, a potem stwierdził, że ona rzeczywiście ma uszkodzoną łapkę, i pojechaliśmy do weterynarza. Pielęgniarka pogłaskała mnie po głowie i pochwaliła, że jestem bardzo dobrą opiekunką, ponieważ zauważyłam, że z moją kotką jest coś nie w porządku. Przyniosła mi lody i trzymała za rękę, podczas gdy lekarka badała Skrällan.

Ona też z uznaniem pokiwała głową, kiedy opowiedziałam jej, co się stało. Dodała, że życzyłaby sobie, aby wszyscy właściciele zwierząt byli tacy jak ja. Aby w porę dostrzegali, że ich podopieczni źle się czują, i szukali dla nich pomocy. W ten sposób uniknięto by wielu cierpień.

W szkole opowiadałam o tym bez przerwy.

Koleżanki i koledzy stali w kręgu dookoła mnie. Nikt już nie mówił, że jestem brzydka czy gruba. Pani też chciała usłyszeć tę historię, a na koniec zrobiłam jeszcze kilka rysunków ilustrujących całe wydarzenie. Nauczycielka powiesiła je na ścianie. Chyba musiały na niej wisieć przez wiele lat, ponieważ pamiętam, że kiedy kończyłam podstawówkę, wciąż tam były”.

– Interesujące – mówi Hanne i zapisuje coś w notesie.

– Czy uważasz, że ona jest sadystyczną psychopatką? – pyta Malin.

Hanne waha się przez chwilę, zanim odpowiada.

– Nie jestem tego pewna.

– Jest jeszcze jeden fragment, który według mnie powinnaś przeczytać – wtrącam i wyjmuję drugą kartkę.

„Pewna dziewczyna, która wchodzi na mojego bloga, napisała mi w mejlu, że chciałaby przysłać mi ciasto! Serio, CIASTO! Jest dokładnie tak jak kiedyś z André. Kiedy zachorował, wciąż pojawiał się na schodach jakiś sąsiad z ciastem albo ze świeżymi bułeczkami. Kosili mi trawnik, odgarniali śnieg, przycinali drzewa.

Wydawało mi się, jakbym stała w słońcu.

Ale po jakimś czasie to minęło.

Widocznie ludzie znaleźli sobie inne tragedie, którymi się zainteresowali – chore na raka matki niemowląt, dzieci na wózkach inwalidzkich. Osoby upośledzone i kalekie. Bezdzietne. Sparaliżowane. Umierające. Oni wszyscy UKRADLI uwagę, która należała się André i mnie – NIKOGO nie obchodził już ktoś ze stwardnieniem rozsianym, kiedy sąsiad miał raka żołądka i dwa miesiące życia.

A ja chciałam jedynie znaleźć się znowu w słońcu, na chwilę. Poczuć ciepło i miłość, które byłyby przeznaczone dla mnie”.

Hanne zdejmuje okulary do czytania i odgarnia z czoła wilgotny od potu kosmyk włosów. Kiwając powoli głową, kładzie kartkę na zniszczonym drewnianym stole. Ma skupiony i trochę smutny wyraz twarzy. Nagle wydaje mi się dosyć stara.

– Czy ten André to jej mąż? – pyta.

Potakuję i wkładam papier z powrotem do teczki.

– Czy mogłabym jeszcze raz zobaczyć jej bloga?

– Jasne – odpowiadam, po czym przesuwam w jej stronę komputer.

Hanne dość długo przegląda od nowa znajdujące się na nim wpisy. Od czasu do czasu pomrukuje i kiwa głową.

– Dokładnie jak myślałam – mamrocze.

– Ale co? – jestem ciekawy.

– Susanne Bergdorff zaczęła pisać bloga po tym, jak jej syn uległ wypadkowi. Dosyć szybko zyskała duże grono czytelników. Ciężko ranne dziecko to w społeczności zamieszkującej szkiery najwyraźniej wydarzenie, wobec którego trudno pozostać obojętnym. Myślę, że to jest dosyć znamienne.

Wskazuje na cyfry odzwierciedlające liczby lajków i komentarzy do poszczególnych postów.

Malin i ja pochylamy się w stronę komputera, aby dokładnie wszystko widzieć.

– Początkowo pisała, że stan chłopca zaczął się poprawiać – kontynuuje Hanne. – Że są wyraźne symptomy wskazujące na to, że wyjdzie ze śpiączki. I co się wtedy dzieje? Liczba lajków i komentarzy radykalnie maleje. Nikt nie chce czytać o zwyczajnym, zdrowym chłopcu. Ludzi przyciąga smutek, choroba, nieszczęście. A potem mu się pogarsza, całkiem zniecka, i blog eksploduje, rozrasta się. I wtedy...

– Co takiego? – rzuca Malin.

– Wtedy Susanne znowu jest w centrum zainteresowania – odpowiada Hanne ze smutnym uśmiechem. – Znowu świeci na nią słońce, dokładnie tak, jak opisała to w dzienniku.

Nikt z nas nic nie mówi.

– Moim zdaniem powinniśmy wziąć pod uwagę możliwość, że motorem działania Rakel było uzyskiwanie coraz większej i większej liczby lajków i czytelników – stwierdza po chwili Hanne. – Jej wpisy podobały się prostym ludziom, którzy żywili się jej... nieszczęściem. I w tej grze, w tym tańcu, jaki rozgrywał się między nią a jej obserwatorami, pewna ich liczba została pozbawiona życia.

Czuję ciarki na plecach. Przypominam sobie komentarz Malin na widok gapiów pstrykających fotki wypadku na drodze: „Co się, u diabła, dzieje z tymi ludźmi?”.

A potem myślę o Afsaneh, która robiła zdjęcia Nadji i wrzucała je na forum dla rodziców ciężko chorych dzieci. Przypominam sobie też Martina, kolegę Afsaneh, który ze stuprocentowym przekonaniem twierdzi, że występowanie narcystycznych cech osobowości od lat osiemdziesiątych gwałtownie się nasiliło. Według niego ludzie są gotowi zrobić cokolwiek, byle tylko uzyskać wirtualny poklask.

– Co usiłujesz nam powiedzieć? – pytam. – Uważasz, że Susanne świadomie robiła krzywdę swojemu synowi?

– Tak – mówi Hanne całkiem spokojnie. – Synowi i przypuszczalnie także mężowi. A potem zaczęła szukać nowych ofiar. Była lwem i barankiem. Jednocześnie pielęgnowała swoje ofiary i je niszczyła. Dokładnie jak w tym wierszu. Wszystko się zgadza. A zaczęło się od kota. Tamto zdarzenie zasiało w niej ziarno. Potem zachorowali i zmarli jej rodzice. Może zajmowała się też nimi. I może wzmocniło to jej skłonności. Po wielu latach zachorował jej mąż. Susanne pomagała go pielęgnować. Nie brakowało jej ku temu ani motywacji, ani kompetencji, miała przecież wykształcenie farmaceutyczne. I po raz kolejny otrzymała potwierdzenie swoich umiejętności. Ze strony personelu medycznego i znajomych, zarówno w sieci, jak i w realnym życiu. Szkodziła mu, aby móc dalej znajdować się w słońcu. Nie sądzę, by chciała go zabić, ale jednak tak się stało.

– A potem ten sam schemat powtórzył się z synem? – szepcze Malin.

– Tak – potwierdza Malin. – Z tą różnicą, że wtedy założyła bloga i miała swoje konta na wielu różnych platformach społecznościowych. W im gorszym stanie jest syn, tym więcej przybywa jej lajków i obserwatorów. Bierze więc sprawy w swoje ręce i dopilnowuje, aby mu się nie polepszyło. Możemy chyba założyć, że chłopak umierał powoli... w następstwie jej... opieki.

Hanne przerywa.

– Co za potworność – mówi Malin i chowa twarz w dłoniach, nie mogąc powstrzymać szlochu.

– Po śmierci Jonasa poczuła tak wielką pustkę, że nie mogła sobie z nią poradzić – kontynuuje Hanne, nie zwracając uwagi na reakcję Malin. – Z powodów, których pewnie nigdy nie poznamy, zastąpiła syna jego asystentem. A potem zaczęła powtarzać ten schemat. Spójrzcie na to!

Przewijają stronę i pokazują wpis sprzed siedmiu miesięcy.

„Gmina właśnie zdecydowała, że wsparcie asystenta przysługuje nam tylko trzy godziny dziennie. W konsekwencji ani ja, ani mój partner nie będziemy mogli normalnie pracować. Pomóżcie nam, przekazując datek na widoczny na dole numer konta. Żadna ofiara nie będzie za mała! Dziękujemy z góry wszystkim cudownym ludziom, którzy pomagają nam wytrwać”.

– Żebrała o pieniądze w sieci i naciągała państwowe instytucje, inkasując od nich różnego rodzaju zasiłki – wyjaśnia Hanne. – Pewnie się dowiemy, o jakie kwoty chodziło, ale to też mogło być dla niej bodźcem do tego, aby znajdować wciąż nowych chłopców, którzy odgrywaliby rolę Jonasa.

Malin unosi głowę i ociera łzy z policzka.

– Przepraszam – szepcze. – Ale kto jest zdolny do czegoś takiego?

– Ktoś zaburzony – odpowiada ze spokojem Hanne i dmucha na gorącą herbatę. – Ktoś bardzo głęboko zaburzony. Oprócz tego miała ekstremalnie silną skłonność do manipulacji. Jeśli właściwie ją oceniam, okłamywała większość ludzi. A to oznacza, że wykazywała także cechy aspołeczne, i świadczy o upośledzonych umiejętnościach interpersonalnych.

Nikt z nas nic nie mówi. Myśl o tym, że ktoś może szkodzić ludziom, a nawet własnemu dziecku, aby wyróżniać się w sieci, jest tak absurdalna, że wprost trudna do wyobrażenia.

– Jeśli chcecie poznać fachową diagnozę, mogę ją wam przedstawić – mówi Hanne, postukując palcem w stół.

Kiwam głową.

– To zastępczy zespół Münchhausena – oznajmia bez emocji. – Występuje wtedy, gdy ktoś wywołuje u kogoś, najczęściej u dziecka, objawy chorobowe, a potem zwraca się o fachową pomoc medyczną, aby zyskać uznanie jako wybawiciel oraz wzbudzić zainteresowanie i współczucie, co stanowi dla osoby zaburzonej pewnego rodzaju nagrodę i sprawia jej przyjemność. A to z kolei podtrzymuje i wzmacnia owo chore zachowanie. Sądzę, że takie osoby satysfakcjonuje także zwrócenie na siebie uwagi w sieci. Być może mamy do czynienia z pierwszym przypadkiem zastępczego zespołu Münchhausena online czy jakkolwiek by to nazwać. Ale na pewno nie z ostatnim,

ponieważ wstępujemy w zupełnie nową erę, co jest jasne nawet dla mnie, mimo że jestem stara.

Urywa i kieruje spojrzenie na sufit.

Odzywa się komórka Malin.

– Sorry – rzuca, po czym wychodzi do pokoju obok, aby odebrać.

– Szkoda, że ona nie żyje – mówi Hanne, jakby do siebie. – Ciekawie byłoby ją poznać.

Malin wraca z telefonem w dłoni.

– Znaleziono kolejne ciało.

– To Samuel? – pytam i czuję, jak gaśnie we mnie ostatnia nadzieja.

– Nie, ta osoba zmarła wiele miesięcy temu – odpowiada Malin.

– Jonas?

– Prawdopodobnie. Zgadnijcie, gdzie go znaleźli?

Kręcę bezradnie głową.

– Pod tymi cholernymi krzakami róż. Matka pogrzebała go pod swoją ulubioną rabatką albo założyła ją na jego grobie. Tak czy inaczej, wydaje się, że chciała mieć go blisko.

# Pernilla

Chodziłam po Marholmen przez całe dwa dni. Przemierzałam kamieniste plaże, wspinałam się na skały. Szukałam wśród bujnych paproci i między strzelistymi sosnami. Pod leżącymi na ziemi gałęziami i przewróconymi drzewami. Metodycznie przeczesywałam wszystkie działki i krążyłam po lesie.

Ale nigdzie nie znalazłam mojego Samuela.

Wczoraj wieczorem był tutaj znowu ten gruby policjant, Manfred, i próbował mnie namówić, żebym pojechała do domu. Powiedział, że już nic więcej nie mogę zrobić. Oni też wszystko dokładnie spenetrowali i nie natrafili na Samuela.

On nie żyje.

Kiedy to usłyszałam, nie byłam w stanie dłużej się kontrolować. Upadłam obok samochodu, z oczu pociekły mi łzy. Na twarzy czułam ostrą trawę i chłód przenikający z ziemi jak zapowiedź żałoby, która musi przyjść.

Nie umiałam mu wyjaśnić, w gruncie rzeczy nawet nie próbowałam mu wytłumaczyć, dlaczego chcę zostać na Marholmen.

Co miałam mu powiedzieć?

Że Samuel to moje dziecko? Że nosiłam go pod sercem, a mimo to zawiodłam go więcej razy, niż potrafiłabym policzyć?

Nie.

Pojechałam więc do domu. Wzięłam prysznic. Spróbowałam coś zjeść.

Potem zrobiłam błąd i włączyłam telewizor. Mówiono o zabójstwach i o Samuele. Dziennikarz rozmawiał z Biancą Diaz, dziewczyną jednej z ofiar. W powściąganej desperacji tej młodej ciężarnej dziewczyny było coś, co wyrwało mnie z przygnębienia i kazało mi działać. Przecież dobrze wiem, jak trudno jest samotnie wychowywać dziecko.

Znalazłam ją w internecie i pojechałam do Jordbro. Zawiesiłam sportową torbę z pieniędzmi na klamce drzwi do jej mieszkania i szybko uciekłam.

Chyba w ten sposób próbowałam odpokutować, jakby to mogło zwrócić mi Samuela.

Później pojechałam znowu do Marholmen, bo co miałam robić w domu bez mojego dziecka?

Przymykam powieki i otwieram paczkę wafelków czekoladowych, którą mam w kieszeni. Odłamuję kawałek i wkładam go do ust. Przez uchylone drzwi samochodu zerkam na kosa w klatce stojącej na trawie przy aucie. Wiatr porywa kawałek podartej gazety z dna pojemnika. Skrawek papieru zatrzymuje się na metalowym pręcie.

To już nie pisklę, tylko prawie dorosły ptak, który nie powinien siedzieć zamknięty w klatce.

Wiem, że Samuel na pewno chciałby go wypuścić. Ale ponieważ sam nie może tego zrobić, to go w tym wyręcę.

Spoglądam na dom wynajmowany przez Rakel od starszej pani, córki dawnego latarnika, która mieszkała tu całe swoje życie. Pogrążony w ciszy odpoczywa za niebiesko-białą policyjną taśmą.

– Gdzie jesteś, synku? – szepczę, po czym rzucam butelkę z wodą na tylne siedzenie, wysiadam z samochodu i zatraskuję drzwi. Z klatką w ręce ruszam zwirową drogą i myślę o dziwnym śnie, który miałam w nocy.

Przyśnił mi się mądry król Salomon z Księgi Królewskiej, który miał rozsądzić spór między dwiema kobietami o dziecko. Każda z nich twierdziła, że to ona ma do niego prawo.

Salomon poprosił o miecz, a gdy mu go przyniesiono, powiedział: „Rozetnijcie żywe dziecko na dwoje i dajcie połowę jednej i połowę drugiej”.

We śnie tymi kobietami byłyśmy ja i Rakel, a dziecko to Samuel.

Kolejny raz przebiega mi przez głowę myśl, że to nie może być prawda. On nie mógł odejść.

Dwie doby. Nikt nie przeżyje w wodzie tak długo, powiedział Manfred.

A jeśli nie wrzuciła go do wody?

„To już byśmy go znaleźli”.

Słowa policjanta odbijają mi się echem w uszach.

Nad wyspą zapada mrok, ale prawdziwa ciemność na razie nie nastaje, tylko wciąż czeka cierpliwie, dopóki lato się nie wycofa i nie ustąpi miejsca jesieni. Niebo wisi ciężko nade mną, pomalowane w odcieniach fioletu i granatu. Komary i meszki krążą wokół, odpędzam je ręką i drapię się w miejscach, gdzie już zdążyły mnie ukąsić, a jednocześnie wpatruję się między połyskujące miedzią pnie sosen. Na skraju lasu rośnie gęsto trybula leśna, gdzieniegdzie żarzą się żółte kwiaty dziurawca.

Jest tak pięknie, że aż zatyka dech.

Zapach dzikiego rozmarynu i przytulii – ziela, na którym spała Maria Panna – przesyca powietrze.

Przypominam sobie ojca, który wiedział wszystko o roślinach i zwierzętach; według niego Maria spała na sianie, a nie na przytulii.

Mówił, że coś takiego wymyślili głupi chłopci.

Tutaj będzie dobrze, stwierdzam i stawiam klątkę na ziemi. Otwieram małe drzwiczki i czekam, aż czarny ptaszek wyleci.

Ale on siedzi spokojnie i przygląda mi się swoimi oczami jak guziki o żółtych obwódkach.

W końcu wsuwam rękę do klatki i go z niej wyganim.

– Zmykaj! Możesz lecieć, gdzie chcesz!

Kos wyskakuje na zewnątrz, ale zaraz przysiada przy wysokiej trawie na skraju drogi. Robię krok w jego stronę, żeby go spłoszyć i zmusić do wzbicia się w powietrze, by mógł nacieszyć się wolnością. Latem, lasem, chłodnym wieczornym powietrzem.

Życiem, które jest takie krótkie i zawodne.

Czarny ptaszek podrywa się, przelatuje obok mojej twarzy i ląduje na gałęzi zaledwie kilka metrów dalej. Odwraca się w moją stronę, przekrzywia mały łebek i patrzy na mnie.

– Szkoda, że Samuel cię teraz nie widzi! – mówię głośno.

I w tym momencie to następuje.

W tym momencie uświadamiam sobie, że rzeczywiście już go nie ma. Że nigdy nie wróci i że tamten gruby policjant miał rację.

Zginam się z bólu, opadam na kolana i przyciskam czoło do zwirowej nawierzchni drogi. Chcę wypłakać wszystkie łzy, które mi jeszcze zostały. Chcę wykrzyczeć swój ból, na klęczkach, jakbym właśnie rodziła.

Po kilku chwilach łzy mi obeschły i oddech się uspokoił. Znowu docierają do mnie odgłosy lasu: słyszę śpiew ptaków, szum i gwizd wiatru w koronach drzew. Trzeszczenie grubej gałęzi gdzieś nad głową. Postukiwanie dzięcioła pilnie pracującego na pniu.

W momencie gdy mam zamiar się podnieść i strzepać piasek z brudnej i przepoconej sukienki, znowu widzę czarnego ptaszka.

Siedzi na skraju drogi.

Ale oprócz niego widzę coś jeszcze – między dwoma kamieniami obok kosa.

Robię kilka kroków, przykucam, wyciągam rękę i biorę w palce niebieski szklany koralik. Trzymam go na dłoni – jest gładki, lśniący i wciąż ciepły od słońca. Gdy zamykam dłoń, chowa się w niej blisko kciuka.

Rozglądam się dookoła. Szukam wzrokiem między długimi cieniami, wśród suchych liści i kamieni.

Ale widzę jedynie piaszczystą jasnobrązową ścieżkę, która znika między sosnami.

Nagle na samym środku ścieżki, kilka metrów dalej, dostrzegam coś bardzo małego, ale intensywnie czerwonego. Wstrzymuję oddech, podbiegam tam, przykucam

i podnoszę kolejny szklany paciorek. Obracam go i widzę jedną literę.

M.

Łzy znowu płyną mi po policzkach, ale tym razem to łzy szczęścia.

Czuję przypływ energii, od razu wiem, co powinnam teraz zrobić – i zaczynam szukać.

Znajduję więcej koralików. Jeden niebieski, jeden żółty, jeden brązowy. Leżą w dosyć regularnych odstępach na skraju ścieżki. Jakby zostały tam rozrzucone umyślnie.

Otwieram dłoń i palcem wskazującym przesuwam szklane kulki w taki sposób, aby ułożyły się w słowo MAMA.

– Synku – szepczę. – Idę po ciebie!

Szukam dalej i natrafiam jeszcze na trzy paciorki, lecz na tym koniec.

W chwili gdy prawie już postanawiam się poddać, zauważam wąską ścieżynkę, która odbija w lewo.

Pod wielkimi drzewami jest dosyć ciemno, wydaję więc komórkę, włączam latarkę i świecę nią między choinkami. Wielki świerk częściowo przesłania widok, ale poprzez jego pozbawione igieł dolne gałęzie majaczy jakaś ruina, niemal całkowicie zarośnięta chaszczami i krzakami.

Pochyliwszy plecy, przeciskam się pod suchymi gałęziami i ruszam w kierunku gruzowiska. W połowie drogi przystaję i podnoszę biały koralik, który błyszczy na ściółce z brązowych igieł i mchu. Potem rozglądam się wokół.

Drzwi prowadzące do zawałonego budynku wiszą krzywo na jednym zawiasie, a dzika roślinność tworzy zieloną ścianę przed murem z gołych cegieł.

– Samuel? – mówię szeptem.

Słysząc jedynie słaby szum koron drzew i bzyczenie komarów krążących mi wokół głowy.

Przesuwam dookoła snop światła z komórkowej latarki.

Na prawo od ruiny jest stara studnia, a obok...

Zaraz, zaraz...

Ułamana świeża gałąź ze zwiędniętymi liśćmi wystaje spomiędzy ostatniego kręgu studni a jej wieka, jakby ktoś niedawno je podnosił i gałąź utknęła przy zamykaniu.

Podchodzę do studni i pochylam się nad ziemią. Obok kostropatych kamieni leży coś pomarańczowego. Małeńki przedmiot błyszczy w blasku komórki.

To biedronka. A dokładnie mówiąc, kolczyk w kształcie małej biedronki.

Wkładam koraliki i kolczyk do kieszeni, a potem pociągam za zardzewiały uchwyt na pokrywie studni. Muszę zaprzeć się całym ciałem, aby ruszyć ją z miejsca.

Pokrywa przesuwana się ze zgrzytem o kilka centymetrów w prawo.

Puszczam uchwyt i oddycham głęboko. Dysząc, zapieram się znowu o studnię.  
Wieko jest piekielnie ciężkie.

Sekundę później coś słyszę.

Postukiwanie dochodzące z głębi sprawia, że wzdrygam się i krzyczę z przerażenia, ale potem w moim sercu budzi się nadzieja.

Pukam w wieko studni tak mocno, że zdieram sobie do krwi skórę na knykciach.

Puk-puk-puk.

Znowu zaciskam ręce na zardzewiałym uchwycie. Ciągnę tak mocno, że aż ciemnieje mi w oczach. Ciągnę i ciągnę, a w głowie mam jedną jedyną myśl: muszę odsunąć tę pokrywę. Muszę otworzyć tę cholerną dziurę do piekła, zanim będzie za późno.

Za każdym razem, gdy odchylam się do tyłu i zapieram nogami, pokrywa przesuwa się o kilka centymetrów. W końcu rozwiera się przede mną półksiężyc mroku.

Wyjmuję komórkę i kieruję światło w czarną otchłań.

Jest tam.

Moje dziecko.

Patrzy z dołu prosto na mnie i mruga.

Pod nim leży zanurzone w wodzie czyjeś ciało. Powierzchnia wody jest częściowo pokryta jakimiś roślinami o małych zielonych liściach, ale w jednym miejscu wystaje ręka.

– Wiedziałem, że przyjdiesz – mówi Samuel.

# Manfred

Trzy tygodnie później

Jest noc, jasna letnia noc.

Ale szpital nie śpi, jak zawsze.

Delikatny szmer dobiega z korytarza, przytłumione głosy dochodzą z pokoju pielęgniarek. Gdzieś włącza się alarm.

Nadja śpi.

Trzymam jej małą rączkę. Tę samą, która umazana masłem wyslizgnęła mi się z dłoni.

Jej buzia jest mokra od łez, ale dopiero po kilku sekundach dociera do mnie, że to moje łzy, a nie jej.

Pielęgniarka, która właśnie weszła do pokoju, śmieje się i targa włosy Afsaneh.

– Idźcie do domu – zwraca się do nas.

Gdy spoglądam na zegarek, stwierdzam, że jest już świt, czyli kobieta ma rację. O dziewiątej rano umówiłem się w komendzie na spotkanie z Dodziełem i powinienem spróbować trochę się przespać.

Podczas śledztwa nasz zespół bardzo się zintegrował. Zbliżyliśmy się nawet do Dodzieła, który początkowo był gburem, ale potem złagodniał i wyraźnie się uspołeczniał. Pogwizduje w drodze po kawę z automatu, przytrzymuje innym drzwi i od kilku tygodni nie rzucił ani jednej seksistowskiej czy homofobicznej zniewagi. Co więcej – obciął paznokcie i przestał nosić ten ohydny siatkowy podkoszulek.

Zacząłem się nawet zastanawiać, czy przypadkiem się nie zakochał. I rzeczywiście – według Malin spotyka się z jednym z naszych świadków, Stiną Svensson, kierowniczką sklepu, w którym pracuje Pernilla Stenberg, czyli z osobą zdecydowanie niebędącą odpowiednią partią dla poczciwego Dodzieła.

Nie zamierzam jednak zwracać mu na to uwagi.

Jestem szczęśliwy, że odzyskaliśmy Nadję. Cieszę się też, że Pernilla Stenberg wbrew wszelkim oczekiwaniom odnalazła swojego syna żywego.

Samuel miał wiele obrażeń i był odwodniony po dwóch dobach spędzonych w niemal wyschniętej studni. Prawdopodobnie przeżył dzięki temu, że zlizywał wilgoć z betonowych ścian, siedząc na martwym królu narkotykowym.

Przez wiele dni znajdował się na granicy życia i śmierci, ale teraz już wiadomo, że dojdzie do siebie i całkowicie powróci do zdrowia. Przynajmniej fizycznego. Wolę sobie natomiast nie wyobrażać, co mu się śni w nocy.

– Idźcie do domu się przespać – mówi pielęgniarka. – Przyda wam się odpoczynek. Jutro zabierzecie córkę do domu.

Afsaneh kiwa głową, ja zaś niechętnie kładę wilgotną rączkę Nadji na kołdrze.

We dwoje opuszczamy szpital.

Po wyjściu na dwór zderzam się ze ścianą wilgotnego powietrza. Znowu zaczynają mi płynąć łzy. Strasznie rwie mnie w cholernym kolanie, ale już się tym nie przejmuję.

Trzy kobiety w zielonych kitlach operacyjnych stoją pod murem i w milczeniu palą papierosy, wpatrzone w telefony. Z parkingu zbliża się mężczyzna, pchając przed sobą jedną ręką dziecięcy wózek. Dziecko marudzi i wije się jak piskorz, ale mężczyzna jest całkowicie pochłonięty komórką trzymaną w drugiej ręce. Wózek skręca i jedno przednie kółko zsuwa się z krawężnika. Dziecko podskakuje i krzyczy wniebogłosy, na co mężczyzna prostuje wózek, ani na sekundę nie podnosząc wzroku znad wyświetlacza.

Na postoju stoi samotna taksówka. Kierowca otworzył drzwi i opuścił jedną nogę na ziemię, jakby chciał wysiąść i gdzieś pójść. Mimo to nadal siedzi. Na jego twarzy odbija się światło włączonej komórki, która leży na jego kolanach.

Afsaneh zauważa moje spojrzenie i kiwa głową.

– Co się dzieje z tymi ludźmi? – pytam ją.

Nie odpowiada, tylko wsuwa palce w moją dłoń.

Ściskam ją mocno, a drugą ręką ocieram sobie łzy z policzka. Potem sięgam do kieszeni, wydaję paczkę papierosów i ją częstuję.

– Chcesz?

Afsaneh śmieje się cicho.

– Wiedziałaś, że kopcisz po kryjomu.

– Tak samo jak ty – odpowiadam i podpalam papierosa, którego ma już między wargami.

Siadamy na betonowej ławce. Kolano boli mnie jak diabli, a ludzkość najwyraźniej stacza się do piekła po spirali narastającego narcyzmu.

Co z tym zrobić?

Spoglądam na Afsaneh.

Uśmiecha się, zaciąga się mocno, odchyła głowę i z rozkoszą wydmuchuje dym w kierunku jaśniejszego letniego nieba.

Jesteśmy całkiem zwyczajną rodziną. A to rano jak wiele innych.

I chociaż nic już nie jest takie samo, odzyskaliśmy nasze życie.

# Podziękowania

**P**ragnę serdecznie podziękować wszystkim, którzy służyli mi wsparciem w pracy nad Uśpieniem, przede wszystkim mojej redaktorce Katarinie i wydawczyni Sarze z wydawnictwa Wahlström & Widstrand, a także mojej agentce Christine i jej koleżankom z Ahlander Agency.

Dziękuję również Åsie Torlöf za zaznajomienie mnie z ważnymi aspektami pracy policji oraz Martinie Nilsson za podzielenie się ze mną wiedzą na temat analizy DNA.

Na koniec chcę też podziękować rodzinie i przyjaciołom za wyrozumiałość i słowa zachęty podczas pracy nad książką. Bez waszej miłości i cierpliwości nie byłoby żadnej książki!

Camilla Grebe

<sup>1</sup> W przekładzie Roberta Stillera.